

PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY

UNIwersum  
METRO  
2033

RUSŁAN MIELNIKOW  
MRÓWAŃCZA



**RUSŁAN MIELNIKOW**

# **MRÓWAŃCZA**

Przekład Paweł Podmiotko

 **insignis**

Tytuł oryginału

*Метро 2033: Муранча*

Copyright © Dmitry Glukhovsky, 2010

Copyright © Rusłan Mielnikow, 2010

All rights reserved. The moral law of the authors has been asserted

Pomysł serii „Uniwersum Metro 2033” Dmitry Glukhovsky, 2009

Przekład z języka rosyjskiego Paweł Podmiotko

Projekt okładki Ilja Jackiewicz

Projekt logotypu serii

Jacek Doroszenko, [www.doroszenko.com](http://www.doroszenko.com)

Redaktor prowadzący Piotr Mocniak

Redakcja i korekta

Tomasz Porębski, Lidia Kowalczyk

Konwersja

Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN-13: 978-83-63944-63-6

Insignis Media

ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków

telefon / fax +48 (12) 636 01 90

[biuro@insignis.pl](mailto:biuro@insignis.pl), [www.insignis.pl](http://www.insignis.pl)

[facebook.com/Wydawnictwo.Insignis](https://facebook.com/Wydawnictwo.Insignis)

[twitter.com/insignis\\_media](https://twitter.com/insignis_media) (@insignis\_media)

[instagram.com/insignis\\_media](https://instagram.com/insignis_media)

## Od Autora

Dokumentacja projektu budowy metra w Rostowie nad Donem była opracowywana jeszcze w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Według ostatnich planów rozwoju infrastruktury komunikacyjnej miasta, budowa metra zacznie się w 2014 roku. Pierwsza linia powinna zostać uruchomiona w 2020. Ale to informacja oficjalna.

W fabule książki okoliczności bardzo szybko się zmieniają i metro w Rostowie będzie budowane w przyśpieszonym tempie, by było gotowe na długo przed planowanym terminem. Jest to być może najbardziej fantastyczna historia z całej powieści.

Rostowskiego metra na razie nie ma. Ale z pewnością będzie. Będzie schronem.

## Rozdział 1 | Oleńka i Sieriożka

Już czas...

Ilja Magin, znany sąsiadom jako Mag, obrzucił wzrokiem pustą przestrzeń wokół siebie. Pełną ech, nieogarnioną i bezludną. Taką stała się stacja Port Lotniczy – niegdyś ruchliwa stacja końcowa czerwonej linii rostowskiego metra, dziś odcięta od reszty podziemnej kolei.

Teraz mieszkał tu Ilja. A z nim jedynie Oleńka i Sieriożka. Więcej nikogo. Ale przecież nikt więcej nie był im potrzebny.

Małe ognisko zgasło. Ze wszystkich stron zwała się ciemność – gęsta i lepka jak krew żabiogłowych. Wpatrywać się w taki mrok to jak patrzeć z zamkniętymi oczami.

Ilja pstryknął zapalniczką i zapalił prymitywną, własnoręcznie zrobioną lampkę: zardzewiała puszka po konserwach, stary zjełczały olej na dnie, skręcony z waty knot. Mały płomyk trzaskający na koniuszku knota oświetlał jedynie twarz Ilji. Błądą i wychudłą. W spoglądających ponuro spod gęstych brwi oczach odbijał się języczek ognia.

Ilja nie tęsknił za światłem. Teraz już nie. W ciemności było nawet łatwiej. Ktoś mógłby pomyśleć, że w mroku przecież niczego nie widać. Za to lepiej słyszeć. Uśmiechnął się.

– Oleńka? Sieriożka? No, jak tam u was?

– Dobrze, tato! – Żywy dziecięcy głosik syna dobiegł zza wyszczerbionej krawędzi peronu, ledwie widocznej w słabym świetle.

– Znów wychodzisz, Iljuszka? – Oleńka była rzecz jasna razem z dzieckiem. – Nudno nam bez ciebie.

Głos żony był pełen smutku. Jak zawsze. Od czasu, gdy...

– Muszę, kochana – westchnął Ilja.

– A może zostaniesz?... Dzisiaj?... Co?... – Płonna nadzieja. Retoryczne pytanie, które Oleńka zadaje mu ostatnio coraz częściej.

I taka sama odpowiedź:

– Nie, Oleńko, wybacz. Przecież wiesz... Przecież wszystko rozumiesz, mądrało ty moja.

Ciche westchnięcie. Wszystko rozumiała, nie spierała się z nim. Nigdy.

– Tato, przyniesiesz jeszcze coś z góry? – Ruchliwy Sieriożka był tuż-tuż. Wydawało się, że zza krawędzi peronu za chwilę wychynie płowa główka.

Chociaż nie, nie pokaże się. Wzrostu łobuziakowi poskąpiło. Mały jest jeszcze. No, chyba żeby solidnie podskoczył. Albo gdyby go matka podsadziła.

– Nie przeszkadzaj ojcu! Ma sprawy do załatwienia – wyrzuciła z nieprzekonywającą surowością synkowi Oleńka. Nie umiała naprawdę się gniewać, ani tym bardziej kogoś besztać. Szczególnie synka.

– Tatooo, przyniesiesz, dobrze?

– Przyniosę, przyniosę.

Ilja nie wytrzymał. Zrobił krok w kierunku głosu. A przecież wiedział, że lepiej tego nie robić.

Kiedy podszedł do skraju peronu, płomyk wyrwał z ciemności nie płowego języka na głowie Sieriożki, i nie długie blond włosy Oleńki, ale jasne deski – gładkie, dobrze wyheblowane. Cztery sztuki. Zbite w dwa krzyże. Pod krzyżami, w miejscu rozmontowanego torowiska, z którego wydłubano podkłady kolejowymi i rozrzucono tłuczeń znajdowały się dwie mogiłki.

Jedna większa.

Oleńka...

Druga mniejsza.

Sieriożka...

Umilkli. Ilja westchnął. Zawsze tak było. Kiedy podchodził tu ze światłem i widział krzyże, milkli. Tak jakby całkiem umarli, tak jakby to było naprawdę.

Obok grobu Oleńki leżał bukiet z ogromnymi granatowymi pąkami. Tam, na górze, na powierzchni czasem spotykało się takie kwiaty... Piękne jak oczy Olgi. Rosną, co prawda, w najniebezpieczniejszych miejscach. Jakby specjalnie wabiły.

Trochę przywiędły – pomyślał Ilja z bólem. – Trzeba je wymienić.

Wokół dziecięcej mogiłki leżały zabawki. Żołnierzyki, samochodziki, zabawne pluszowe zwierczaki, niemal kompletne książeczki z kolorowymi obrazkami. Wszystko było porzucane, jakby rzeczywiście ktoś bawił się nimi w ciemnościach. Ilja bardzo chciał myśleć, że tak właśnie jest. Kiedy przynosił synkowi z góry nowy prezent, Sieriożka zawsze się cieszył...

Tak się cieszył!

Och, Sieriożko, Sieriożko... Ech, Oleńko, Oleńko...

Ilja przysiadł na skraju peronu. Obok postawił lampkę. Serce go zabolalo, poczuł szczypanie w oczach – zupełnie nie na miejscu. A dźwięk, który wydostawał się z jego zaciśniętych ust, przypominał stłumiony szloch.

Nie, tak nie może być. Trzeba się oderwać. Trzeba natychmiast zająć czymkolwiek – siebie, ręce, myśli...

Miał zajęcie. Ważne i pilne. Trzeba załadować magazynek.

Wczorajsze wyjście na powierzchnię i handlowa wymiana z mieszkańcami Ordżonikidze dały mu garść nabożów na pół magazynka. Na bazarach Diaspory można pewnie było wytargować więcej, ale żeby się tam

dostać, trzeba by stracić czas, który Ilja wolał spędzać tutaj, z rodziną. Z Oleńką i Sieriożką.

Wygrzebał naboje z kieszeni. Rozłożył je przed lampką na pokruszonym, wilgotnym i brudnym betonie. Ze sfatygowanej kamizelki taktycznej wyciągnął pusty magazynek.

Klik, klik, klik... Pierwszy, drugi, trzeci... Szpiczasta śmierć, pobłyskująca mętnie w słabym świetle, ładnie się układała w wygiętym, płaskim, metalowym pudełeczku.

Kiedy Oleńka i Sieriożka milczeli, w ciemnym pomieszczeniu rozlegały się tylko te dźwięki.

Klik, klik, klik... Zdawało się, że wypełniały sobą cały świat, pełen nieprzeniknionego mroku.

Pokryte odciskami palce Ilji, z łatwością pokonując opór sprężyny, wprawnie wsuwały do magazynka nabój za nabojem, nabój za nabojem...

Klik, klik, klik...

To rzeczywiście uspokajało. Medytacyjna gra ze śmiercią, szczelnie zapakowaną do gładkich, ostro zakończonych walców, urzekała i relaksowała.

Dwa krzyże pod peronem rzucały przypominający kratę cień na pokrytą brudnymi zaciekami ścianę. Oleńka i Sieriożka, tak jak wcześniej, nic nie mówili. Cóż, czasem dobrze jest po prostu pomilczeć razem.

Ciemność patrzyła teraz na Ilję oczami najbliższych. Ilja niemal fizycznie odczuwał smutny wzrok żony i zachwycony – syna. Sieriożka zawsze z podziwem obserwował, jak ojciec mozoli się przy broni. Obserwował. Kiedyś. A teraz? Ilja westchnął. Teraz odeszli. Oboje. Ilja to wiedział. Ale wiedział coś jeszcze. Nie odeszli do końca. Przecież słyszy ich głosy w ciemności. Słyszy je każdego dnia. Rozmawia z nimi. A oni mówią do niego.



Klik, klik...

Ilja wspominał, JAK odeszli. I choć to trudne, tak trzeba było. Wkrótce znów miał wyjść na powierzchnię. Musi się mścić. A w tym akurat takie wspomnienia są bardzo, bardzo pomocne.

Jest czas, by odpędzać przeszłość i zamykać pamięć na ciężką kłódkę. I jest czas, by przyzywać ją i przepuszczać przez siebie na nowo, karmiąc się zimną nienawiścią.

Ilja wspominał...

\* \* \*

Materiał wybuchowy przenosili ostrożnie. Starannie zakładali ładunki. Pracowali bez ognia, zużywając drogocenne baterie latarek.

– Ostrożnie, niech was dunder świśnie! Chcecie, żeby wszystkich nas rozkwaśiło na ścianach w cholere?! Ej, ty, tutaj postaw ten kanister, obok fugasa! Ale nie tak, idioto, sznurkiem na zewnątrz!

Mały, zwinny i krzykliwy naczelnik stacji Port Lotniczy o ksywce Saper z jakiegoś powodu, bez potrzeby wymyślał podwładnym. Jego trójpalczasta prawa dłoń migiała w powietrzu, wskazując, co i jak robić. Brak palców małego i serdecznego nie był wynikiem mutacji, a wypadku przy pracy: w przeszłości Saper rzeczywiście zajmował się materiałami wybuchowymi. W każdym razie tak twierdził. Ale też istotnie radził sobie z minami lepiej niż inni.

Potężną partię materiałów wybuchowych – kilka min przeciwczołgowych, kostki trotylu, kilka improwizowanych ładunków i kanister z domowej roboty amonalem – Port Lotniczy zakupił w Diasporze. Na tamtejszych bazarach można kupić niemal wszystko, a to, czego akurat nie ma, klienci mogą otrzymać na zamówienie po krótszym lub dłuższym czasie.

Towar kosztował niemało, ale to nieważne. Sklepienie w tunelu wychodzącym za stacją Port Lotniczy nieoczekiwanie na powierzchnię, prosto do zajezdni, niebezpiecznie osiadło i w każdej chwili mogło się zawalić, otwierając radiacji i mutantom dostęp do stacji. Kiedy był jeszcze czas, najrozsądniej było samemu wysadzić niebezpieczne przejście. Przy czym należało to zrobić głębiej i bliżej stacji, kalkulując tak, żeby raz na zawsze je zamknąć.

Zanim Diaspora wykonała zamówienie i dostarczyła materiały wybuchowe, sklepienie przy zajezdni zaczęło się sypać, zatem pośpiech był konieczny. Dla pewności Saper postanowił wysadzać tunel kolejno w kilku miejscach. Pierwsze ładunki zostały już zamontowane, a pozostałe materiały wybuchowe na dreźnie odciągnięto jak najdalej – do tunelu prowadzącego na sąsiednią stację Osiedle Ordżonikidze. Żeby, nie daj Bóg, nie wybuchło.

– Mag, przynieś jeszcze z półtora metra lontu, bo jest za mało – kazał Ilji Saper.

Ilja ruszył po chałupniczo zrobiony lont wolnopalny, którego nie poskąpiła Diaspora, dołączając go do materiałów wybuchowych.

Wyszedł z tunelu na stację. Pomachał siedzącym przy ognisku pod schodami ruchomymi Oleńce i Sieriożce.

I właśnie wtedy się to wszystko stało...

– Żaaaby! – z ciemności dobiegł go dziki krzyk.

Ilja wzdrygnął się. Żaby, albo – jak również nazywano wypęłzające w pochmurne dni z Donu mutanty – żabiogłowi, to było coś naprawdę strasznego. Jeśli stado tych pokracznych, żywotnych i nienasyconych stworów przedostało się na dół przez osłabione sklepienia tunelu zajezdni, to stacja Port Lotniczy jest skazana na śmierć.

W tunelu ktoś krzyczał już nie z przerażenia, lecz z bólu. Krzyki szybko się urywały.

A wybuch? Tam przecież już wszystko gotowe! I jest tam Saper! Odpalenie ładunków to kwestia sekund. I pewnie trzeba się też będzie wysadzić samemu. Ale jaka to różnica? Jeśli żabiogłowi i tak już są w tunelu?

Niestety, wybuch, który mógłby zasypać niebezpieczne przejście i uratować stację, nie nastąpił.

Z tunelu wyskoczył nagle Saper. Wpadł na Ilję.

Oczy naczelnika stacji przypominały okrągłe detonatory, które Saper z jakiegoś powodu wciąż trzymał w rękach. I bez tego z natury wyłupiaste, w tamtej chwili, zdawało się, zupełnie wychodziły mu z orbit. Twarz miał wykrzywioną. Cienkie usta szeroko rozdziawione. Wąskie czoło i płaski nos lśniły od potu.

– Żaby w tunelu! – wrzasnął przenikliwie Saper, bryzgając śliną. – Wszyscy do broni!

I czmychnął gdzieś w bok.

Z tunelu prowadzącego do zajezdni nie wybiegł już nikt. Żaden człowiek.

Brekek-brekek-brekek – brzmiało w ciemności złowieszcze rechotanie.

Słyszać było mlaskanie. Chlupot. Szybkie wilgotne człapanie. Coraz bliżej. Bliżej...

Ilja chwycił automat.

\* \* \*

Klik, klik, klik...

Wciskając naboje do magazynka, Ilja wyobrażał sobie, że pod palcami ma wytrzeszczone, wystraszone oczy Sopera. I wspominał zniekształconą strachem twarz naczelnika stacji. Ech, z jaką przyjemnością władowałby teraz w tę przebrzydłą mordę cały magazynek! Gdyby Saper wtedy nie stchórzył. Gdyby wysadził tunel prowadzący do zajezdni. Choćby nawet sam

miał zginąć...

Ale Saper tunelu nie wysadził.

\* \* \*

Walka była krótka. Nie walka – rzeź. Na granicy światła i ciemności migotały ogromne ropusze głowy o wielkich wolach i kostropate, pokryte śluzem cielska przewalające się przez krawędź peronu. Po betonie i żwirze człapały płetwopodobne łapy mutantów. Mieszkańcy Portu Lotniczego gorączkowo i bezładnie, na ślepo, kierując się słuchem, strzelali ze strzelb i automatów. Krzyczały kobiety, piszczały dzieci. I...

Brekek-brekek-brekek... – monotony głuchy dźwięk roznosił się po stacji.

Długie języki stworów wystrzeliwały z ciemności, zbijaly miotających się ludzi z nóg, owijały ich jak lepkie pejcze i porywały jednego za drugim. Żaby odciągały wrzeszczące ofiary z dala od ognisk i z pożądliwym burczeniem pożerały zdobycz w ciemności.

Atakujące mutanty prawie nie zwracały uwagi na świst kul i szczęk rykoszetów. Gęsta czarna krew obficie obryzgiwała ściany i posadzkę, ale potwory kontynuowały polowanie. Żabiogłowych trudno jest zabić: w tym celu trzeba trafić dokładnie w mały mózg, ukryty za szeroką i mocną mózgowiczką. Do tego żaby praktycznie nie czują bólu.

Zabrzmiął jednak huk wybuchu. Na samym początku walki. Tylko że stało się to nie w tunelu do zajezdni, skąd leźli żabiogłowi. Wybuchła dreżyna z materiałami wybuchowymi pozostawiona na odcinku między Portem Lotniczym a Ordżonikidze.

Eksplozja była potężna. W gruzach legł jedyny tunel z dwoma torami, który łączył Port Lotniczy z metrem. Fala uderzeniowa wyrzuciła na stację gorące, pełne pyłu powietrze. Walące się sklepienie zasypało kilku ludzi,

którzy szukali ratunku w tunelu. Zresztą wszyscy, którzy pozostali na stacji, też byli skazani na śmierć. Nie mieli już drogi odwrotu.

Ilja, Oleńka i Sieriożka zdążyli wejść po schodach ruchomych do hermetycznej grodzi. W tamtej chwili pewnie zaryzykowałiby nawet wyjście na zewnątrz bez skafandrów ochronnych, masek i aparatów oddechowych. Tak, może by i zaryzykowali. Gdyby zza ciężkiej zapory też nie dobiegało przytłumione „brekek-brekek”.

Na schodach udało im się przetrwać dłużej niż innym. Kiedy na dole, na oświetlonej przez ognisko przestrzeni, dało się dojrzeć ruch lśniącego cielska któregoś ze stworów, Ilja strzelał oszczędnymi seriami – po dwa, trzy naboje – starając się trafić w głowę. Trudno było się zorientować, czy to się udawało, ale co chwila tryskały fontanny ciemnej żabiej krwi.

W którymś momencie Ilja zaczął mieć nawet nadzieję na ocalenie. Żabiogłowi zaczęli wracać do tunelu w stronę zajezdni, ciągnąc za sobą zdobycz, której nie zdążyli jeszcze pożreć. Ale, widocznie, któremuś ze stworów było jej mało.

Wilgotna głowa usiana szpetnymi naroślami pojawiła się w świetle dogasającego ogniska tuż przy schodach ruchomych. A w kałachu, jak na złość, skończyły się naboje.

Długi ropuszy język mignął w powietrzu. Mokre klaśnięcie ponad ramieniem i...

W pierwszej chwili Ilja uznał, że celem mutanta jest on sam, ale język stwora owinął się wokół szyi Sieriożki, który wysunął się zza pleców ojca.

Potem było szarpnięcie, stłumiony krzyk. Ilja usłyszał jeszcze wyraźnie, jak trzasnął kręgosłup.

Dopiero co jego synek stał obok, a chwilę później stwór już go porwał. Ciało chłopca poturlało się w dół po schodach jak bezwolna kukła. Nienaturalnie wygięta jasna główka dyndająca na złamanym karku jak na

sznurku uderzała o stopnie.

Olga odepchnęła Ilję i rzuciła się za synem.

– Sieriooożka! – Zdawało się, że od jej przeszywającego krzyku zawali się sklepienie stacji.

Stwór zostawił Sieriożkę i w pół drogi pochwycił kruchą żeńską postać. Zacisnął język wokół jej talii i też ściągnął ze schodów. Padając, Oleńka uderzyła głową o ostrą krawędź niezabezpieczoną gumową okładziną. Od razu sflaczała. Ucichła.

Ilja dojrzał w półmroku, jak ciemne i napuchłe gruzłowate cielsko zważyło się na leżących pokotem żonę i syna. Przeklęty mutant zdawał się być przedłużeniem i wytworem mroku, który chciał pochłonąć i rozpuścić w sobie Oleńkę i Sieriożkę. Dały się słyszeć wstrętne odgłosy mlaskania.

– Ścieceerwo! – Bezużyteczny automat poleciał w dół, gruchocząc na zardzewiałych stopniach schodów ruchomych.

Żaba przerwała ucztę. Ogromna, szkaradna, pokryta brodawkami głowa znów patrzyła w górę. Na Ilję. Jej wole trzęsło się niczym galareta.

Brekek-brekek-brekek! – rechotała głucho żaba. Jakby się z niego śmiała.

Wielkie wyłupiaste oczy odbijające odbłyски ognia zdawały się pytać: zejdziesz tu sam, czy mam iść po ciebie?

Ilja schodził. Wyjął z pochwy u pasa wojskowy bagnet i szedł po schodach w dół.

Trzy stopnie, pięć, siedem...

Język stwora znów wystrzelił. Coś długiego, lepkiego, wilgotnego i sprężystego, owinęło jego lewe ramię i tułów. Szarpnęło...

Trzy albo cztery razy mocno uderzył o schody. Potem o beton. Ilji udało się nie stracić przytomności, nie upuścić noża i nie spanikować.

Pół sekundy, nie więcej, wlokło go po brudnej, szorstkiej posadzce, jakby został złapany na łąasso. Tyle wystarczyło, by się zebrać...

Ilja machnął nożem na ułamek sekundy przed śmiercionośnym żabim pocałunkiem. Odcięty koniuszek lepkiego języka spadł na ziemię, wijąc się jak tłusty różowy robak. Pozostały kikut błyskawicznie skrył się w paszczy stwora.

Ohydny pysk mutanta był blisko, na wyciągnięcie ręki. Ogromne zdziwione oczy patrzyły na niego.

Brekek – odezwała się zaskoczona żaba. Z szerokiej paszczy sączyła się czarna krew.

Wstrętny diabelski pomiot cofnął się znad okaleczonych ciał, odsłaniając to, co zostało z Sieriożki i Oleńki.

– Aaa! – Ilja rzucił się do ataku.

Zadał cios.

Nóż wszedł w prawe oko żabiogłowego. Oko pękło, wyciekło, ale Ilja nie wyciągnął ostrza. Przeciwnie. Przygniatając śliskiego potwora, wepchnął pięść jeszcze głębiej w oczodół, do wnętrza czaszki. Mając nadzieję, mając wielką nadzieję, że nóż dosięgnie mózgu stwora.

Dosięgnął.

Stwór zdechł.

Na stacji zostało jeszcze pięć martwych ropuch zastrzelonych przez mieszkańców Portu Lotniczego. Pozostałe, syte i zadowolone, cofały się tą samą drogą, którą przyszły, wlokąc za sobą zdobycz na zapas.

Ilji to nie satysfakcjonowało. Wszystkie żaby powinny zdechnąć. Albo go zabić.

Chwycił czyjś automat z pełnym magazynkiem (jakiś nieszczęśnik nie zdążył w końcu oddać ani jednego strzału) i w ślad za stworami wszedł do tunelu prowadzącego do zajezdni. W nieprzeniknionym mroku roznosiło się wzmocnione przez echo „brekek-brekek-brekek”. Znów coś człapało, mlaskało i burczało. Ale tym razem oddalając się od stacji.

– Dokąd?! – wykrzyknął Ilja w nieprzeniknione ciemności. – Macie zostać!

– W ot... w ot... w ot... chłań... chłań... chłań... – Echo zdawało się go przedrzeźniać.

Rechotanie stało się głośniejsze. Szybkie człapanie znów się zbliżało. Żabiogłowi wracali.

Ilja nacisnął na język spustowy kałacha. Przerażliwie długa seria, wypuszczona na oślepie w zamkniętej przestrzeni tunelu, zagłuszyła wszystkie pozostałe dźwięki. W uszy jakby ktoś włożył mu watę.

A potem...

Potem zagrzmiał wybuch. Daleko przed nim coś jasno błysnęło. W twarz uderzyła go fala przesyconego spalenizną powietrza. Ilję wyrzuciło z tunelu na stację. Kompletnie ogłuchł. Huczało mu w głowie. Dzwoniło w uszach.

Widać zabłąkana kula trafiła w ładunki Saper. Ilja nie liczył na takie szczęście, nawet o tym nie myślał, ale wyszło jak wyszło. Sklepienie runęło. W jednej chwili zawalił się cały tunel, okazując się znacznie mniej solidnym, niż przewidywał Saper. Żaby nie wyszły ponownie z ciemności.

Zanosząc się kaszlem, nie słysząc absolutnie nic poza niemilknącym dzwonieniem w głowie, Ilja wstał. Zataczał się i miał silne mdłości. Myśli mu się plątały.

Ale trzeba było zrobić jeszcze jedną rzecz. Ostatnią. Ostateczną.

Ilja przytknął gorącą lufę automatu do podbródka i do bólu zacisnął powieki. No, koniec! Żegnaj, Olu. Żegnaj, Siergiej. A może witajcie?

W jego głowie coś się zatrzymało. Palec nacisnął na spust.

Suchy trzask. Niewypał...

– Nie rób tego, Iljuszka – poprosiła cicho żona.

– Oleńka?! – Jakby ktoś oblał go lodowatą wodą.

Otworzył oczy. Ciemno. Zbyt ciemno...



– Nie trzeba tego robić. – A głos był tak czuły, spokojny, odrobinę smutny. I z taką łatwością przenikał przez huczenie w głowie i wate w uszach.

– Czyżbyś nie miał już do kogo strzelać?

Nie mam do kogo? Czyżbym nie miał do kogo? – powtórzył tępo w duchu, analizując słowa Oleńki. Jedno było ciekawe: mówiła nie tam, gdzie leżało jej ciało... To, co zostało z jej ciała. Nie, teraz Oleńka była tuż obok.

Gdzie?

Dookoła panowały nieprzeniknione ciemności, ale zdawało się, że starczy wyciągnąć rękę i...

Ilja wyciągnął rękę. Obmacał przestrzeń naokoło. Nikogo. Tylko zimny szorstki beton peronu.

– Tato, nie rób tego, proszę – zapiszczał niewidzialny Sieriożka. – Nie strzelaj, dobra? Nie do siebie.

Nie do siebie... Ilja uśmiechnął się. Cóż, więc nie będzie strzelał do siebie. Teraz nie. Po co miałyby to robić, kiedy wiadomo, że Oleńka i Sieriożka nie umarli.

W każdym razie nie umarli do końca.

\* \* \*

Klik, klik... Nabój za nabojem. Nabój za nabojem... Ilja oderwał się od wspomnień. Bolały go palce. Na kciuku wciskającym „siódemki” do magazynka pojawił się nowy odcisk. Dziwne. Nie miał przecież tylu nabojów.

Ilja zrozumiał dlaczego i uśmiechnął się niewesoło. Chcąc przedłużyć uspokajającą medytację, po prostu wyciągał włożone już naboje i ładował magazynek od nowa. I nawet tego nie zauważył, działając automatycznie.

Ciekawe, ile czasu tak spędził? Sądząc po obolałych palcach – niemało.

\* \* \*

Dopiero potem Ilja dowiedział się, że oprócz niego z całej stacji uratował się tylko jeden człowiek. Saper. Jak się okazało, naczelnik stacji Port Lotniczy dobrze wiedział, czym grozi atak żabiogłowych. Po tym, jak wyskoczył z tunelu do zajezdni i wydał rozkaz „do broni”, sam natychmiast zwiął do drugiego tunelu – na stację Ordżonikidze.

Ocalał tylko dlatego, że za jego plecami w przejściu między stacjami eksplodowała akurat drezyna z materiałami wybuchowymi. A przecież nic samo nie eksploduje.

Oślaniając swój odwrót i ratując własną skórę, Saper zwyczajnie zamurował pozostałych razem z żabami.

Zresztą niedługo przeżył skazanych przez siebie na śmierć.

Sąsiedzi, u których miał nadzieję zamieszkać były naczelnik stacji Port Lotniczy, nie przyjęli go. Co więcej, na Ordżonikidze – stacji znanej ze swoich swobodnych obyczajów, hałaśliwych spelunek i porywczych, skorych do rozróby mieszkańców – oburzony lud dokonał samosądu.

Wydali Saperowi starą maskę przeciwgazową ze zużyтым filtrem i pistolet z jednym nabojem. Potem wyrzucili go na powierzchnię. Chcesz – zastrzel się od razu. Chcesz – strzelaj do mutantów, żeby potem i tak zdechnąć.

Który wariant wybrał Saper, pozostało tajemnicą. Ale stalkerzy z Ordżonikidze wkrótce znaleźli zakrwawione strzepy jego skafandra ochronnego, rozdartą maskę przeciwgazową z pogiętym filtrem, pistolet i zużytą łuskę.

Ludzie na stację Port Lotniczy już nie przyszli. Po prostu nikt nie wierzył, że można przeżyć na końcowej stacji odciętej od reszty metra. Ale Ilja żył.

Nie rozumieli go, unikali i schodzili mu z drogi, jawnie się go bali. I nawet jego staremu przydomku Mag nadawali teraz nowy sens. Ale Ilja miał to gdzieś.

Byli z nim Oleńka i Sieriożka. I trzeba było ich pomścić. Zemsta stała się sensem jego życia. Zemsta pomagała mu przetrwać i podtrzymywała go w trudnych chwilach.

Czyżbyś nie miał już do kogo strzelać? – zapytała go tamtego straszego dnia Oleńka.

Miał do kogo, i to jeszcze jak! Ilja nie mógł się już policzyć z Saperem, ale adresatów zemsty było aż nadto i bez niego. Na powierzchni – bez liku. Żabiogłowi. Zresztą nie tylko oni.

Żaby były zaledwie częścią tego zła, które zapędziło ludzi pod ziemię, przez które Sieriożka musiał się począć i urodzić w wiecznych ciemnościach, które pozbawiło syna normalnego dzieciństwa i które w końcu odebrało Ilji rodzinę.

Czasem po prostu rozpierała go chęć, by wywrócić na nice cały ten paskudny świat. Dlatego właśnie codziennie wychodził na powierzchnię. Dlatego głównym celem jego wypadów nie było zbieractwo, jak w przypadku pozostałych stalkerów, ale polowanie, odstrzał i likwidacja. To nadawało iluzoryczny sens jego egzystencji.

Wcześniej Ilja, tak jak i wszyscy, czuł nienawiść do panujących na powierzchni mutantów i się ich bał. Teraz strach ustąpił. Teraz została tylko nienawiść.

Teraz niech one boją się jego.

\* \* \*

– No, już, moi kochani, idę...

Obrzuciwszy krzyże pożegnalnym spojrzeniem, Ilja odszedł od krawędzi

peronu. Oświetlając sobie drogę olejową lampką, skierował się w stronę schodów ruchomych.

Kiedy tylko krzyże i groby rozplynęły się w mroku, Sieriożka i Oleńka znów się odezwali.

– Tato, przynieś mi coś. Nie zapomnij, dobrze?

– Oczywiście, Sieriożko.

Ilja obszedł plantacje grzybów w starych zapleśniałych skrzynkach. Było ich niewiele: on sam dużo nie potrzebował, a Oleńka i Sieriożka obywali się bez pożywienia.

– Iljuszka, wróć jak najszybciej, proszę. Tak się denerwuję, kiedy wychodzisz.

– Idę na krótko, kochana – uśmiechnął się.

Założył maskę przeciwgazową i rękawice. Zaciągnął kaptur stalkerskiego płaszcza.

– Na chwilę. – Głos spod grubej gumy zabrzmiał głucho jak obcy. – Szybko obróć. Tylko tam i z powrotem.

Ilja nie wiedział jeszcze, jak bardzo się myli.

## Rozdział 2 | Mutanty

Jesienne słońce paliło niemiłosiernie jak w letnie południe. Gdyby nie przyciemnione szkła maski przeciwgazowej, przywykłe do ciemności oczy czekałoby małe kuku...

Cóż, za to widoczność była doskonała.

Ulokowany na trzecim piętrze na wpół zburzonego wieżowca Ilja obserwował lotnisko. Do jego ekwipunku należał już dawno i korzystnie wymieniony monokular z mocnej wojskowej lornetki o zwiększonym odstępnie źrenicy wyjściowej. Z takiego sprzętu można korzystać przez wizjer maski przeciwgazowej. I Ilja korzystał.

Zanim oddali się od metra, powinien skontrolować niebezpieczne rejony, a lotnisko było z nich najgroźniejszym.

Monokular dawał niezłe zbliżenie. Ilja starannie badał każdy fragment przestrzeni, nie pomijając żadnego szczegółu.

Budynek dworca lotniczego z zawalonym dachem. Ocalała w połowie strefa dla VIP-ów. Ogromne wybetonowane pustkowie zachlapane ciemnymi plamami guana. Zburzone terminale. Popękane pasy startowe. Samoloty...

To, co z nich zostało.

Przerdzewiałe kadłuby, oderwane skrzydła i obwisłe stateczniki poziome. Wnętrza stalowych ptaków upodobały sobie zupełnie inne ptaszki. Teraz w samolotach gnieździli się „czarni piloci”. Latające potwory, w które zmieniły się zwyczajne miejskie krukowate.

Obtłuczone dziobami, podrapane szponami, niemal pozbawione poszycia samoloty, całymi dniami wystawione na słoneczną spiekotę, pełniły funkcję inkubatorów. W dusznej łaźni za brudnymi, zaparowanymi iluminatorami dojrzewały jaja i bawiły się pisklęta. Każdy nowo narodzony ptak miał rozmiary człowieka. Dorosły osobnik przypominał zaś czarnego gangsterskiego dzipa ze skrzydłami. Zwykle piloci krążyli nad lotniskiem i przylegającym do niego terytorium, łazili po płycie albo siedzieli nastroszeni na zardzewiałych wrakach. Jednak dzisiaj niebo było czyste. Ilja nie dostrzegł też żadnego stwora na ziemi. Zapewne stado dopadło dużą zdobycz za lotniskiem, w Aleksandrowce. Albo może poleciało nad Don, do wodopoju. Mutanty potrzebowały dużo wody, ale nigdy wcześniej nie pozostawiały swojego potomstwa bez opieki.

Najprawdopodobniej któryś jednak został na straży w ruinach terminali albo na dworcu lotniczym. Ale czarnych pilotów na lotnisku było wyraźnie mało i na razie nie zdradzali swojej obecności.

Cóż, jaka by nie była tego przyczyna, Ilja nie zmartwił się z powodu nieobecności groźnych sąsiadów. Skoro nie widzi lotniskowych potworów, może i one go nie zauważą. I chwała Bogu!

Tylko dwukrotnie udało mu się postrzelić te stwory. I w obu przypadkach uratował się tylko cudem. Z daleka pilotów nie miały się nawet pociski automatów – grube, sprężyste upierzenie chroniło nie gorzej niż kamizelki kuloodporne; w walce na krótkim dystansie znacznie pewniejsza była własna śmierć niż zabicie czy choćby zranienie skrzydlatego stwora. Zmutowane gawrony niczego się nie boją, rzucają się całym stadem i potrafią rozszarpać na strzępy dowolnego przeciwnika.

Takie ptaszyska można strącać chyba tylko z granatnika. Albo dziurawić wielkokalibrowym poczwórnym sprzężonym działkiem przeciwlotniczym. Ilja nie dysponował, niestety, ani jednym, ani drugim. A wyjście na otwartą

przestrzeń w pobliżu siedliska pilotów z samym kałachem było równoznaczne z bezsensownym samobójstwem.

Samobójstwo nie było czymś, co Ilja miałby w planach. Wychodził na powierzchnię, żeby się mścić, a nie umierać.

Musi zlikwidować jak najwięcej grasujących po Rostowie stworów, zanim te zabiją jego. Niekończące się mściwe polowanie – oto cały sens reszty jego życia.

Ilja nie zapuszczał się na teren lotniska i nie porywał się na jaja w samolotach służących za inkubatory. W każdym razie jak dotąd nie znalazł sposobu, by się tam bezpiecznie dostać. Kiedy ów sposób się znajdzie, z pewnością się tam wybierze. Ale nie teraz. Nie dzisiaj.

Dzisiaj dobrze by było obejść lotnisko w bezpiecznej odległości, skierować się na południe, wyjść nad Don i poszukać żabiogłowych. Ale co, jeśli rzeczywiście panoszy się tam stado pilotów? Nie, polowanie na ziemi w oczekiwaniu na atak z powietrza to jednak nie najlepszy pomysł.

Dokąd w takim razie ma iść? Na północ – przez nieprzebyte gąszcz do osiedla Ordżonikidze? Czy może na zachód – do kwartałów Selmaszewskich?

Oleńka i Sieriożka milczeli. Nie rozmawiali z nim, kiedy było widno, i teraz nie mógł liczyć na rady żony i syna. Drogę trzeba było wybierać samemu.

Ilja postanowił ruszyć na wschód rezerwową, rzadko wykorzystywaną trasą. Właśnie, dlaczego by nie? Dawno nie bywał w wielkim centrum handlowym Mega, położonym już za miastem. A przecież zawsze można tam było ustrzelić mutanta i znaleźć coś przydatnego – dla siebie albo na wymianę. Do tego obiecał przynieść Sieriożce prezent.

Droga z lotniska do centrum Mega nie była zbyt długa. Choć oczywiście nie wolna od niebezpieczeństw. Ale na razie w okolicy było spokojnie.

Można ruszać. Ilja schował monokular do ładownicy na pasie, odbezpieczył automat i opuścił kryjówkę.

Zaczęło się polowanie.

\* \* \*

Dziwne. Bardzo, ale to bardzo dziwne... Na ulicach pusto. Ale tak całkowicie. Absolutnie. Kiedy ostatnio tak było?! Zupełnie jakby wszystkie mutanty naraz wyginęły.

Ilja niczego nie rozumiał. Dotarł do wylotu z miasta, nie napotykając po drodze żywego stworzenia. Piloci zasiali taki strach, czy jak? Czyżby stado z lotniska wyleciało na łowy w tym samym kierunku, który i on wybrał dla siebie? Ale wcześniej wschodnie przedmieścia nieszczęśliwie przyciągały gawrony. Oczywiście tutaj też jest się czym pożywić, jednak zdobycz nie będzie dość liczna i wystarczająco duża dla całego stada.

Po wyjściu na Szosę Nowoczerkaską Ilja postanowił dobrze się rozejrzeć przed dalszą drogą. Zatrzymał się na granicy miasta i ukrył za monumentalną tablicą, która tę linię wyznaczała. Część tablicy – ta, do której kiedyś były przymocowane płaskorzeźby przedstawiające orderzy nadane miastu Rostów – była odłamana. A na pozostałej części krzyczał ogromnymi literami napis „Rostów nad Donem”. I drobniejszym drukiem uściślał: „Miasto chwały żołnierskiej”.

Wypukłe litery były wyszczerbione, popękane i pokruszone. Pierwsza litera w ogóle odpadła, pozostawiając po sobie ledwie widoczny na betonie ślad, tak że teraz nazwę miasta można było przeczytać jako „ostow nad Donem”<sup>\*</sup>.

Ilja uśmiechnął się ze smutkiem.

Wrak milionowego miasta, głównego ośrodka obwodu i okręgu, bramy Kaukazu, portu pięciu mórz i tak dalej, i tak dalej, przedstawiał smutny



widok. Bezludne ulice. Na wpół zburzone budynki ziejące pustymi framugami okien, drzwi i wybitych w ścianach wyłomów. Zmiażdżone samochody. Całe dzielnice opanowane przez bujną roślinność. I nagie kwartały pustkowi, w których z nieznaney przyczyny całkowicie wymierało wszystko, co żywe.

Ilja znów wyciągnął monokular.

Na niebie nad szosą nie było widać czarnych pilotów. To dobra wiadomość: ataku z powietrza można się nie obawiać. Zresztą na razie żadnych innych oznak życia też nie było.

Przed nim znajdował się przekrzywiony posterunek kontrolny milicji i trasa M-4 „Don”. Po lewej – bazar Diament. Po prawej – targ warzywny.

Mimo braku widocznego zagrożenia, Ilja zwlekał. Ogromne bazary z ich nieprzebytymi labiryntami zburzonych pawilonów, sklepików, straganów i kontenerów, w których mogło się przyczać cokolwiek, stanowiły niemałe niebezpieczeństwo. Na niegdyś ruchliwej trasie, zapchanej teraz skorodowanymi samochodami, też można było z łatwością narazić się na nieprzyjemności.

Wyczekał kilka minut, kolejny raz obserwując okolice. Nie ma nic. Ani nikogo... Ilja zdecydował się. Wyczuwając pod gumą stalkerskiej rękawicy język spustowy kałasznikowa, wszedł na szosę.

Nogi w ciężkich wojskowych glanach stawiał ostrożnie na popękkanym asfalcie, oczy i lufa broni omiatały trasę i pobocza.

Ilja sprawdzał każdy samochód, obok którego przechodził. Wewnątrz zardzewiałych blaszanych pudeł ze zgniłymi kołami leżały ogryzione ludzkie kości i skażone zmumifikowane ciała, którymi brzydźili się nawet padlinożercy. Ilja nie bał się trupów. Ale wśród zwłok mogło się kryć coś straszniejszego.

Ruch na drodze zauważył, kiedy zaglądał do pogniecionego zyguli.

Daleko przed nim między zniszczonymi pojazdami mignęło plamiste, jakby ubrane w kamuflaż ciało – silne, gibkie, poruszało się szybko.

Stworzenie właściwie się nie kryło, lecz przemieszczało z taką prędkością, że z początku niełatwo było je dojrzeć. Na razie jasne było tylko jedno: klucząc między samochodami i przeskakując ponad nimi, biegło wprost na Ilję.

A zresztą, dokąd miałoby biec? Jedyne w stronę ofiary, która pojawiła się w polu widzenia. Tylko kto tu jest czyją ofiarą?

Ilja podniósł automat. Tak... Łeb nieco przypominający psi, trzy pary łap... Hm, nieznanego gatunku. Widocznie jakiś obcy stwór. Nie stąd. Choć co za różnica? Mutant to mutant! I wszystkie one zasługują tylko na jedno.

Na śmierć.

Ilja poczuł, jak nawykowo wzbiera w nim nienawiść. Ta szczególna, zimna jej odmiana, która przepełnia całą jego istotę, ale pozostaje przy tym pod kontrolą rozumu.

Nienawidził tych stworów straszliwie, całą duszą. Wszystkich, bez wyjątku. I wszystkich bez różnicy.

Złapanie w celowniku plamistego cielska okazało się trudne: sprytna cholera się trafiła... Nie miał ochoty tracić na próżno naboju, których i tak miał niewiele. Ilja postanowił podpuścić psa o sześciu łapach bliżej.

Nie trzeba było długo czekać.

\* \* \*

Mutant zamarł jakieś dwadzieścia metrów od niego z przednimi łapami na zardzewiałej masce poobijanego merca i stulonymi uszami. Zaczął węszyć. Wyszczerył się, demonstrując kły – znacznie bardziej imponujące niż u zwykłego psa. Popatrzył człowiekowi w twarz. Przygotował się do ostatniego skoku.

Widocznie stworu nigdy nikt nie straszył: zupełnie nie bał się automatu. Cóż, bardzo to Ilji odpowiadało. Wziął na muszkę wielką psią mordę.

Zdawało się, że mutant jednak wyczuł niebezpieczeństwo. Chciał się rzucić w bok. Ale było za późno!

Ilja wystrzelił.

Suchy urywany dźwięk krótkiej serii z automatu poniósł się nad szosą. Głowa mutantu eksplodowała, ochlapując wrak zagranicznego auta mózgiem i krwią.

Trzy zużyte łuski wyplute z wyciągu potoczyły się po asfalcie. Za Oleńkę! Za Sieriożkę! No, i za niego samego też, za odebrane mu szczęście.

Uśmiechnął się. Dobrze... Pierwszy punkt został zaliczony. Dzisiejszy dzień nie minie już bezowocnie.

Ilja nie chciał bić rekordów. Dwa–trzy stwory na jeden wypad w zupełności mu wystarczały. W takiej działalności lepiej mniej a częściej. Sens jego polowania polegał na regularnym i wyrachowanym tępieniu mutantów, a nie krwawej sieczce, w której łatwiej zginąć niż wyjść z niej zwycięsko.

Stwór o sześciu łapach, jak się okazało, nie był sam. Wyglądało na to, że ten osobnik tylko odwracał uwagę, podczas gdy pozostałe...

Ilja omal nie przegapił kolejnych dwóch plamistych cieni, które pomknęły w jego stronę jednocześnie z prawej i lewej: maska przeciwigazowa ograniczała jednak pole widzenia po bokach. Ale stwory, na swoje nieszczęście, zdradziły się hałasem. Zmyślne psy, atakując, wprawdzie nie warczały ani nie wydawały żadnych innych dźwięków; kiedy jednak przeskakiwały przez samochody, ich pazury głośno stuknęły o zardzewiały metal. I wtedy Ilja zdążył zorientować się w sytuacji.

Atakujące z flanek stwory zostały przywitane przez kolejne dwie serie. Każda liczyła po pięć nabożów. Jeden mutant z rozerwanym bokiem,

skowycząc i mając wszystkimi sześcioma łapami, od razu odturlał się na pobocze. Drugiego udało się zatrzymać dopiero kolejną serią – dobijając go już podczas ostatniego skoku. Kule rozpruły psu gardło, pierś i brzuch ułamek sekundy przed tym, jak najeżona zębami paszcza wczepiła się w gumę maski przeciwgazowej i kołnierz stalkerskiego płaszcza.

Pozbawione życia cielsko wpadło na Ilję i omal nie zbiło go z nóg.

Tak... Trzy martwe psiska. A ile nabojów zostało w magazynku? Ilja nie zdążył sprawdzić.

Spod ciężarówki o sparciałych oponach wyskoczył czwarty stwór. Dodatkowa para łap ani trochę nie utrudniała mu ruchów, przeciwnie – zwiększała tylko siłę, z jaką odpychał się od podłoża.

Znów zaterkotał automat. Ale nawet przerywana linia tryskającej krwi i wyrywanych kłaków wytyczona za pomocą kałacha wzdłuż grzbietu mutanta nie zdołała powstrzymać zębatego potwora.

Paszczka kłapnęła przy nogach Ilji. Ten cudem wyrwał się ze śmiertelnego potrzasku i odskoczył w bok.

Stwór z przestrelonym kręgosłupem prześlizgnął się obok, pozostawiając w pyłe drogi szeroki krwawy ślad.

Dobić!

Suchy trzask oznajmił, że magazynek jest pusty.

A to już niedobrze, bardzo niedobrze. To znaczy, że trzeba będzie wracać do domu z ZN. Ilja szybko zmienił magazynek. Teraz zostało mu ostatnie dziesięć nabojów i droga powrotna nagle wydała mu się naprawdę długa.

Ranny i sparaliżowany pies szczyrzył kły kilka kroków od niego, ale chyba nie stanowił już zagrożenia. Ilja nie zamierzał tracić na niego kuli – sam zdechnie. Teraz bardziej niepokoiło go co innego. A co, jeśli nie wybił jeszcze całej sfory? Rozejrzył się z obawą po szosie. Nie, w pobliżu nie było żadnego ruchu. W pobliżu nie, ale za to w oddali...

Ilja osłupiał.

Co to za diabelstwo?!

Szosa ożyła, przekształcając się na jego oczach w występującą z brzegów rzekę.

\* \* \*

Jeszcze jedna sfora psów? Ależ nie, nie jedna. I nie tylko psów. Kilka stad. Wiele stad składających się z mutantów najróżniejszych kształtów. Ilja nie zetknął się nigdy z czymś podobnym.

Za pierwszą grupą stworów pędziła następna. Za nią jeszcze jedna. I jeszcze, jeszcze, jeszcze... Potwory lawirowały między zardzewiałymi wrakami i przeskakiwały przez samochody.

Od strony Nowoczerkaska i Aksaju do Rostowa nieprzerwaną falą parły mutanty. Szosą, poboczami, przez rosnące wzdłuż trasy wstęgi lasu, przez zaniebane, porośnięte sztywnymi kolczastymi zaroślami i nieprzebytym gąszczem chwastów pola. Stwory znajome, napotkane kiedyś i takie, które widział pierwszy raz. Dziesiątki. Setki...

Ilja spojrzał ze smutkiem na automat. Co to teraz jest te dziesięć nabojuw ZN? Niechby nawet miał wielkokalibrowy cekaem z pełną skrzynią amunicji albo artyleryjski zestaw rakietowy, raczej nie zdołałby obronić się przed tą prącią na miasto falą.

– Oleńko, Sieriożko, wybaczcie – wymamrotał Ilja.

A jego wzrok już gorączkowo szukał kryjówki.

Samochody? Wybite szyby, przerdzewiałe na wskroś karoserie. Nie, tam nie będzie szans na ocalenie.

Milicyjny posterunek? Osłoniłby go przed kulami, ale co zrobi, kiedy mutanty przeleżą przez bloki betonu i posypią się na niego z góry? Posterunek też się nie nadaje.

W pobliżu nie było solidnych budowli, w których można by było przeczekać. Może co najwyżej...

Ilja rzucił się biegiem na teren Diamentu. Na bazarze też mogła czekać go śmierć. Ale to, co parło na Rostów niczym powodziowa fala, nie zostawiało mu wyboru.

Ilja zaczął się miotać między stoiskami.

Tutaj? Nie da rady. Pawilon był zbyt kruchy.

Może tam? To też nie to: w sklepiku o solidnych ceglanych ścianach zieją wybite okna, a i cały dach się zawalił.

A gdyby tak tutaj? Tak, właśnie tutaj!

Kontener.

Duży, długi. Pogięty, ale chyba jeszcze nie całkiem przegniły i na oko dość mocny. Metalowe drzwi wydają się solidne. Z automatem przygotowanym do strzału Ilja wpadł do środka. Powiódł lufą wokół. Pusto. Tylko sterty zbutwiałych szmat w ciemnym wnętrzu kontenera. Kiedyś te rupiecie były towarem. Cóż, można powiedzieć, że mu się poszczęściło.

Ilja zatrzasnął drzwi, w skobel wsunął kolbę automatu. O tak. Teraz nie będzie łatwo go stąd wydłubać. Teraz jest dobrze ukryty. I to nie było tchórzostwo. To była trzeźwa kalkulacja. Żeby później kontynuować polowanie na mutanty, trzeba było teraz przeżyć.

Ciężkie skrzydła drzwi kontenera zamknęły się nad podziw szczelnie. Została tylko wąska szczelina. Przedostawało się przez nią niewiele światła. W głębi kontenera panowała dobrze mu znana ciemność, prawie równie gęsta i nieprzenikniona jak w metrze.

Tymczasem żywa fala dotarła do Rostowa. Słysząc już było przenikliwe krzyki stworów, łoskot gniecionej blachy, tupot tysięcy nóg... łap... kopyt... Z kontenera nie było nic widać. Zresztą nie miał też szczególnej ochoty z niego wyglądać.

Sądząc z dobiegających z zewnątrz hałasów, potok stworów rozdzielał się. Wyglądało na to, że główna masa mutantów ruszyła aleją Szołochowa prostu na lotnisko. Ale część skręciła w prawo i przez bazar podążyła dalej – w stronę osiedla Ordżonikidze.

Coś zadudniło na górze: jakiś stwór wskoczył na kontener, w którym ukrywał się Ilja. Potem coś uderzyło w drzwi. Kontener się zachwiał. Omal nie złamała się pełniąca funkcję rygla kolba. Na powierzchni falistej blachy pojawiło się wyraźne wgniecenie.

Nic jednak nie próbowało się wedrzeć do środka.

Wkrótce wszystko ucichło. Ilja odwrócił się od wąskiej smużki światła przy zamkniętych drzwiach. Utkwił wzrok w ciemności.

– Poszły sobie, Iljuszka – usłyszał głos z mroku.

Oleńka znowu z nim była.

– Tato, tu niczego ciekawego nie ma – zabrzmiał rozczarowany głos synka. – A ty obiecałeś, że coś mi przyniesiesz.

Tak, niczego tu nie ma. Tak, obiecał. I w ogóle, trzeba by już wychodzić...

Ilja wyszedł.

Po prawej coś skrzypnęło. Dźwięk dobiegł z pawilonu handlowego – tego samego, w którym pierwotnie chciał się schować, ale odrzucił go jako zbyt niepewną kryjówkę.

Ilja machinalnie poderwał automat.

Otwarte drzwi. Nawiasem mówiąc, wcześniej były zamknięte. Ciemność za drzwiami. W tej ciemności dało się zauważyć ruch. Z mroku wysunęła się niewyraźna postać.

Jakaś maskara!

W celowniku kałacha pojawiła się szkaradna głowa. Gładka, łysa, z wysuniętą do przodu masywną szczęką. Wielkie bezkształtne ciało

z naroślami na piersi i boku. Coś sterczy mu zza prawego ramienia i dynda na lewym biodrze. Jedna ręka z cienkim, długim i wygiętym wyrostkiem jest dłuższa od drugiej.

– Eee! – zawył głośno stwór, niemal jak człowiek, podrywając do góry obie ręce, długą i krótką.

Ilja o mało nie nacisnął na spust. I...

I opuścił broń.

\* \* \*

Z pawilonu nie wychodził mutant. To był stalker.

Maska przeciwigazowa. Filtr. Workowaty skafander ochronny. Kamizelka taktyczna. Automat na plecach. Lornetka w futerale na piersi. Przy boku torba na maskę. Po lewej długa pochwa. Pusta. W prawej ręce obnażona szabla, którą Ilja wziął w półmroku za wygięty wyrostek. Na gumowanych spodniach widniały czerwone smugi. Nie, nie krwi – po prostu miał wymalowane lampasy.

To właśnie po lampasach i szabli Ilja rozpoznał znajomego.

– Kozak?

Był to stalker zwiadowca z odległych zachodnich stacji linii czerwonej, częściowo zajętych przez drużyny kozackie.

Kilka stacji położonych w Zachodnim Kompleksie Mieszkalnym było odciętych od pozostałej części metra przez dość długą estakadę wychodzącą na powierzchnię w rejonie stacji Dworcowa. Z tego powodu „zachód” żył w izolacji, ale mimo to starał się nie tracić kontaktu ze światem zewnętrznym i formalnie należał do wspólnoty linii czerwonej. Stosunki z innymi stacjami – zresztą nie tylko z czerwonymi, ale i z niebieskimi – „zachód” utrzymywał tylko dzięki swoim brawurowym stalkerom.

Kozak na przykład wojażował po całym mieście opancerzoną furgonetką



do przewozu pieniędzy – czy to cudem zachowaną po Wojnie, czy raczej starannie odrestaurowaną. Przy czym stalker na opancerzonym „rumaku” zbierał nie tylko przydatne przedmioty, ale również informacje o wszystkim, co się dzieje w Rostowie. Odizolowane zachodnie stacje potrzebowały ich nie mniej niż na przykład amunicji.

Czasem Kozak zapuszczał się nawet do Portu Lotniczego. I, jak się okazało, jeździł jeszcze dalej.

– Magh? – zabrzmiał spod maski przeciwgazowej głuchy głos. – Czegho ludzi bierzesz na muszkę, taka twoja mać?!

Charakterystyczne basowe „ghe” Kozaka było lepsze od dowolnego hasła.

– To trzeba było nie czaić się na ludzi w ciemnych kątach! – burknął Ilja w odpowiedzi.

– Dobra, nie ghorączkuj się. Nie strzeliłeś, i dobrze! – powiedział z ukraińska stalker.

Kozak wyjął z torby na maskę brudną szmatę, starannie wytarł szablę i włożył broń do pochwy.

A było co wycierać: wyglądało na to, że Kozak rąbał się z mutantami, walcząc wręcz. Widać mocno go tu przycisnęły.

– Masz naboje, Magh?

– Wszystkiego dziesięć sztuk.

– Toś boghaty – westchnął Kozak. – Ja w ogóle nie mam, kompletne zero. Całe dwa maghazynki zużyłem.

Kozak rozejrzył się dookoła.

– Stwory sobie poszły, co?

– Poszły. – Ilja skinął głową z przekonaniem. Jeszcze w kontenerze powiedziała mu o tym Oleńka. I on jej wierzył. – A co się stało z twoją bryką?

- Hę? – Stalker nie dosłyszał.
- Pytam, gdzie twoja fura?
- A tutaj jest, moja kochana, niedaleko. – Kozak chrząknął. – Miałem coś w rodzaju kolizji. Walnąłem w coś. Cho no za mną, kapkę mi pomożesz.

\* Nieprzetłumaczalna gra słów: ros. *ostow* to szkielet, wrak (przyp. tłum.).

## Rozdział 3 | Kozak

„Niedaleko” okazało się być poza terenem targu i w ogóle w sporej odległości. Ciężki, przysadzisty wóz pancerny leżał na dachu. Drzwi od strony kierowcy były otwarte. Obok widać było rozsypane łuski oraz plamy krwi. Posoka musiała chlustać z kogoś lub czegoś niczym ze stada zarzynanych świń. Nie było jednak wiadomo, co faszerował ołowiem Kozak – ranne mutanty odpełzły same albo też zostały odciągnięte przez inne wygłodniałe stwory.

Ilja obszedł wóz dookoła. Oho! Na prawym boku widniały cztery głębokie bruzdy, które prawie rozdarły pancierz.

Wyglądały na ślady pazurów.

Nieźle... Ilja cicho gwizdnął. Cóż to musiało być za monstrum, które ciosem łapy przewraca opancerzone samochody i zostawia takie ślady!? I jak mocne musi mieć pazury!?

– Kolizja, powiadasz? – dopytał Ilja. – Więc to ty w coś walnąłeś, czy ktoś walnął w ciebie?

– No, walnął.

– Kto?

Czy może bardziej na miejscu będzie zapytać „co”?

– Był taki jeden zwierzak. – Kozak machnął ręką. Spod maski przeciwigazowej wyrwał mu się nerwowy chichot. – Wcześniej się z takimi nie spotkałem. Czyli nietutejszy. Przyszedł skądś.

Widać było, że nie ma ochoty wspominać spotkania ze „zwierzakiem”. Ilja obrzucił wzrokiem zużyte łuski i uznał, że nie będzie człowieka przyciskał.

– A wiesz może, skąd przychodzą mutanty? – zmienił temat rozmowy. – Przecież wcześniej takich u nas nie było.

– Nie było – zgodził się Kozak. – Tylko że one przecież nie tegho... nie idą. One uciekają. Wieją, aż się za nimi kurzy.

Racja! Ilja przypomniał sobie niedawną gonitwę na trasie z Nowoczerkaska. To nie była jakaś tam migracja. To była paniczna ucieczka. Teraz nie zdziwiłby się nawet, gdyby się dowiedział, że psy o sześciu łapach napadły na niego tylko dlatego, że stał jak słup na ich drodze i otworzył ogień jako pierwszy.

– I ważniejsze jest nie to, skąd uciekają, ale dlaczego. Albo nie, jeszcze inaczej... – Kozak pokręcił głową. – Przed czym uciekają mutanty, oto co jest teraz ważne. – I z westchnieniem dodał: – Wałą ze wschodu, falami, przez całe miasto. Krótko mówiąc, trzeba się zorientować, co to za wielka przeprowadzka. Właśnie dlatego tu jestem.

– Jasne – Ilja przytaknął. – Myślisz, że obce stwory przed czymś się ratują?

– Aha. Same się ratują, a przy okazji wypierają nasze rodzime, rostowskie pokraki.

– Więc to tak? – Ilja przypomniał sobie niezwykłą pustkę na niebie nad lotniskiem i martwe ulice.

– Magh, to są takie stwory... – Kozak zrobił nieokreślony gest dłonią. – Ty i ja nie możemy się z nimi równać. Czują w bebechach, jeśli robi się ghdzieś ghorąco.

Gorąco? A może rzeczywiście?...

– Może zbliżają się pożary? – zgadywał Ilja.

– Może i pożary. – Kozak wzruszył ramionami. – A może i nie. Powiem ci lepiej, co sam widziałem i czego się nasłuchałem od ludzi.

– No?

– Czarni piloci nie latają nad lotniskiem.

– Wiem – Ilja potwierdził skinieniem głowy.

– Żabiogłowi nie wyłazą z Donu.

Tak, a to już ciekawa sprawa...

– Na Zielonej Wyspie i na lewym brzegu też nic nie widać. W oghóle, czujesz?! Nawet przez lornetkę.

Dziwne... Wcześniej wręcz się tam od nich roiło. Właściwie to tylko Don i żabiogłowi chronili Rostów przed inwazją zmutowanej fauny, która rozmnożyła się niewiarygodnie na Zielonej Wyspie i zalewowych łąkach lewego brzegu.

– U nas na zachodzie zniknęli ghdzież studenci – ciągnął Kozak.

Studentami mieszkańcy zachodnich stacji nazywali mutanty, które upatrzyły sobie akademiki w miasteczku studenckim i w pobliżu wydziałów uniwersyteckich. Ilji jak dotąd nie zdarzyło się napotkać studentów: nie zapuszczali się dalej niż do Dworcowej, ale ze słyszenia wiedział, że były to straszne półrozumne bestie terroryzujące cały Zachodni Kompleks Mieszkalny.

– Botanicy sobie poszli – wyliczał Kozak.

Mieszkańcy ogrodu botanicznego, który zamienił się w prawdziwą dżunglę, też mocno zatruli życie ludziom z zachodu. Nawet najbardziej szaleni stalkerzy woleli obchodzić ich matecznik szerokim łukiem.

– Z Temernika zniknęły chińczyki...

Chińczyki – małe, zębate i złośliwe stworzenia podobne do lisów – okupowały osiedle Temernik i urządziły na przylegającym do niego olbrzymim Wschodnim Targu gody z głośnym szczekaniem. Na drodze ich

licznych stad też lepiej było nie stawać.

– Umilkły helikoptery...

O helikopterach, które zajęły rostowskie zakłady produkcji śmigłowców, Ilja wiedział tylko tyle, że istnieją i że nikt jeszcze nie wrócił z ich terenu żywy.

– Mówi się, że na Północnym Cmentarzu brucołaki zakopują się w ghrobach i ghrowcach.

O brucołakach Ilja też wiedział mało i tylko ze słyszenia. Ci niezbyt liczni, powolni i ociężali padlinożercy zamieszkiwali za Północnym Kompleksem Mieszkalnym na ogromnej miejskiej nekropolii. Mówiło się, chociaż nie było to pewne, że brucołaki rozkopują stare groby i rzekomo żywią się tym, co w nich zostało. Ilja niespecjalnie w to wierzył: no bo naprawdę, co tam mogło zostać po tylu latach? Jednak wielu ludzi było przekonanych, że brucołaki interesują nawet nie szczątki organiczne, lecz coś innego, niewidocznego i nieuchwytnego, co po rozkładzie ludzkiego ciała wsiąka w cmentarną ziemię. Zresztą świeżym mięskiem hien cmentarnych też nie gardzili. Kiedy któryś ze stalkerów w swej głupocie zbliżył się do cmentarza, takiego szaleńca można było śmiało spisać na straty. Co prawda, same brucołaki bardzo rzadko opuszczały granice nekropolii. Widocznie starczało im tam miejsca. Jeśli wierzyć *Księżde rekordów Guinnessa*, rostowski Północny Cmentarz był przed Wojną największy w Europie. Zresztą teraz, kiedy cała planeta zamieniła się w jeden wielki cmentarz, ten wątpliwy rekord nie miał już żadnego znaczenia.

– Nie ma nawet szcurów w metrze – zakończył Kozak. – Jakby wszystkie ktoś otruł.

Rzeczywiście, szcury gdzieś się podziały. Wcześniej na stacji Port Lotniczy Ilja stale słyszał tupot i popiskiwanie gryzoni, z których wiele osiągało zresztą rozmiary dużego kota. Kilka razy był nawet zmuszony

bronić się przed nimi. Ale w ostatnim czasie szczury przestały go niepokoić. Nie miało to dla niego szczególnego znaczenia, ale w świetle niedawnych zdarzeń...

No tak, trzeba przyznać, że wieści były niepokojące. Kozak pokrótce zarysował mu obraz całości, który wcześniej Ilja dostrzegał jedynie we fragmentach. I był to obraz niewesoły.

– Coś nadciąga – westchnął Kozak. – I obawiam się, że to coś niedobrego.

– Gorzej niż teraz, tak czy owak, nie będzie – burknął Ilja.

Bo co, tak naprawdę, może być dla niego gorsze po tym, co stało się z Oleńką i Sieriożką?

A mimo to czuł w duchu niepokój.

– Myślisz, Magh, że nie będzie? – dopytał z zadumą Kozak. – No, daj Boże, daj Boże. Dobra, zaghadaliśmy się tutaj. Pomóż mi z samochodem.

\* \* \*

We dwóch przy pomocy dźwigni i wyciągarki postawili przewrócony samochód pancerny na koła. Kozak umieścił dyndającą mu u pasa szablę między fotelem a drzwiami i usiadł za kierownicą.

– Podrzucić cię na lotnisko? – zaproponował z miną wytrawnego taksówkarza. – I tak pokręcę się jeszcze w tej okolicy, może coś wywęszę. Więc wsiadaj...

Dłoń w stalkerskiej rękawicy klepnęła w fotel pasażera.

Towarzystwo gadatliwego Kozaka zaczynało już Ilję męczyć. Zresztą teraz nużyłoby go pewnie towarzystwo kogokolwiek. W ostatnim czasie za bardzo przywykł do samotności. A jednak wracać samemu, piechotą, z jakimiś marnymi dziesięcioma nabojami w magazynku ulicami, które w każdej chwili może zalać nowa fala stworów, było niezbyt mądre. Za

pancerzem mimo wszystko jest jakoś bezpieczniej.

Ilja wsiadł do samochodu do przewozu pieniędzy.

Kozak zapuścił silnik. Wóz ruszył z miejsca.

Powoli i ostrożnie (brawurowa jazda po miejskich ulicach, zasypanych odłamkami i pełnych niszczących wraków samochodów, nie była możliwa nawet czołgiem) ruszyli z powrotem w stronę Szosy Nowoczerkaskiej.

– Czyli cały czas się mścisz? – rozpoczął na nowo rozmowę Kozak. Należał do tego rodzaju ludzi, którzy wprost fizycznie nie mogą długo milczeć. – Polujesz?

– Poluję – odpowiedział krótko Ilja.

– Poszedłbyś lepiej do ludzi, Magh, zamiast żyć jak odludek na tej swojej stacji. W końcu całkiem zdziczejesz.

– Żyję tak, jak chcę.

– Ech, dziwak z ciebie! Przecież, tak czy inaczej, nie przywrócisz martwych do życia.

Ilja zmilczał. Najmniej na świecie chciał teraz rozwijać ten temat.

Kozak wzruszył ramionami i...

– Oż w mordę! – Gwałtownie zatrzymał samochód. – Znów biegną!

Rzeczywiście, szosą i poboczami na Rostów ponownie nadciągała rwąca rzeka grzbietów, kończyn, wyszczerzonych pysków. Mutantów było teraz chyba nawet więcej niż za pierwszym razem. Żywa fala szybko się przybliżała. Całkiem niedługo wyleje się w Aleję Szołochowa i popłynie w stronę lotniska.

Kozak postanowił nie ryzykować i nie pchać się pod ten walec.

Wrzucił wsteczny. Wykręcił. Popędził w stronę osiedla Ordżonikidze. Pancerz to oczywiście dobra rzecz, ale, jak już zrozumiał Ilja, on też nie zawsze i nie przed wszystkim chroni.

A fala potworów zalała już miasto. Mutanty błyskawicznie wypełniły



całą przestrzeń. Były teraz wszędzie. Najróżniejsze stwory, które jakby wyrwały się z gigantycznego gabinetu osobliwości, biegły obok siebie. Za wzmocnionymi szybami migały pyski, boki, grzbiety i ogony stworzeń, których Ilja nigdy wcześniej nie widział. Jedno po prostu przemykało obok, inne przeskakiwało przez samochód, a jeszcze inne rzucało się do ataku i starało się chwycić zębami za pancerz.

Jakiś stwór – Ilja nie zdążył mu się porządnie przyjrzeć – rzucił się na przednią szybę i poleciał na bok, pozostawiając po sobie krwawy kleks. Samochód pancerny potrącił i przejechał jeszcze jednego przysadzistego potwora, pokrytego od głowy po koniec ogona grubymi ostrymi kolcami. Koła podskoczyły na nim jak na wyboju. I...

Trzask.

Prawa przednia opona pękła. A i tylna, zdaje się, też. Ciężki samochód przekrzywiło i zniosło na bok. Felgi zadzwoniły o asfalt. A po kolejnych kilku sekundach opancerzony pojazd wbił się w stertę betonowych śmieci, piętrzącą się przed wieżowcem pozbawionym górnych kondygnacji. Silnik zgasł.

– To sobie pojeździliśmy! – wycedził Kozak.

Z jego tonu Ilja wywnioskował, że w samochodzie nie ma kół zapasowych.

A gdyby nawet były – jak je zmieniać w takich warunkach?

Ogromne, podobne do nosorożca stworzenie z rozbiegu wyrznęło w opancerzone drzwi grubą naroślą na pysku. Pojazdem szarpnęło z taką siłą, że Ilja omal nie zgniótł filtra maski przeciwgazowej o deskę rozdzielczą.

– Jesteśmy tu dla nich niczym sól w oku – mruknął ze złością Kozak.

Rzeczywiście, obok nich przemknęło kilka dziobatych stworów. Jeden, nie zatrzymując się, w biegu wczepił się w lewe przednie koło i wyrwał spory kawałek gumy. Do ataku znów ruszył nosorożec. Jeszcze jedno potężne

uderzenie trafiło w okolice silnika. Maskę otworzyła się i uniosła do pionu. Kozaka mocno rzuciło o kierownicę.

– Ech, lepiej zejść im z drogi. – Stalker potrząsnął głową. – Bo nas, kurna, zghniotą jak śledzie w puszcze!

Ilja się nie spierał. Tak będzie teraz lepiej.

Trzecie uderzenie... Pancierz na lewym boku wyraźnie się wgiął.

Kozak spróbował uruchomić silnik i choćby na felgach zjechać na bok. Samochód nie chciał jednak zapalić.

– Koniec – westchnął stalker. – Przechłapane!

– Kozak! – Ilja wskazał na wejście do klatki schodowej z oberwanym daszkiem i rozwartymi na oścież zardzewiałymi metalowymi drzwiami, na których widniały jeszcze resztki domofonu. Klatka na wpół zburzonego wielopiętrowego bloku zdawała się teraz bezpieczniejszą kryjówką niż samochód pancerny stojący na drodze oszalałych mutantów. Przynajmniej cielsko nosorożca się tam nie wciśnie.

Do wejścia, co prawda, trzeba się jeszcze będzie przedrzeć.

Kozak skinął głową ze zrozumieniem:

– Jesteś ghotowy, Magh?

Ilja odciągnął zamek automatu.

– Jestem.

Wyglądało na to, że przyszedł czas na zużycie ZN.

Nie ma co odkładać ich na potem, bo żadnego „potem” nie będzie.

– Bieghniemy na „trzy”. Raz... – zaczął odliczać Kozak.

\* \* \*

– ...trzy! – Jednocześnie wyskoczyli z samochodu.

Przekłęty nosorożec od razu stracił zainteresowanie pojazdem i odwrócił swoją masywną głowę w stronę ludzi.

Ilja nie czekał na atak.

Krótką serią trzech pocisków. Prawie z przyłożenia. Chwała Bogu, któraś z kul trafiła monstrum w oko.

Grube nogi załamały się pod potworem. Cielsko rozmiaru ciężarówka runęło na samochód. Ale zza sterty potłuczonych cegieł i odłamków żelbetowych płyt wyskoczyli już starzy znajomi. A raczej nowi. W końcu Ilja miał wątpliwą przyjemność zawrzeć tę znajomość dopiero dzisiaj.

Skrajem ulicy biegło z pół tuzina sześciolapych psów. I pędziły wprost na ludzi. Ilja zrobił użytek z pozostałych naboju. Położyć całej sfory, niestety, się nie udało. Dwa mutanty się przedarły.

Kozak wyszarpnął szablę z pochwy. Obnażona stal błysnęła w słońcu. Trach! Psi czerep rozpadł się na dwoje.

Prask! Poturlał się na bok odcięty łeb drugiego psa. Trzeba przyznać, że refleks miał Kozak doskonały, a i rękę nieźle wyćwiczoną.

Wcisnęli się na klatkę schodową. Ilja z łoskotem zatrzasnął za sobą drzwi i obiema rękami wczepił się w zardzewiały skobel.

Kozak z obnażoną szablą wyjrzał na zasypane śmieciami schody.

Brudne ściany, odpadający tynk... Kiedyś w takich miejscach łatwo można było się nadziać na przyczajonego drapieżnika. Ale teraz chyba rzeczywiście wszystkie rostowskie mutanty wymiotło z miasta. Na klatce unosił się zapach kurzu, wilgoci, mokrego betonu i zapuszczenia. Ale najważniejsze: nie było tu nikogo ani niczego oprócz nich. Zresztą z zewnątrz też nic się na razie nie dobijało. Mutanty przemykały jak wiatr koło wozu pancernego i walających się obok trupów. Tylko kilka stworów zatrzymało się na chwilę, żeby rozerwać na kawałki darmową zdobycz.

– Chodźmy na górę – zaproponował Kozak. – Popatrzymy stamtąd, co się dzieje.

Ilja znów wykorzystał bezużyteczny już automat jako skobel. Po

zaryglowaniu drzwi wejściowych weszli na czwarte, najwyższe z ocalałych pięter.

W innych okolicznościach leżąc tam byłoby kompletną głupotą: na niewielkim kawałku odkrytej przestrzeni nie da się obronić przed czarnymi pilotami. Ale piloci nie krążyli już po niebie nad Rostowem.

Z góry dobrze było widać panujący na ulicach zamęt. Jakby ktoś przepompowywał przez miasto mętny, błotnisty potok: jak oszalałe ulicami i uliczkami sunęły bez końca mutanty. Pojedynczo, grupkami, w stadach.

Niezliczone stwory rozlewały się po kwaterach, krążyły między domami, przedostawały się przez barykady z wraków aut i przewróconych autobusów, przedzierały się przez rozrośniętą miejską florę. Wszystkie poruszały się w jednym kierunku. Ze wschodu na zachód.

A w oddali na horyzoncie, z tej strony, gdzie wschodzi słońce...

– A to co znowu? – Kozak wyciągnął z futerału lornetkę i podniósł ją do wizjera maski przeciwgazowej.

Na wschodzie coś ciemniało. Jakaś niepojęta groźna plama. Jakby chmura burzowa zeszła z nieba i zaległa na ziemi, żeby odsapnąć. Nie, nie odsapnąć... Chmura kłębi się, rośnie...

Dym, czy co? – pomyślał Ilja. – Czyżby to naprawdę były pożary? Czy może burza piaskowa?

\* \* \*

Ilja też wyciągnął z ładownicy swój monokular, ustawił optykę i spróbował przyjrzeć się ciemnemu kleksowi. Wyszło raczej marnie. Zagadkowa plama po prostu była coraz bliższa, większa i szersza. I jeszcze... Wewnątrz można było dojrzeć jakieś niewyraźne migotanie.

I co by to mogło być?

– Dziwna ta chmura. Myślisz, że stwory uciekają właśnie przed tym? –

zapytał Ilja, kiedy odsunął monokular od maski.

– Żadnej innej przyczyny w tej chwili nie widzę – odparł Kozak. On też opuścił lornetkę. – No, i jeśli uciekają przed tym nawet TAKIE stwory...

Kozak spojrział w dół, na swój pogięty samochód pancerny. No jasne, mutanty, które potrafią rozwalić opancerzony pojazd, nie będą zwiewać przed byle czym.

– Jeśli z miasta odlatują czarni piloci, odpływają zabioghłowi, a brukołaki same zakopują się w cmentarnej ziemi... – ciągnął w zadumie. – W sumie, Magh, to boję się, czy i my wszyscy nie będziemy musieli zagrzebać się głębiej.

– O czym ty mówisz? – Ilja ze zdziwieniem popatrzył na stalkera.

– To ty nie słyszałeś, co żukojady wykopały u siebie na linii niebieskiej?  
– Kozak odwrócił się do niego.

Mieszkańcy czerwonej linii rostowskiego metra nazywali żukojadami ludzi z niedokończonych i przeludnionej linii niebieskiej, którzy znaleźli efektywny, ale raczej nieapetyczny sposób rozwiązania kwestii wyżywienia. Niebiescy hodowali owady, które stanowiły podstawę ich racji żywnościowych, tak samo jak czerwoni uprawiali grzyby na podziemnych plantacjach.

– No, i co takiego ciekawego znalazły? – spytał Ilja.

– Podziemia pod metrem. Mają tam podobno cały labirynt prowadzący w dół. Gheneralnie rzecz biorąc, niezły schron.

– Podziemia pod metrem, powiadasz? – Ilja chrząknął sceptycznie.

– No, no. – Kozak energicznie pokiwał głową. Filtr jego maski przeciwgazowej zaszeleścił o skafander ochronny. – Niebiescy tak je właśnie nazywają: podmetro. Najzupełniej nadaje się do życia. Jest powietrze. Sączy się czysta woda.

– Niebiescy na pewno się cieszą – przypuścił Ilja. – Słyszałem, że siedzą

tam sobie prawie na głowach. Teraz mogą się przynajmniej rozkwaterować.

– Cieszyli się. – Kozak uśmiechnął się. – Dopóki ludzie nie zaczęli w tych podziemiach znikać.

– W jakim sensie?

– A w dosłownym. Kto schodzi na dół, już nie wychodzi.

– Pewnie to jakieś bajki – machnął ręką Ilja.

– Cóż, bajki nie bajki, a niebiescy właśnie teraz werbują doświadczonych żołnierzy. Chcą przeprowadzić zwiad na pełną skalę. Prawda, zostało im niewielu chętnych. I dlatego żukojady zapraszają stalkerów ochotników z czerwonej linii.

– Bzdura! – prychnął Ilja.

Powiedzieć, że stosunki między żyjącą we względnym dobrobycie czerwoną a niedokończoną niebieską linią rostowskiego metra były napięte, to nic nie powiedzieć. Jedyne zamknięte z obu stron posterunkami korytarz łączący czerwoną Woroszyłowską i niebieską Puszkińską w ostatnim czasie często był miejscem zacieklej przygranicznych potyczek. I chociaż na powierzchni stalkerzy z różnych linii zachowywali nieoficjalny rozejm (dość tu było wspólnych wrogów), pod ziemią tliła się nieustająca wrogość.

– To nie żadna bzdura, Magh – Kozak pokręcił głową. – Żukojady obiecują nawet, że zapłacą.

– Czym? – zapytał Ilja. – Larwami? Jadalnymi karaluchami? To przecież kompletni gołodupcy!

– Nabojami.

– Ależ niebiescy czerwonym nie mogli czegoś takiego zaproponować!

– Mi proponowali. – Kozak walnął się pięścią w pierś. – Osobiście.

Ilja spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– No, i co ty na to?

– Powiedziałem, że pomyślę.

– I jak, namyśliłeś się?

Kozak znów popatrzył przez lornetkę na majaczącą w oddali ciemną plamę.

– Teraz tak. Namyśliłem się. Pójdę teraz do metra, na Ordżonikidze albo Selmasz.

– Pójdiesz?

– No, tak. Wozu już nie ma. Powiem ludziom, co się wyprawia w mieście. Czerwoną linią dostanę się do Woroszyłowskiej. Tam przejdę do niebieskich. Zobaczą, co to za katakumby żukojady odkopały. I spróbuję się jakoś przebić do swoich, na zachód. Coś mi mówi, Magh, że trzeba natychmiast zająć te podziemia, i to całym metrem, wspólnie. Czuję to w wątrobie! Może poszedłbyś ze mną?

– Nie – uciął Ilja. – Mam dość własnych spraw.

– Ależ jakich znowu? – Kozak potrząsnął maską przeciwgazową z rozdrażnieniem. – Całkiem ci już odbiło na punkcie tej twojej zemsty, tak?

– Zamknij się – odgryzł się Ilja. – Nie tykaj tego, co cię nie dotyczy, rozumiesz? Powiedziałem: nie pójdę, to znaczy nie pójdę.

– Mimo wszystko dobrze się zastanów. Czymkolwiek jest ta chmura – Kozak skinął w kierunku, z którego uciekały mutanty – wkrótce nadleci nad twój Port Lotniczy. Już teraz nie ma sensu, żebyś tam wracał.

– Obiecałem, że wrócę – odparł ponuro Ilja.

– Komu?

Oleńce. Sieriożce...

– Nie twoja sprawa, Kozak. Nie pójdę z tobą i kropka. I nie będę się zakopywał jeszcze głębiej pod ziemią jak jakiś brukołak.

– Cóż, jak chcesz... – Kozak spojrzał w dół. – W takim razie schodzimy i rozstajemy się. Zdaje się, że mutanty już się wyniosły.

Ulica pod nimi rzeczywiście była pusta.

\* \* \*

Rozeszli się od razu, pod klatką schodową. Kozak ruszył na zachód – do metra. Ilja skierował się w stronę lotniska.

Niestety, jak się niebawem okazało, droga do domu była odcięta. Od strony Szosy Nowoczerkaskiej wciąż jeszcze szły mutanty, a bez nabojów przebicie się nawet przez ten wysychający już strumień było niemożliwe. W końcu Ilja postanowił, że też skręci do najbliższej stacji metra – Osiedla Ordżonikidze: tam można było przeczekać, póki kolejna fala stworów ostatecznie się nie przeleje.

Jednak dojście do Ordżonikidze też okazało się zablokowane. Przy samej stacji Ilja omal nie natknął się na dużą grupę mutantów. Na szczęście te akurat stwory bardziej były zajęte ratowaniem własnej skóry niż polowaniem. Jak się wydawało, nie miały już nadziei na ucieczkę i szukały kryjówki w zwartej miejskiej zabudowie, tak więc Ilji szczęśliwie udało się je wyminąć.

Błąkał się przez jakiś czas po ulicach, aż dotarł w rejon fabryki maszyn rolniczych i wkrótce znalazł się na placu Konstruktorów Kombajnów. Tu było z pozoru cicho i spokojnie. W pobliżu nie było widać żadnych mutantów i można było trochę odsapnąć.

Ilja rozejrzał się dookoła.

Park Ostrowskiego zmienił się po wojnie nie do poznania. Zmutowana i potężnie rozrośnięta parkowa flora wydostała się daleko poza granicę pokrzywionego ogrodzenia i zagarnęła już prawie całą przylegającą do parku Aleję Maszyn Rolniczych.

Wielkie jaskrawe kwiaty i ogromne owoce zapraszały w głąb śmiercionośnej gęstwiny. Kikuty starych bloków niczym gigantyczne nagrobki sterczały z przypominających groby zwałów cegieł i betonu. Pompatyczny niegdyś Pałac Kultury Rostselmasz, pozbawiony dachu,



z popękkanymi ścianami i zawałonymi kolumnami, teraz przypominał zburzoną antyczną świątynię. Spod wybrzuszonych i rozeschniętego asfaltu pokrytego śmieciami placu przed pałacem wyciągały się do światła suche cierniste chwasty, kłujące krzewy i spotworniałe drzewa o krzywych pniach i węzlastych, podobnych do węży konarach, pokrytych szerokimi mięsistymi liśćmi i długimi igłami.

Pośrodku placu stał pomnik przypominający o dawnej sławie rostowskiego przemysłu budowy maszyn rolniczych. Wciąż jeszcze stał, chociaż był już w opłakanym stanie i wyglądał raczej jak bezkształtna kupa złomu. Był to umieszczony na postumencie kombajn zbożowy. Cokół popękał i porósł trawą. Kombajn zardzewiał i przekrzywił się. Jeszcze chwila i runie...

Ilja pomyślał, że należałoby postawić tu inny pojazd. Nie rolniczy, lecz bardziej zasługujący na pomnik w tym nowym świecie. Może i by go postawili. Z czasem. Gdyby zdążyli.

Ilja przypomniał sobie, jak w czasie kolejnego kryzysu finansowego państwo porządnie zainwestowało w przeprofilowanie produkcji Rostselmaszu. Pieniądze na pomoc dla przedsiębiorstwa wydzielono z budżetu, technologię kupiono za granicą, w zakładzie w rekordowym czasie zainstalowano zachodnią linię montażową i zaledwie kilka miesięcy później Rostselmasz, poza – jak dawniej – sprzętem rolniczym, zajął się całkiem nową produkcją: podziemnych minikombajnów ostatniej generacji do wiercenia tuneli.

Z taśm zeszła prototypowa partia pojazdów – zwrotnych, ruchliwych, o wielkiej mocy. Ich testy odbywały się zresztą tutaj, w Rostowie, przy budowie kolejki podziemnej.

To właśnie dzięki uruchomieniu nowego rodzaju produkcji długo wyczekiwane metro pojawiło się przed planowanym terminem. Przed

wybuchem Wojny budowniczy zdążyli stworzyć i wyposażyć we wszystko, co konieczne, pierwszą, czerwoną linię, ciągnącą się pod miastem z zachodu na wschód. Potem wydrążyli drugą – niebieską, wiodącą z centrum miasta do Północnego Kompleksu Mieszkalnego. No, a potem...

Potem grzmotnęło.

W rostowskim metrze ostatecznie nie pojechały pociągi. Natomiast podziemne stacje i tunele – w tym niedokończona linia niebieska – przydały się mieszkańcom Rostowa jako schron przeciwlotniczy.

Za ruinami Pałacu Kultury, wśród gęstej zieleni parku, nagle poruszyły się czubki drzew. Czyjś ryk rozległ się nad pustym placem jak uderzenie gromu. Ale już po paru sekundach ryk zamienił się w przenikliwe skomlenie. A po chwili zrobiło się całkiem cicho. Jakieś duże zwierzę prawdopodobnie trafiło w pułapkę mięsożernej rośliny. W Rostowie były teraz i takie...

Zdarzenie w parku wytrąciło Ilję z zadumy. Tam, gdzie błąka się jeden mutant, może się ich pojawić więcej, nie warto się teraz guzdrać. Zaczął się oddalać od niebezpiecznej gęstwiny. Stacja metra Selmasz była już na wyciągnięcie ręki.

Ilja wiedział, co będzie robił dalej. Z Selmaszu podziemnym tunelem można dojść do Ordżonikidze. A kiedy wszystkie mutanty opuszczą wreszcie miasto albo się pochowają, to i do Portu Lotniczego jakoś się górą dostanie.

Ilja miał wielką nadzieję, że nie spotka się z chmurą, przed którą uciekają wszystkie stwory, i zdąży dojść do domu.

Do Oleńki.

I do Sieriożki.

## Rozdział 4 | Inżynier

– Mówisz, Mag, że mutanty opuszczają miasto? – Zmrużone oczy mierzyły Ilję niczym dwa celowniki.

Niewielka komórka przy schodach ruchomych stacji metra Selmasz była urządzona nie jak mieszkanie, lecz jak gabinet. Stół, dwa krzesła, przytасzczona skądś szafa biurowa. Na biurku paliła się lampa naftowa, oświetlając nie tyle gospodarza pomieszczenia, co gościa. Ilja czuł się w słabym świetle lampy jak przed reflektorem.

Naczelnik Selmasza, zwany Inżynierem, łysy, duży, grubokościsty facet około czterdziestki z łapami ogromnymi jak łopaty i twarzą wykrzywioną uśmiechem, który zdawał się krzyczeć: „Nawet nie próbuj mnie pan oszukać!”, krył się w półmroku i zachowywał jak jakiś śledczy podczas przesłuchania. To było irytujące. Ilja zaczynał już żałować, że w ogóle tu przyszedł.

– Tak, to właśnie mówię – powiedział ze znużeniem Ilja. – Z Rostowa uciekają mutanty. A jeśli nawet któryś zostaje, to głęboko się chowa.

Drzwi w gabinecie-służbówce były zamknięte. W małym, ciasnym pomieszczeniu panowała taka duchota, że pot lał się strumieniami. Od lampy czuć było silną woń nafty i kopci. Miało się ochotę wstać i jak najszybciej stąd wyjść. Ale przesłuchanie wciąż trwało.

– I twierdzisz, że widziałeś jakąś chmurkę, przed którą rzekomo wieją mutanty? – Inżynier zadawał to pytanie już trzeci albo czwarty raz.

– Nie wiem, czy to chmura, czy nie chmura, ale ZDAJE MI SIĘ, że mutanty zwiewają właśnie przed nią – wycedził Ilja.

Inżynier kiwnął głową z głęboką zadumą, jakby nie dostrzegając jego irytacji.

– My też zauważyliśmy, że mutanty w ostatnich dniach zachowują się hmm... nieco dziwnie, ale żeby przed czymś uciekały... Nie wiem, nie wiem...

Ilja westchnął:

– Moim zadaniem było uprzedzić. I zadanie wykonałem.

Wstał z rozchwianego, koślawego krzesła. No bo naprawdę, po co ma siedzieć? Ile można przelewać z pustego w próżne?

Silna dłoń chwyciła go za łokieć.

– Zaczekaj, Mag, nie śpiesz się tak. Jeszcze nie skończyliśmy.

Po stacji rozniosło się przenikliwe wycie frezarki. Inżynier zaklął i otworzył drzwi na oścież. Krzyknął ze złością gdzieś w oświetloną przez ogniska przestrzeń:

– Przerwać pracę! Prosiłem przecież!

– Toć nie nadążamy, panie Inżynierze! – zahuczał ktoś basem. – Nie skończymy w terminie zamówienia z Diaspory. Musimy jeszcze dla nich zmontować dwie rolety do straganów.

– Cholera jasna! Pół godziny nikogo nie zbawi. Mam ważną rozmowę. Więc nie przeszkadzać!

\* \* \*

Frezarka ucichła.

Inżynier trzasnął drzwiami i znów usiadł na swoim miejscu. Milczał przez chwilę, patrząc spode łba. Potem znów zaczął mówić:

– Czyli tak, Magu. Wysłuchałem cię uważnie. A teraz coś ci wyjaśnię.

Dziś straciłem trzech stalkerów. Wszyscy trzej poszli w stronę lotniska. Potem zginęło jeszcze dwóch, których wysłałem w to samo miejsce na poszukiwania.

– Współczuję.

– Pięciu ludzi w ciągu jednego dnia to odczuwalna strata dla stacji. Ale teraz nie o tym... Ani pierwsza, ani druga grupa nie informowały o niczym podobnym do tego, co ty opowiadasz. A nawiasem mówiąc, mieli radiostacje, przy hermetycznych grodziach dyżuruje posterunek, który odbiera wszystkie wiadomości od stalkerów i natychmiast mi o nich melduje.

– Jeśli twoi stalkerzy niczego nie przekazali, to znaczy, że nie zdążyli. – Ilja wzruszył ramionami. – Sam ledwo zszedłem stworom z drogi. Mutanty waliły nieprzerwanym strumieniem i...

– Ależ to już słyszałem – Inżynier skrzywił się i machnął ręką.

– Nie wierzysz mi... Kozak może wszystko potwierdzić.

– Naprawdę? – Inżynier uśmiechnął się. – Ale z jakiegoś powodu nie ma go tu. A to szkoda, nie? Ty jesteś, a jego nie ma.

Ilja zasepił się.

– W sumie, kiedy się rozstaliśmy, Kozak od razu poszedł do metra.

Tyle że, jak się zdaje, nie doszedł. Ani do Selmasza, ani do Ordżonikidze.

Na pewno nie zatrzymałby się w spelunkach tej drugiej stacji i w czasie, kiedy Ilja kluczył na powierzchni, Kozak prostą drogą, tunelami, dotarłby już do stacji Selmasz.

Tu go jednak nie widzieli.

– Na piechotkę poszedł, tak? – Szyderczy uśmiezek nie schodził z ust Inżyniera. – Zostawił opancerzony samochód i podreptał na nogach. Bez amunicji, z samą szablą. Jakoś nieskładnie ci to wychodzi, Mag.

– Mówiłem przecież, naboje nam się skończyły, a samochód rozpirzyły mutanty.

– Aha – mruknął znów z niedowierzaniem Inżynier. – Mówiłeś. O stworach, przed którymi nie chroni nawet pancierz. A po co wy się w ogóle rozstaliście, ty i Kozak, co, Magu? We dwójkę byłoby przecież bezpieczniej. Przyszlibyście do nas razem.

– Inżynierze, czy ty mnie w ogóle słuchałeś?! – wybuchnął Ilja. – Chciałem się dostać do stacji Port Lotniczy. A Kozak miał sprawę do załatwienia.

– No tak, no tak. – Naczelnik stacji wciąż zimno uśmiechał mu się w twarz. – Niebiescy go zaprosili. Żeby poszperał w ich podziemiach. Za naboje. Ty wierzysz w to, co wymyśliłeś?

Tak, w coś takiego trudno uwierzyć, ale...

– Po co miałbym kłamać? – spytał zmęczonym głosem Ilja.

– A po to. – Inżynier nagle przestał się uśmiechać. Jego głos zabrzmiał sucho i groźnie. – Przecież wszystko mogło być inaczej.

– Jak inaczej?

– No, popatrz... Przychodzisz do mnie i zaczynasz opowiadać jakieś niestworzone historie o uciekających mutantach, o Kozaku, któremu rozbiły wóz pancerny, o jakiejś chmurze na horyzoncie. Przy tym w magazynku twojego automatu nie ma ani jednego naboju, a lufa jeszcze pachnie prochem.

– I co w tym dziwnego?

– W tym właśnie rzecz, że nic. Cała linia wie, że oszalałeś na punkcie zemsty na mutantach.

– No i?

Ilja zacisnął pięści. Nie lubił, kiedy tak ktoś o TYM mówił...

– A trudno się pewnie mścić, kiedy nie ma się naboju, co? – Inżynier świdrował go wzrokiem. – Masz przecież wieczny niedobór amunicji, zgadza się?

Ilja nie odpowiedział. Nie mógł zrozumieć, do czego zmierza Inżynier.

– Moi stalkerzy byli dobrze wyekwipowani, ale jeśli podejść ich z zasadzki... A ty dobrze znasz całą okolicę lotniska.

Teraz Ilja zrozumiał.

– Co ty, Inżynierze? Chcesz powiedzieć... że ja... twoich ludzi?...

– A dlaczego mam wykluczyć taką możliwość? Stuknąłeś stalkerów, zadekowałeś broń i naboje. Ekwipunek też schowałeś, na handel. Pięć kompletów sprzętu, wychodzi całkiem nielecho. Można uznać, że problem amunicji został rozwiązany. Będzie się można mścić i mścić na tych mutantach.

– Bzdura! A po co w takim razie tu przyszedłem?

Inżynier wzruszył ramionami.

– Na razie tego nie rozumiem. Może po prostu mutanty cię zagoniły? A może liczyłeś na to, że nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, żeby o zabójstwo podejrzewać człowieka, który sam zjawił się na stacji, z której wyszli zabici przez ciebie.

– A ty, znaczy się, podejrzewasz.

– A ja podejrzewam.

Przez sekundę albo dwie patrzyli sobie w oczy.

– Zrobiłeś się za bardzo podejrzliwy, Inżynierze.

– No, tak... – Naczelnik Selmasza rozłożył ręce. – Inaczej człowiek nie przeżyje. Wszystkich dziś trzeba podejrzewać, i tych z Ordżonikidze, i z Diaspory, i tych z centrum, i z zachodu, i czerwonych, i niebieskich... A takie świry samotnicy jak ty, Magu, to w ogóle są najbardziej podejrzani.

Ilja nabrał ochoty, żeby wyróżnąć w tę beczelną, zadufaną w sobie mordę. Na odlew. Od serca. Może by nawet nie wytrzymał, ale ktoś cichutko zapukał do drzwi.

– No? – warknął z niezadowoleniem Inżynier.

Drzwi się uchyliły. Do stacyjnego pomieszczenia służbowego zajrzała wąsata fizjonomia. W świetle lampy naftowej blado błysnęła lufa automatu.

– Słuchaj, Inżynierze, jest taka sprawa...

– Co?

– Drezyna przejazdem z Ordżonikidze.

– I?

– Ludzie z Diaspory wracają z wypadu.

– Powiedz im, że zamówienie będzie wkrótce gotowe. Sami im dostarczymy. Niech jadą dalej.

– Nie, nie – wąsacz pokręcił głową. – Oni chcą coś opowiedzieć. Mówią, że to ważne.

– A nie mogą poczekać?

– Nie mogą. Bardzo im się śpieszy.

Inżynier splunął.

– Dobra, zawołaj ich tu. Albo nie... – spojrział z ukosa na Ilję. – Zaraz sam wyjdę. A ty popilnuj na razie Maga. Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy.

\* \* \*

Inżynier wrócił po około dwudziestu minutach. Ponury, zakłopotany i wyraźnie zmartwiony.

Ilja obserwował go w milczeniu. Z zewnątrz dobiegł stukot kół przejeżdżającej przez stację drezyny.

– Ten tego... wybacz, Magu – wymamrotał głucho Inżynier. – Twoje informacje się potwierdziły. Niepotrzebnie na ciebie naskoczyłem.

Ilja zaczął się niepokoić. Minęła uraza, pojawiła się obawa.

– Co się stało?

Naczelnik ciężko opadł na krzesło.

– A to, że ta twoja chmurka dotarła już do Ordżonikidze.



Szybko – pomyślał Ilja. I kalkulował w myślach: jeśli nakryło Ordżonikidze, to Port Lotniczy na pewno też. Tylko co to właściwie jest?

– Ci z Diaspory zatrzymali się tam w jakiejś spelunie – ciągnął Inżynier.  
– Widzieli, jak z powierzchni zszedł tamtejszy stalker. Z całej grupy ocalał tylko jeden człowiek. I opowiadał takie rzeczy, że ci z Diaspory zapomnieli i o popijawie, i o panienkach. Od razu wyrwali do swoich. No, i mnie po drodze ostrzegli, żebym nie otwierał stacji.

– Ale w czym rzecz, Inżynierze?! – Ilja stracił cierpliwość. – Co powiedzieli ci z Diaspory?

Inżynier westchnął.

– To, co widziałeś, to nie chmura, nie dym i nie burza piaskowa.

Ilja czekał na ciąg dalszy.

– To rój.

– W jakim sensie?

– W takim, że to owady. Tak mówią...

Ilja popatrzył na Inżyniera ze zdziwieniem. Czyli mutanty ratują się przed jakimiś robakami? W oczach Inżyniera wyraźnie widać było zatroskanie i strach. Dlaczego?

– Co jeszcze mówią? – zapytał Ilja.

– Podobno nieźle z nich bydlaki. Każdy stwór jest niemal wielkości człowieka. Pożerają wszystko jak leci. Przypominają mrówki, tyle że latające. Czy raczej skaczące... no... jakby szybujące... ze skrzydełkami... – Inżynier wydał z siebie nerwowy śmiech. – Są też bardzo podobne do szarańczy. W sumie coś pomiędzy przerośniętymi mrówkami a gigantyczną szarańczę. Krótko mówiąc, mrówańcza. Ci z Ordżonikidze tak je właśnie nazwali.

Mrówańcza...

Ilja skulił się. Nieprzyjemne słówko.

– I dużo jej jest? Tej mrówańczy?

Pytanie było w sumie nie na miejscu. Sądząc z tego, co widział...

– Mnóstwo. – Na poblaskłych wargach Inżyniera rysował się grymas. – Stalker z Ordżonikidze powiedział, że szumiało całe niebo.

Ilja zaczął się zastanawiać.

Wszystko wskazywało na to, że powrót do Portu Lotniczego trzeba będzie teraz odłożyć na nieokreślony czas.

– Wysłałem na górę paru obserwatorów – powiedział Inżynier. – Może mrówańcza nie dotrze aż do nas, może zatrzyma się na Ordżonikidze, może przejdzie bokiem...

Może, może, może... Głos Inżyniera brzmiał niezbyt pewnie. Zresztą Ilji też nie chciało się wierzyć w podobny obrót wydarzeń. Coś mu podpowiadało: ten rój potrzebuje całego miasta. Calutkiego. Wątpliwe, by mrówańcza ograniczyła się tylko do osiedla Ordżonikidze. Ilja złapał się na tym, że myśli o roju jak o czymś mającym rozum i wolę, jakby była to jedna gigantyczna istota. Nie rój, tylko Rój. Wielką literą.

W pomieszczeniu służbowym zapadła ciężka cisza.

Inżynier wstał i zaczął chodzić po ciasnym pokoiku tam i z powrotem.

– Dobrze by było, gdyby latające mutanty skierowały się na południe, za Don – kalkulował cicho Inżynier, jakby rozmawiając sam ze sobą. – Albo gdyby ta... mró... mrówańcza... skreśliła w stronę Czkałowa, Temernika i Północnego Kompleksu... Ominęłoby nas...

Ilja westchnął. I kogo ty próbujesz uspokoić, Inżynierze? Siebie?

Naczelnik Selmasza przypominał mu teraz szamana skaczącego z bębenkiem wokół ogniska. Tyle że tym gdybaniem dużo się nie naszamani.

Znów rozległo się pukanie do drzwi. I znów na progu pojawił się tamten wąsaty człowiek z automatem. Minę miał zaniepokojoną, by nie powiedzieć wystraszoną.

– Co tam znowu? – Inżynier zmarszczył brwi.

Wąsacz wskazał wzrokiem w górę i powiedział tylko jedno słowo:

– Obserwatorzy...

Potem zerknął z obawą na Maga, nie decydując się mówić dalej przy obcym.

W żółtym świetle lampy naftowej widać było, jak Inżynier blednie.

– Jak to? Już?

Wąsacz kiwnął głową nerwowo.

– Zaczekaj – rzucił Inżynier Ilji, nie odwracając się, i wypadł z pomieszczenia jak rakieta.

Tym razem tak się naczelnikowi śpieszyło, że nie zadał sobie nawet trudu, by dokładnie zamknąć drzwi. Te uderzyły o framugę i nieco się otworzyły.

Inżynier i wąsacz nie odeszli daleko. Przez szczelinę dobiegały do Ilji urywki zdań.

– Mrówańcza... Selmasz... – mówił z przejęciem człowiek z automatem.

– Obserwatorzy... widzieli... nie zdążyli... obaj... tam...

Potem zaczął mówić Inżynier. Cicho, szybko i niewyraźnie.

A po paru sekundach na stacji zapanował ruch. Ludzie zaczęli biegać. Zabrzęczał metal.

– Zamknąć wewnętrzne grodzie hermetyczne! – zabrzmiał czyjś rozkaz, zagłuszając tupot i zgiełk głosów.

Coś szcęknęło i okropnie – aż zaboląły zęby – zazgrzytał metal o metal.

Do dupy – pomyślał Ilja. – Jeśli Selmasz zamyka drugą zaporę, to znaczy, że jest naprawdę kiepsko.

\* \* \*

Do pomieszczenia służbowego wrócił Inżynier. Opadł na krzesło jak

szmaciana lalka.

– Mrówańcza jest już przy fabryce maszyn rolniczych. I, jak się zdaje, posuwa się dalej. Ogromne stwory ze skrzydłami. Rzeczywiście, jakaś straszna hybryda mrówek i szarańczy. I dużo ich... Roi się od nich w powietrzu tak, że nieba nie widać. Krótko mówiąc, wszystko, co powiedzieli tamci z Diaspory, to prawda. Ale najgorsze jest to, że te mutanty są dobrze zorganizowane i potrafią współpracować. Obserwatorzy zobaczyli, jak mrówańcza niesie w powietrzu jakąś przerośniętą gąsienicę rozmiarów pociągu.

– Gąsienicę? Jak pociąg? – zdziwił się Ilja. Takie mutanty jeszcze po Rostowie nie pełzały.

– Aha. Mrówańcza oblepiła ją ze wszystkich stron i leci razem z nią. Raz podnosi ją w powietrze powyżej budynków, kiedy indziej opuszcza ją na ziemię. I tak ją sobie przenosi...

– I co by to miało znaczyć?

– Nie mam pojęcia. Obserwatorzy też dokładnie nie dojrżeli. Pewnie jakaś ich zdobycz. Widocznie mrówańcza upolowała jakiegoś stwora, ale nie mogła go od razu pożreć, a żal było zostawiać taki łup. No, to ciągnie go ze sobą.

Ilja się skulił.

– Twoi obserwatorzy na pewno to widzieli?

– Tak. – Inżynier spochmurniał. – Widzieli. Poinformowali przez radio posterunek przy zaporze.

– A sami wrócili?

Inżynier odwrócił wzrok.

– Nie zdążyli. Straciłem kolejnych dwóch ludzi. – Po chwili milczenia Inżynier dalej relacjonował: – Mrówańcza nadciąga bardzo szybko. Przemieszcza się szerokim frontem. Zajmuje domy. Te osobniki, dla których

nie starcza miejsca, prą dalej.

– Zajmują domy? – Ilja zaniepokoił się. – A to znowu po co?

Inżynier uśmiechnął się niewesoło.

– Sądzę, że te stwory nie zamierzają w najbliższym czasie się stąd ruszać. Obawiam się, że tam... – Inżynier wskazał palcem w górę – ulokują się teraz na dłużej.

Ilja wstał.

– Co robisz, Mag?

– Czas na mnie. Idę.

– Dokąd?! – wytrzeszczył na niego oczy Inżynier.

– Do siebie. Do domu. Do Portu Lotniczego.

– Całkiem ci odbiło?! Jak się tam dostaniesz?

Ilja wzruszył ramionami. Sam na razie nie wiedział.

– Najpierw przez metro do Ordżonikidze – mruknął Ilja. – Potem...

Potem jakoś przeskoczę górą.

– Jakoś? – Inżynier uśmiechnął się smutno. – Sam? Bez nabojów?

– Kiedy Rój odleci, to myślę, że nie będzie już do czego strzelać.

– A jeśli nie odleci?

– Będę czekał, aż wyniesie się z miasta. Nic się nie bój, Inżynierze.

Wymyślę coś na Ordżonikidze.

– A to nie jeden pies, gdzie będziesz czekał, w spelunach na Ordżonikidze czy u nas?

Ilja nie odpowiedział. Inżynier miał zapewne rację: wielkiej różnicy nie było. Ale mimo wszystko mała stacja Ordżonikidze była bliżej Portu Lotniczego niż Selmasz. Czyli bliżej Oleńki i Sieriożki.

– Pójdę. – Ilja pochylił uparcie głowę i zrobił krok w kierunku drzwi.

Inżynier zastąpił mu drogę.

– Nigdzie nie pójdziesz, Mag – oznajmił zdecydowanym tonem. –

Zostaniesz tutaj.

– A to z jakiej racji? – zdziwił się Ilja.

– A z takiej. Ogłosiłem mobilizację. Od tej chwili ani jeden człowiek nie opuści stacji.

Ilja zmrużył oczy.

– Jeszcze zobaczymy...

Ilja obliczał w myślach odległość z pomieszczenia służbowego, gdzie się znajdowali, do tunelu prowadzącego do Ordżonikidze. Dystans był niewielki. Można się przebić. Nawet bez nabojów. Jeśli wywali teraz Inżyniera razem z drzwiami. Jeśli od razu zbije z nóg każdego, kto stanie mu na drodze. I jeśli będzie szybko biegł. Oby tylko nie zablokowali tuneli kratami.

– Mag – zwrócił się do niego Inżynier już łagodniej i przyjaźniej. – Dziś straciłem siedmiu ludzi. Przydadzą mi się dobrzy żołnierze.

– Nie jestem taki dobry, jak myślisz.

– Daj spokój! – skrzywił się naczelnik. – Tak długo mieszkasz sam na stacji Port Lotniczy. Na twoim miejscu każdy dawno by sfiksował. Więc nie udawaj mięczaka.

Ilja potrząsnął głową z rozdrażnieniem.

– Nie powstrzymasz mnie.

– Kraty cię powstrzymają – zauważył rozsądnie Inżynier. – Kazałem już odciąć tunele.

Niedobrze. Bardzo niedobrze.

– Niech cię szlag! – Ilja ze złością wyrzwał pięścią w stół.

– Uspokój się, Mag. Zróbmy tak... – Ton Inżyniera stał się rzeczowy. – Zostajesz tutaj i jeśli będzie to konieczne, pomagasz mi. A kiedy wszystko się skończy... No, jeśli wszystko skończy się pomyślnie, wtedy rozliczę się z tobą za pomoc. Dogadamy się co do ceny. Nie skrzywdzę cię ani nie oszukam. Wiesz przecież, że dotrzymuję słowa.

– A idź ty!

– Zapłacę ci nabojami, słyszysz? Przecież potrzebujesz naboarów? – Inżynier się uśmiechnął. – Naprawdę, co to za mściciel bez naboarów?

Ilja patrzył ponuro na naczelnika stacji Selmasz. Tak, rozpaczliwie potrzebował naboarów. Nie zamierzał rezygnować z polowania na mutanty. Może i ta wędrowna mrówańcza nie pozwoli mu na razie wściubić nosa poza metro, ale przecież nie utknęła w Rostowie na zawsze! A jak odleci, do miasta zaczną wracać inne stwory. Żabiogłowi, czarni piloci, studenci, helikoptery, chińczyki, botanicy... Brukołaki wygrzebią się z cmentarnej ziemi. Albo pojawią się nowe mutanty, które oczywiście też będą winne śmierci Oleńki i Sieriożki. Bo jeśli nie one, to do kogo ma strzelać? Jak i czym ma dalej żyć?

– Na Ordżonikidze ci takiej propozycji nie złożą – namawiał go dalej Inżynier. – I bez ciebie starcza im ludzi i broni. A amunicji mają mało. I z żarciem u nich cienko. Jeśli sprawa się przeciągnie, to po kiego grzyba im dodatkowa gęba do karmienia?

Ilja odsunął się w ciemny kąt, gdzie nie sięgało światło lampy naftowej. Oparł czoło o zimny beton. Zmrużył oczy.

– Zostań, Iljuszka – szepnęła z mroku Oleńka. – Zostań tutaj. Potrzebujemy cię żywego.

– Poczekaj, tato, naprawdę... – zabrzmiał głos Sieriożki.

Żona i syn znów z nim byli, gdzieś tu, obok. Więc czy warto było wyrwać się do Ordżonikidze?

– Przecież nie znalazłeś jeszcze dla mnie niczego ciekawego, tato.

– Zostań, Iljuszka...

– Dobra – mruknął Ilja, zwracając się do najbliższych.

– A więc zgadzasz się, Mag? – Inżynier bezszelestnie znalazł się za jego plecami. – Czyli umowa stoi?

Ilja otworzył oczy i odwrócił się. Naczelnik Selmasza w jednej ręce trzymał lampę, a drugą wyciągał do Ilji.

Ten zwlekał jeszcze przez chwilę, patrząc na szeroką, mocną dłoń. Potem apatycznie, bez entuzjazmu ją uściskał.

– No, i wspaniale! – wypuścił powietrze Inżynier. – Czuj się jak u siebie w domu. I jeszcze raz proszę cię, pamiętaj, Mag, co złego to nie ja, zgoda?

Ilja nic nie odpowiedział. Inżynier odwrócił się do drzwi i na cały głos krzyknął:

– Bulba!

Na progu znów ukazał się wąsacz z automatem.

– Przyjmij uzupełnienie załogi – polecił Inżynier. – Zakwateruj nam gdzieś żołnierza.

\* \* \*

Bulba (jak się wyjaśniło, również imię wąsatego mieszkańca Selmasza całkowicie odpowiadało przyzwisku – Taras<sup>\*</sup>) przeprowadził Ilję przez stację. Do dyspozycji gościa oddano jednoosobowy namiot na samym skraju peronu przy tunelu do Ordżonikidze.

Światło ognisk ledwie tu sięgało. Dookoła panował przyjemny półmrok. Było niemal przytulnie. Prawie jak w domu.

– Na razie pomieszkaś tutaj – Bulba wskazał zwinięty śpiwór przed namiotem.

Ilja usiadł na śpiworze.

– Wcześniej mieszkał tu nasz stalker – dodał z jakiegoś powodu wąsacz.

Pewnie jeden z tych, którzy dziś zginęli – pomyślał Ilja.

– Dobry był z niego facet...

Bulba dodał to jakby specjalnie, by Ilja dobrze zapamiętał, czyje miejsce zajmuje. To było męczące. Chciał, żeby wąsaty mieszkaniec Selmasza jak



najszybciej sobie poszedł. Chciał w końcu pobyć sam.

Niestety... Bulba przysiadł obok niego na gołej betonowej posadzce i zaczął opowiadać o tym, jakiego kumpla stracił. Chociaż nikt go o te zwierzenia nie prosił. Ilja uprzejmie potakiwał głową, tylko jednym uchem przysłuchując się zwierzeniom Bulby, i przyglądał się stacji.

Krzątanina już ucichła. Przygotowania do oblężenia były zakończone. Mieszkańcy Selmasza zrobili wszystko, co się dało zrobić. Teraz pozostało im tylko czekać nie wiadomo na co. I on, Ilja, będzie musiał czekać razem z tymi ludźmi, czy tego chce, czy nie.

W gruncie rzeczy nie chciał. I to bardzo. Naprawdę dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak odwykł od towarzystwa ludzi. Marzył, by schować się w namiocie, zagrzebać po uszy w czyimś śpiworze i porozmawiać z Oleńką i Sieriożką, ale przeszkadzał mu w tym mamroczący nad uchem Bulba.

Ilja był zmuszony przytwierdzać mu w milczeniu głową. Rozglądał się wokół.

\* Taras Bulba – tytułowy bohater noweli Nikołaja Gogola o Kozakach zaporoskich (przyp. tłum.).

## Rozdział 5 | Selmasz

Stacja Selmasz nie przypominała innych stacji rostowskiego metra. Oczywiście była tu tak jak i wszędzie przestrzeń mieszkalna zastawiona namiotami i podobnymi do plastra w ulu miejscami do spania, a pod ścianami wznosiły się wielopiętrowe skrzynki do hodowli grzybów. Ale przy tym Selmasz budził silne skojarzenia, jeśli nie z halą fabryczną z prawdziwego zdarzenia, to z dużą manufakturą.

Jak szkielety nieznanymi jeszcze mutantów z półmroku wyłaniały się agregaty prądotwórcze i niewielkie warsztaty. Miejscowi rzemieślnicy przynieśli je w częściach z mieszczącej się nieopodal fabryki maszyn rolniczych, a potem znów złożyli je w całość i zainstalowali już pod ziemią.

Znaczny fragment przestrzeni stacji i przylegających do Selmasza tuneli była zawałona ślusarskimi narzędziami, częściami i prefabrykatami, których końcowego przeznaczenia można się było tylko domyślać. Pod ścianami walał się metalowy złom, którego albo nie zaczęli jeszcze przetwarzać, albo nie zdążyli wynieść na powierzchnię. Z ogrodzonych arkuszami blachy hałd sterczały rury, pręty zbrojeniowe, masywne sztaby, mniej i bardziej zardzewiałe fragmenty maszyn i mechanizmów. Ze ścian zwisały liny, łańcuchy i haki. Pod nogami walały się zwoje drutu, kawałki kabli i wiązki odsłoniętych przewodów.

Z rupieci, które skrupulatnie wybierali i znosili tu miejscowi stalkerzy albo które mieszkańcy Selmasza skupywali za bezcen od sąsiednich stacji,

z czasem powstawały niezbędne w prymitywnej gospodarce metra przedmioty.

Oczywiście nie produkowano tu rzeczy zaawansowanych technologicznie. Ale proste wyroby z gatunku „tanio i solidnie” podziemna fabryka wykonywała szybko, niedrogo, a przede wszystkim dość dobrze. Potrafili też tu naprawić lub od nowa wytoczyć na tokarce dowolną część, której nie udawało się odszukać na powierzchni.

Padł wirnik agregatu? Zużyły się zasuwy hermetycznej zapory? Nawalił wentylator na stacji albo pojawiły się problemy z filtrem czyszczącym? Brakuje perforowanych skrzynek do hodowli grzybów? Całkiem zdezelował się karabin, a na nową broń jeszcze nie zarobiłeś? Cała linia wiedziała: z takimi problemami prosto na Selmasz.

Nawiasem mówiąc, w pierwszych latach po Wojnie to właśnie mieszkańcy tej stacji skleccili z tego, co znaleźli pod ręką, kilka lekkich i wygodnych w eksploatacji drezyn i wagoników, które stały się uniwersalnym środkiem transportu w metrze. Odkupowane po kilka razy pojedyncze pojazdy szynowe, napędzane ręcznie i szczipione w pary, po dziś dzień sprawnie kursują po czerwonej linii, choć należą teraz do różnych stacji.

Selmasz, rzecz jasna, nie biedował. Oprócz ogromnej jak na metro produkcji, mieszkańcy stacji mogli się też pochwalić potężnym systemem obrony, stworzonym głównie dzięki owej materialno-technicznej bazie i mistrzostwu tutejszych złotych rączek.

Wąskie otwory szybów wentylacyjnych były od zewnątrz przysłonięte tak gęstymi warstwami ochronnymi sit i siatek, że do filtrów docierał tylko radioaktywny pył, który też szczęśliwie już w nich pozostawał.

Wyjście na powierzchnię zasłaniały ciężkie hermetyczne wrota. Wzmocnione grubymi płytami pancernymi, mogłyby pewnie wytrzymać

napór czołgu, a co dopiero żywego stwora. Na dole, pod ruchomymi schodami, znajdowały się równie solidne wewnętrzne wrota, też zespawane z płyt pancernych i zamykane w niebezpiecznych chwilach. Dodatkowe wrota były wyposażone w otwory strzelnicze, tak że dwa–trzy karabiny maszynowe mogły w zamkniętej przestrzeni nad schodami urządzić z rykoszetów morderczą maszynkę do mięsa. Trudno było nawet przypuścić, że jakikolwiek mutant z powierzchni zdołałby przedrzeć się przez taką zaporę.

W głębi tuneli prowadzących z Selmasza do Ordżonikidze i stacji Diaspory też znajdowały się wzmocnione punkty ogniowe i stalowe kraty, dzięki którym dosłownie w sekundę można było zagrozić podejście do stacji. Ta zapora była prostsza. Chroniła stację nie przed mutantami, lecz przed sąsiadami, których zazdrość o dobrobyt Selmasza mogła kiedyś wziąć górę nad ostrożnością.

Sądząc ze słów Inżyniera, tunele były już zakratowane. Cóż, zwykła sprawa: kiedy nad metrem zawisa poważne zagrożenie, każdy dba o siebie. Każda ze stacji stara się odgrodzić swój mały świat i przetrwać samodzielnie. O pomocy sąsiadom w takich wypadkach nie ma nawet mowy – byle tylko ocalić własny kawałek metra.

\* \* \*

Bulba skończył wreszcie opowiadać o swoim kumplu stalkerze, którego miejsce w namiocie zajął Ilja. Jednak nie wyglądało na to, żeby wąsaty mieszkaniec Selmasza zamierzał odejść. Co więcej, do namiotu na skraju peronu zbliżyło się jeszcze kilku ludzi. Z czego Ilja już zupełnie nie był zadowolony.

Wywiązała się bezsensowna rozmowa o niczym.

Jakie z tych ludzi jednak gadatliwe stworzenia – myślał ze smutkiem Ilja.

– Jak wiele słów wypowiada się na próżno, bez żadnego sensu i bez najmniejszej potrzeby!

Tak, odzwyczaił się od ludzi, bardzo się odzwyczaił.

Tymczasem rozmowa płynnie i niepostrzeżenie zeszła na temat Ilji. Stało się jasne, że to właśnie on przyciąga mieszkańców stacji niczym magnes. No, chyba! Obcy... I to jaki! Pustelnik, Mag. Jak tu opanować ciekawość?

Chociaż zapewne sedno tkwi nie w ciekawości. W każdym razie nie tylko w niej. Po prostu pusta paplanina pomaga zmniejszyć napięcie i odpędzić strach. Niezobowiązujące pogaduszki pozwalają choćby na jakiś czas oderwać się i nie myśleć o najważniejszym – że ich rodzinne miasto właśnie w tej chwili zajmują gigantyczne owady.

– Słuchaj, Magu – znów odezwał się Bulba. – Jak myślisz, na długo mrówańcza do nas zawitała?

Nie, mieszkańcy Selmasza nie zapominali o mrówańczy nawet na chwilę. Siedzący dookoła ludzie umilkli, oczekując odpowiedzi od Ilji.

– Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami.

Skądżeż miał to wiedzieć? Jednak połyskujące w półmroku oczy z jakiegoś powodu patrzyły na niego tak, jakby wiedział.

– A to prawda, że rozumiesz język wszystkich mutantów? – włączył się do rozmowy młody chłopak z długimi brudnymi włosami.

Kudłaty patrzył na niego z szeroko otwartymi oczami.

– Kłamstwo – burknął Ilja.

Bo rzeczywiście, co to za brednie?

Jego odpowiedzi jakby nikt nie usłyszał.

– Mówią też o tobie, że niby umiesz zamawiać stwory – odezwał się znów Bulba.

Ach, więc o to chodzi! Czyżby ludzie z Selmasza poważnie liczyli na to, że wyjdzie zaraz na zewnątrz, raz dwa dobije targu z plemieniem mrówańczy

i rozwiąże wszystkie problemy? Może Inżynier zostawił go na stacji właśnie dlatego? Tak na wszelki wypadek, a nuż pomoże...

– I co, umiesz? – Bulba nie dawał mu spokoju.

– Nie umiem – uciął Ilja.

– W takim razie jak wytrzymałeś tyle czasu sam w Porcie Lotniczym? –

W głosie Bulby dały się słyszeć uraza i niedowierzanie.

– Nie jestem sam – wyrwało się Ilji.

– Co? – Bulba wytrzeszczył oczy. – W jakim sensie nie jesteś sam?

Pozostali słuchacze przysunęli się z ciekawością.

– Nieważne. – Ilja ugryzł się w język: nie muszą wiedzieć o Oleńce i Sieriożce.

Niedopowiedzenie jednak tylko zaintrygowało miejscowych.

– Mówią też, że mutanty się ciebie boją – powiedział znów niepewnie kudłaty chłopak.

– No... – Ilja uśmiechnął się ponuro. – To możliwe. Teoretycznie.

Ile stworów już sprzątnął? Niemało. Więc rzeczywiście, dlaczego nie miałyby się go bać?

– Aha – Bulba uśmiechnął się triumfalnie. – A jeśli się ciebie boją, to znaczy, że możesz je też zamawiać, zgadza się?

Dziwna logika. Raczej branie pobożnych życzeń za rzeczywistość.

– Nie zgadza – westchnął zmęczony Ilja. – To wszystko bajdy.

Rozczarowanie otaczających go ludzi odczuł niemal fizycznie. Ciężkie westchnięcia, spuszczone głowy, przygasłe spojrzenia... No tak, nadzieja, że Mag posiada tajemną moc, rozwiała się jak dym.

Głupcy! Czyżby nie rozumieli: gdyby umiał choć połowę z tego, co przypisują mu plotki, to nie siedziałby tu teraz z nimi.

\* \* \*

– Może niebiescy poradzą sobie z mrówańczą – zabrzmiał po krótkiej pauzie czyjś ochrypły głos.

Z półmroku wysunęła się brodata twarz. Jakiś starszy mieszkaniec Selmasza przysiadł się bliżej.

– Ty jak coś powiesz, wujku Miszo! – prychnął Bulba. – Gołodupcy, żukojady przeciwko mrówańczy! I co oni jej mogą zrobić?

– Zeżreć – kudłacz zachichotał nerwowo.

Żart nie spotkał się ze zrozumieniem. Nikt nawet się nie uśmiechnął.

Brodacz kontynuował, jakby nie dostrzegając sceptycznych reakcji towarzyszy.

– Niebiescy hodują sobie owady do jedzenia, tak?

– No, tak – zgodził się Bulba.

– Skrzynki z jadalnymi żukami i robakami stoją u nich wszędzie, tak jak u nas plantacje grzybów, tak?

– Faj, paskudztwo! – Bulba skrzywił się. – No, przypuśćmy, że stoją, i co z tego?

– A no to, że mrówańcza to przecież takie same robaki, tylko duże.

– Hmm... – Bulba zamyślił się. – No, pewnie tak.

– A jeśli niebiescy wiedzą, jak hodować różne żuki, to może podpowiedzą, czym je można wytępić. Wiecie, jakaś trucizna, czy coś. Przecież oni poznali te robale jak własną kieszeń.

W sumie gada sensownie – pomyślał Ilja. – Jeśli ktoś w metrze wie, jak pozbyć się mrówańczy, to tylko niebiescy.

Jednak mieszkańcy Selmasza nie podzielali jego entuzjazmu.

– No tak, jeszcze jak poznali! – Bulba skrzywił się. – A przypomnij sobie te... latające piranie, które o mało co niebieskich nie pożarły. Albo meszki, co to je żukojady rozmnożyły na swojej linii.

– Jakie piranie? – Kudłacz poderwał się. – Jakie meszki?

– Co ty, nie słyszałeś? – Bulba odwrócił się do niego ze zdziwieniem. – Podobno w którymś z tuneli u niebieskich załęgły się jakieś muchy czy ślepaki, które wylatują wprost ze ściany i w kilka sekund ogryzają człowieka do kości. A potem z powrotem zagrzebują się w ścianach tunelu i siedzą, aż znów zgłodnieją. W tym tunelu nikt nie mieszka. Żukojady starają się nawet tamtędy nie chodzić. A jak poświecić tam latarką, to widać szkielety.

– Ożeż! – Kudłacz skulił się. – A te meszki? Co to takiego?

– Te są w innym tunelu. Jest tam, zdaje się, boczne wyjście na powierzchnię. Ale niebiescy w ogóle z niego nie korzystają. Cały jest zapchany meszkami. Drobniutkie takie, wirują całymi chmurami, siedzą na ścianach i suficie. Jakim sposobem to żyje, nie wiadomo. I dlaczego meszki upatrzyły sobie właśnie to miejsce, też nikt nie wie. Ale człowiek nie może tam wejść.

– Też go pożrą?

– No, całego pożreć, to może i nie pożrą. To w końcu nie latające piranie. Ale oczy podobno wyjedzą, nawet mrugnąć nie zdążysz. A do tego zapychają uszy, nos i gardło, tak że ani zipniesz. I do samych flaków włązi, zaraza.

– A gdyby tak... – kudłaty podrapał się w głowę – założyć skafander ochronny i maskę przeciwgazową?

– Nie pomaga – zaprzeczył stanowczo Bulba. – Meszki zalepią wizjer i zatkają filtr, więc tak czy inaczej, raz dwa oślepniesz i się udusisz. I choćbyś to cholerstwo gonił, gniótl, to i tak kaput.

– I co, czy naprawdę to sami niebiescy ściągnęli sobie to paskudztwo na głowę?

– No... – Bulba zawahał się. – Właściwie to nie mam pewności. Być może te owady dostały się do metra z powierzchni. Ale najprawdopodobniej niebieskim coś nie wyszło na owadzich fermach, no i powstały jakieś mutanty.



Ludzie z Selmasza zamilkli. Ale cisza nie trwała długo.

– Słyszałem niedawno od tych z Diaspory jeszcze jedną historię – odezwał się ostrożnie kudłaty chłopak. – Też o niebieskiej linii.

No nie – pomyślał Ilja.

Najbardziej niedorzeczne i niewiarygodne bajki o metrze były związane z tą linią. Pewnie dlatego, że te bajdurzenia trudniej sprawdzić od bzdur o czerwonej stacji. Ilja nieszczęśliwie w te pogłoski wierzył. O nim, jak się okazało, też krążą plotki, że hej... I że język mutantów niby zna, i że stwory zamawia...

– Co to za historia? – Bulba zainteresował się pogłoskami zasłyszczanymi przez kudłacza.

– Mówią – zaczął tamten stłumionym głosem – że na niebieskiej linii są miejsca, gdzie ciemność może człowieka zabić.

– Jak to?

– A tak. Idziesz sobie tunelem, a potem światło nagle samo ci gaśnie. I nieważne, z czym idziesz, ze świecą, pochodnią czy latarką. Jeden pies, ciemność nakrywa wszystko dookoła jak kloszem. Gęstą, choć oko wykol!

Ludzie z Selmasza słuchali z rozdziawionymi ustami. Widocznie opowieść była z tych nowych.

– A tam, to choćbyś pstrykał latarką, zapalniczką, choćbyś chciał zapalić zapałkę, światła i tak już nie zobaczysz. A potem... potem...

Jak się zdawało, opowiadający przestraszył sam siebie. Chłopak kurczowo przełknął ślinę, zerknął lękliwie na nieprzenikniony mrok tunelu za skrajem peronu. Mimo to kontynuował:

– Krótko mówiąc, potem ciemność zaczyna gęstnieć, zwała ci się na pierś, na twarz jak materac. Przygniata cię do ziemi, do ściany, albo ściska na miejscu i zaczyna dusić.

– I co? – zapytał Bulba.

Kudłaty wzruszył ramionami.

– Wreszcie człowiek nie może się już ruszyć z miejsca i w końcu się dusi.

– Może to wcale nie ciemność? – przypuścił brodaty wujek Misza. – Może jakiś stwór?

– Neeee – chłopak potrząsnął kudłami. – Stwór odgryzłby chociaż kawałek. Inaczej po co miałyby w ogóle atakować? A te trupy znajdują nieruszone. Tylko z wytrzeszczonymi oczami i wywalonym językiem.

\* \* \*

Ilja dosłuchał do końca nieskładnej opowieści kudłacza i uznał, że chyba mu na dziś wystarczy. Sięgnął po śpiwór z mocnym zamiarem wpełznięcia do namiotu i odgradzenia się wreszcie od natrętnych miejscowych. Zwłaszcza że ci chwilowo zapomnieli o obcym Magu, który okazał się bezużyteczny, i zaczęli dyskutować między sobą.

Dokładnie w tej chwili znów zaczął mówić Bulba. Przy czym poruszył temat, który Ilję zainteresował.

– A słyszeliście o podziemiach, które odkopały żukojady? – zapytał wąsacz, ścisząc głos.

Ilja wyteżył słuch. Podziemia odkryte przez niebieskich nie wyglądały na kolejne bajdurzenie. Kozak też o nich opowiadał.

– Podmetro, czy jak? Jasne, że słyszeliśmy – kudłaty pokiwał głową. – Mają tam chyba jakiś labirynt. Wielki jak całe miasto, i schodzi gdzieś głęboko. Ale można w nim mieszkać.

– Aha, tyle że ktoś w tym podmetrze wykańcza niebieskich bez mrugnięcia okiem – wtrącił od siebie wujek Misza. – Mówią, że ściany się tam zaciskają i miażdżą ludzi, a to, co zostaje, wciągają do środka.

– A ja słyszałem co innego – wymamrotał z zakłopotaniem kudłaty. – Że niby zombie tam łążą.

– Daj spokój – brodaty tubylec machnął ręką. – Skąd by się tam wzięły zombie? To przecież nie Północny Cmentarz. Nikogo tam nie grzebali. Teraz wszystkie trupy wyciąga się na powierzchnię...

Brodacz urwał, zerkając na Ilję. „Prawie wszystkie” – dało się wyczytać we wzroku mieszkańca stacji. Ale dobrze, że wujkowi Miszy starczyło rozumu i nie chlapanął na głos o Oleńce i Sieriożce pochowanych na stacji Port Lotniczy.

Niezręczne zająknięcie pozostało niezauważone przez innych uczestników rozmowy. Albo po prostu udali, że niczego nie zauważyli.

– Nooo nie wiem... – powiedział przeciągle kudłaty. – Mało to... Mówią, że to niby zombie...

– Kto albo co by tam żukojadów nie zabijało, wątpię, żeby było to straszniejsze od mrówańczy – znów zabrał głos Bulba. – Inaczej cała niebieska linia wyludniłaby się już w cholerę. A i naszej by się dostało.

– W sumie to tak – zgodził się wujek Misza. – Tu masz rację.

– I tak sobie myślę... – ciągnął wąsacz – że Selmasz utrzymamy. Ale jeśli te stwory – Bulba wskazał palcem w górę – przedrą się na jakąś stację, bariery w tunelach mogą ich nie powstrzymać. A wtedy...

– Co wtedy? – młody kudłacz aż podskoczył.

– Wtedy podziemia niebieskich będą naszą jedyną nadzieją i ostatnim schronieniem.

Przecież o czymś podobnym mówił i Kozak – pomyślał Ilja. – A kiedy różnym ludziom przychodzą jednocześnie do głowy te same myśli, to może mają rację?

– W razie czego wszyscy będą musieli się tam wycofać – ciągnął Bulba. – Tam można się zamurować i przeczekać. Przecież mrówańcza nie zadomowiła się w mieście na zawsze. Zeżre wszystko i gdzieś się wyniesie.

„W razie czego”, czyli... Zdaje się, że czarnowidztwo już opanowuje

stację. A co będzie jutro? Pojutrze? Za tydzień?

– A co z żukojadami? – zapytał kudłaty.

– Jak to co z żukojadami? – Bulba spojrział na niego.

– No, może nie będą chcieli nas wpuścić na swoją linię.

– Jak nie wpuszczą, to usuniemy ich i sami wejdziemy.

– A więc wojna – westchnął wujek Misza.

– A choćby i tak! – Bulba powiódł wzrokiem po współrozmówcach. –

Z kim wolicie mieć do czynienia, z żukojadami czy z mrówańczą?

Nikt nie odpowiedział. Odpowiedź i tak była oczywista.

Rozmowa sama przygasła. Ludzie zaczęli się rozchodzić.

I chwała Bogu.

\* \* \*

Namiot poległego stalkera okazał się gruby i przytulny. Światło z zewnątrz tu nie przenikało. Głosy mieszkańców stacji też ucichły. Gospodarze, ostatecznie straciwszy zainteresowanie Ilją, rozeszli się do swoich legowisk. Nikt głośno nie rozmawiał. Wrażenie było takie, jakby człowiek znajdował się w wielkim zbiorowym grobie, w którym wyznaczono mu ustronny zakątek.

Ilja zawinął się w cudzy śpiwór, zamknął oczy i rozmyślał o podziemnych przejściach odkrytych przez niebieskich... Podmetro żukojadów nie mogło mu wyjść z głowy.

– Musisz tam iść, Iljuszka – szepnęła mu do ucha cichym głosem Oleńka.

– Na niebieską linię. Do podziemi podmetra. Kiedy tylko pojawi się taka możliwość, nie przegap jej, idź.

– Ale po co?

– A po co masz umierać? Ja i Sieriożka umarliśmy. Nie ma w tym nic dobrego, uwierz mi.

– Ale dlaczego od razu umierać, Oleńko?

Westchnęła. Ilja słyszał jej głos przy samym uchu, ale nie czuł oddechu.

– Dlatego że w metrze wkrótce będzie dużo śmierci. Czujemy to. I nie chcemy, żeby śmierć cię zabrała.

– Tak, tato, naprawdę, uciekaj stąd – odezwał się z drugiej strony Sieriożka. – Boimy się.

Sieriożka chyba nawet pociągnął nosem.

– Boicie się? – zdziwił się Ilja.

– Oczywiście, Iljuszka – odezwała się znów Oleńka. – Jesteśmy zawsze tam, gdzie ty. I kiedy ty się boisz, my też czujemy się nieswojo.

– Ja się nie boję – skłamał Ilja. – I wy też nie macie czego.

Niepotrzebnie kłamał. Po co? Oleńka i Sieriożka i tak przenikają go na wylot.

– Uciekaj, Iljuszka – ni to poprosiła, ni to poradziła mu jeszcze raz nieżyjąca żona. – Musisz iść do niebieskich. Po prostu musisz i tyle.

Po prostu musisz. Co ona ma na myśli?

– O czym mówisz, Oleńko?

Ktoś szarpnął powłokę namiotu.

Oleńka i Sieriożka umilkli.

– Mag! – rozległ się głos Bulby. – Z kim rozmawiasz?

– Z nikim – burknął Ilja. – Nie uczyli cię, że niegrzecznie jest wchodzić bez pukania?

– Ha, jacy my nieśmiali! – parsknął wąsacz. – Czarujesz tam, czy jak?

Dało się słyszeć ciche brzęczenie. Ciemność przecięło światło żuczka – latarki na dynamo. Zimna niebieska smuga, która dla nieprzywykłych oczu wydała się oślepiająco jasna, omiotła wewnątrz namiotu.

Ilja czuł rosnące rozdrażnienie. Ciekawość to oczywiście nie wada, ale świństwo jak najbardziej!

– Czego chcesz? – Ilja zmrużył oczy i osłonił je ręką.  
– Inżynier kazał nam iść na dyżur przy wejściu. Między zapory.  
– Dlaczego koniecznie między? – zdziwił się Ilja. – A przed wewnętrzną nie wystarczy?

– Tam... – Bulba głośno przełknął ślinę – tam lepiej słyhać...

– Co słyhać? – Ilja nie zrozumiał.

– Mrówańczę.

Ilja chrząknął:

– I co, Inżynier myśli, że się z nią dogadam?

– Nie wiem, co on tam sobie myśli. – Sądząc z pauzy i niezadowolonego tonu Bulby, to przypuszczenie mogło się okazać słuszne. Inżynier miał chyba jeszcze jakieś złudzenia co do nadnaturalnych zdolności gościa z Portu Lotniczego. – Ale rozkaz to rozkaz. Trzymaj...

Na śpiwór poleciał magazynek do automatu. Jego waga podpowiadała, że był naładowany nie mniej niż do połowy.

– To na wartę – wyjaśnił Bulba. – Jeśli będzie spokój, oddasz. Idziemy.

\* \* \*

Posterunek rzeczywiście zainstalowano między jedną a drugą zaporą, na prowadzących w górę ruchomych schodach.

Z dołu, z otworów strzelniczych w wewnętrznych drzwiach, spoglądała gardziel cekaemu i lufy dwóch automatów. Tam też czuwali wartownicy i Ilja nie potrafił przestać myśleć o tym, że w wypadku zagrożenia ludzie z Selmasza mogą z łatwością podziurawić za jednym zamachem mutanty oraz jego i Bulbę.

Niewielkie ognisko, rozpalone wprost na zardzewiałych stopniach ruchomych schodów, skąpo oświetlało półokrągłe sklepienie, z którego odpadał tynk.

Pod sufitem czerniał rząd prostokątnych otworów osłoniętych metalową siatką: wzdłuż schodów ciągnął się główny szyb wentylacyjny. Mrówańcza nie mogła przedostać się na stację ani przez jego zewnętrzną osłonę, ani przez górną zaporę hermetyczną. Sama – nie, ale za to wydawane przez nią dźwięki...

Tak, okazało się, że Bulba miał rację. Słyszać tu było dobrze. Aż za bardzo. Niezwykły efekt akustyczny robił wrażenie... Zresztą jakie tam „wrażenie” – budził paniczny strach.

Szum przenikający z zewnątrz, a potem, w środku, zniekształcany i wzmacniany przez echo, wypełniał całą zamkniętą przestrzeń nad martwymi schodami. Dochodzące z powierzchni dźwięki dobitnie świadczyły o tym, że mrówańcza opanowała miasto.

Coś uporczywie skrobało o płyty pancerne zewnętrznej zapory. Coś szeleściło i cicho chrobotowało nad szybami wentylacyjnymi.

I jeszcze... Ucho wyraźnie rozróżniało jakieś dziwne...

Cykanie? Świergot? Ilja wsłuchał się. To było możliwe, nawet bardzo.

Czyrik-chi, czyrik-chi. Czyrik-chi, czyrik-chi. Czyrik-chi, czyrik-chi...

Na górze nie milkł przerażająco jednostajny i nieprzyjemnie zgrzytliwy wielogłos.

Czyrik-chi, czyrik-chi. Czyrik-chi, czyrik-chi. Czyrik-chi, czyrik-chi...

Oto język mrówańczy... Zresztą nie był to raczej język w zwykłym, ludzkim rozumieniu. Najprawdopodobniej mrówańcza wydawała te dźwięki jak pasikoniki czy świerszcze przez pocieranie tylnych odnóży o pokrywy skrzydeł. Hmm... Tylko te odnóże są ogromne.

A może to wszystko wygląda inaczej? Zwykle robaczki trą o pokrywy skrzydeł odnóżami dlatego, że miniaturowe rozmiary nie pozwalają im wydawać głośnych dźwięków krtanią. Ale jeśli, jak mówią, każdy osobnik jest nie mniejszy od człowieka, to...

Czyrik-chi, czyrik-chi. Czyrik-chi, czyrik-chi...

Wysłuchując się w odgłosy niewidocznych stworów, Ilja próbował wyobrazić sobie, jak w rzeczywistości może wyglądać hybryda gigantycznej mrówki i ogromnej szarańczy. Szło mu to z trudem. Za mało informacji. Żeby coś takiego pojąć, trzeba by to zobaczyć.

Ilja zauważył, jak ukradkiem zerka na niego Bulba. Ciekawe, co on sobie wyobraził?

– Słuchaj, Bulba, mówiłem przecież, że nie potrafię porozumiewać się z mutantami – wyjaśnił jeszcze raz. – Postaraj się z tym pogodzić i przekaz to Inżynierowi: niech on też wreszcie to zrozumie.

Mieszkaniec Selmasza odwrócił się.

I znów – szelest, chrobot i niemilknące, doprowadzające do obłądzenia „czyrik-chi, czyrik-chi”.

Ilja skulił się. Co się teraz dzieje na powierzchni? Aż strach pomyśleć. I jak długo to będzie trwało?

Ryk – dziki, pełen beznadziejnej rozpacz i niewysłowionego bólu – nagle przedarł się przez monotony świergot.

Bulba się wzdrygnął. Zerwał się na nogi. Chwycił za automat. Ilja też mimowolnie zacisnął ręce na broni.

Wydawało się, że źródło hałasu było całkiem blisko, przy wejściu do metra. Ryk narastał, wzmagął się, stawał coraz intensywniejszy, przechodząc w przenikliwy, wibrujący pisk. Teraz zdawało się, jakby u samych wrót zarzynali knura rozmiarów słonia. A nawet nie zarzynali, tylko pożerali żywcem.

Pisk trwał długo, pewnie z pół minuty. Potem dźwięk się urwał – ostro i gwałtownie. Jednak powietrze między jedną zaporą a drugą jeszcze przez jakiś czas wibrowało. Echo nie chciało ucichnąć. A kiedy ucichło...

Znów to samo nużące niezmażone „czyrik-chi, czyrik-chi” wypełniło



ciszę. Tak jakby nic się nie wydarzyło.

– Ccco to? – wydusił drżącymi ustami Bulba. Mówił cichutko, na granicy słyszalności. – Co to było, Mag?

– Mrówańcza oczyszcza miasto – powiedział równie cicho Ilja. – Pożera mutanty, które nie zdążyły uciec i nie dość dobrze się ukryły.

I uśmiechnął się. A może to wszystko nie jest takie złe? Ostatecznie mrówańcza wykonuje przecież jego, Ilji pracę. Mści się za niego na innych stworach. Tępi te, które wcześniej każdego dnia sam zabijał.

Gdzieś zaskrzeczał jeszcze jeden stwór odkryty przez mrówańczę. Tym razem zabiła go w znacznym oddaleniu od wejścia do metra, a przedśmiertne kwiki nie zagłuszyły złowieszczonego cykania, tylko mieszały się z nim.

Ilji przestało być do śmiechu. Nie, to, co się działo teraz na powierzchni, nie miało nic wspólnego z jego zemstą. Trudno to było wyjaśnić, ale Ilja czuł, że tak właśnie było. Śmierć, którą niesie z sobą mrówańcza, jest zimna, bezmyślna i pozbawiona twarzy. Nie ma usprawiedliwienia i go nie potrzebuje. To żywioł śmierci, najstraszniejszy i najbardziej nieuchronny los, dla którego nieważne jest, kogo pozbawia życia, i który zabija wszystkich bez różnicy.

To jednak dobrze, że Inżynier zamknął drugie wrota – pomyślał Ilja. – Teraz hałas z powierzchni prawie nie przenika na stację, nie denerwuje i nie straszy mieszkańców Selmasza.

Czyrik-chi, czyrik-chi. Czyrik-chi, czyrik-chi... – wbijało się natrętnie w uszy. Bał się. I z każdą minutą spędzoną w tym szeleszczącym i cykającym półmroku strach stawał się silniejszy.

A przecież nie tak dawno zdawało mu się, że nie jest już zdolny do jego odczuwania.

Przypomniały mu się słowa Oleńki o tym, że w metrze wkrótce zapanuje śmierć. Takich słów Oleńka nie rzucałaby bez powodu.



## Rozdział 6 | Gapcio

Czas mijał. Mrówańcza nie odlatywała.

Wystarczyło spędzić kilka sekund w zamkniętej przestrzeni między środkową a zewnętrzną zaporą, żeby zrozumieć: obce stwory naprawdę zamieszkały w mieście na poważnie i na długo.

Nie było już słycać ryków pożeranych żywcem mutantów, ale z zewnątrz, zza wrót, tak jak wcześniej dochodziły odgłosy skrzętnej owadziej krzątaczki, szmery, szelesty, chrobotania i zgrzyty. Śmierć jakby głaskała szorstką kościstą dłonią ukrytą pod ziemią stację. Nieustające „czyrik-chi, czyrik-chi” w czasie dyżurów na schodach zdążyli już poznać prawie wszyscy mieszkańcy Selmasza.

Mrówańcza żyła swoim niepojętym owadziim życiem i miało się wrażenie, że zmutowane owady osiadły w Rostowie na zawsze.

Nikt nawet nie pomyślał o wyjściu na powierzchnię. Nie utrzymywano kontaktów z sąsiednimi stacjami. A ich mieszkańcy, jak się zdawało, zamknęli się na swoim terenie w oczekiwaniu na lepsze czasy, nie wierząc już, że kiedyś nastąpią. Cały świat skurczył się do rozmiarów podziemnego terytorium Selmasza, zamkniętego przez potężne hermetyczne grodzie i kraty w tunelach. I zdawało się, że nikogo i niczego w tym świecie już nie było. Nikogo i niczego oprócz przekłętej mrówańczy, która tylko czekała na okazję, by wypełnić wszystko. Absolutnie wszystko.

Izolacja i całkowita beznadzieja – oto jak można by scharakteryzować ten

pozbawiony radości czas. Z każdym dniem oblężenia Selmasz ogarniała coraz większa rozpacz. Na stacji panowała atmosfera przygnębienia i przecucia klęski, rosła panika i na to Inżynier nie mógł już nic poradzić. Zresztą chyba nawet nie zamierzał. Chodził ponury niczym chmura gradowa. Ludzie żyli jakby siłą inercji i tylko z dużą przesadą można było nazwać to życiem. Prędeż już śpiączką. Albo apatycznymi ruchami pogrzebanych żywcem.

Utajone oczekiwanie, że mrówańcza wdrze się do metra, narastało. Prawie nikt nie wątpił, że wcześniej czy później do tego dojdzie. Brak wiadomości z innych stacji tylko wzmacniał pewność zbliżającej się zagłady.

Światła było teraz mało. Prawie nie palono ognisk: trzeba było oszczędzać opał. Rozmowy były niewesołe i prowadzone po cichu. Mieszkańcy Selmasza bali się, że dźwięk ich głosów przyciągnie uwagę królujących na powierzchni stworów. Z ciemności dobiegały szeleszczące słowa, tak jakby ludzie upodobnili się do mrówańczy.

– Po nas... kres... w żaden sposób... niemożliwe... szybko... szybko... szybko...

Coraz częściej omawiano możliwość odwrotu na niebieską linię – do tajemniczych tuneli podmetra, które były teraz brzytwą, której chwyta się tonący. „Bo możemy nie zdążyć” – szeptali po kątach najbardziej zdesperowani.

Bierne oczekiwanie, poczucie własnej bezsilności, brak wiadomości i, co najważniejsze, wymuszone kontakty z mieszkańcami Selmasza, którzy ostatecznie stracili chęć życia, przygnębiały Ilję. Chciał się wyrwać z tego wypełnionego żywymi trupami grobowca, dokądkolwiek. Z nową siłą budziła się w nim przygasła już nienawiść.

Nienawiść do mutantów, które zabiły Oleńkę i Sieriożkę i uciekły z Rostowa. Nienawiść do mrówańczy, która zajęła miasto. Nienawiść do

ludzi irytujących go już samą swoją obecnością...

\* \* \*

Tego dnia Ilja i Bulba znów pełnili razem wartę. Dzięki Bogu nie na ruchomych schodach między grodziami. Tym razem Inżynier postawił ich przy kracie w tunelu prowadzącym na stację Diaspory.

Ledwie tłący się ogarek świecy w zardzewiałej puszcze po konserwach zastępował im ognisko. Świeca była koślawa – ręcznie ulepiona, podobna do małego stalagmitu. Jak się dopali, z pozostałej parafiny ulepią nową.

Obok blaszanego świecznika Bulba położył swojego żuczka – latarkę z miniaturowym dynamem. Nawiasem mówiąc, dobra rzecz. Prawie niezniszczalna i, co najważniejsze, nie potrzebuje deficytowych baterii. Naciskasz dźwigienkę – latarka brzęczy i świeci. Daje więcej światła niż świeca, a przy tym jest to światło kierunkowe. Można zajrzeć w ciemność na sporą odległość. Ale w końcu brzęczeć mechanicznym świetlikiem przez całą wartę też się nie da – palce mogą odpaść. Dlatego wartownikom wydawane są świece. Póki jeszcze są.

Ilja w zadumie stukał paznokciami po prętach kraty.

Stuk-puk, stuk-puk. Stuk-puk, stuk-puk...

Ech, dałby człowiek nogę z tego uprzykrzonego Selmasza! I chrzanić wszystkie umowy z Inżynierem...

Tylko dokąd pójdzie? Wątpliwe, by na jakiejś innej stacji było weselej. I ludzi, których nie ma już ochoty oglądać, raczej nie będzie tam mniej. I zupełnie nieprawdopodobne, by teraz przepuścili go przez wszystkie kordony na niebieską linię, dokąd radzą mu pójść Oleńka i Sieriożka.

Może po prostu przesiedzieć inwazję mrówańczy gdzieś w tunelu? Samemu. Tylko z żoną i synem.

Odległość między stacjami nie jest, co prawda, zbyt wielka: metro

rostowskie to nie moskiewskie. Ale jednak przestrzeni do życia tu wystarczy. Szczególnie teraz, kiedy podziemni ludzie zbili się w grupki i pochowali w norach.

A czy długo pociągnie w pustym, niezamieszkanym tunelu bez wody i jedzenia?

Stuk-puk, stuk-puk... – stukały paznokcie po zardzewiałym metalu.

No i jak się wydostać z Selmasza, jeśli kraty w tunelach są zamknięte, a wszystkie klucze ma Inżynier?

Stuk-puk, stuk-puk...

– Słuchaj, Magu, nie stukaj, co? – nie wiedzieć czemu szeptem poprosił Bulba.

– Odwal się – odgryzł się Ilja.

Stuk-puk, stuk-puk...

– Nie stukaj, powiedziałem – syknął już ze złością Bulba. – Przywołasz Grzechota.

– Kogo?

– Grzechota z niebieskiej linii.

Z niebieskiej? Ilja prychnął. No tak, oczywiście... Kolejne straszdyło ze światka żukojadów.

– Nie masz się co szczerzyć. Nie słyszałeś o nim?

– Nie – przyznał Ilja.

Szczerze mówiąc, niezbyt miał ochotę na opowieści. Ale niedoczekanie, by Bulba miał go pytać o zdanie.

– Grzechot jeździ drezyną po niebieskiej linii – zaczął opowiadać mieszkaniec Selmasza. – Ale podobno czasem wpada też do nas, na czerwoną.

Większej bredni chyba nie słyszał w całym metrze.

– Na niebieskiej linii nie ma szyn – przypomniał Ilja. – A poza tym... Jak

ten twój Grzechot miałby przejechać dreżyną przez posterunki graniczne? Tym bardziej z linii na linię? Niby przejściem między liniami?

– Głupi jesteś, Magu – Bulba zmarszczył brwi. – Nie wiesz, o czym mowa, a się mądrzysz. Grzechot żadnych szyn nie potrzebuje. Nie potrzebuje nawet metra. Jego dreżyna jest wyjątkowa. Jeśli Grzechot zechce, jeździ tunelami albo nawet wjeżdża prosto w ścianę. A potem znów wyjeżdża, gdzie sobie zażyczy.

– Powiadasz, że znika w ścianach? – chrząknął Ilja.

– Tak, wjeżdża – szepnął z przekonaniem Bulba. – Słyszano go za ścianami metra.

– A ktoś go widział? Chociaż raz?

– Jeśli nawet ktoś widział, to już o tym nie opowie. Grzechot zabiera ludzi ze sobą. Co prawda, nie pcha się na razie na stacje, gdzie jest dużo ludzi, ale jeśli natknie się gdzieś w tunelu na jedną–dwie osoby, to można je spisać na straty. Złapie i zaciągnie na dreżynę. A swoich ofiar Grzechot szuka na słuch. Kogo usłyszy w ciemności, do tego jedzie. Ale sam też wydaje przy tym dźwięki. Tak... Trochę...

Bulba umilkł i niemal natychmiast...

Dzyń, dzyń!... ucho wychwyciło nowy dźwięk.

Wydawało mu się? Ilja drgnął. Czyżby usłyszana historyjka zrobiła na nim aż takie wrażenie?

Nie, nie wydawało mu się. W mroku tunelu coś zadzwoniło jeszcze raz, tym razem zupełnie wyraźnie.

Bulba zresztą też usłyszał. Chwycił za automat, aż zbieleły mu palce.

– Grzeeechot! – zajęczał wąsaty mieszkaniec Selmasza, patrząc znad lufy szeroko otwartymi ze strachu oczami. Do strzelania Bulba się jednak nie śpieszył.

Ilja też sięgnął po broń. Nagle poczuł się nieswojo. Wyobraził sobie, jak

z mroku wynurza się widmowa drezyna. A na niej – rozmyta sylwetka w podartym ubraniu z rozwianymi włosami. Grzechot jedną ręką porusza dźwignią. Drugą – wyciąga do nich. A palce ma długie, kościste, chwytne. Zaś krata dla tego, kto potrafi przejeżdżać przez betonowe ściany metra, nie jest oczywiście przeszkodą.

Dzyń-dzyń, dzyń-dzyń, dzyń-dzyń – dobiegało z ciemności. Coś naprawdę poruszało się w ich kierunku. Niespiesznie i nieuchronnie. I nie wiadomo już, co było gorsze: „czyrik-chi, czyrik-chi”, powstrzymywane przez opancerzone wrota hermetyczne, czy to podzwanianie, które wkrótce zbliży się do kraty.

Ilja podniósł automat, kładąc łożę broni na poziomym pręcie jak na podpórcie.

– Co ty?! – wychrypiał szeptem przerażony Bulba. – Nie strzelaj! Grzechota nie da się zabić. A hałas go przyciąga. Im głośniejszy, tym on jest bliżej.

Co znaczy bliżej? Dzwoniło tuż obok. Ilja wziął latarkę.

– Nie! – pisnął Bulba ze ściśniętym gardłem. – Nie waż się!

Światło pewnie też przyciągało Grzechota, ale Bulba nie zdążył już o tym opowiedzieć.

Ilja nie posłuchał towarzysza. Najgorsze jest to, co nieznanne – uznał. Nacisnął dźwignię, uruchamiając miniaturowe dynamo. Nacisnął raz, dwa razy, trzy...

Bzzzzzz – zabręczała latarka. I to ciche brzęczenie w ciszy tunelu wydało się ogłuszające. Gęsty mrok rozcięło światło.

\* \* \*

Jasna smuga wydarła z ciemności postać. Zwyczajną. Ludzką. Długie włosy. Długi chałat. Bose nogi...



Człowiek osłaniał oczy ręką.

– Ajaj! – zabrzmiał łagodny, płaczliwy głos. Nieznajomy zaszlochał jak dziecko. – Oczka bolą!

– Gapcio! – Bulba odetchnął z ulgą. – Przecież to Gapcio Cudaczny.

Sądząc z reakcji Bulby, Grzechot powinien wyglądać inaczej. Drezyny też nie było widać w pobliżu.

A to po prostu...

Niejaki Gapcio. No, no...

Ilja odsunął latarkę.

Bzzz – bzyknął żuczek. I zgasł. Ciemność znów okryła kratę. Po dwóch, trzech sekundach w krąg lichego światła świecy, cicho czymś pobrzękując, wszedł posiadacz dziwnego imienia.

Gapcio...

Teraz Ilja mógł mu się lepiej przyjrzeć. Bose stopy, brudne i chude, równie zręcznie stapały po podkładach kolejowych jak po rozsypanym między nimi tłuczniu. Drobne ręce były cały czas w ruchu. Tłuste pozlepiane włosy nie widziały grzebienia pewnie całą wieczność. Na wynędzniałej twarzy utrzymywał się wyraz smutku i żalu. W oczach połyskiwały niezdrowe ogniki. Na ustach zastygł uśmiech nie z tego świata – dobry, łagodny, smutny i szalony jednocześnie.

Gapcio miał na sobie łachmany z grubego workowego płótna, podarte i bezkształtne. Przez liczne dziury w prymitywnym płaszczu blado połyskiwał metal. Jakieś kawałki blachy: jedne zardzewiałe, inne nie. Puszki po konserwach, pudełeczka, panewki, nakrętki, blaszki, kółka zębate... Wszystko to było związane drutem w formie splątanego systemu zawieszek, który trzymał się pod ubraniem wprost na gołym ciele.

– Pokój wam i raj, dobrzy wujaszkanie – powiedział Gapcio, oparłszy się o kratę.

– I nawzajem, Gapciu – Bulba uśmiechnął się pod wąsem. Nastrój mieszkańca Selmasza, który uniknął spotkania z Grzechotem, wyraźnie się poprawił. – Jak leci?

– Oj marnie, wujaszku, marnie... – załkał cicho dziwny gość. Wytarł twarz brudną ręką, zostawiając na policzku ciemną smugę. – Świeczki się Gapciowi skończyły. Gapcio szedł jak ślepy. Macał ciemność. Długo szedł. Gapcio się bał. Gapcio się zmęczył. Otwórz kratyczkę, co, wujaszku? Ootwóóórz...

– Dlaczego mówią na niego Gapcio? – Ilja zapytał szeptem Bulbę.

– A dlatego, że...

– A cio! – gość nagle gwałtownie szarpnął za kratę. – Otwieraj no szybciej, wujaszku! A cio! A cio!

I znów żałośnie zajęczał:

– Otwieraaaaj...

– O właśnie dlatego – mruknął Bulba. – „A cio” to jego ulubione powiedzonko. To ma być „a co”. Krótko mówiąc, nazwali prostaczka Gapcio Cudaczny. Na nic innego teraz nie reaguje.

– A dlaczego Cudaczny?

– Chwilę z nim porozmawiasz i sam zrozumiesz. To taki jakby boży szaleniec. Kiedyś mieszkał na niebieskiej linii, a teraz często też zachodzi do nas, na czerwoną. Niby głosi kazania...

Bulba prychnął lekceważąco, wyrażając swój stosunek do „niby kazań” Gapcia.

– I przepuszczają go?

– A czemu nie? Szkód żadnych nie robi, tylko ludzi rozwesela. Opowiada też różne ciekawe rzeczy o niebieskich.

Czy to aby nie Gapcio rozpusza pogłoski o niebieskiej linii, którymi straszą się nawzajem mieszkańcy Selmasza? – pomyślał Ilja.

– Ani nas ten biedaczyna ziębi, ani grzeje – ciągnął Bulba. – Nie sprawia kłopotów, no i dobrze. A jak się sprzykrzy, to zawsze można go wygnać. I tak się Gapcio błąka między stacjami. Żyje z tego, co mu ludzie dadzą.

– Otwieraaaj! – nudził wciąż Gapcio, szarpiąc za kratę. – Wujaszku, otwieraj, a cio! Gapciowi się śpieszy! Gapcio musi iść dalej.

Mocna krata tylko lekko skrzypiała, za to pod chałatem Gapcia głośno dzwonił metal.

– A co on tam ma? – spytał Ilja.

– Łańcuchy pokutne – odparł Bulba. – Sam je zrobił, sam założył. Mówi, że nigdy ich nie zdejmuje. Chociaż kto go tam wie.

– Wujaszkuuu, a cio!

Bulba podszedł do kraty:

– Co tak się awanturujesz, Gapciu? Nie widzisz? Nie można iść dalej. Stacja zamknięta. Idź z powrotem.

– Gapcio nie może z powrotem. Gapcio musi do przodu. Gapcio musi...

– Boży szalenciec zawisł całym ciężarem na kracie. – Naprawdę musi...

– Ale dokąd musisz, głąbie? I tak doszedłeś już prawie do końca linii. Dalej jest tylko Ordżonikidze.

– Tam muszę iść, właśnie tam. – Gapcio ożywił się. – Muszę przemówić do rozsądku temu gniazdu grzechu. Dopóki jest czas. I wam też odsłonię prawdę, ślepcy nieszczęśni.

Bulba pokręcił głową z dezaprobatą:

– Nie wystarczy ci już tego przemawiania? Mało cię bili na Ordżonikidze?

Bulba odwrócił się do Ilji i wyjaśnił:

– Ciągle tam chodzi. Uczy tamtejszych życia. Znoszą to przez jakiś czas, a potem tłuką go na kwaśne jabłko, wywożą drezyną i porzucają byle gdzie w tunelu. Gapcio odpełźnie, trochę się wyliże i znów porywa się z motyką na

słońce.

– Gapcio musi, musi – zawodził Cudaczny. – Trzeba ich zbawić. I ich, i was, i wszystkich. A to dlatego, że wszędzie nadciąga nieszczęście. Niedługo wszędzie będzie kostucha. W całym metrze tak będzie.

Ze słów bożego człowieka wiało smutkiem i niezachwianą pewnością.

A przecież Oleńka też mówiła o śmierci, która wkrótce ogarnie metro...

– Gapcio idzie i mówi ludziom, co robić. A ludzie Gapcia nie słuchają.

– Zaczekaj no – Bulba nagle spowaźniał. – A skąd ty w ogóle idziesz, Gapciu?

– Stamtąd – Gapcio machnął ręką gdzieś za siebie.

Tak, bardzo wyczerpująca odpowiedź...

– A na jakich byłeś stacjach?

– Na różnych. I na niebieskiej linii, i na czerwonej.

– I co tam się teraz dzieje?

– Oj, kiepsko, wujaszku, wszędzie kiepsko. – Gapcio znów zapłakał, rozsmarowując brud po twarzy. – W mieście wielka szarańcza.

– Mrówańcza? – dopytał Bulba.

– A cio! Szarańcza – zaprzeczył z uporem Gapcio. – Gapcio wie.

– Dobrze już, dobrze – pokiwał głową wąsaty mieszkaniec Selmasza. – Niech będzie szarańcza.

Potem Bulba zadał jeszcze jedno pytanie – ostrożnie i łagodnie:

– Gapciu, a powiedz no, została gdzieś choćby jedna stacja, nad którą nie ma tej szarańczy?

– Nie, nie, nie – zaszłochał Gapcio. – Ona jest wszędzie, wszędzie, wszędzie. Całe miasto jest pełne szarańczy, wujaszku. Ludzie się kryją. Pochowali się pod ziemią. Ale już się nie uratują. Szkoda Gapciowi ludzi. Szkoda, szkoda...

– A dlaczego się nie uratują? – Bulba spochmurniał.

Nawet przy słabym płomyku świecy było widać, jak mocno wąsacz pobladł.

– A dlatego, że Gapcio dawno już mówił: nie wolno żyć tak, jak wy żyjecie! – krzyknął wyzywająco Cudaczny. – W nienawiści, w odosobnieniu i w grzechu. Przez swoje bezbożne życie, głupie człowieczki, ściągnęliście już na siebie karę, ale nawet teraz nie chcecie wysłuchać ostrzeżenia i żyjecie tak jak wcześniej.

Gapcio potrząsnął w powietrzu brudnym palcem.

– Ludziom nie wolno gryźć się między sobą niczym dzikie bestie, tak jak gryzą się czerwoni i niebiescy. Nie wolno otwierać przybytków rozpusty, chodzić do nich i grzęznąć w grzechu. Nie wolno siedzieć po norach w odosobnieniu. Nie wolno odgradzać się od podobnych sobie kratami i zasłonami. Nie wolno myśleć tylko o sobie i pilnować tylko własnej stacji.

Ilja słuchał szaleńca bożego w milczeniu. Jakies brednie. A może... A może jednak niezupełnie?

– Nie wolno odmawiać pomocy bliźniemu...

– Zaczyna się – Bulba westchnął, krzywiąc się. – Kaznodzieja, kurde!

Po jego wcześniejszym ożywionym nastroju nie było śladu.

– Pomstę niebieską zesłano na nas za takie rozpustne i nierozumne życie – ciągnął Gapcio. – Ocaleją teraz tylko sprawiedliwi. Słuchajcie Gapcia, on was zbawi, on wie. Gapcia słuchać trzeba. Gapciowi wierzyć trzeba.

Bulba odwrócił się do Ilji:

– Mag, wiesz co? Posiedź tu chwilę, skoczę do Inżyniera. A nuż będzie chciał posłuchać...

– Posłuchać? – zdziwił się Ilja. – Czego, kazania?

– No... – Bulba się zawahał. – Może nie kazania. Może będzie chciał wypytać dokładniej, co Gapcio widział na innych stacjach. A może i Inżynier przepuści go na Ordżonikidze. Bo czuję, że sam Cudaczny tak łatwo stąd nie

odejdzie. Nie będziemy przecież do biedaczyny strzelać przez kratę. Szkoda zresztą nabojów...

\* \* \*

Kiedy tylko Bulba odszedł, cała uwaga Gapcia przeniosła się na Ilję.

– Mag? – odezwał się, przyciskając do kraty tak mocno, jakby zamierzał przecisnąć głowę przez pręty. – Nazwał cię Magiem. Jesteś z Portu Lotniczego, tak, wujaszku? Gapcio słyszał o tobie. Mieszkasz za metrem. Sam. Z grobami. Z nieboszczykami. Z martwą żoną i martwym synkiem.

– Zamknij się!

Niespodziewana wiedza Cudacznego i brak taktu, na który mógł sobie pozwolić tylko szaleniec, zaskoczyły Ilję.

– Ty też żyjesz niewłaściwie, wujaszku – oznajmił pouczającym tonem Gapcio. – Żyjesz złością. Żyjesz zemstą. Od ludzi stronisz. I ciebie też czeka za to pomsta. Jeśli Gapcia nie wysłuchasz, jeśli nie zrobisz, jak Gapcio mówi.

– Tego jeszcze brakowało! – mruknął Ilja. – Słuchać szaleńców...

Gapcio cichutko zachichotał.

– A cio! Gapcio nie jest szalony. Jest Cudaczny. A ty sam, Mag... Powiedz, jesteś przy zdrowych zmysłach? W domu śpisz koło grobów. Z nieboszczykami pewnie rozmawiasz. Hę? Rozmawiasz?

– Powiedziałem, zamknij mordę!

– Uuu, łatwo na Gapcia krzyczeć, wujaszku. Łatwo Gapcia obrażać. Tyle że przed plagami egipskimi cię to nie uratuje.

– Przed czym niby? – Ilja zmarszczył brwi. – Przed jakimi plagami?

– Tak już kiedyś było. Było napisane – zatrajkotał szybko Gapcio. – I to, co było napisane, powtarza się. Woda zamienia się w krew. Żaby wychodzą z rzek i wypełniają siedziby ludzkie. Komary oblepiają ludzi. Żądła ich psie muchy. Bydło pada od zarazy. Ciała ludzkie pokrywają się wrzodami

i ropieją. Grzmia pioruny, szaleje burza i ognisty grad spada na ziemię. Nadciąga szarańcza. Ciemności kryją ludzki świat. Giną pierworodni...

– Co ty wygadujesz, Gapciu? – zapytał gniewnie Ilja.

– Plagi już się zaczęły, wujaszku. Zaczęły się dawno i do tej pory trwają. Gapcio widzi, Gapcio słyszy, Gapcio wie. Gapcio rozumie. Przyszła ostatnia plaga. Szarańcza...

– Mrówańcza – poprawił go machinalnie Ilja.

– Szarańcza, szarańcza, szarańcza! – Gapcio zachowywał się jak rozkapryszone dziecko. – Wielka szarańcza. Było napisane: szarańcza, czyli szarańcza.

Ilja w końcu skojarzył, jakie analogie przywołuje rozpalona wyobraźnia Gapcia i jakimi nićmi Cudaczny próbuje zszyć niepowiązane ze sobą sprawy.

– Tak w ogóle, to w biblijnych plagach, szarańcza, z tego, co pamiętam, nie była ostatnia – Ilja uśmiechnął się. – Pomyliło ci się coś, Gapciu. Niewłaściwa jest u ciebie kolejność.

– A cio, głupi wujaszku! – Gapcio aż trzął się z oburzenia i irytacji. – Nieważne, w jakiej kolejności i jak zsyłane są plagi. Ważny jest rezultat. A rezultat będzie taki: grzesznicy już nie wydadzą się spod ziemi. Wielka szarańcza pożre tu wszystkich prócz bogobożnych. Gapcio wie!

– Wielkiej szarańczy nie ma jeszcze w metrze – przypomniał Ilja.

– Przyjdzie do metra. Już niedługo. Gapcio wie! Wie! Wie!

Ilja pokręcił głową. Dyskusja z szaleńcem nie była warta zachodu. Ale powstrzymać się od dyskusowania już nie mógł.

– Te twoje plagi egipskie... Przecież one były chyba zesłane na faraona, żeby uwolnił Żydów. A u nas nie ma żadnego faraona.

– A cio! – cichutko zachichotał Gapcio. – Jest, jest faraon! Najważniejszy faraon, który siedzi w każdym z nas i trzyma w nas to, co powinno zostać uwolnione. I nie wypuszcza.

– Czego niby nie wypuszcza?

– Złej złości i nienawiści, chuci i zawiści, pychy i chciwości, nieumiarkowania i rozpaczy, rezygnacji i próżności... Wszystkiego, co zatruwa człowieka od środka.

Ilja machnął ręką.

– Naciągane to u ciebie za uszy, Gapciu. Nie ma żadnego faraona. I woda, chwała Bogu, nie zamienia się jeszcze w krew. A i cała reszta to twoje wymysły.

– Ach, wymysły?! No to spróbuj, Magu, napić się wody z powierzchni, zatrutej i nieoczyszczonej. Spłyniesz od razu krwawymi wymiotami. Czy to nie jest zamiana wody w krew? A zastanów się, co zagnało ludzi pod ziemię? Czyż nie były to grom, burza i ognisty deszcz?

– Właściwie to rakiety i bomby – wtrącił Ilja.

I nie został wysłuchany.

– A mrok podziemi, w którym żyjemy i który nas dusi, czyż nie jest to plaga egipska?

Ilja przypomniał sobie opowieści mieszkańców Selmasza o ciemności, która rzekomo zabijała ludzi. A więc Gapcio wplótł i to...

– I normalne bydło na powierzchni też całe wyzdychało. Takiego pomoru nigdy wcześniej nie było. A wrzody na skórze? Czyżbyś ich nie widział u tych, którzy często wychodzą na zewnątrz i spędzają tam dużo czasu?

Choroba popromienna rzeczywiście pozostawiała ślady w formie okropnych wrzodów.

Ale to przecież zupełnie co innego!

– I komary razem z psimi muchami też zostały na nas zesłane.

Meszki i latające piranie... Zdaje się, że Gapcio podciągał pod swoją teorię wszystkie pogłoski, które pobudzały wyobraźnię mieszkańców metra. A może i sam je w tym celu rozpowszechniał?



– I plaga żab też się dokonała. Przypomnij sobie, kto zniszczył twoją stację, Magu? Żaby!

Akurat tego tematu Gapcio nie powinien był poruszać.

– Słuchaj, ty – wychrypiał Ilja – jeszcze jedno słowo i...

– I pierworodni nasi giną. Wiesz, ile dzieci i niemowląt umiera w metrze?

– Cudacznym zrobił zboląłą minę. Potem uśmiechnął się, jakby przypomniał sobie o czymś ważnym. – W końcu twój pierworodny też...

Ilja rzucił się w stronę kraty, ale Gapcio, brzęcząc łańcuchami, z niespodziewaną zwinnością odskoczył do tyłu.

Ilja podniósł automat.

– Zabiję! – powiedział głucho.

Gapcio uśmiechnął się z zakłopotaniem i rozłożył ręce:

– A ciao! A kto was, nierozumnych, będzie w takim razie zbawiał? Kto wam przemówi do rozsądku? Kto was skłoni, byście okazali skruchę? Magu, Gapcia zabijesz, zbawienia nie dostąpisz. A skoro sam nie zostaniesz zbawiony, to jak wyzwolisz żonę i synka z ognistej gehenny?

– Zabiję! – powtórzył cicho i twardo Ilja.

Wskazujący palec prawej ręki gładził już język spustowy kałasznikowa.

– Mag, taka twoja mać! Całkiem zdurniałeś?!

Rzucili się na niego. Od tyłu. We dwóch.

Powalili na ziemię. Odebrali automat.

– Coś ty wymyślił?! – Niezadowolona twarz Inżyniera zawisła nad Ilją. Zza ramienia naczelnika stacji wyglądał skonsternowany Bulba. – To nie twój Port Lotniczy, żeby strzelać do wszystkiego, co się rusza.

– Ten bydlak... – wycedził Ilja.

– Potrzebuję go – uciął Inżynier. – Więc się uspokój, rozumiano?

Ilja nie powiedział więcej ani słowa. W milczeniu wstał i otrzepał się.

Bulba, który trzymał jego AK, nie spieszył się ze zwrotem broni.

– Wchodź, Gapciu. – Inżynier własnoręcznie otworzył zagradzającą tunel kratę. I jak tylko Gapcio prześlizgnął się przez przejście, znów zamknął kłódkę.

– Dziękuję, wujaszku. Dobry jesteś, może i zostaniesz zbawiony. – Gapcio odwdzieczył mu się prorocstwem.

– Chodź za mną – polecił Inżynier – Trzeba porozmawiać. Opowiesz o wszystkim, co widziałeś i słyszałeś w metrze.

– Gapcio jest gotów mówić. – Cudaczny pokiwał głową. – Najpierw Gapcio będzie mówił tutaj. Potem pójdzie mówić dalej. Tak, wujaszku?

– Pójdzie, pójdzie – obiecał Inżynier. I odwróciwszy się do wartowników, dodał: – Za godzinę przyślę kolejną zmianę. Bulba, wiesz... pilnuj Maga.

\* \* \*

Równo po godzinie Ilja i Bulba skończyli zmianę i zdali magazynki z nabojami kolejnej parze wartowników, po czym wrócili na stację. I wszystko wskazywało na to, że trafili w sam środek wydarzeń.

Jeszcze będąc w tunelu, usłyszeli zgiełk głosów i urywane histeryczne krzyki Gapcia:

– Ciężkie grzechy!... Pomsta niebieska!... Żyjecie nie po ludzku!... Szarańcza przyjdzie do metra!... Wielka szarańcza!... Nic jej nie powstrzyma!... Wszystkich pożre!... Wkrótce!... Gapcio wie!... Pokajajcie się!... Żyćcie bogobojnie!... To ostatnie godziny!... Może osiągniecie zbawienie!... Słuchajcie Gapcia!... Słuuuchajcie!...

Przed niewielkim ogniskiem rozpalonym pośrodku stacji panowało niecodzienne ożywienie. Płonęły dwie pochodnie, świeciły latarki. Poczekalnia i oba perony były pełne ludzi. Między wielopiętrowymi plantacjami grzybów, wyłaniającymi się z ciemności warsztatami, stertami metalu i namiotami hałasowali ludzie. Cała ludność Selmasza, za wyjątkiem

wartowników, zgromadziła się przy jednym ognisku.

Ilja zobaczył, jak wściekły Inżynier, otoczony przez pół tuzina uzbrojonych ni to pomocników, ni to ochroniarzy, ciągnie Gapcia za kołnierz przez tłum.

Tłum rozstępował się niechętnie i buczał z niezadowoleniem.

Ilja i Bulba weszli z torów na peron, przepchnęli się bliżej.

– Nie róbcie krzywdy Gapciowi, jeśli chcecie się uratować! – Wątki szaleniec boży rzucał się w łapskach Inżyniera. – Pomóżcie Gapciowi! Wysłuchajcie Gapcia! Uwierzcie Gapciowi! Bowiem nie widzi na razie Gapcio ratunku dla tej stacji! Bowiem boleje Gapcio nad wami wszystkimi! Bowiem lituje się nad wami! I boli Gapcia serce na myśl o tym, co z wami będzie!

Niektórzy zaczęli zastępować drogę naczelnikowi stacji. Czyjeś ręce chwyciły pomocników Inżyniera. Latarki świeciły im w twarze. Dało się już słyszeć krzyki:

- Zostawcie go!
- Nie ruszaj Gapcia, Inżynierze!
- Niech mówi, biedaczyna!

Jednak Inżynier ani myślał wypuszczać Cudacznego. Wierni pomocnicy naczelnika stacji rozpędzali tłum kolbami automatów.

- Rozejść się! Z drogi! – ryczała ochrona.

Niezadowolenie mieszkańców Selmasza narastało. Sprawa zaczęła pachnieć buntem.

Gdzieś z prawej strony wychynęła znajoma brodata twarz.

- Wujku Miszo, co się dzieje? – Bulba uczeplił się brodacza.
- A co, nie widzisz? – burknął tamten. – Inżynier wygania Gapcia.
- Cudaczny nic nie powiedział?
- Powiedzieć to i powiedział. – Starszy mieszkaniec stacji ze złością

splunął pod nogi. – Ale już lepiej, żeby zmilczał!

– A to czemu?

– A temu! Na innych stacjach jest tak samo jak i u nas. I na niebieskiej linii, i na czerwonej. Na powierzchni mrówańcza, a pod ziemią ludzie trzęsą się ze strachu.

Gapcio nie powiedział o niczym nowym.

– I tak nietrudno się było tego domyślić – zauważył Ilja.

– Domyślać się to jedno, a wiedzieć na pewno to zupełnie co innego – starszek zmierzył go nieprzyjaznym spojrzeniem. I zwracając się do Bulby, kontynuował: – Kiedy zmieniali wartę, nie dopilnowali Gapcia. Cudaczny wyslizgnął się z pokoju służbowego i proszę, jak ludzi zbałamucił swoimi kazaniami. Napędził tylko strachu. Niepotrzebnie Inżynier go tu wpuszczał. I bez Gapcia było ciężko, a teraz to dopiero...

Mieszkaniec Selmasza dał upust przepełniającym go emocjom jeszcze jednym soczystym splunięciem.

Bulba kwieście zaklął.

– I po kiego wała było mi przeszkadzać, kiedy wziąłem tego waszego Gapcia na muszkę? – wycedził Ilja.

Teraz już się samozwańczego kaznodziei nie zastrzeli. Przy ludziach – nie ma mowy. Podekscytowani mieszkańcy Selmasza na to nie pozwolą. Ale wywalić go ze stacji jeszcze było można. Czym właśnie zajmował się Inżynier.

Naczelnik zauważył Bulbę i rozmawiającego z nim brodacza. Wepchnął im Cudaczego w ręce. Pod łachmanami bożego szaleńca zadzwoniły własnoręcznie zrobione łańcuchy pokutne.

– Bulba i ty, wujku Miszo! Wyrzućcie Gapcia do tunelu prowadzącego na Ordżonikidze, ale żywo! Mag, pomóż!

– Wujaszku Magu? – zajęczał cicho Gapcio, widząc Ilję. – Znów chcesz

Gapcia zabić?

Cudaczny uronił łzę i na chwilę ucichł, tak że bez specjalnego trudu zepchnęli go z peronu na tor.

Tu Gapcio chciał znowu zaapelować do pozostałego na peronie ludu bożego, ale Bulba, bez specjalnego mędrkowania, zatkał mu usta dłonią.

Inżynier też zeskoczył z peronu. Zawołał do uzbrojonych pomocników:

– Nikogo nie puszczaj do tunelu!

A po kilku sekundach ciemność pochłonęła zarówno szaleńca bożego, jak i czterech konwojentów.

Odcięci przez ludzi z automatami, mieszkańcy zostali na stacji. Wzburzony tłum zaczął cichnąć. Straciwszy Gapcia z oczu i nie słysząc już wrzasków kaznodziei, ludzie szybko tracili bojowy zapał. Wracała apatia, serca znów wypełniła rozpacz i poczucie braku wyjścia.

\* \* \*

Zaciągnęli Gapcia do kraty w tunelu. Inżynier dał strażnikom znak, by się rozstąpili, otworzył kłódkę i własnoręcznie wypchnął bożego szaleńca z terytorium Selmasza.

– Wygnali Gapcia – wymamrotał Cudaczny, rozczarowany, jakby nie wierząc w to, co się stało. – Stąd też wygnali. Nigdzie Gapcia nie lubią. Nikt Gapciowi nie wierzy.

– Idź już, no, dalej! – poradził mu Inżynier. – Chciałeś przemawiać ludziom do rozumu w gnieździe grzechu, krzyżyk na drogę! Idź na Ordżonikidze. Niech cię tam w końcu zatłuką. Ale od mojej stacji trzymaj się teraz z daleka, zrozumiano?

– A cio, wujaszku! – zabrzmiał w odpowiedzi płaczliwy i urażony głos. – Gapcio sobie pójdzie. Ale Gapcio chce przemówić do rozumu i uratować wszystkich. Tyle że Gapcia nikt nie słucha.

Inżynier, pobrzękując kluczami, wracał już na stację. Bulba i wujek Misza podążyli za naczelnikiem. Przy kracie zostali tylko dwaj milczący wartownicy i Ilja. Mała świeczka ledwie oświetlała otoczenie.

Gapcio oparł się policzkami i czołem o grube, pordzewiałe pręty. Do brudnych smug pokrywających jego twarz dołączyły dwa brązowe pasy. Gapcio patrzył na Ilję.

Oczy Cudacznego płonęły.

– Wujaszku Magu, nie złość się na Gapcia. Gapcio po prostu mówi, jak jest i jak będzie. Gapcio odejdzie, ale przyjdzie wielka szarańcza, albowiem pomsty niebieskiej nie da się powstrzymać. Wasze kraty zamknęły wejście przed Gapciem, ale przed nią nie ochronią. Wujaszku Magu, wyjaśnij to pozostałym, skoro już nikt tu Gapcia nie chce słuchać. Powiedz im, niech chociaż część ludzi zacznie żyć po ludzku. Niech oczyszczą się z marność, wrogości i nienawiści. Niech otworzą kraty i blokady w tunelach i w sercach. Niech się nie zamykają, ale idą sobie na spotkanie. Niech razem witają koniec. Z prostotą i godnością. W radości i ukojeniu, nie zaś w strachu i odosobnieniu. Niech tak będzie, a wtedy, być może, komuś się uda. Być może ktoś dostąpi łaski.

– Słuchaj, Gapciu, lepiej stąd spadaj – niezbyt pewnie wymamrotał któryś z wartowników. – Inżynier powiedział...

Ale Gapcio go nie słuchał.

– I ty, Magu, też bądź ze wszystkimi. Póki jeszcze jest taka możliwość. Zrozum: w życiu, którym żyjesz, nie ma radości i brak sensu. Żyć samemu i myśleć tylko o umarłych, to zupełnie jak... zupełnie jak...

Gapcio na moment się zaciął i zamyślił. Rozczapierzył palce, pomachał ręką, szukając odpowiedniego porównania. I spojrzawszy na swoją dłoń, rozpląnął się w uśmiechu olśnienia.

– Zupełnie jak trzymać się życia ręką, której brakuje palców. Myślisz, że

trzymasz się mocno. Ale jak to możliwe, jeśli jesteś sam? Myślisz, że wczepiłeś się w życie zdrową dłońią, ale tak naprawdę ta jest już okaleczona, o trzech palcach. I wiesz, co wychodzi?... Popatrz...

Brudne palce Gapcia objęły gruby pręt kraty. Potem Cudaczny zabrał mały i serdeczny palec. I mocno szarpnął ręką.

Pozostałe palce ześlizgnęły się z metalu. Zadzwończyły łańcuchy bożego szaleńca.

– Dłońią o trzech palcach trudno się czegoś trzymać. Gapcio wie, Gapcio widział.

Widział? Ilję oblał zimny pot.

– Czekał no! – podszedł do kraty. – Co widziałeś? Chcesz powiedzieć, że widziałeś człowieka o trzech palcach?

– Gapcio dużo chodzi. Gapcio wielu widzi – wymamrotał Cudaczny, cofając się w ciemność. – A teraz pora, żeby Gapcio już poszedł.

Światło drżącego płomyka świecy niemal do niego sięgało.

– To widziałeś, czy nie? – Ilja teraz już rzucił się na kratę.

Z ledwością dostrzegł w słabym świetle lekkie skinienie głową.

– Gapcio widział.

– Gdzie?

– Tam, skąd Gapcio przyszedł.

Postać bożego szaleńca rozplynęła się w mroku. Cicho brzęknął metal, którym Cudaczny był obwieszony.

Bulba mówił, że Gapcio przyszedł z niebieskiej linii. Czyli... Czyli to tam trzeba szukać?

– Kim jest ten człowiek?!

– To umarły – dobiegł z ciemności cichy głos.

– Co?!

– I jest dobry. Słucha Gapcia, wierzy Gapciowi, rozumie Gapcia...

– Jak się nazywa?!

– Nie, nie! – Cudaczny jakby o czymś sobie przypomniał. – Gapcio niczego więcej nie powie. Gapciowi nie wolno niczego więcej mówić.

– Jak on się na-zy-wa?!

Bożego szaleńca nie było widać. I tym razem odpowiedź nie nadeszła. Gapcio zniknął bezgłośnie i bez śladu. Nie było nawet słychać podzwaniających łańcuchów.

– Saper?! – krzyknął Ilja w ciemność. – To był Saper? Tak o sobie mówił?

Ciemność milczała.

Ilja ze złością walnął pięścią w zamkniętą kłódkę. Posypała się rdza. Zawibrowały pręty kraty.

– Mag, nie rozrabiaj – polecił mu jeden z wartowników.

– Wracaj na stację – poradził drugi.



## Rozdział 7 | Ucieczka

Starając się zasnąć, Ilja przewracał się z boku na bok w zasznurowanym mocno namiocie. Ale sen nie przychodził.

Przychodziły myśli... Jedna za drugą. Wciąż te same. Jak niekończąca się karuzela. Po spotkaniu z Gapciem Cudacznym nie dawały mu spokoju. Mrówka... Pomsta niebieska za izolację... Błazeńskie kazania szaleńca, który ogłosił się prorokiem...

Błazeńskie – tak, dlaczego w takim razie tak zapadły mu w serce?

I najważniejsze.

Najważniejsze ze wszystkiego.

Człowiek z dłonią o trzech palcach, o którym wspomniał Gapcio. Kto to? Ilja znał tylko jednego takiego, a nazywali go Saperem.

Ale Saper był martwy.

Jednak człowiek, o którym wspomniał Gapcio, też nie żył. Chyba. Jeśli wierzyć słowom Gapcia. I jeśli on, Ilja, dobrze te słowa zrozumiał.

Myśli... Ciężkie, skotłowane, niespokojne.

Obracały mu się pod czaszką niczym żarna, mieląc mózg. Od tych myśli bolała głowa.

A Ilja wciąż myślał, myślał...

Niebieska linia nie jest tak dobrze chroniona przed promieniowaniem, jak czerwona. Czy mało tam może być mutantów? Takich z trzema i z sześcioma palcami. Jedno- i trójrękich. Na krótko przed atakiem żab na Port Lotniczy

mówiono, że urodziło się tam nawet dwugłowe dziecko. Co prawda nie pożyło długo. Albo po prostu mu na to nie pozwolili.

Trójpalczastość w takim kontekście to jak... W dzisiejszych czasach nie jest to nawet ułomność, a drobny, kosmetyczny mankament. Zapewne nierzadki. Jeśli Gapcio nawet kogoś takiego widział, to niekoniecznie był to Saper.

A najprawdopodobniej Cudaczny nie widział w ogóle nikogo. Albo po prostu mu się przywidziało. Więc czy jest sens wierzyć choremu na umyśle Gapciowi, który rozsiewa po metrze durne historyjki?

Nie ma żadnego sensu.

Nie!

Ilja zawijał się w śpiwór martwego stalkera jak w kokon i próbował przekonać sam siebie, że tak właśnie jest.

Nie udawało mu się...

Niby wszystko się w jego rozważaniach zgadzało, wszystko było przekonujące, ale w takim razie dlaczego ostatecznie stracił spokój ducha? I dlaczego głos Oleńki znów szepcze mu z ciemności o niebieskiej linii:

– Musisz iść właśnie tam, Iljuszeńka. Tam się we wszystkim zorientujesz. Uspokoisz się. I sam się uratujesz. I my nie będziemy się tam tak bać.

– Tak, tato, idź – przyłącza się do Oleńki Sieriożka. – Boję się. Tu jest strasznie.

Pójdę – złożył mocne postanowienie Ilja. – Pójdę przy pierwszej okazji.

Taka okazja nadarzyła się wcześniej, niż to planował. Znacznie wcześniej. Właściwie nie była to nawet szansa, ale całkowity brak wyboru.

– Alarm! – dobiegł z zewnątrz czyjś pełen strachu krzyk.

Wycie potężnej syreny wypełniło stację. Na zewnątrz zabrzmiały krzyki i tupot nóg.

\* \* \*

Ilja wytoczył się z namiotu i omal nie wpadł pod nogi miotających się w półmroku mieszkańców Selmasza. Wielu z nich miało broń. Nikt niczego nie rozumiał. Na stacji zapanowała panika. To tu, to tam błyskały światła pochodni i latarek.

Wziąć automat – przemknęło mu przez myśl. Ale jaki będzie pożytek z automatu bez amunicji? A amunicję na stacji Selmasz wydaje Inżynier. I gdzie go szukać w tym zamieszaniu?

Ilja postanowił zostawić bezużytecznego kałacha na razie w namiocie.

Przede wszystkim popędził w stronę hermetycznych grodzi. Ale nie, tam wszystko było chyba w porządku. Zapora była cała. Czyli rzecz nie w mrówańczy. Czyli nie wydarzyło się najstraszniejsze.

Wkrótce stało się jasne, że główna ruchawka odbywa się przy wjeździe do tunelu prowadzącego do Ordżonikidze, przez który ludzie z Selmasza nie tak dawno wyrzucili Gapcia. Mieszkańcy stacji wbiegali do tunelu i z niego wybiegali. Może Cudaczny wrócił? Ale niemożliwe, by jego pojawienie się mogło spowodować tyle hałasu.

Ilja zauważył Bulbę. Rzucił się w jego stronę. Złapał za ramię.

– Co się dzieje, Bulba?!

– Drezyna z Ordżonikidze – wyrzucił z siebie wąsacz. – Uchodźcy!

– Jaka drezyna? – Nie od razu skojarzył Ilja. – Jacy uchodźcy?

– Mrówańcza się przedarła! – krzyknął mu w twarz Bulba z wytrzeszczonymi oczami. – Mrówańcza jest w metrze!

Bulba wyrwał się, pobiegł gdzieś. Nie wiadomo po co.

Ilja został na miejscu.

Jednak się przedarła! Chociaż nie tam, gdzie się jej spodziewali. Jednak stało się najstraszniejsze...

\* \* \*

Odrętwienie nie trwało długo. Po chwili Ilja był w tunelu do Ordżonikidze, przy kracie.

Pod ścianą, w zardzewiałej puszcze pełniącej funkcję świecznika palił się niczego nieoświetlający ogarek wartowników. Ale ciemność za żelaznymi prętami przecinały snopy światła kilku latarek i Ilji udało się coś dojrzeć.

Z drugiej strony kraty utkwiła lekka ręczna drezyna, który wypadła z torów. Wszystko wskazywało na to, że drezyna taranowała przeszkodę, ale bezskutecznie.

Krata wytrzymała uderzenie. Tylko kilka wygiętych prętów świadczyło o kolizji. Brama przegradzająca tunel była wciąż zamknięta. Przed nią, w nierównym szeregu ustawili się żołnierze Selmasza z gotowymi do strzału kałachami. Broń była skierowana w stronę tunelu. Za plecami strzelców Inżynier zaciekle się z kimś kłócił.

Z przeciwległej strony przegrody krzyczeli ludzie. Krzyczeli głośno, łamiącymi się głosami, przechodząc w wizg. Byli tam dwaj czy trzej mężczyźni, jakieś pięć kobiet i bodaj dwoje płaczących dzieci.

Ludzie z Ordżonikidze – zdał sobie sprawę Ilja. – Uchodźcy.

Zadziwiające, jak tylu ludzi zmieściło się na małej drezynie pozbawionej pasażerskiego wagonika. Chociaż mogło się zdarzyć i tak, że na zbawczą drezynę weszło ich jeszcze więcej, ale pozostali pasażerowie spadli po drodze.

Gdzieś z głębi tunelu dolatywało echo dalekich wystrzałów. Strzelanina szybko zresztą cichła. Zdaje się, że mrówańcza rzeczywiście wdarła się do metra i posuwała się w stronę Selmasza.

– Wy potwory! Kanalie! – dobiegał zza kraty histeryczny kobiecy głos. – Puuuszczaaajcie!

– Maaamooo! – krzycało przestraszone dziecko.

– Otwierajcie, sukinsyny! – trząsł kratą mniej więcej dwudziestoletni

chłopak.

Drugi człowiek z Ordżonikidze – potężny, dojrzały facet – w milczeniu i zaciekle walił po grubych żelaznych prętach automatem. Widocznie wszystkie naboje zostały już wystrzelone i kałach nie nadawał się do niczego innego.

Od mocnych uderzeń kolba automatu rozleciała się w drzazgi.

– Do tyłu! – Ludzie z Selmasza wtykali lufy pomiędzy pręty. – Wszyscy wycofać się od kraty! Bo będziemy strzelać!

– A ja mówię, że im nie otworzymy! – darł się na kogoś ze swoich podwładnych Inżynier. – Otworzysz jednym – wepchną się i pozostali. Potem nie zamkniesz.

– Przecież tam są dzieci! – To był, zdaje się, głos wujka Miszy.

– My tu też mamy dzieci! Może mrówka tylko czeka, żebyśmy otworzyli!

– Inżynierze, nie masz racji!

– Milczeć!

– Maaamooo! Maaamooo! – płakało i płakało dziecko po drugiej stronie kraty.

Ilja już zrozumiał, co i jak. Za tymi z Ordżonikidze idzie mrówka, a ludzie z Selmasza boją się, że razem z uchodźcami wpuszczą na stację mutanty. A klucze od kraty ma tylko Inżynier. I zdaje się, że nie zamierza ich nikomu oddawać po dobroci.

Ilja zaczął się do niego przeciskać.

\* \* \*

– Ściągnąć tu dodatkową zbroję eskortę! – wydawał komendy Inżynier.  
– Przygotowywać stację do ewakuacji. Brać tylko to, co niezbędne. Broń, amunicję, świece, baterie, wodę, jedzenie, paliwo... Postawić na szynach

dreżynę ewakuacyjną. Dwaj ludzie wyskoczyli z tunelu, żeby wykonać rozkaz.

Ilja podszedł do naczelnika Selmasza.

– Inżynierze, daj mi klucze.

Inżynier prześlizgnął się po nim niewidzącym spojrzeniem.

– Albo sam wpuść ludzi, póki nie jest za późno – zaproponował Ilja.

Wzrok Inżyniera stał się świadomy.

– Tak kochasz ludzi? – prychnął. – A od kiedy to odludek Mag zapalał miłością do rodzaju ludzkiego? Co, Gapcia się nasłuchałeś?

Ilja zmarszczył brwi. Nie, nie kochał ludzi, ale pewnych rzeczy w nich po prostu nie cierpiał...

– Nie lubię szcurów wśród ludzi – wycedził Ilja. – Otwórz kratę, Inżynierze.

– Spadaj.

– Nie upodabniaj się do Sopera.

– A ty mnie nie szantażuj, Mag, nie trzeba! – wysyczał ze złością naczelnik Selmasza. – I nie mieszaj dwóch systemów walutowych. Wasz Soper porzucił stację i uciekł. A ja muszę chronić swoich ludzi.

Wszystko się zgadza. Swoich Inżynier nie porzucał. Swoich chronił.

– A obcych? – zapytał Ilja.

– Każdy niech dba o siebie. I każda stacja też.

– Jak mówił Gapcio?

– A idź ty...

Czasu było tyle co nic i nie można go było tracić na czcze gadanie.

Ilja zrobił krok bliżej, skracając dystans. Lekko się pochylił.

I wyyyprostował.

Pięść wbiła się z chrzęstem w podbródek Inżyniera. Celny hak zwałił naczelnika stacji z nóg i na jakiś czas pozbawił świadomości.

Wszystko odbyło się szybko, niespodziewanie i cicho. W ogólnym zamieszaniu i półmroku nikt nawet się nie zorientował, co się stało. Ludzie z automatami i pozostali mieszkańcy stacji w chwili ataku na Inżyniera albo patrzyli na kratę, albo bezsensownie kręcili się dookoła. A jeśli ktoś nawet widział, co zaszło, to ze zdumienia i zakłopotania po prostu nie zdążył zareagować.

Ilja nachylił się nad Inżynierem, wziął pęk kluczy i, roztrąciwszy żołnierzy, precyzyjnie się do kraty. Na oczach oszalałych mieszkańców Selmasza włożył do kłódki pierwszy lepszy klucz z pęku. Miał szczęście: klucz pasował. Kłódka szczęknęła. Wygięta przez dreżynę krata otworzyła się ze skrzypnięciem.

– Szybko! – Ilja kiwnął głową na ludzi z Ordżonikidze.

Tych dwa razy nie trzeba było prosić. Tłoczący się przy dreżynie ludzie – zaledwie około dziesięciu osób – prześlizgnęli się na teren Selmasza.

Poza nimi za kratą nie było nikogo.

\* \* \*

– Zamykaj! – wyjęczał za jego plecami Inżynier, który przyszedł już do siebie. Otwarta krata niepokoiła teraz naczelnika stacji bardziej niż to, że ktoś odważył się podnieść na niego rękę. – Prędszej zamykaj, Magu!

Szybko się ocknął – pomyślał z roztargnieniem Ilja.

I zatrzasnął kratę. Przekręcił klucz.

Ot i po wszystkim.

– Na co ty sobie pozwalasz?! – Inżynier stał już przed nim, pocierając zadrapaną szczękę. – Dawaj mi je!

Wyrwał klucze z rąk Ilji. Oczy Inżyniera pałały wściekłością. Mieszkańcy Selmasza stali dookoła zwartym, ponurym murem. Ludzie z automatami trzymali na muszce Ilję i uchodźców. W spojrzeniach

gospodarzy stacji malował się strach i nienawiść. W sumie mieszanka wybuchowa. Jeden tylko wujek Misza kręcił głową z niezadowoleniem, spoglądając na towarzyszy.

Przybysze z Ordżonikidze zbili się w gromadkę. Mężczyźni patrzyli spode łba. Kobiety pochlipywały. Dzieci – wśród uchodźców rzeczywiście było dwoje dzieci – cichutko szlochały.

– Trzeba ich było zostawić w tunelu – wypalił któryś z mieszkańców Selmasza.

– Zgadza się! Trzeba było! – natychmiast odezwały się głosy poparcia. – Wpuścili mrówańczę do metra, to niech piją piwo, którego nawarzyli.

Ilja uśmiechnął się smutno. No i proszę – znaleźli się winni. Tak to i do linczu krok. Ech, ludzie, ludzie. A jednak Gapcio miał rację, kiedy prawił kazania o izolacji... I to jaką rację!

– Ale to nie my wpuściliśmy mrówańczę! – nie wytrzymała jakaś piersiasta baba z Ordżonikidze. – Nie my!

– W takim razie kto?

Krąg ludzi z Selmasza groźnie się zaciskał.

– Gapcio! – splunęła z nienawiścią piersiasta. – Gapcio Cudaczny!

Taaak... Jeśli to prawda, to w takim razie... Cóż, w takim razie to wiele wyjaśnia. Jak się okazuje, to po to tak naprawdę Gapcio szedł na Ordżonikidze. Żeby pomsta niebieska spadła w pierwszej kolejności na „gniazdo występku”, które nie chciało słuchać zbawczych dla duszy kazań.

I oto dlaczego Cudaczny był pewny, że mrówańcza wedrze się do metra. I że stanie się to wkrótce. Tak, dlatego że sam zamierzał otworzyć jej drogę. Gapcio uroił sobie, że jest karzącą ręką sprawiedliwości!

Ilja westchnął. Kto mógł przypuszczać, że nieszkodliwy szaleniec boży z cichym głosem i łagodnym uśmiechem świętego jest zdolny do czegoś takiego?



– Gapcio wpuścił! Gapcio! – wciąż nie cichła piersiasta kobieta. – Niech będzie przeklęty, nieszczęsny idiota!

Jedno tylko było niezrozumiałe: jak Gapciowi udało się w pojedynkę odblokować hermetyczne grodzie? Mimo że na Ordżonikidze jest tylko jedna zaporą, a nie dwie, jak na Selmaszu, to również tam zamki są takie, że nie da się ich otworzyć bez kluczy. A same grodzie są masywne i szerokie. Z tego, co Ilja wiedział, były to największe grodzie w całym metrze. Powstrzymałyby pewnie wagon kolejowy.

A może kaznodzieja zdołał jakoś zwieść wartowników i ci pozwolili mu wpuścić mrówańczę na stację? Ale w to trudno było uwierzyć.

– No, jasne, gadaj zdrowa! – Mieszkańcy Selmasza też babie nie uwierzyli. – Gapcio, tak po prostu, wziął i otworzył hermetyczne grodzie?

– Gapcio wysadził zasuwy – odparł ponurym basem facet, który roztrzaskał o kratę swój automat.

To w zasadzie możliwe – pomyślał Ilja. Jeśli wysadzić zasuwy, z samych grodzi nie będzie już pożytku.

– Trzeba było lepiej pilnować materiałów wybuchowych! – Złość ludzi z Selmasza w reakcji na zasłyszana informację tylko wzrosła.

– Ależ u nas na stacji ich nie było! – zawołał facet z Ordżonikidze. – Przyniósł je pewnie od was.

– Co?! Coś ty powiedział?!

– To, co słyszałeś!

– Dosyć! – okrzyk Inżyniera zagłuszył wrzaski. – Uciszcie się wszyscy!

Naczelnik Selmasza wpatrywał się gdzieś w przestrzeń za kratą.

\* \* \*

Cisza zapadła w jednej chwili. I w tej ciszy...

Po pierwsze stało się jasne, że w tunelu nikt już nie strzela. A po drugie...

Po drugie pojawiły się dźwięki. Znajome do bólu dźwięki dobiegały z ciemności, z drugiej strony kraty. Szmer niewidocznych ciał. Szelest niewidocznych skrzydeł. Chrobot i pośpieszny tupot niewidocznych odnóży. Dziesiątków ciał, setek skrzydeł, tysięcy odnóży...

I cykanie. Dźwięczne, zimne i bezduszne, od którego serce ma ochotę uciec człowiekowi w pięty.

Czyrik-chi, czyrik-chi. Czyrik-chi, czyrik-chi...

Na razie jeszcze dalekie, ale całkiem wyraźne i zbliżające się nieubłagane.

Mrówańcza szła przez metro. Szła, leciała, pełzła przez nieprzenikniony, czarny jak atrament mrok...

Wypełniała sobą tunel, tak jak nieczystości wypełniają ściek kanalizacyjny.

Ilja poczuł, jak włosy stają mu dęba. Dziwne i straszne uczucie. Straszne i znajome...

Czas splątał mu figla. Ilja przeżył już kiedyś coś podobnego. Tylko tamtym, poprzednim razem echo donosiło z mroku inne dźwięki. Człapanie, mlaskanie i głucho „brekek-brekek” żabiogłowych. Tak, dźwięki były inne, ale istota rzeczy ta sama. Śmierć szła przez metro wtedy i idzie teraz. Tylko w innej postaci. I z inną pieśnią na ustach.

Czyrik-chi, czyrik-chi. Czyrik-chi, czyrik-chi...

Tak wyraźnie i z tak bliska mrówańczy jeszcze nie słyszeli.

Zresztą teraz mieli okazję nie tylko ją słyszeć. Czuć jej zapach też.

– Co tak śmierdzi? – mruknął ktoś.

Z tunelu napływała ostra, nieprzyjemna woń. Zapach był coraz silniejszy i bardziej wyrazisty.

Ludzie przed zamkniętą kratą cofnęli się. Między prętami światła latarek szperały nerwowo w ciemności, ale na razie nie było tam nic widać.

A potem...

Nagle mrok jakby uzyskał kształt i zmaterializował się na granicy ciemności i miotającego się po tunelu światła. Wzrok, nie rozróżniając szczegółów, wychwycił tylko ruch i...

Komenda „Ognia!” nie padła. Inżynier razem ze wszystkimi gapił się jak urzeczony w ciemność i milczał. Ale było tak, jakby ktoś – niewidzialny i niesłyszalny – ten rozkaz jednak wydał. Ludzie zaczęli strzelać z automatów równocześnie. Ze wszystkich naraz.

Od huku zatkało mu bębenki. Wystrzały zagłuszyły i złowieszczy chrobot, i mrozące serce „czyrik-chi, czyrik-chi”, i wszystkie inne dźwięki. Ilja ogłuchł. Póki grzmiały automaty, nie słyszał nic. Jedynie widział.

Kule dzwoniły o pręty kraty, strącając z nich rdzę i krzesząc iskry, a potem odlatywały w mrok. Mrok bez słowa skargi pożerał grad ołowiu.

Potem kanonada ucichła.

Zaczął wracać słuch.

Wydawało się, że magazynki opróżniono do ostatniego naboju. Ale czy był jakiś tego efekt?

Zero! Żadnego!

Wrażenie było takie, jakby strzelali ślepakami. Z tunelu, tak jak wcześniej, dobiegało chrobotanie i niezmacone „czyrik-chi, czyrik-chi”. Śmierdziało jeszcze bardziej.

Światła latarek znowu wychwyciły ruch.

A ułamek sekundy później coś w powietrzu zaszeleściło. Gdzieś u góry, pod samym sklepieniem, gdzie nie kierowano latarek, ciemność wypluła coś dużego i podłużnego, szatkującego powietrze – szu-szu-szu-szu! – długimi wąskimi skrzydłami, jak łopatomi śmigłowca.

Masywne ciało mrówańczy uderzyło o kratę i natychmiast odskoczyło z powrotem w ciemność. Krata zadźwięczała. Światła latarek, które omiotły

metalowe pręty, nie nadały za stworem i oświetliły tylko obłoczek opadającego kurzu i zdartej rdzy.

Oko znów nie zdołało wychwycić żadnych detali. A uderzenie o kratę jakby posłużyło za sygnał. Ludzie z krzykiem rzucili się do ucieczki z tunelu na stację. Światła latarek zgasły.

Tylko stojąca w kąciku świeczka wartowników cokolwiek jeszcze oświetlała. Cokolwiek graniczące z „niczym”.

Zamiast uciekać stamtąd jak najdalej, razem ze wszystkimi, Ilja obserwował to, co się dzieje, jak królik zastygły pod hipnotyzującym wzrokiem węża dusiciela. Skrajem świadomości zdawał sobie sprawę, że został w tunelu sam. Ale ta myśl z jakiegoś powodu wcale go nie niepokoiła. Nie mógł, a nawet nie chciał niczego robić. Po prostu stał i patrzył, starając się dojrzeć nowego wroga...

O kratę uderzył jeszcze jeden stwór. I jeszcze... I znowu. I jeszcze raz...

Czyrik-chi, czyrik-chi! – powietrze wokół wypełniło się cykaniem owadów. Krata trzęsła się i chwiała.

Skacząca na przeszkodę mrówańcza już nie odskakiwała z powrotem w ciemność. W słabym świetle świecy Ilja dostrzegł, jak długie – na półtora ludzkiego ramienia – suche, ciemne łapy usiane szpetnymi chitynowymi naroślami, kolcami i sztywnymi włoskami, czepiają się prętów, zdzierając z nich rdzę. Coś przypominającego ogromne obcegi, które, jak się zdawało, trzymała w rękach sama ciemność, zgrzytało o metal, pozostawiając na kracie głębokie ślady.

Szczęki! Przecież to są szczęki! – domyślił się Ilja. I poczuł, jak po plecach spływa mu zimny pot.

Dokładnie w tej samej chwili szperająca po ziemi owadzia łapa przewróciła puszkę ze świecą. Ilja znalazł się w nieprzeniknionych, śmierdzących ciemnościach, wypełnionych cykaniem, chrzęstem, szelestem

i odgłosami skrobania. Pozostawanie po czymś takim przy kracie było już nie do zniesienia.

– Uciekaaaj! – krzyknęła mu z ciemności poprzez brzęczące „czyrik-chi, czyrik-chi” Oleńka. – Uciekaj, póki cię tu nie zamknęli!

– Tato, szybciej! – błagał Sieriożka.

I Ilja popędził.

Biegł tak, jak nigdy wcześniej. Potykając się w ciemności o podgnięte podkłady i przewracając się. Podnosząc się znowu i kontynuując bieg.

\* \* \*

Główny hol stacji i perony były już puste. W słabym świetle dogasającego ogniska można było dostrzec niewyraźne zarysy warsztatów, szerokie skrzynki z plantacjami grzybów wzdłuż ścian, bezkształtne stosy metalu i powywracane namioty.

Tylko w tunelu prowadzącym do Diaspory było jeszcze słycać czyjeś krzyki. Ostatni mieszkańcy Selmasza opuszczali stację.

Wyglądało na to, że Inżynier ogłosił powszechną ewakuację. I dobrze zrobił. Bariery w tunelach to jednak nie to, co potężne grodzie hermetyczne. Może i opóźnią mrówańczę, ale żeby ją powstrzymać? Wątpliwe. Ilja słyszał, jak pod naciskiem stworów trzęsie się krata. I widział też, jakie te stwory mają szczęki.

Najlepszym i najpewniejszym rozwiązaniem byłoby wysadzić w diabły wejście do tunelu prowadzącego do Ordżonikidze. Ale skąd wziąć tyle materiału wybuchowego? Wtedy, w Porcie Lotniczym, Saper przygotowywał się do wybuchu wiele tygodni. Diaspora przez kilka dni zbierała dla niego ładunki z całej linii i z powierzchni. Wygrzebali pewnie wszystko do czysta. Dlatego teraz po prostu nie było czym wysadzać przejazdu do Ordżonikidze. I pozostało tylko jedno wyjście: jak najszybciej zamknąć obie wewnętrzne

przegrody i wiać, gdzie pieprz rośnie.

Ilja omal nie spóźnił się do kraty przegradzającej tunel prowadzący do Diaspory. Paliła się tu jeszcze świeczka przy posterunku i w jej świetle było widać, jak ostatnia grupka mieszkańców Selmasza przechodzi na drugą stronę.

Bulba i Inżynier guzdrali się przy ciężkich okratowanych drzwiach. Bulba, z automatem przewieszonym przez ramię, przyciskał kratę. Inżynier, przełożywszy rękę między prętami, próbował trafić kluczem w dziurkę od wewnątrz. Widocznie konstrukcja zamka nie przewidywała możliwości otwierania i zamykania ochronnej przegrody z zewnątrz, od strony tunelu.

Cóż, trzeba było oddać sprawiedliwość naczelnikowi Selmasza, że nie porzucił swoich ludzi. Inżynier, w odróżnieniu od Sopera, opuszczał stację jako jeden z ostatnich.

Ale naprawdę ostatnim był jednak Ilja.

– Czekajcie! – krzyknął w biegu.

– Mag?! – wypuścił powietrze Bulba. – Mag tam został!

Słyszając okrzyk, Inżynier też podniósł wzrok.

I... wsunął wreszcie klucz do zamka.

Usta Inżyniera nad rozbitym podbródkiem ułożyły się w zły uśmiech. Czyżby drań postanowił się zemścić?!

Ilja usłyszał zdziwiony głos Bulby:

– Co ty robisz, Inżynierze? Wpuść człowieka.

Palce naczelnika stacji szarpały klucz w zacinającym się zamku.

– Ty zarazo! – Ostatnie metry Ilja nie tyle nawet przebiegł, ile przefrunął. Rzucił się na kratę niczym mrówka. Wyrzwał z rozbiegu w pręty.

Inżynier nie zdążył przekręcić klucza. Zamek się nie zamknął. Krata otworzyła się na oścież, odrzucając naczelnika stacji w ciemność tunelu. Bulba sam zszedł z drogi Ilji, który wpadł do tunelu jak kula armatnia.

– Niech cię szlag! – zaklął Inżynier. Podniósł się z szyn, trzymając się za skrzyżowaną rękę. – Gdzie jest klucz?

Ilji jakoś od razu odechciało się walić Inżyniera w mordę. Faktycznie, wyjaśnienia można było odłożyć na później. Teraz są ważniejsze sprawy. A najważniejsze, to zamknąć kratę.

Klucza na szczęście nie trzeba było długo szukać. Wciąż tkwił w zamku.

Bulba znów naparł na kratę. Ciężkie metalowe drzwi, skrzypiąc przenikliwie zardzewiałymi zawiasami, zatrzasnęły się. Teraz zamykał je Ilja.

Udało się. Zamknął. Klucz ze zgrzytem obrócił się w dziurce. Ilja wyciągnął go z zamka.

Na drodze mrówańczy pojawiła się jeszcze jedna przeszkoda. Choćby tymczasowa, ale jednak...

– Trzymaj! – Ilja rzucił klucz Inżynierowi. Ten zręcznie złapał słabo połyskujący kawałek metalu.

Tylko czy przyda się jeszcze komuś ten „złoty kluczyk”?

\* \* \*

– Bulba, zabierz świeczkę – rozkazał Inżynier.

Tak, świeczka to oczywiście potrzebna rzecz. Takich się w metrze nie trwoni. Bulba wziął świecznik zrobiony z puszki po konserwach z tłącym się światełkiem. Odwrócił się do Ilji:

– Słuchaj, Magu, widziałeś ją, co? Widziałeś mrówańczy?

– Widziałem... – burknął Ilja. – Co nieco.

– I co? I jak?

Inżynier starał się nie dać po sobie poznać, ale przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Wątpię, żeby kraty długo ją powstrzymały.

– Wiedziałem – westchnął Bulba. – Jeśli w tych stworach rzeczywiście

jest choćby cokolwiek z mrówek...

– Oj, jest – zapewnił go Ilja.

W każdym razie podobne do obcęgów szczęki, które gryzły kratę, były tak jak u mrówek żołnierzy, tyle że tysiąc razy większych.

– Podobno zwykła mrówka jest jakieś dziesięć razy silniejsza od człowieka – mruknął Bulba. – No, z zachowaniem proporcji...

Mówiąc o mrówańczej proporcji można było nie zachowywać.

– Silniejsza – kiwnął głową Ilja.

I pomyślał w duchu: A o ile bardziej są zjednoczone! Znów przypomniał sobie kazania Gapcia. Coś w nich jednak było.

– Bulba, idziemy – burknął Inżynier.

Ilji nie zaprosił.

Wąsacz zgasił świeczkę, zabrzączał swoją latarką i poświecił przed siebie.

Aha... O swoim ulubieńcu, czyli sobie, naczelnik Selmasza jednak nie zapomniał. Za kratą w głębi tunelu na Inżyniera czekała dreżyna, podobna do tej, na której przybyli uchodźcy z Ordżonikidze.

W powszechnym zamieszaniu ewakuacji mieszkańcy Selmasza dali jakoś radę postawić ją na tory. Do dreżyny był przyczepiony wagonik, w którym piętrzyły się jakieś skrzynki. Zarówno dreżynę, jak i platformę towarową oblepiali ludzie z automatami. Widocznie ochrona. O dźwignię dreżyny opierał się brodaty wujek Misza.

Tak, Inżynier opuszczał Selmasz jako ostatni. Ale bardzo szybko znalazł się przed uchodźcami, którzy uciekali ze stacji na piechotę.

– Wybacz, Magu, nie ma dla ciebie miejsca – oznajmił Inżynier z krzywym uśmiechem.

– Nie szkodzi – odparł Ilja. – Dalej pójde jakoś sam. Tylko dajcie jakąś latarkę.



Bulba podał mu swoją.

– Jedziemy – zarządził Inżynier.

– No, bywaj, Mag – z zakłopotaniem i, jak wydało się Ilji, pewnym poczuciem winy rzucił mu Bulba. Wąsacz wskoczył na drezybę. Stał przy dźwigniach razem z wujkiem Miszą.

Wujek Misza, milcząc, skinął mu na pożegnanie i odwrócił wzrok. Pozostali nawet na Ilję nie spojrzeli.

Ludzie z Selmasza zaczęli popychać dźwignie. Dwaj żołnierze zeskoczyli z wagonu towarowego i popchnęli przeciążony pojazd od tyłu. Coś brzęknęło, coś szczęknięło. Coś zazgrzytało...

Drezyba powoli, z wysiłkiem potoczyła się po szynach w mrok tunelu. Inżynier włączył latarkę, oświetlając drogę. Ludzie z automatami znów wskoczyli do wagonika.

Stukot kół stał się żywszy. Wkrótce podwójny skład zniknął mu z oczu.

I wszystko ucichło.

Tylko od strony Selmasza dochodził szmer, chrobot i cykanie. Jednak mrówiancza na razie się nie zbliżała. Krata od strony Ordżonikidze powstrzymywała stwory. Ale na jak długo to wystarczy? I ile wytrzyma druga krata?

Ilja znów stał sam w ciemności.

– Uciekaj, uciekaj! – jednym głosem powtarzali mu z przestraczem Oleńka i Sieriożka. – Uciekaj stąd jak najszybciej...

– Idę...

Ilja nacisnął na dźwignienkę żuczka i długim, zamaszystym krokiem ruszył po podkładach.

Z każdym nowym krokiem rosła w nim uraza, nienawiść i złość na cały świat, któremu był obojętny, i na los, który zmuszał go, by znowu iść do ludzi – tak bezużytecznych i niepotrzebnych stworzeń.

Bzzz-bzzz-bzzz – cicho brzęczała mu w dłoni latarka.

Ilja nie bał się, że zwabi Grzechota. Ten zaraz zmęczy się zbieraniem na swoją dreżynę rozsianych po tunelu uciekinierów z Selmasza. Jeśli Grzechot w ogóle istnieje...

Plama trupiosinego światła diody oświetlała drogę. Po ścianach przeskakiwały cienie. Za nim była ciemność i niewyraźne echo, w które zamieniało się dalekie cykanie mrówańczy.

Przed nim była tylko ciemność.

## Rozdział 8 | Diaspora

Najwolniejszą grupę mieszkańców Selmasza Ilja dogonił już na podejściu do terytorium Diaspory, gdy zamajaczyło przed nimi światło.

Uchodźcy zbliżali się do stacji metra Szołochowska. W głębi tunelu przebłyski ognisk mieszały się ze światłami latarek. Słysząc było krzątanie i szmer ludzkich głosów. Ilja rozróżniał nawet pojedyncze zdania.

- Kładź szybciej.
- Wzmocnij tutaj.
- Więcej zaprawy...

Ciekawe, co tam się dzieje?

- Ruch w tunelu! – zauważyli ich.
- Przygotować się do walki! – zabrzmiała czyjaś komenda.

Szczęknięcia odciąganych zamków karabinków. I kolejny rozkaz.

- Światło!

W tunelu jakby rozbłysło słońce. Jasny snop uderzył zza krawędzi przegradzającego przejście muru, oślepiając idących i spychając ciemności daleko do tyłu.

Mocno! Cóż, stacje Diaspory są bogate. Mają agregaty i zachomikowali pewnie niemało paliwa. Mogą sobie pozwolić na taką iluminację. Choćby przez krótki czas.

- Ludzie! – odetchnął ktoś z ulgą. – To ludzie. Znów idą z Selmasza.
- Wyłączyć reflektor!

Słońce w tunelu zgasło.

– Wracać do pracy!

Ilja dołączył do uchodźców i podszedł bliżej. Stało się jasne, jakiego rodzaju prace prowadzą pogranicznicy z Diaspory.

Na Szołochowskiej nie było żelaznych kratownicowych przegród od ściany do ściany i od ziemi do sufitu, jak na Selmaszu. Diaspora, zresztą tak samo jak inne stacje czerwonej linii, wołała umocnione posterunki z dobrze uzbrojoną strażą, szlabanem nad torami i ruchomymi blokadami.

Było to całkiem wystarczające, by powstrzymać agresję ze strony sąsiadów. Ale nawet najlepiej umocniony posterunek nie mógł zatrzymać mrówańczy. Widocznie uchodźcy z Ordżonikidze i Selmasza przekonująco już to miejscowym wyjaśnili. I teraz Diaspora wzmacniała obronę.

Zagrozić tunel w pewny sposób można było tylko na dwa sposoby. Albo go wysadzić, albo замуrować. W Diasporze nie udało się znaleźć odpowiedniej ilości materiałów wybuchowych. Natomiast cementu, cegieł i innych materiałów budowlanych było dość.

I teraz kilka brygad robotników na zmianę obudowywało posterunek graniczny ceglami, blokami żuźłowymi, jakimiś płytami i wlewało w drewniane osłony szalunków betonową zaprawę.

Praca wrzała. Ludzie z Diaspory spieszyli się, mając nadzieję, że skończą budować, zanim pod naporem mrówańczy załamią się kraty na Selmaszu. Tylko na wytrzymałość owych krat, oraz na zręczność murarzy, można było jeszcze liczyć.

Jedni donosili materiały budowlane i worki z cementem, piaskiem i żwirem, drudzy mieszały beton, jeszcze inni poszerzali, podwyższali i pogrubiali ściany posterunku. Po obu stronach pośpiesznie wznoszonej zapory płonęły ogniska i stały naprędce zbite rusztowania. Do sklepienia przymocowano owinięty przewodami i kablami lustrzany talerz reflektora.

Uzbrojona straż wpatrywała się w ciemność tunelu.

Słysząc było krótkie komendy wojskowych, stłumione wyzwiska brygadzystów, pobrzękiwanie metalu i stukot kielni o kamień. W powietrzu unosił się cementowy pył i ciche przekleństwa robotników.

Posterunek zamieniał się w podziemny mur z niezaślepienymi jeszcze otworami strzelniczymi, zwężającym się przejściem na linii torów i niezamurowanym na razie łukiem sklepienia.

\* \* \*

– Wchodzimy pojedynczo. Szybko, szybko! – Stojący przed murem niewysoki brunet z garbatym nosem i automatem wskazał lufą przejście.

Uchodźcy z Selmasza przeciskali się na terytorium Diaspory.

– Udało się wam – chrząknął brunet. – Jeszcze chwila i wejście byłoby zamurowane. Możliwe, że ktoś został w tunelu?

– Nie – burknął Ilja zamykający pochod. – Tylko mrówka.

On też wszedł w wąską szczelinę.

Za nim ruszyli strażnicy i murarze, którzy pracowali na zewnątrz.

– Zamykaj! – nakazał brunet.

W Diasporze chociaż postąpili po ludzku – pomyślał Ilja – nie zostawili nas, żebyśmy zdychali na zewnątrz.

Dla szlachetności gospodarzy stacji znalazło się zresztą całkiem racjonalne wyjaśnienie. Nowo przybyli uchodźcy nie zdążyli nawet przejść kilku kroków przez plac budowy, a już wzięli ich w obroty:

– A wy czemu spacerujecie? Do roboty! Żywiej! Biercie się do pomocy!

Rzutcy brygadziści łapali uchodźców i natychmiast, z biegu, zaprzęgali do pracy. Dla każdego coś się znalazło. Cóż, w takiej sytuacji każda para rąk się przyda.

Mieszkańcy Diaspory, trzeba oddać im sprawiedliwość, sami też zasuwali

aż miło, ale jak się okazało, większość podrzędnych robotników rekrutowała się jednak spośród przybyszów. Wśród murarzy po stachanowsku harujących na podziemnej budowie Ilja zaczął rozpoznawać znajome twarze.

Ci są z Selmasza... I tamci. I tamci też. A ten to facet z Ordżonikidze, który rozbił automat o kratę. Obok – brodaty wujek Misza. Nieco dalej – Bulba i kudłaty chłopak.

Oho! A to nie kto inny, tylko Inżynier we własnej osobie. Naczelnik Selmasza zakasał rękawy i miesza zaprawę. Gęba niezadowolona, ale co robić? Wszyscy pracują... Trwa ważna budowa. Budowa, od której zależy życie. Być może życie nie jednej stacji, ale całego metra.

Murarzom z Diaspory podawali cegły rozbrojeni żołnierze Inżyniera. Ochrona spoczywała na barkach gospodarzy. Wyglądało jednak na to, że ci pilnowali nie tylko tunelu, ale i pracujących uchodźców. Poganiają ich do spółki z brygadzystami.

Nadzorcy, kurde...

Jest tu i dreżyna z Selmasza z wagonikiem towarowym! Widocznie krótki skład przecisnął się, kiedy przejazd był jeszcze wystarczająco szeroki. Wyglądało na to, że Diaspora zarekwirowała pojazd dla swoich potrzeb: z wagonika wyładowywali cegły i worki z cementem. Właściwie już rozładowali...

– Ej, ty – brygadzysta z Diaspory, starszy Ormianin kierujący rozładunkiem pchnął palcem Ilję.

– I ty też – brygadzysta przywołał gestem Bulbę. – Do mnie. Raz, raz!

Tak... Zdaje się, że mają już status niewolników. Dobra, nie czas się teraz stawiać. Są tylko obcymi, którzy porzucili swoją stację, a tranzyt przez terytorium Diaspory trzeba odpracować. Sprawiedliwe... Ilja podszedł. Bulba też.

– Zajmijcie miejsce przy dźwigniach – brygadier wskazał na dreżynę. –

Jedźcie na stację Karola Marksa. Tam powinny być przygotowane materiały budowlane. Pomożecie je załadować i od razu z powrotem. Aszot!

Do brygadzysty przyskoczył znany im już garbatonosy brunet z automatem, który wcześniej wpuścił za mur uchodźców z Selmasza.

Brygadzista machnął ręką w stronę Ilji i Bulby i powiedział coś po swojemu do faceta z automatem. Pewnie polecił mu, żeby ich przypilnował.

Aszot skinął głową i wskoczył do zakurzonego wagonika. Rozsiadł się wygodnie z automatem na kolanach. No tak, konwojent i ochroniarz w jednej osobie...

Ilja i Bulba, wiosłując dźwignią, ruszyli, stopniowo rozpędzając pojazd.

Aszot włączył wyjętą z kieszeni latarkę, oświetlając nie tyle drogę przed nimi, co bezpłatną siłę roboczą na dreźnie.

– Zaprawa się kończy! – dobiegł z tyłu, z budowy, czyjś pełen niepokoju głos. Nie ma cegieł!

– Szybciej, no! – pospieszył ich Aszot.

– A ty nas nie poganiaj! – zaburczał z niezadowoleniem Bulba, naciskając na dźwignię. – Nie jestem koniem pociągowym.

Chociaż, jeśli się zastanowić, było już do tego blisko.

\* \* \*

Rozpędzona dreźna przemknęła przez opustoszałą Szołochowską. W świetle latarki mignęły gdzieś potłuczone i sypiące się płytki mozaiki przedstawiającej ludowe obrazki z życia Kozaków. Chata, palisada, Don, kozacka stanica, step. Zawadiacki Kozak z osełdcem, na karym koniu. Czarnobrewa Kozaczka z nosidłem na wodę... Motywy z Szołochowa, cóż powiedzieć...

Dreźna wpadła w kolejny tunel, prowadzący na Karola Marksa.

Kiedyś nad tą częścią metra mieściła się dzielnica ormiańska. A jeszcze

wcześniej stare miasto sąsiadujące z Rostowem – Nachiczewań nad Donem. Prawdopodobnie to dlatego właśnie ten odcinek upatrzyła sobie gmina ormiańska, do której później dołączyli też przedstawiciele innych społeczności.

Różnojęzyczne grupki ściąające tu z całego miasta potrafiły jakoś się dogadać. Wielonarodowe społeczności zdołały dojść ze sobą do ładu w sposób pokojowy. W rezultacie na dwóch stacjach – Alei Szołochowa i Placu Karola Marksa – powstał egzotyczny sojusz, który nazwano później Diasporą.

Diaspora żyła, i to bogato, dzięki handlowi. Praktycznie całe jej terytorium zajmował jeden wielki bazar, gdzie wystawiano na sprzedaż najróżniejsze dobra – od produktów żywnościowych i niezbędnych artykułów gospodarczych po w sumie bezużyteczne, ale ciekawe osobliwości dostarczane przez stalkerów z powierzchni.

Stragany, budki, przeróżne pawiloniki i byle jak sklecone punkty handlowe stały na przemian z mieszkalnymi namiotami, zbitymi z desek chałupkami na kilka rodzin i solidnymi rodzinnymi gniazdami obłożonymi cegłą. Niewtajemniczonemu trudno się było zorientować, które konstrukcje były przeznaczone do mieszkania, a które do handlu: jedno z drugim zbyt gęsto przeplatało się na terytorium Diaspory.

Targowo-mieszkalne alejki zajmowały nie tylko obie stacje, ale i ciągnęły się wzdłuż tuneli, podchodząc do samych torów, więc w razie czego potrzebnego zakupu można było dokonać, nie schodząc z drezyny.

Na bazyry Diaspory schodziła się cała czerwona linia. Nierzadkimi gośćmi byli tu też stalkerzy z dalekich zachodnich stacji. Nawet niebiescy czasem się tu pojawiali – ci z nich, którzy mogli sobie na to pozwolić. Nie na darmo po metrze krążyło powiedzenie: „Jeśli nie da się czegoś kupić w Diasporze, to znaczy, że nie da się tego kupić nigdzie”.



Szczerze mówiąc, Ilja nigdy nie rozumiał, jak można stale żyć na działającym przez okrągłą dobę targu, w prawie niemilkącym hałasie i zgiełku. Ale od czasu do czasu odwiedziny na bazarach Diaspory były nawet przyjemne. Szczególnie jeśli w kieszeniach pobrzękiwały naboje, albo miało się inne łatwe do upłynnienia drobiazgi. Atmosfera święta i jarmarcznego rozgardiaszu pomagała chociaż na jakiś czas zapomnieć o szczerzej egzystencji obalonego władcy przyrody. I to była, jak się wydaje, najważniejsza rzecz, po którą mieszkańcy metra szli tu piechotą i jeździli drezynami. No a zakupy... Zakupy to już sprawa drugorzędna. Chociaż, oczywiście, też ważna.

Zresztą tak było kiedyś. Teraz wszystko wyglądało inaczej. Brak ludzi, pustka, cisza.

Ciemność...

Światło elektryczne na stacji i w tunelach zgasło. Nie paliły się ogniska w specjalnie wydzielonych, odgradzonych miejscach. Nie migotały obudowane różnobarwnymi szkiełkami świeczniki i lampki, których wolno było bezpiecznie używać w targowych budkach.

Jedynym źródłem światła była latarka Aszota, wychwytyjąca z mroku pojedyncze fragmenty niewesołego obrazka.

Obfitość towarów, na którą kiedyś patrzyło się rozbieganym wzrokiem, znikła gdzieś bez śladu. Razem z towarem przepadli też ludzie. Wśród powywracanych straganów i zniszczonych bud nie było widać żadnych oznak życia. Nie kręcili się tam handlarze z tobołami i skrzynkami, w wąskich przejściach nie tłoczyli się kupujący i gapie, nie myszkowali kieszonkowcy. Nie słychać było głosów naganiaczy, nie było namiętnego targowania się i rozpalonych oczu.

Takich bazarów Diaspory Ilja jeszcze nie widział.

– Patrzcie ich, nas zmuszają do pracy, a wszystkich swoich już

ewakuowali – nie przerywając machania dźwignią, wycedził ze złością Bulba.

No, powiedzmy, że nie wszystkich – zaprotestował w myślach Ilja. Tych z Diaspory też niemało zostało przy murze. Na dodatek spośród uchodźców ściągnięto do pracy tylko silnych i zdrowych mężczyzn. Diaspora nie chciała obarczać pracą kobiet i dzieci.

– I zabrali swoje manatki! – oburzał się po cichu Bulba, zerkając na boki.

Zabrali... Ale to tylko świadectwo zorganizowania i przezorności Diaspory.

Rzeczywiście, znaleźć się na nie swojej stacji z pustymi rękami to niezbyt wesoła perspektywa. A towary Diaspory to nie warsztaty i wyroby metalowe z Selmasza. Taki towar można zapakować i zabrać ze sobą. Choćby jego część. Tę najcenniejszą. Tę, za którą da się kupić jedzenie, dach nad głową. Życie.

A resztę – pochować do lepszych czasów w magazynach na stacji i w tunelach.

– Na Karola Marksa panuje teraz pewnie kompletny chaos – znów spróbował zagaic rozmowę Bulba. Tym razem głośniej i zwracając się już nie tylko do Ilji, ale i do konwojenta strażnika. – Jeśli wcisnęło się tam tyle luda naraz, hę?

Bulba nie doczekał się niczyjej odpowiedzi i zasapał obrażony.

Ochroniarz w wagoniku też przycichł. Obracał tylko latarkę raz w prawo, raz w lewo, oglądając panujące wokoło spustoszenie. Widocznie obserwacja głośnych kiedyś rodzimych bazarów działała na Aszota przygnębiająco.

Ciszę mąciło jedynie skrzypienie dźwigni oraz stukot kół. Po bezludnym tunelu niosło się echo pędzącej drezyny.

Ilja przymknął oczy. Monotonny fizyczny wysiłek, jednostajny ruch ciała i miarowe pompowanie skrzypiącej dźwigni drezyny wprowadzały go w stan

bliski transowi. Wspominał, jak było tu kiedyś...

Pamiętał to dobrze. Jasno, wyraźnie.

\* \* \*

Stali na skraju peronu. We troje.

Ilja, Oleńka i Sieriożka...

Przed nimi był głośny tunel oświetlony mnóstwem światełek przebijających się przez różnobarwne szybki. Takie wesołe świąteczne lampki – czerwone, żółte, zielone i niebieskie – przyciągały do straganów z różnymi różnościami. Uśmiechnięci handlarze i handlarki przywoływali klientów.

Szum, zgiełk, zamieszanie, krzątania... Ludzi było dużo. Nawet tor był zajęty. Zresztą drezyny po terytorium Diaspory zawsze jeździły powoli.

– To co, przespacerujemy się od Szłochowa do Karola Marksa? – zaproponował Ilja. – Potem złapiemy drezynę i pojedziemy do domu.

– Dobra – zgodziła się z radością Oleńka. Nigdy nie miała nic przeciwko spacerom po targu w Diasporze.

„Szłochowa”, „Kaolamaksa”, „Szłochowa”, „Kaolamaksa” – przekręcając nazwy stacji na swoją modłę, Sieriożka zmarszczył brwi. – Mamo, tato, a co to jest „szłochowa” i „kaolamaksa”?

– Nie co, tylko kto – uśmiechnęła się Oleńka. – Byli tacy ludzie. Michaił Szłochow i Karol Marks.

– Karol Maks. – Sieriożka, do głębi porażony nieoczekiwanym odkryciem, otworzył usta. – Jeden człowiek i dwa imiona. To mutant? Z dwoma głowami? A jak ma na nazwisko?

– Nie Maks, tylko Marks – wyjaśniła cierpliwie Oleńka. Czasem, żeby odpowiadać na pytania ciekawskiego Sieriożki, trzeba było jednak nieprzeciętnej cierpliwości. – Marks to właśnie nazwisko.

– Dziwne nazwisko.

– Zdaje się, niemieckie. – Oleńka zamyśliła się. – Albo żydowskie.

Dokładnie nie pamiętam.

– A kto to są niemiecy i żydzi? Nie mutanty?

– Nie. Ludzie. I nie mówi się „niemiecy”, tylko „Niemcy”.

– A z jakiej oni są stacji?

Ilja cicho westchnął. Dziecko, którego cały świat ograniczał się do tuneli metra, nie mogło pewnie zadawać innych pytań.

– Z daleka – odpowiedziała wymijająco Oleńka.

– A ten Szołochow i Mak... Marks – kim oni w ogóle są? – dopytywał się Sieriożka. – Stalkerzy? Handlarze?

Oleńka spojrzała z zakłopotaniem na Ilję. Trzeba było wziąć wyjaśnienie na siebie.

– Nie, Sieriożko – zaczął. – Szołochow to pisarz.

– Kto?

– No, człowiek, które pisze książki.

– A to taka praca?

– Można tak powiedzieć. Była taka praca.

– Lubię książki – uśmiechnął się z rozmarzeniem Sieriożka. – Ale tylko te z obrazkami.

No jasne. Teraz kolorowe obrazki w zdobytych przez stalkerów sfatygowanych książeczkach zastępują dzieciom i telewizor, i komputer, i wyjścia na podwórko.

– Ja sam rysuję książeczkę, tato – wyznał syn. – O metrze. Tylko zeszyt mi się skończył.

Sieriożka obrócił się do Oleńki:

– Mamo, kupimy jakąś książkę i zeszyt?

Oleńka rzuciła Ilji szybkie spojrzenie. „Wystarczy?” – pytały jej oczy.

Ilja kiwnął głową. W kieszeniach miał kilkadziesiąt nabołów – uniwersalnej waluty metra. To powinno wystarczyć na mnóstwo książek i zeszytów.

– No maaamo? No prooszę... Kupmy, co?

– Jeśli gdzieś zobaczymy, to kupimy – obiecała Oleńka.

Całkowicie usatysfakcjonowany odpowiedzią matki, Sieriożka znów odwrócił się do ojca:

– Tato, a Marks?

– Co? – nie zrozumiał Ilja.

– No, co robił Marks? Szołochow to pisarz, a Marks?

– Hmm... – Ilja się zamyślił. Jak tu wyjaśnić dziecku to, czego sam do końca nie rozumie. – No, też był jakby pisarzem. Poza całą resztą... Dużo napisał.

– A to dobrzy pisarze?

– Noo... zależy co kto lubi.

– A ich książki mają obrazki?

– Marksa – raczej nie.

– A kto więcej napisał – Szołochow czy Marks?

– Myślę, że Marks.

– Pewnie na jego stacji było więcej papieru, tak?

Ilja pokręcił głową:

– Marks nie mieszkał na stacji.

– A Szołochow?

– Szołochow też nie.

– Czyli gdzie? W tunelach, czy co? Przecież tam jest kiepsko ze światłem. Jak tam pisać?

– Nie, nie w tunelu. Oni w ogóle nie mieszkali w metrze.

– Nie w metrze?! – zrobił wielkie oczy Sieriożka. – Na powierzchni? To znaczy, że to jednak mutanty? Nazwali stacje na cześć mutantów?

– Ależ nie, Sieriożka! To było dawno. Przed Wojną. Naszego metra jeszcze wtedy nie wybudowano.

– Aaa. – Na twarzy syna pojawiło się zrozumienie. – Oni żyli w starożytności, tak?

Ilja uśmiechnął się smutno.

– Tak, w starożytności.

Można i tak to nazwać. W innym świecie, w innej epoce, w innym eonie.

– A kto jeszcze wtedy żył?

– No... – Ilja się zamyślił. – Pamiętasz stację przed naszym Portem Lotniczym?

– To tam, gdzie są pijani wujaszkwie i gołe ciocie?

Ilja i Oleńka spojrzeli po sobie. Nawet przejeżdżając tranzytem obok spelun na Ordżonikidze, nie zawsze udawało się uchronić syna przed paskudnymi widokami.

– Or-ży-ki-ni-dze – wymówił z trudem Sieriożka. To słowo zawsze przychodziło mu z trudem.

– Ordżonikidze – poprawił go Ilja. – Był taki Grigorij Ordżonikidze. Czyli Sergo Ordżonikidze...

– Ale to też człowiek?! – śmiesznie wytrzeszczył oczy Sieriożka. – I znów z dwoma imionami!

– Człowiek, człowiek – zapewnił Ilja. – Zwyczajny człowiek. I imię miał jedno. Sergo – to jego partyjny pseudonim. No... powiedzmy, przezwisko.

– Or-ży... Or-dżo... – syn znów postarał się wymówić trudne nazwisko. Ale na razie zrezygnował z dalszych prób.

– Człowiek – wymamrotał z namysłem. – A ja myślałem...

Co dokładnie myślał syn, pozostało tajemnicą. Sieriożka szybko zmienił temat:

– Tato, a Selmasz to jeszcze jeden wujek ze starożytności?

– Nie, Sieriożka, Selmasz to nie człowiek.

– Mutant?

Ilja westchnął. Nie było niczego dziwnego w tym, że Sieriożka tak się zafiksował na punkcie mutantów. Dzieci mają zwykle na języku to, czego najbardziej się boją.

– Były takie zakłady – wyjaśnił Ilja. – Nazywały się „Rostselmasz”. Produkowali tam maszyny rolnicze. Na początku...

– A co to jest rolnictwo?

– To jak ludzie uprawiają sobie rośliny, a potem zbierają plony.

– Wiem, wiem, takie duże pudła na grzyby? To jest rolnictwo, tak?

– To też – westchnął niewesoło Ilja. – W pewnym sensie.

– A kto jeszcze żył w starożytności? – Widocznie odkrycie związku między pradawnymi, z punktu widzenia Sieriożki, czasami a stacjami metra na serio go zaabsorbowało.

– Za Karola Marksa i Teatralną jest stacja Woroszyłowska i Budionowska. Klimient Woroszyłow i Siemion Budionny też pochodzą stamtąd... hm... ze starożytności.

Sieriożka pogрузił się w zadumie. Prawdopodobnie starał się nadać nowy sens zwyczajnym, dawno już wrytym w świadomość nazwom stacji i zestawić je z konkretnymi ludźmi, którzy wydawali się pewnie chłopcu co najmniej tytanami przeszłości.

– Or-dżo-ni-ki-dze, Wo-ro-szy-łow, Bu-dion-ny – w skupieniu, starannie wymawiając każdą sylabę, powiedział Sieriożka. – Oni wszyscy też byli pisarzami?

– Nie, nie byli.

– Ale żyli przed metrem i przed Wojną?

– I żyli, i umarli – kiwnął głową Ilja. – I oni, i Marks, i Szołochow.

Sieriożka znów na chwilę się zamyślił.

– Ale skoro umarli przed powstaniem metra, to znaczy, że nie mogli niczego dla naszego metra zrobić? – powiedział z lekkim rozczarowaniem.

– Nie mogli.

– Nawet napisać o metrze nie mogli.

– I nie pisali.

– W takim razie po co nazywać stacje ich imieniem?

Ilja po raz kolejny zdziwił się prostą dziecięcą mądrością i spontaniczną przenikliwością syna.

– Szczerze mówiąc, to nie wiem. Po prostu ludzie się do tego przyzwyczaili i tyle. Z początku nazywali ich nazwiskami ulice, aleje, place, osiedla i dzielnice. No, a potem, już z przyzwyczajenia – stacje.

– Mam! Tato! – Sieriożka nagle szarpnął w bok, do oświetlonego podwieszanymi latarkami diodowymi straganu. – Tam sprzedają książki!

Sieriożka podbiegł do handlarza jako pierwszy i, widocznie, postanowił zabłysnąć dopiero co zdobytą wiedzą.

– Jest książka Karola Marksa z obrazkami? – usłyszał Ilja żywy głosik syna.

I nieco rozczarowany:

– A Szołochowa?

I całkiem już smutny:

– No, a cokolwiek z obrazkami?

\* \* \*

Pod kołem coś brzęknęło. Rozpędzoną drezyną mocno potrząsnęło i wypadła z szyn. Ilja i Bulba polecili na żwir. Aszotowi udało się utrzymać w wagoniku. Chociaż, wnioskując po stłumionych przekleństwach, on też mocno oberwał.

Latarka konwojenta zgasła. Roztrzaskana...



Ilja wytrząsnął z kieszeni szczątki swojego żuczka. Ech, nie mieli szczęścia. Zostali zupełnie bez światła.

– Co za cholera! – wyjęczał z ciemności Bulba.

Ilja po omacku wymacał szyny. Aha, w tym rzecz. Na torze leżał metalowy stojak od przewróconego straganu. I to na niego wpadli w ciemności. Aszot nie powinien był kręcić latarką na boki. Trzeba było świecić na drogę.

Konwojent już wyskoczył z wagonika. I też grzebał przy drezynie.

– Wykoleiła się cholera – warknął przez zęby. – Wykoleiła się!

– Damy radę ustawić ją z powrotem we trzech? – spytał Ilja.

– Dać to może i damy – westchnął Bulba. – Ale trzeba się będzie pobawić.

Rzeczywiście, na to, żeby w nieprzeniknionych ciemnościach przy pomocy dźwigni, w charakterze której wykorzystali pechowy stojak, oraz steku przekleństw wstawić drezynę na tory, trzeba było zmarnować sporo czasu. A kiedy problem pojazdu został w końcu rozwiązany, pojawił się nowy.

– Słyszysz? – szepnęła niespokojnie z mroku Oleńka.

– Co? – zjeżył się Ilja.

– Tato, słyszysz?

To już Sieriożka.

– Co mam usłyszeć?

– Co ty tam mamrociesz, Mag? – wciął się w rozmowę głos Bulby.

Ilja nie odpowiedział.

– Słuchaj, słuchaj, o, teraz! – znów odezwała się Oleńka. – Cicho...

– Ej, Mag!

– Cicho! – nakazał Ilja.

I w tunelu zrobiło się cicho. Cicho, ale nie do końca.

Ucho wychwyciło echo bezładnej strzelaniny. Nie dało się określić odległości: odgłosy wystrzałów roznoszą się w zamkniętej przestrzeni daleko i w każdym tunelu brzmią inaczej. Ale jedno było jasne: strzelano zaciekle, nie żałując nabojów. Parę razy z nieustannej głośniejszej kanonady dobiegły wybuchy ręcznych granatów.

To znaczy, że mrówka przełamała już wewnętrzne przegrody Selmasza i podeszła blisko szołochowskiego posterunku. A to z kolei oznaczało, że murarze Diaspory nie zdążą zamurować niebezpiecznego tunelu.

- Co to? – Głos Aszota był cichy i ściśnięty.
- Mrówka – Ilja dał jedyną słuszną odpowiedź.
- Uciekaj, Iljuszka! – Oleńka omal nie zapiszczała z ciemności.
- Tato, odjeżdżaj! – chlipnął gdzieś obok Sieriożka.

Bali się. Być może bali się nawet bardziej niż on sam. I nie było w tym nic dziwnego. Byli tam, gdzie on. I może ich teraz uratować, tylko ratując siebie.

– Na dreżynę, szybko! – polecił Ilja. – Bulba, odczepiaj wagonik – tak będzie lżej. I spadamy stąd.

Na dreźnie mogli się jeszcze uratować. Wszyscy. Jeśli znów nie wpadnie im coś pod koła.

Tym razem Aszot zarzucił sobie automat na plecy i pomagał im machać dźwignią.

Kanonada za nimi zaczęła gasnąć.

Kończą się naboje – pomyślał Ilja. – Albo strzelcy.

## Rozdział 9 | Teatralna

Mieli szczęście. Na szynach nie leżało już nic, co mogłoby zatrzymać pędzącą przez mrok dreżynę.

Z pełną prędkością wpadli na stację Karola Marksa. Dopalało się tu kilka ognisk rzucających szkarłatne refleksy świetlne na wyłożone kafelkami ściany. I żadnego tłumu zapowiadanego przez Bulbę. Wbrew oczekiwaniom, ta stacja, podobnie jak Szołochowska, okazała się opuszczona.

Na skraju peronu Ilja zobaczył starannie ułożone stosy cegły, ozdobny kamień, grube kafle i całe bloki betonu wykute ze ścian. Obok leżały dwa worki cementu. Wszystko było przygotowane do szybkiego załadunku. Przygotowane i... porzucone.

Ilja, Bulba i Aszot kręcili głowami na wszystkie strony.

Nic. Nikogo. Nigdzie.

W oczy rzucała się jeszcze jedna dziwna rzecz: w targowych alejkach było zdecydowanie mniej bud i straganów. Razem z ludźmi zniknęła gdzieś część wyposażenia bazaru.

Czyżby Marksowcy zabrali ze sobą nawet stragany wraz z towarem? – zdumiał się Ilja.

Zresztą, nie było czasu bawić się w zgadywanki.

Dreżyna dała nura w ciemność kolejnego tunelu. W pożegnalnym rozbłysku ogniska Ilja zdążył dostrzec, że i tu stragany zostały rozebrane. Na ostatnim odcinku terytorium Diaspory było dość pusto.

Tym razem mrok ustąpił, zanim jeszcze porządnie zgęstniał. Przed nimi paliło się światło i dało się wyczuć jakąś krzątaninę. A kiedy dreżyna podjechała bliżej, z ciemności wyłoniły się niewyraźne zarysy szerokiej i wysokiej pod sam sufit barykady, wzniesionej na zachodnim posterunku granicznym Diaspory. Stało się jasne, gdzie podziały się stragany z tunelu i stacji...

Mieszkańcy Diaspory również tutaj nie tracili czasu. Gdyby mur wznoszony na wschodniej granicy powstrzymał mrówańczę, rozebranie barykady nie byłoby problemem. A jeśli nie, to sterta straganów w tunelu choćby na krótko, ale jednak, opóźni marsz stworów. Prawdopodobnie na to liczyli ci, którzy ją zbudowali.

Niestety, tunelu z Selmasza nie udało się zamurować na czas. Mrówańcza na pewno przedarła się już przez prowizoryczny mur. A na barykadę mógł liczyć tylko ten, kto nie widział mrówańczy na własne oczy. Ilja widział. Wiedział, że w najlepszym razie usypana w tunelu zapora powstrzyma mutanty tak długo, na jak długo obrońcom barykady starczy amunicji. To jednak nie kamienny mur, a nawet nie krata z Selmasza. Gigantyczne mrówki przeleżą przez nią raz dwa. Albo przelecą jeszcze szybciej.

Dreżyna minęła ogniska płonące po obu stronach toru. Jak się wydawało, ognie rozpalono po to, żeby najwcześniej jak to możliwe dostrzec niebezpieczeństwo.

Ilja, Bulba i Aszot przestali poruszać dźwignią. Dreżyna przejechała siłą rozpędu jeszcze kilkadziesiąt metrów. Uderzyła w zaporę. Stanęła...

\* \* \*

– Tutaj! Wchodźcie tu! Szybciej! – zawołałano do nich z góry.

Światła latarek smagnęły ich po oczach. Ilja spróbował wdrapać się na barykadę. Zwalone jeden na drugi, szerokie, zbite z desek stragany mocno się

chwiały. Nogi ślizgały się i zapadały. Rękom nie udawało się znaleźć solidnego oparcia. W palce wbijały się drzazgi. Wystające fragmenty próbowały przebić brzuch i wykłuć oczy.

Obok klęli towarzysze Ilji. Szczególnie wściekał się Aszot, któremu we wspinaczkę przeszkadzał automat. Nie zamierzał jednak porzucać swojej broni.

Wzięcie barykady szturmem okazało się niełatwe. Człowiek to jednak nie mrówańcza posiadająca wiele odnóży. Nie potrafi łązić po takich przeszkodach.

– Trzymajcie! – Z góry spuszczone im prymitywną, pospiesznie skleconą drabinę.

Teraz poszło lepiej. Chwytając się szczebli, Ilja, Bulba i Aszot szybko weszli na szczyt barykady. Tutaj trzeba już było pełznąć na kolanach i pochyłać głowę, by nie uderzyć o sklepienie tunelu. Czyjeś ręce złapały ich i wyciągnęły na drugą stronę zapory.

– Co tam się dzieje? – wychrypiał ktoś.

Głos był cichy, przeziębiony. W chaotycznej mieszance gęstych ciemności i jasnych smug światła reflektorów trudno było dojrzeć mówiącego.

– Co? Co? Co? – dochodziły zewsząd niespokojne głosy.

– Mrówańcza – burknął Ilja.

Tak jakby mogła być inna odpowiedź.

– Już?

– Tak szybko?

– Na pewno?

– Tak – jeszcze jedna krótka odpowiedź na wszystkie trzy pytania.

– Mur się trzyma? – zapytał ten z chrypką, którego twarzy nadal nie można było dojrzeć.

– Trzymał się. – Tym razem odezwał się Bulba. – Kiedy byliśmy w tunelu między Szołochowską i Marksa, jeszcze tam strzelali. Teraz – nie wiadomo.

– Dobra. – Wyglądało na to, że stracili nimi zainteresowanie. – Ludzie wycofują się na Teatralną. Idźcie za nimi. Dogońcie ich.

– Ale ja mam automat! – oburzył się Aszot. – Zostaję.

– Z twojego automatu nie będzie pożytku – usadził go zachrypnięty.

– A to dlaczego?! – uniósł się Aszot.

– Dlatego że tutaj nikt nie będzie do mrówańczy strzelał.

Ach tak? Bardzo ciekawe!

– W takim razie po co w ogóle postawiliście barykadę? – zainteresował się Ilja. – Sama z siebie nie zatrzyma mrówańczy.

– A więc opóźni – brzmiała odpowiedź.

– A na długo? – uśmiechnął się smutno Ilja.

– Z tym... – snop światła latarki przesunął się gdzieś w prawo i trafił na okazałych rozmiarów kanistry – ...na długo.

– Co tam jest? – ożywił się Bulba.

– Benzyna – odparł właściciel zachrypniętego głosu. – A cała barykada jest z drewna. Dobrego, suchego. Zapali się jak proch.

Ach, więc o to chodzi! Więc na to liczą. No, w takim razie tak, w takim razie oczywiście. Mutanty raczej nie pójną w ogień. A wzniesiona do sufitu barykada będzie się palić bardzo długo.

Czyrik-chi, czyrik-chi. Czyrik-chi, czyrik-chi...

Ilja wzdrygnął się. Przesłyszał się? Nie. Rzeczywiście, od strony Karola Marksa dochodziły znajome dźwięki.

Czyrik-chi, czyrik-chi – cykanie mrówańczy zbliżało się. Czyli zbliżała się też ona sama.

Zdawało się, że wyczuwa już intensywny odór stworów.

– Widzę ruch! – krzyknął ktoś.

Faktycznie, ciemność ożyła. Na razie jeszcze pojedyncze – wielkie, niespokojne i niewyraźne cienie, omijając najdalej wysunięte ogniska, ślizgały się po ścianach i sklepieniu. Mrówańcza nie lubiła ognia. To dawało nadzieję: plan z ogniową zaporą mógł zadziałać.

Jeśli zdążą zrobić to, co trzeba. I jeśli zrobią wszystko jak należy.

– Opuścić barykadę! – rozkazał zachrypnięty.

Można było przypuszczać, że to on tu dowodził. I pozostał na szczycie sam.

Ludzie pospiesznie schodzili, niemal zsuwali się na dół, ryzykując, że połamią sobie kości.

Ilja też zszedł. Miał szczęście i niczego sobie nie złamał. Przed nim, szybko się oddalając, tańczyły światła latarek. Samotna latarka świeciła też na barykadzie. Ten, kto tam został, przygotowywał zaporę do podpalenia. Słychać było stukot kanistrów i bulgotanie. Czuć było ostry zapach benzyny.

A opary benzyny w zamkniętej przestrzeni to przecież...

Ilja odbiegł jak najdalej od barykady. Złowieszcze cykanie rozlegało się już gdzieś u samego jej podnóża. Pod ciężarem wdrapującej się w górę mrówańczy osuwały się i spadały bezładnie zwalone stragany.

Niektóre stwory podskakiwały i – szu-szu-szu-szu! – głośno młócąc skrzydłami powietrze, wzlatywały w górę.

Czyrik-chi, czyrik-chi – dobiegało spod sklepienia tunelu: mutanty szturmowały znajdującą się na ich drodze przeszkodę również i tak – do góry nogami.

A niech to! Niewidoczny podpalacz nie zdąży. Nie zdąży ani zejść, ani rozlać strumienia benzyny na bezpieczną odległość, ani go podpalić.

Ilja przystanął. Obejrzał się. Zobaczył, co się stało. Zobaczył i usłyszał. Ten, kto został na barykadzie, jednak zdążył. Nie ze wszystkim, ale z tym, co

najważniejsze. Nie myśląc już o własnym ocaleniu, zapalił zapalniczkę. Wprost na zaporze.

Kanistry eksplodowały. Na szczycie barykady wyrósł ognisty grzyb. Napęczniał, rozlał po sklepieniu, rozplaszczając o betonowy łuk swój skłębiony kapelusz. Opadł w dół.

Ogień popłynął po suchym drewnie.

Ilja poczuł falę gorącego powietrza płynącą od barykady. A potem...

Na krótką chwilę w ogniu pojawiła się wymachująca rękami ludzka postać. Ze szczytu płonącej zapory doleciał przeszywający krzyk. Tak krzyczą jedynie płonący żywcem. Głos nie był już ochrypliwy, lecz brzmiał cienko i przenikliwie.

Potem krzyk gwałtownie się urwał. Postać upadła. Rozpłynęła się w rosnących płomieniach. Ale, jak się okazało, człowiek na barykadzie nie był już sam.

Od płonącej sterty oddzieliła się ognista plama i, rozrzucając iskry, zaczęła miotać się po tunelu jak oszalały gigantyczny robaczek świętojański. A potem jeszcze jedna. I jeszcze, i jeszcze. Kilka stworów zdążyło wleźć na barykadę. Ale uratować się przed ogniem już nie zdołały.

W ruchome ogniste cele trafiły krótkie serie z automatu. Płonące mrówańcze poleciały w dół niczym ścięte główne pochodni.

Nowe stwory nie wchodziły w ogień. Ściana płomieni dokonała tego, z czym nie poradził sobie niedokończony kamienny mur: ogromne, szybko rozpalone ognisko skutecznie odcięło mutanty od ludzi. I stało się to dlatego, że ktoś nie bał się jednym ruchem palca wznieść ścianę ognia i stać się jej częścią. Ktoś spłonął żywcem, dając innym szansę na ocalenie. Choćby maleńką, ale jednak.

Być może ów człowiek zwyczajnie nie miał wyboru. Być może, kiedy zapalił zapalniczkę, wdrapująca się na zaporę mrówańcza zaczynała go już



pożerać. Być może śmierć od ognia wydała mu się bardziej pożądana. Wszystko to było możliwe. Jednak w żadnym stopniu nie zmieniało tego, co miało tu miejsce.

Właśnie tak swego czasu powinien był postąpić Saper: wysadzić się samemu, wysadzić żabiogłowych i zawalić tunel na zajezdnię. Ale Saper nie potrafił tak postąpić. Ktoś inny zaś tak. Kto?

Ilji było przykro: rozmawiał z tym człowiekiem, ale nie poznał jego imienia, a nawet nie dostrzegł twarzy. W pamięci został mu tylko cichy, lekko zachrypnięty głos.

\* \* \*

Strumień powietrza płynął z Teatralnej na Karola Marksa. Czy urządzono to specjalnie, czy po prostu mieli szczęście – tego Ilja nie wiedział, ale powstały w tunelu przeciąg okazał się ich sojusznikiem, a nie wrogiem. Płomień barykady kierował się w stronę mrówkańczy. Wypalał się tam tlen i znosiło dym. Wśród ludzi, którzy wycofywali się tunelem w drugą stronę, pojawiła się nadzieja: może mrówkańczę, której nie udało się powstrzymać, uda się wykurzyć? Chociaż na jakiś czas?...

Ilja dawno już stracił z oczu Bulbę i Aszota, i w sumie nie miał najmniejszej ochoty ich szukać. Machinalnie przebierał nogami i posuwał się razem ze wszystkimi. Ariergarda, która została dłużej pod barykadą, doganiała rozciągniętą kolumnę uchodźców z Diaspory.

Ludzi w tunelu było coraz więcej. Wszędzie błyskały latarki i płomyki lampek. Wielu uchodźców niosło ze sobą tobołki, plecaki, walizki i torby. Mężczyźni szli w milczeniu, skupieni, z ponurymi twarzami. Kobiety szlochały i zawodziły półgłosem. Dzieci krzyczały i zanosily się płaczem. Nie było widać drezyn – zapewne odjechały pierwsze.

Ilja chciał pomówić z Oleńką i Sieriożką, ale dookoła było zbyt tłoczno,

jasno i głośno. Oleńka i Sieriożka nie lubili światła i hałasu.

Jak długo szli? Pewnie krótko. Odcinki między stacjami w rostowskim metrze nie są w końcu zbyt duże.

Ludzka rzeka wyniosła Ilję na następną stację.

Teatralna... Oto gdzie panował ów zamęt, który wieszczyl Bulba. Było wprost potwornie ciasno. Nie było w tym nic dziwnego. W końcu zebrali się tu ludzie z czterech stacji: z Selmasza, z gęsto zaludnionej Diaspory: z Szołochowa i Karola Marksa, i z samej Teatralnej.

Plus kilku szczęśliwców, którzy wyrwali się z Ordżonikidze – przypomniał sobie Ilja. Zresztą tej grupki można było nie liczyć. Rzeka uchodźców leniwie wlewała się na Teatralną, grzęzła i zatrzymywała swój nurt. Zewsząd niosły się krzyki, odbijające się echem od sklepienia stacji i wielokrotnie wzmacnione. Przed nim, niczym mur, stał gęsty tłum uchodźców. Wielu z nich w panice próbowało przebić się do następnego tunelu – na Woroszyłowską. Przy wejściu do zbawczego tunelu powstał straszny ścisk i wybuchła awantura. Ktoś cienko i histerycznie krzyczał, czyjś dźwięczny bas obrzucał wszystko i wszystkich soczystymi przekleństwami.

Ilja, zadziwiony taką liczbą ludzi i wypełniającym stację hałasem, stracił głowę i omal nie został zmiążdżony przez tłum napierający na krawędź peronu. Zdołał jednak zręcznie wynurzyć się z ludzkiej rzeki. Po skłębionych ciałach wydostał się na brzeg, czyli na peron. Rozejrzał się. I przestraszył.

Zmieniło się... Jak tu się wszystko zmieniło! Ustawiona na schodach ruchomych zbita z desek scena została usunięta, kurtyna – zerwana, własnej roboty lustrzane światła rampy – rozbite. Prymitywne rekwizyty i dekoracje – porozrzućane i zdeptane. Ławki i ciasno ustawione rzędy krzeseł, które zajmowały kiedyś przestrzeń przed schodami ruchomymi i tworzyły widownię, walały się teraz po całej stacji.

To nie był czas na przedstawienia. Oszałały z przerażenia tłum zmiotł wszystko. Tylko resztki instalacji scenicznych sterczały przed hermetyczną grodzią i dyndały pod zdobionym płaskorzeźbami sklepieniem. Światła latarek od czasu do czasu wycinały z ciemności ogromne teatralne maski z gipsu. Od dawna już pozbawione naturalnej bieli, zakopcone, poobijane i popękane, patrzyły z góry pustymi oczodołami, szczerząc się i smucąc bezzębnymi ustami.

Teatralka zawsze była uważana za wyjątkową stację. Mieściła się dokładnie pod Placem Teatralnym i miejscową atrakcją turystyczną – podobnym do traktora budynkiem rostowskiego teatru akademickiego. Poza tym nieopodal teatru – traktora znajdował się też fortepian – teatr muzyczny przypominający z zewnątrz biały koncertowy instrument z podniesionym wiekiem. Przypominający go, rzecz jasna, przed Wojną.

Nic dziwnego, że w godzinie „x” Teatralna stała się schronieniem dla artystów i zapalonych teatromanów, którzy zdążyli zejść do metra wprost z jakiejś premiery. Właśnie ta okoliczność zadecydowała o dalszym losie stacji. Kiedy minął pierwszy szok i trzeba było jakoś przystosowywać się do życia w nowych warunkach, zawód aktora stał się nagle bardzo poszukiwany. Na Teatralce powstała profesjonalna trupa aktorska. Miejscowi stalkerzy z materiałów, które były pod ręką, stworzyli coś w rodzaju sceny i widowni. Wystawiono pierwszy spektakl. Z początku – z czystego entuzjazmu i miłości do sztuki. Potem przedsięwzięcie zostało przestawione na komercyjne tory.

Z całej czerwonej linii ściągali na Teatralną koneserzy piękna i zwykli widzowie, chcący przynajmniej na jakiś czas przenieść się z obrzydłej rzeczywistości do innego świata i doświadczyć choć iluzji powrotu do szczęśliwej przeszłości. Mieszkańcy metra gotowi byli za taką możliwość płacić – i to płacić bardzo szczerze.

Teatralka nie biedowała. Reżyserzy i aktorzy ciężko pracowali. Grano wciąż przy pełnej sali. Taki sukces był w czasach przedwojennych nie do pomyślenia. Co było zresztą łatwe do wyjaśnienia: o względy publiki nie trzeba już było walczyć z kinem, telewizją i internetem. Powodzeniem cieszyła się zarówno klasyka, jak i utwory współczesne. Z tego co Ilja wiedział, zdarzyła się tylko jedna kłapa – kiedy mieszkańcy Teatralnej spróbowali wystawić sztukę o życiu w metrze. Publiczność tego nie zrozumiała i nie zaakceptowała: metra i tak wszyscy mieli po dziurki w nosie. Ogólnie rzecz biorąc, metrorealizm nie przeszedł i reżyserzy więcej już w tym obszarze nie eksperymentowali. Od tej pory podstawą repertuaru były lekkie komedie: za nie widzowie płacili najchętniej.

Ilja uśmiechnął się. Znów przed oczami pojawiły mu się wspomnienia. Wspomnienia o tym, jak było kiedyś.

\* \* \*

Zdaje się, że siedzieli wtedy w ósmym... nie, jednak w dziewiątym rzędzie. Sieriożce trzeba było podłożyć na krzesło parę nakrytych poduszką deseczek – żeby lepiej widział.

Sieriożka był aż udręczony. Wiercił się z ekscytacji i niecierpliwości, burząc niepewne siedzisko, kręcił głową na wszystkie strony i wciąż pytał i pytał:

– Tato, kiedy? Mamo, kiedy? Kiedy się zacznie?

– Spokojnie, syneczku, spokojnie – szeptała Oleńka, głaszcząc go czule.

– Już niedługo...

– Jak niedługo?

– Bardzo niedługo. Najważniejsze, to nie hałasuj, dobrze, Sieriożka?

Zachowuj się przyzwoicie. W końcu jesteśmy w teatrze.

Tak, dla nich to był teatr. Najprawdziwszy.

Zabrzmiał trzeci dzwonek. Na Teatralnej wszystko było urządzone w taki sposób, żeby publiczność tak właśnie się czuła.

Jak w teatrze...

Światło na stacji powoli gasło. Ogniska zawczasu zgaszono i teraz gospodarze Teatralnej wyłączali latarki i nakrywali kłozami pochodnie. Nawet „bufet” – niewielki straganik z niewymyślnym jedzeniem, położony nieopodal ciasno ustawionych rzędów ławek i krzeseł – aż do antraktu pochłonęły ciemności.

Palily się jeszcze tylko lustrzane lampki z diodami na własnym sumptem skleconej rampie i żywy ogień w dwóch metalowych beczkach ustawionych w bezpiecznej odległości od sceny. Beczki były osłonięte od strony widzów arkuszami blachy i oświetlały ciężką aksamitną kurtynę. Ogień nie tylko uzupełniał drogie elektryczne oświetlenie, ale też stwarzał szczególną, trudną do opisanía atmosferę.

Aksamit kulis połyskiwał tajemniczo cekinami. Przy akompaniamencie cichego poskrzypywania i pokasływania widzów sala pogrążała się w przytulnym półmroku. A razem z nią cała stacja tonęła w ciszy i ciemności. Ale nie takiej jak w tunelach, bo ani trochę nie strasznej.

Niedokończone sprawy były pozostawiane na później. Rozmowy cichły. Mieszkańcy podchodzili ze wszystkich stron i jak bezgłośne cienie, nie przeszkadzając i nie odwracając uwagi, otaczali widzów. Dookoła sali urządzonej dla przybyłej publiki pojawiały się, jakby żywe, ściany. Niektórzy mieszkańcy stacji siadali wprost na posadzce. Inni patrzyli, stojąc.

Kiedy zaczynało się przedstawienie, całe życie na Teatralnej zamierało. Być może powodowało to dla miejscowych pewne niewygody. Za to mieszkający tu szczęśliwcy mogli za każdym razem bezpłatnie oglądać spektakl. Zresztą jakie tam oglądać! Codziennie obcowali z idolami i gwiazdami, dzielili z nimi mieszkanie i posiłki, może nawet kłócili się

i wymyślali sobie od najgorszych.

Chociaż Ilji zdawało się, że to jednak nie do końca właściwe. Jeśli nie ma się bezpośredniego związku z uprawianiem sztuki, należy stykać się z nią przelotnie i wyłącznie przez wejście frontowe, wszelkimi sposobami unikając spraw zakulisowych. On sam i jego rodzina nie mieli zresztą innych możliwości. Teatralną odwiedzali rzadko: bilety nie należały do tanich. Tym większe były ich wzruszenia przed, w trakcie i po przedstawieniach.

Zakołysała się kurtyna. Zabrzmiały pierwsze oklaski. Odślaniała się podwyższona, umieszczona na schodach scena. W rozszerzającej się szczelinie w kulisach ukazały się dekoracje.

Ilja nie patrzył jednak na deski teatralne. Sycił wzrok widokiem żony i syna.

Oleńka była ubrana w swoją najlepszą sukienkę. Zgrabna, szczuplutka, siedziała nieruchomo na obszarpanym rozklekotanym krześle, z wyprostowaną szyją i uniesioną wysoko głową. Szlachetna postawa, dumny profil...

Oleńka patrzyła przed siebie jak urzeczona. Na jej delikatnych białych wargach zastygł nieziemski uśmiech. Oczy lśniły w radosnym oczekiwaniu cudu. Jakże nieodparcie, nieopisanie piękna była w tamtej chwili jego Oleńka!

I całe to ubóstwo, wszystkie daremne wysiłki otaczającego ich świata, aby stworzyć iluzję piękna w słabo do tego przystosowanym, brudnym, przeludnionym metrze schodziły na dalszy plan. Zaś czyste piękno – w żaden sposób niezwiązane z tym światem, bezwzględne, prawdziwe – pozostawało.

Sieriożka też przestał się wiercić na niewygodnym twardym siedzeniu. Z rozdziawionymi ustami patrzył na scenę swoimi ufnymi dziecięcymi oczami. Sieriożka był gotów uwierzyć we wszystko, co mu pokażą w tym miejscu, a nic bardziej magicznego chłopczyk urodzony w metrze nie widział

i widzieć nie mógł.

Zza rozsuwającej się zasłony popłynęła muzyka. Tak, tak, na Teatralnej była i muzyka!

Sala zamarła.

Rozpoczął się cud...

\* \* \*

Gdzieś zupełnie blisko zadudniła seria z automatu i przecięła nić wspomnień, sprowadzając Ilję z powrotem w rzeczywistość. Tak jakby po cudownym śnie wrzucili go do przerębla.

Ilja rozejrzał się na wszystkie strony. W czym rzecz? Aha, no jasne...

Jacyś uzbrojeni ludzie próbowali zaprowadzić porządek przy wyjściu ze stacji. Żeby powstrzymać ścisk przy tunelu na Woroszyłowską, musieli puścić nad głowami tłumu serię z kałacha. Kule rozbiły teatralne maski na sklepieniu, obsypując ludzi okruchami gipsu i – sądząc z przeraźliwych krzyków – drasnęły kogoś rykoszetem.

Strzały i przesywający krzyk rannego nieco jednak otrzeźwiły uchodźców. Przestali się pchać i awanturować. Ludzie z automatami zeskoczyli z peronu i przecinali, kierowali i jako tako organizowali bezładny strumień. Żywa rzeka znów popłynęła przez wąskie koryto tunelu, ale tym razem wirów tam nie było. Mieszkańcy metra zaczęli opuszczać Teatralną.

Tłum spływał z peronu. Pochwycony przez niego Ilja wkrótce znalazł się w tunelu. Nie miał ani sił, ani możliwości, by przeciwstawić się ogólnemu nurtowi. Pozostało tylko iść dalej ślepo razem ze wszystkimi. Ze skrzyżowanymi rękami i łokciami przyciśniętymi do żeber Ilja szedł i się przepychał, przepychał się i szedł.

Przesuwali się powoli, ale jednak. Znów ciemność tunelu mieszała się z nerwowymi błyskami latarek i słabymi płomykami lampek. Znów dookoła

panował zgiełk, krzyki i płacz. Znów wszędzie był ścisk i ciężkie powietrze. A przed nimi nieznane.

Kłębiący się dookoła ludzie pchali się, deptali sobie po nogach, mówili coś i krzyczeli mu tuż nad uchem. Znów wzbierała w nim czarna fala irytacji i złości.

Ilja wspominał ze smutkiem porzucony Port Lotniczy. Jak mu tam jednak było dobrze, spokojnie i cicho. Sam z Oleńką i Sieriożką.

A co będzie tutaj?

Najpierw Woroszyłowska. Za nią – Budionowska. Następna stacja czerwonej linii – Dworcowa – wychodzi na powierzchnię. A na powierzchni jest mrówańcza. Czyli dalsza droga jest zamknięta. Pozostaje tylko przejście z Woroszyłowskiej na niebieską linię. Ale niebiescy nie będą raczej radzi czerwonym uchodźcom.

Gdzieś znów gruchnęły wystrzały. Czyżby mutanty pokonały już ognistą przeszkodę i przedarły się na Teatralną? Nie, strzały nie dochodziły z tyłu. Strzelano przed nim, w tunelu prowadzącym na Woroszyłowską.

Tłum zaczął wrzeszczeć i wyć. Cofnął się. Znów narastała panika. Szalejące światła latarek wyciągały z ciemności przestraszone, blade i zniekształcone twarze, rozdziawione usta, wytrzeszczone oczy. Ludzie tracili swą postać. W ciemności i słabym świetle upodabniali się do okropnych stworów, które zeszyły tu z powierzchni. Natknąwszy się na jakąś nieznaną przeszkodę, uchodźcy zaczęli przeć z powrotem na Teatralną, którą jeszcze niedawno spieszo im było opuścić. Ludzie tratowali się nawzajem, zwalali z nóg, deptali po tych, którzy upadli...

Stało się to, co zresztą musiało się zdarzyć w powszechnej panice i szaleństwie. I zabrzmiało to, co musiało zabrzmieć.

– Mrówańcza! – wrzasnął ktoś.

– Mrówańcza! – natychmiast podłapały inne głosy. – Mrówańcza!



Mrówka jest przed nami!

Ilja poczuł, jak uginają się pod nim nogi, a z gardła wyrywa mu się szalony bulgoczący chichot. A więc mrówka przedarła się i tam? A więc idzie im naprzeciw? A więc stwory są już i z tyłu, i z przodu?

Ale to przecież znaczy, że już i tak jest po nich! Dla wszystkich wciśniętych w ten tunel nie będzie już ratunku.

Dziki wrzask wypełniał zamkniętą przestrzeń. A przed nimi wciąż strzelali i strzelali...

## Rozdział 10 | Woroszyłowska

Przed naporem tłumu płynącego z powrotem w stronę Teatralnej Ilji udało się schronić za betonowym występem ściany. Przycisnął się plecami do zimnego, wilgotnego betonu i obserwował roztrącających się ludzi.

Kogoś wepchnęli wprost do jego kryjówki. Nieznajomy stuknął o beton automatem i utrzymał się na nogach tylko dlatego, że w porę chwycił się Ilji.

Czyjaś latarka oświetliła znajomą wąsatą twarz.

– Bulba! – zdziwił się Ilja.

– Mag?! – zabrzmiał w odpowiedzi niemniej zdziwiony głos. – To ty?!

– Ja. Co tam się dzieje z przodu? Mrówańcza?

– Jaka tam mrówańcza, do cholery! – splunął ze złością mieszkaniec Selmasza. – Ci z Woroszyłowskiej postawili zasłonę ogniową w tunelu. Najpierw wpuszczali tych, którzy mogli zapłacić...

– Zapłacić?! – wytrzeszczył oczy Ilja.

– Aha. Cena: pełny magazynek do automatu na twarz. Niby za ochronę. Potem całkiem zamknęli drogę, gnidy. Mówią, że nie mogą nikogo więcej przyjąć, bo rzekomo mają mało miejsca. No, a ludzie i tak poszli taranem. Ci z Woroszyłowskiej zaczęli strzelać. Pierwsze szeregi położyli trupem. Ci z tyłu zaczęli się pchać z powrotem. Ci, co mieli broń, wplątali się w strzelaninę. O, słyszysz? Strzelają do tej pory.

Rzeczywiście, w głębi tunelu rozlegały się jeszcze rzadkie wystrzały.

– Jakiś idiotyzm – wymamrotał Ilja. – Mrówańcza lezie przez metro,

a ludzie wybijają się nawzajem!

– Właśnie dlatego się wybijają, że mrówka idzie – powiedział Bulba, jakby to było oczywiste.

Och, jaką rację miał Gapcio, kiedy mówił o braku zgody między ludźmi – po raz któryś pomyślał Ilja. – Po tysiackroć.

– Skąd masz automat? – wskazał głową na kałacha.

– Co, ten? – Bulba spojrział na broń w swoich rękach z taką miną, jakby dopiero co ją zobaczył. – To jest automat Aszotika z Szołochowskiej. Razem szliśmy, ja i ten Aszot. Przepchaliśmy się w zasadzie do samej blokady tych z Woroszyłowskiej.

– I co? Zastrzelili go?

– A gdzie tam! Zdeptali, kiedy ludzie zaczęli się pchać do tyłu. Ledwo udało mi się wydobyć kałacha spod ich nóg. A samego Aszota już nie dało rady – Bulba pokręcił głową. – Wszystko, co było w magazynku, wywaliłem do tych z Woroszyłowskiej – ciągnął. – A automatu nie wyrzuciłem, bo wygodnie się nim toruje drogę.

– Jaką drogę? Dokąd? – Ilja zachichotał. Nieprzyjemny nerwowy śmiech znów rozsadzał go od środka i wyrywał się na zewnątrz. – Dokąd ty teraz biegniesz z tym automatem, Bulba? Po co?

– Jak wszyscy biegna, to ja też – burknął mieszkaniec Selmasza. – Co, głupiec ze mnie, żeby wystawiać się na kule tych z Woroszyłowskiej?

– Myślisz, że lepiej iść w paszczę mrówka?

– Słuchaj, Mag – skrzywił się Bulba. Wyglądał bardzo marnie. Zagubiony wyraz twarzy, zapuchnięte oczy, obwisłe koniuszki wąsów. – Ja już nic nie myślę, niczego nie wiem i niczego nie rozumiem. Chcę tylko jednego: żeby to wszystko jak najszybciej się skończyło. Jakkolwiek.

– Rrozejść się! Z drogi! – czyjś władczy głos dobiegł z głębi tunelu.

Przez tłum przebijała się grupka uzbrojonych ludzi. To chyba ci żołnierze

z Teatralnej, którzy zaprowadzili porządek na stacji. Zbili się w ciasną gromadkę, uformowali klin i pewnymi ruchami, bez zbędnych ceremonii torowali sobie drogę kolbami. A tłum się rozstępował.

– Ej ty, z automatem! – Snop światła latarki zatrzymał się na twarzy Bulby. – Pójdiesz z nami na Woroszyłowską. Pomożesz się przebić przez blokadę.

Czyli orientują się już, co się dzieje – zauważył Ilja. – Wypyтали kogo trzeba, odsiali plewy, wyjaśnili, że to wcale nie mrówańcza zagradza drogę i nie z mutantami walczą w tunelu.

– Nigdzie nie idę. – Bulba demonstracyjnie rzucił automat pod nogi. – Starczy już, nachodziłem się!

Całym sobą pokazywał: możecie bić, możecie strzelać, ja zostaję tutaj. Wyglądało na to, że Bulba zupełnie oklapł...

– Ja pójdę! – Ilja chwycił kałacha mieszkańca Selmasza i przepchnął się do żołnierzy. Zawsze to lepiej, niż czekać w spanikowanym ludzkim stadzie, aż przyjdzie mrówańcza. – Ale nie mam nabojów.

Podali mu magazynek. Ostrzegli:

– Pełny tylko do połowy. Oszczędzaj.

\* \* \*

Szli tunelem, gotowi w każdej chwili rozpocząć walkę. Tłum już się przerzedził, zrobiło się więcej miejsca. Ale wcale nie było łatwiej iść. Przed nimi pokotem leżeli ludzie. Pod butami chlupotały ciemne kałuże, stopy się ślizgały. W tunelu unosił się zapach krwi i prochu. A do tego ledwo uchwytny, ale tak rozpoznawalny, ohydny zapaszek strachu, rozpacz, nienawiści i śmierci. Ciszę z rzadka przerywały głośne jęki rannych i konających.

Kanonady jednak już nie było słyhać.

Rozproszywszy się po tunelu, przestępując przez nieruchome oraz te jeszcze dające oznaki życia ciała, oddział żołnierzy z Teatralnej ostrożnie zbliżał się do granicznego posterunku Woroszyłowskiej. Była to placówka zewnętrzna, wysunięta daleko w głąb tunelu. O ile Ilja wiedział, bliżej stacji była ulokowana jeszcze jedna. Może ludzie z Woroszyłowskiej wycofali się właśnie tam?

Bez przeszkód podeszli do blokady na odległość rzutu granatem. Światło latarek wychwyciło z ciemności betonowe bloki i masywny szlaban nad szynami. Na posterunku nadal było spokojnie.

– Czegoś tu nie rozumiem – wymamrotał z zakłopotaniem któryś z żołnierzy. – To woroszyłowscy tu wszystkich wystrzelali, czy to ich stuknęli?

– Gdyby to woroszyłowscy ich wystrzelali, to i nas by już powitali – rozsądnie zauważył dowódca oddziału, niewysoki nabity facet z wygoloną potylicą.

– Już sobie poszli ci wasi woroszyłowscy – zza wyszczerbionego przez kule murka dał się nagle słyszeć czyjś cichy, zmęczony głos.

Dwaj żołnierze z dowódcą na czele jak bezszelestne cienie przesunęli się do przodu i z bronią przygotowaną do strzału zajrzeli za płytę. W ślad za nimi nadciągnęli pozostali. Ilja też podszedł bliżej.

Na posterunku leżało z pół tuzina trupów w porządnym umundurowaniu i z doborowym ekwipunkiem – ewidentnie pogranicznicy z Woroszyłowskiej. Wśród martwych siedział jakiś dziadek z myśliwską dwururką. Jak można było przypuszczać – jeden z uchodźców.

– Mówisz, że sobie poszli? – Dowódca oddziału poświecił w głąb ciemnego tunelu.

– Poszli, poszli – westchnął dziadek. – Nie bój się, nikt nie siedzi w zasadzce.

Dziadek był ranny. Prawą goleń miał mocno przewiazaną szerokim żołnierskim paskiem. Przestrzelona w okolicach łydki nogawka była mokra, nasiąknięta krwią. Obok starego rozczłapanego buta leżała pusta ampułkostrzykawka po promedolu. Środek znieczulający widocznie zaczął już działać: pomimo rany dziadek dobrze się trzymał.

– Nie rozumiem – dowódca pokręcił głową. – Woroszyłowscy położyli tylu ludzi, rozpędzili uchodźców, a potem tak po prostu sobie poszli?

– Poszli – flegmatycznie kiwnął głową staruszek. – Na stacji coś im poszło nie tak z niebieskimi.

– A skąd ty to wiesz?

– A tak... – dziadek chrząknął. – Podpytałem tu jednego niedobitka z Woroszyłowskiej.

– Którego? – Dowódca zaczął się rozglądać. – Gdzie on jest?

– Nieważne – staruszek machnął ręką. – On już stracił głos.

– I co ci zdążył opowiedzieć?

– Że żukojady próbują przejąć przejście między liniami.

– Po co?

– Bo chcą je wysadzić. Zasypać przejście, żeby nikt z czerwonej linii nie mógł się do nich przedrzeć. Ani ludzie, ani mrówka. To Woroszyłowska ściągnęła wszystkie siły do przejścia.

– Patrzcie ich, jakie bydlaki! – uśmiechnął się przerażająco dowódca. – Żeby innych do siebie nie wpuszczają, to proszę bardzo, a jak im samym zamykają drogę odwrotu, to się, kurde, od razu zaczęli krzątać.

– Niepotrzebnie się tak szczerzysz – pokręcił głową dziadek. – Jeśli niebiescy zasypią korytarz, to cała nasza linia jest kaput. Trzeba jak najszybciej iść na Woroszyłowską. Sam bym już tam był, tyle że piechur ze mnie teraz do niczego. Widzisz – staruszek wskazał głową na zakrwawioną nogę – wlepił mi kulę jakiś strzelec, taka jego mać, z Woroszyłowskiej...

– Czyli wy dwaj – dowódca odwrócił się do swoich podwładnych – bierzcie dziadka. Ty i ty – wracajcie w stronę Teatralki i wołajcie ludzi. Powiedzcie, że droga wolna. Reszta – za mną.

Droga rzeczywiście była wolna. Drugi posterunek Woroszyłowskiej nie był w ogóle chroniony. Na stacji oraz podejściu do niej było pełno ludzi i panował kompletny chaos.

\* \* \*

Ilję znów ogarnęło oszalałe, bezmyślne ludzkie morze. Kiedy tylko znalazł się na Woroszyłowskiej, od razu zgubił swoich towarzyszy. Zresztą, Ilja nieszczerze starał się ich trzymać.

Na Woroszyłowskiej było jeszcze ciasniej i głośniejsze niż na Teatralce. Tory kolejowe, szerokie perony, wyłożona dekoracyjnymi kafelkami ogromna, pełna dźwięków poczekalnia, niepozorne pomieszczenia służbowe i jakieś wejścia z otwartymi na oścież drzwiami – wszystko było wypełnione ludźmi. Na szynach stały trzy drezyny, które na amen ugrzęzły w tłumie. Zdobione płaskorzeźbami kolumny o wspaniałych kapitelach wznosiły się nad wielogłową ludzką masą jak nieruchome skały wśród fal przyboju. Na kolumnach płonęło kilka świeczników, a nawet parę lamp elektrycznych.

Nikt, jak się zdawało, nawet nie myślał o tym, żeby oszczędzać prąd.

Do dziś Woroszyłowska, a także znajdująca się za nią Budionowska były uważane za stacje elitarne. Właśnie nad nimi przebiegała Wielka Sadowa – centralna ulica miasta – oraz mieściły się najpoważniejsze instytucje. I właśnie tutaj w swoim czasie ewakuowali się wyżsi urzędnicy administracji obwodu, merostwa i przedstawicielstwa prezydenta, a także kierownictwo obwodowego MSW, FSB i sztab Północnokaukaskiego Okręgu Wojskowego.

Było tu czyste powietrze, woda, jedzenie, energia elektryczna; było pod dostatkiem broni i amunicji. Specjalne przejścia prowadziły z Budionowskiej

i Woroszyłowskiej do tajnych bunkrów i magazynów. W tym królestwie krawatów i pagonów panował surowy porządek i sztywna hierarchia.

Ale teraz chaos wdarł się i tutaj. Liczni uchodźcy przemierzali się z wystraszonymi gospodarzami stacji, lokajami i wymusztrowaną ochroną, która, jak się okazało, nie była w stanie poradzić sobie z błyskawicznie narastającym powszechnym szaleństwem. Ludzki potok pochłonął Woroszyłowską, wylał się na Budionowską, natrafił na gródź hermetyczną zamykającą drogę na otwartą estakadę Dworcowej, odpłynął ze ślepej uliczki z powrotem kręcąc się w huczącym wirze. Uchodźców przybywało, miejsca było coraz mniej, a panika zmieniała się w histerię.

W przejściu z Woroszyłowskiej na linię niebieską trwała bitwa. Słychać było stamtąd strzały. Krótkie serie z automatów i buchnięcia strzelb...

A z tunelu od strony Teatralnej wciąż napierali ludzie, dla których nie starczyło miejsca na stacji.

Było głośno i paskudnie.

\* \* \*

Ilja był już zmęczony. Nie, nie długim podziemnym marszem. Po długotrwałym pustelniczym życiu znacznie bardziej nużyło go coś innego. Za dużo było wokół niego wrażeń, spotkań, migoczących twarzy i usłyszanych głosów. Twarze migąły mu przed oczami jak w obłąkanym korowodzie, krzykliwy tłum nie cichł ani na chwilę. Żywa rzeka krążyła wokół niego i unosiła go. Ciągnęła to tu, to tam...

Miał wielką ochotę ukryć się przed tym wszystkim, zaszyć się w jakimś kąciuku, pobyć samemu i spokojnie porozmawiać z Oleńką i Sieriożką. Ale nie było gdzie się schować i samotność zdawała mu się czymś nieosiągalnym. A zamiast ukochanych głosów żony i syna słyszał głosy zupełnie obcych ludzi.



Świadomość wychwytywała urywki rozmów, nie mogąc ich nawet porządnie połączyć w jakąś logiczną całość.

– ...A to dranie, ci niebiescy! Słuchaj, podobno mieli już wszystko gotowe do wybuchu. Dobrze, że nasi pogranicznicy na czas stłumili awanturę w przejściu. Wypłoszyli żukojadów i wywiązała się potyczka. Potem przyszły posiłki...

– Aha, tylko nie ma na razie z tego pożytku. Nie mogą wyprzeć niebieskich.

– A co byś chciał? Oni za korytarzem też mają posterunek. Nasi muszą go szturmować frontalnie. Rzucili tam wszystkie siły. Wezwali na pomoc Budionowską. Ściągnęli nawet blokadę z tunelu na Teatralną.

– A to akurat niepotrzebnie! Proszę, ile hołoty się zważyło...

Tłum zepchnął Ilję na bok. Nowe głosy natrętnie wbijały mu się w uszy:

– ...Ciekawe, skąd u żukojadów materiał wybuchowy?

– Znaleźli gdzieś albo sami zrobili. Dużo im przecież nie potrzeba. Rozwalić przejście to nie to samo, co zawalić tunel. Tam wszystko się trzyma na włosku. O, takie pęknięcia są w suficie. Co ty, nie wiesz?

– Ależ wiem, wiem! Kurczę, a czy nasi też nie mogli wysadzić przejazdu na Teatralną?! Rozwiązałyby to od razu wszystkie problemy. I z uchodźcami, i z tą cholerną mrówańczą.

– Oczywiście, że nie mogli. Diaspora zgromadziła wszystkie ładunki wybuchowe na naszej linii. A potem odsprzedali tym z Portu Lotniczego. Zresztą nawet gdybyśmy mieli materiał wybuchowy, to co z tego? Nie mieszkamy przecież w Porcie Lotniczym. A to tam można wysadzać tunele. Tutaj tuż obok jest Don, wody gruntowe też blisko. Zawalisz jeden tunel i całą linię zatopi w cholere! Żukojadom to dobrze. Ich linia jest wyżej od naszej. Jakby co, to woda do nich nie dojdzie...

Tej rozmowy Ilja też nie wysłuchał do końca. Falujący tłum porwał go

w stronę przejścia, z którego słyhać było wystrzały. Cóż, Oleńka i Sieriożka radzili mu uciekać na niebieską linię. A złych rad by mu nie dawali. No i w ogóle... Ilja marzył teraz tylko o jednym: jak najszybciej uciec dokądkolwiek z tego okropnego tłoku i ścisku.

– ...Straszne rzeczy się dzieją na ulicach. – Ucho znów wychwyciło z powszechnego harmidru czyjś głos. – Mój znajomy służy w straży przy zaporze hermetycznej. Mają tam szczelinę obserwacyjną z pancerną szybą – można co nieco zobaczyć. Opowiedział mi ogólnie, co widział...

– I co?

– Wszystko aż się roi. Mrówańcza oblepiła domy. Fruwa z okna do okna. Cała Sadowa rusza się jak żywa. Krótco mówiąc, stwory zrobiły sobie z miasta prawdziwe mrowisko. Wszędzie się krzątają. Zniszczyły wszystkie rośliny. Czy to je żrą, czy robią zapasy. Drzewa ścinają tuż nad korzeniem, jak bobry. Zасыpują drzwi na klatki schodowe. Ciągają samochody to tu, to tam. Zdechłe mutanty noszą. Trupy ludzi też niby widzieli. Chociaż trudno już w nich rozpoznać ludzi.

– A skąd ta mrówańcza bierze ludzi?

– Skąd mam wiedzieć? Może upolowała jakichś stalkerów, którzy nie zdążyli wrócić na stację. A może powolutku wydłubuje już ofiary z metra...

Tłum ścisnął go ze wszystkich stron, pchał się, gniotąc mu stopy. I zmuszał do słuchania przypuszczeń, na co wcale nie miał ochoty.

– A ja słyshałem, że mrówańczę odstraszyli ogniem i już ucieka z metra.

– Aha, pobożne życzenia! Gdyby mrówańcza uciekła, ludzie z Teatralnej, Diaspory i Selmasza by się tutaj nie pchali.

– Ale przecież tak mówią...

– A mnie mówili co innego. Że niby hermetyczne grodzie, które prowadzą z Budionowskiej na estakadę Dworca, ledwo się trzymają. Mrówańcza lada moment wyrwie je z korzeniami.

- Eee, kłamią – tamtejsze grodzie są mocne.
- W takim razie dlaczego tyłu tu ludzi z Budionowskiej?
- Hmm...
- No właśnie! Jak mrówańcza przyciśnie z dwóch stron, to dopiero będzie wesoło. Cała nadzieja w niebieskiej linii i podziemiach żukojadów. Krótko mówiąc, kiedy oczyszczą przejście, trzeba będzie od razu tam walić. Żeby zdążyć w pierwszej kolejności...

\* \* \*

Zbita ludzka masa wyniosła Ilję niemal do samego przejścia. Wcześniej była tu graniczna strefa handlowa. Niebezpieczna, ale na tyle wygodna, że ani czerwona, ani niebieska linia nie były zainteresowane całkowitym oddzieleniem. Mieszkańcom metra potrzebny był choć jeden punkt styczny, niewymagający wychodzenia na powierzchnię.

Po rozstawieniu po obu stronach przejścia posterunków czerwoni i niebiescy wpuszczali tu za opłatą swoich handlarzy i stalkerów, a potem pobierali cło od przynoszonych towarów. Tak więc przy całej swojej niechęci do żukojadów Woroszyłowska pielęgnowała i hołubiła tutejszy handel.

W przejściu można było tanio nabyć od niebieskich zdobyte na powierzchni graty, a potem odsprzedać je półtora–dwa razy drożej na targach Diaspory. Z czego też korzystali niektórzy przedsiębiorczy geszefciarze, sami nigdy nie wychodząc na górę, ale mając przy tym stale uzupełniany asortyment. Zresztą, w przejściu między liniami z powodzeniem można było stracić towar, środki płatnicze i życie. Tutejszy handel nierzadko kończył się potężnymi awanturami, bójkami na noże i czasem strzelaniną. W takich sytuacjach pogranicznicy z obu stron musieli przywracać porządek siłą.

Ale teraz, rzecz jasna, żadnym handlem w przejściu nawet nie pachniało. Teraz grzmiały tam wystrzały.

Na schodkach przed posterunkiem granicznym stał kordon. Żołnierze z Woroszyłowskiej nikogo nie przepuszczali.

– Nie wolno. Trwa operacja wojskowa... – powtarzali monotonicznie.

Tych, do których nie docierały słowa, spychali ze schodów kolbami automatów. I sądząc po surowych minach żołnierzy, w razie konieczności gotowi byli otworzyć do tłumu ogień i strzelać, tak by zabić.

Kordon rozstępował się tylko po to, żeby przepuścić posiłki i lekarzy wydostających z korytarza rannych. Zabandażowanych, jęczących i nafaszerowanych promedolem żołnierzy zostawiano po prostu na schodach.

Kordon wydawał się niemożliwy do przerwania. Ale tylko do chwili, gdy...

– Mró-wań-czaaa!!! – rozległ się czyjś przeszywający wrzask.

Krzyk dobiegał od strony tunelu na Teatralną.

– Mrówańcza! Mrówańcza! Mrówańcza! – podchwyciły natychmiast dziesiątki gardeł.

– Aaa! – dziki, nieludzki, zwierzęcy krzyk niósł się z głębi tunelu.

Ktoś zaczął bezładnie strzelać.

\* \* \*

Wzburzeni, śmiertelnie przerażeni uchodźcy, którzy w żaden sposób nie mogli przepchnąć się z tunelu na przepełnioną stację, napaarli ze zdwojoną siłą.

Tłok stał się jeszcze większy. Ścisk był nie do zniesienia. Było jasne: ludzi wygania z tunelu już nie tylko strach. Także śmierć. Śmierć bliska, nieuchronna i straszna. Śmierć, która miała imię.

– Mrówańcza! Mrówańcza! Mrówańcza! – niosły się przenikliwe krzyki.

Ktoś krzyczał już z bólu.

Mrówańcza atakowała.

Cóż, płonąca barykada nie mogła powstrzymać stworów w nieskończoność. Wcześniej czy później ogromne ognisko w tunelu między Karola Marksa a Teatralną musiało zgasnąć. I tak się właśnie stało. Mutanty przeszły przez dym, przemknęły przez dogasające węgle i dopadły w końcu ofiar. Od Woroszyłowskiej oddzielała ich ostatnia zasłona. Gęsta zasłona z żywych ludzi, których właśnie pożerała mrówańcza.

Ilji wydało się, że między krzykami uchodźców rozróżnia już dobiegające z rury tunelu złowieszcze echo: czyrik-chi, czyrik-chi. Czyrik-chi, czyrik-chi...

Przy wejściu na Woroszyłowską tłum drgał spazmatycznie, niczym kurczące się w konwulsjach mięśnie. Ludzie uciekali z tunelu po głowach innych, gnietli i tratowali się nawzajem na śmierć. Fala bólu i strachu szybko rozlewała się po całym ludzkim morzu wypełniającym stację.

– Na nieeebieeeskąą! – zawył ktoś.

– Nieeebieeeskąą!

– Eeeskąą!

Wycie wielu gardeł przetoczyło się przez Woroszyłowską. Stacja ostatecznie oszalała. Panika całkowicie zawładnęła ludźmi, nie zostawiając już miejsca na inne uczucia i myśli.

Tłum rzucił się do przejścia na niebieską linię.

– Cofnąć się! – Żołnierze kordonu otworzyli ogień.

Jednak żywa fala była już nie do powstrzymania.

Serie z automatów dudniące na Woroszyłowskiej zmieszały się z odgłosami strzałów w przejściu i tunelu prowadzącym na Teatralną. Ktoś z tłumu strzelał do kordonu.

Gęsta masa ludzkich ciał zalała schody, stratowała rannych...

Rozstrzeliwani z bliska ludzie nie nadawali padać na ziemię. Napór tylnych szeregów unosił ich naprzód i w górę, gdzie martwi stawali się tarczą

dla żywych. Tarczą i taranem jednocześnie.

Tłum wspiął się po schodach. Podziurawione kulami trupy zwały się na krztuszące się lufy automatów. Kordon po prostu zmiotło. Tłum przelał się przez posterunek graniczny i wdarł się na korytarz. Ilja został tam wepchnięty razem ze wszystkimi.

Opór był bezsensowny i bezużyteczny. Zresztą wcale się nie opierał. Czyż sam nie chciał dostać się na niebieską linię?

Chciał. Chociaż nie sądził, że znajdzie się tam właśnie w ten sposób.

Przejście było znacznie węższe i ciasniejsze od tuneli między stacjami. A ludzi dookoła było zbyt wielu. Przesuwali się naprzód niczym lity żywy korek, rozgniatając o ściany tych, którzy byli po bokach i nie nadążali za resztą. Ilja czuł się tak, jakby zalali go betonem.

Stracił w tłoku automat i teraz, ściśnięty ze wszystkich stron, wtłoczony w imadło cudzych ramion, nie szedł nawet, lecz jedynie przestawiał nogi. Znow niosła go nieubłagana, tępa i potężna siła.

W rękach niektórych z nich słabo i z rzadka zaświeciły latarki. Wystrzelony w górę snop oświetlił szerokie pęknięcie w suficie. Potem latarka skierował się w prawo i w plamie światła znalazł się gruby pal. Nieco dalej stał jeszcze jeden słup. Jak w kopalnianej sztolni. No tak, popękany sufit trzeba podpierać.

Potem ktoś poświecił w dół...

Znow pod ich nogami wały się trupy i chlupotały krwawe kałuże. Trzeba było bardziej uważać. Jeden fałszywy krok i potkniesz się. Potkniesz się i upadniesz. A jeśli nie upadniesz – zwałą cię na ziemię. A jeśli znajdziesz się na ziemi wśród trupów – sam staniesz się jednym z nich. W takim ścisku na pewno nie pozwolą ci się podnieść. Zostaniesz stratowany...

Tłum, niczym walec drogowy, przetoczył się po leżących na skraju przejścia żołnierzach Woroszyłowskiej. Wbił w ziemię tych, którzy nie

zdążyli w porę wstać. A tych, którzy zdążyli, złapał i uniósł ze sobą. Prosto na graniczne umocnienia niebieskich.

Posterunek żukojadów składał się z bloków betonu i worków z piaskiem tworzących kończący się ponad ludzkimi głowami mur z kilkoma otworami strzelniczymi i wąskim przejściem zastawionym grubą drewnianą tablicą.

Niebiescy powitali czerwonych ogniem automatów i strzelb.

\* \* \*

Ciemność rozświetliły błyski wystrzałów.

Kule i gruby myśliwski śrut świstały nad głową Ilji, odbijały się od ścian i sufitu, z głuchym soczystym odgłosem wbijały się w ciała idących obok. Wyrwały kawałki mięsa, wzbijały fontanny krwi. Ludzi z pierwszych szeregów kosiło całymi dziesiątkami. A tylne już nie mogły się wycofać, bo z przejścia napierali wciąż nowi uciekinierzy z czerwonej linii.

Żywa ściana, która zmiotła kordon żołnierzy z Woroszyłowskiej, parła teraz na posterunek żukojadów, nie licząc się ze stratami.

Miejsce zabitych zajmowali żywi. I w jednej chwili też stawali się martwi, zwalniając przestrzeń dla postępujących za nimi żywych. Ale i ci nie żyli długo...

W całym tym zamęcie, huk i wrzasku Ilja nie mógł pojąć tylko jednego: jakim cudem jego samego do tej pory nie zastrzelili i nie zmiażdżyli.

Wcisnęło go w niewielką niszę między dwoma drewnianymi podporami na skraju przejścia. O jeden ze stempli otarła się kula, obsypując Ilję pyłem i drzazgami. Pod nogami miał czyjeś nieruchome ciało.

Z tłumu wyrzuciło kogoś jeszcze.

– W mordę, kolegho! Posuń się no, bratku. Nie tylko ty chcesz pożyć.

Ilja poznał znajome „ghe”.

– Kozak?

W ręce sąsiada z niszy mrugnęła latarka.

Faktycznie, Kozak – Ilja dostrzegł lampasy i dyndającą u boku szablę. Że też nie zerwali mu jej w tym ścisku?

– Magh?! Widzę, że twarda z ciebie sztuka...

– Nie twardsza od ciebie – burknął Ilja.

– Na razie tak – zgodził się Kozak. – A to kto? – światło latarki prześlizgnęło się w dół. – Truposzczak. Chyba niebieski.

Podziurawione kulami ciało, po którym deptał Ilja, należało do niemłodego mężczyzny ubranego w jakieś łachmany. Tak, czerwoni takich nie noszą.

– Dobra, co dwie głowy, to nie trzy. – Kozak chwycił trupa za rękę. – Pomóż mi, no. Wypchnij go stąd, bo tylko miejsce zajmuje.

Rzeczywiście, miejsca między słupami było mało, a wezbrany ludzki potok nadal rwał do przodu, i każdej chwili mógł wyrzucić ich wprost pod kule niebieskich.

– Chociaż czekaj – zatrzymał Ilję Kozak. – Co on tu ma? Jakiś plecak?

Faktycznie, plecak. Ciężki, spory... Dziwne, że niebieski ruszył do walki z takim balastem na plecach. Po co?

I jeszcze jedna ciekawostka – z mocno związanej komory sterczy zawleczone od granatu.

– Popatrzmy, co on tu ma. – Kozak zabrał się do rozwiązywania licznych rzemyków.

– Skąd ty się tu wzięłeś, Kozak? – zapytał Ilja, korzystając z pauzy.

– Bocian mnie przyniósł.

– A poważnie? Chciałeś przecież iść do metra przez Ordżonikidze albo Selmasz.

– Chcieć to może i chciałem. Ale mutanty mnie nie puściły. Sam wiesz, ile się ich zleciało do miasta przed przyjściem mrówańczy. No i musiałem



nadłożyć drogi. Do metra zszedłem dopiero na Teatralnej, o mało nie spotykając się z mrówkańczą. A z Teatrki poszedłem od razu na Woroszyłowską.

– I wpuścili cię do siebie?

– Aha. I od razu wzięli mnie w obroty: co widziałem, co wiem. To im powiedziałem. Miałem nadzieję, że przejdę potem do żukojadów, obejrzyć te ich podziemia. No, pamiętasz, mówiłem ci o tym... Ale zamknęli przejście między liniami. I to z obu stron. No to koczowałem tutaj.

Kozak uporał się w końcu z trokami. Poświecił latarką do środka.

Ilja zdążył dojrzeć tylko szyjki plastikowych butelek z jakąś cieczą i przymocowany do nich taśmą klejącą granat F-1.

– Oż kurczę! – wyrwało się Kozakowi. – Przecież to jest chyba bomba!

– Granat – uściślił Ilja.

– Ni wała! „Efka” jest tu w roli detonatora. A w butelkach jest semtex albo amonal.

A więc to on próbował wysadzić przejście! I oto czym chciał to zrobić...

– Mrówkańcza! Mrówkańcza! – krzyknął nagle ktoś z tyłu ochryple.

– Wchodzi na stację!

– Weszła!

– Mrówkańcza jest na Woroszyłowce!

– Przy korytarzu!

– Już w korytarzu!

– Mrówkańczaaa!

\* \* \*

Niebiescy przerwali ogień.

Czy to usłyszeli krzyki i postanowili oszczędzać amunicję, czy to żukojadom nie spodziewającym się tak zmasowanego ataku skończyły się

naboje, czy też – co było najbardziej prawdopodobne – po prostu siadły im nerwy.

Parę sekund później porzucili posterunek. Ludzka masa – zakrwawiona, poraniona, poszarpana i zdeptana – wyrwała się z przejścia i przelała przez opustoszałe umocnienia.

W przejściu zrobiło się luźno. Ludzie – ci, którzy zdążyli – wybiegli.

A za ludźmi szło już coś innego.

Czyrik-chi, czyrik-chi. Czyrik-chi, czyrik-chi...

Cykanie mrówańczy było słyhać głośno i wyraźnie. Czuć było mocny i ostry zapach mutantów. W ciemności szeleściły skrzydła. Żwawo stąpały łapy gigantycznych owadów. Dało się też słyszeć inne dźwięki – obrzydliwe, przypominające mlaskanie.

Widocznie tylko obfitość trupów w przejściu na jakiś czas zatrzymała mrówańczy.

Ale nie na długo.

Szu-szu-szu-szu – gdzieś bardzo, bardzo blisko wzbily się w powietrze niewidoczne skrzydła. Któryś ze stworów skierował się w stronę Ilji i Kozaka.

Kozak wyciągnął z pochwy szablę i zaczął kręcić głową to w jedną, to w drugą stronę. Smuga światła latarki przeszła ciemność z prawej, z lewej... Ale mrok zmaterializował się nad głową stalkera.

– Na górze! – ostrzegł Ilja.

W samą porę. W świetle latarki mignęły zuwaczki wielkości obcęgów. A ułamek sekundy później błysnęło wygięte ostrze szabli.

Zaostrzona klinga chlasnęła dokładnie między zuwaczki. Coś zachręściło. Coś odleciało na bok.

Niewyraźny ciemny cień pofrunął na ścianę, padł na posadzkę i miotał się wśród trupów, machając skrzydłami i rozbryzgując krew dookoła. Kozak

poświecił na plecak martwego żukojada. Palcem wskazującym zaczepił o zawleczkę granatu. Ilja usłyszał szept:

– Czyli tak, Maghu, wyciągam zawleczkę i w noghi! Może zasypjemy jeszcze przejście.

Szu-szu-szu-szu... Spadł na nich kolejny mutant. Na szczęście ten stwór, który tylko na ułamek sekundy wynurzył się z ciemności, wczepił się w nogę martwego niebieskiego z bombą w plecaku. Mrówka szarpnęła zdobycz w swoją stronę.

Zabrzmiało wyraźne metaliczne kliknięcie. Zawleczka granatu została na palcu Kozaka.

– Magh, w nogi!

Ilja biegł już w stronę niebieskiej linii. Przed siebie. Szybko. Pełną parą. Ze wszystkich sił. W ciemności, po trupach i krwi. Jak najdalej od podpełzającego z tyłu chrobotu i szelestu.

Zdążyli wyskoczyć z przejścia w momencie, kiedy zagrzmiał wybuch. Poturlali się na różne strony, uciekając z drogi fali uderzeniowej. Korytarz wypluł na niebieską linię odłamki betonu, kawałki drewna, grudy ziemi i strzępy mięsa.

Chmura pyłu, dym, kwaśny zapach materiału wybuchowego, krwi i mrówianczy, huk walącego się sufitu...

Udało im się!

Ilja przylgnął do ściany. Zdająca się nie mieć końca gonitwa po czerwonych stacjach jednak dobiegła kresu. Teraz była przed nim nieznana niebieska linia. Linia, na którą wzywali go Oleńka i Sieriożka.

Teraz można odpocząć. Choć przez chwilę.

Gdzieś szemrały strużki osypującej się suchej ziemi. Potem do tego dźwięku dołączył drugi. Szelest kroków w ciemności. Za posterunkiem niebieskich, tam, gdzie szukali ratunku uchodźcy z czerwonej linii, coś się

poruszyło.

Ilja podniósł głowę. Kozak włączył latarkę. Ktoś szedł w ich stronę.

## Rozdział 11 | Niebiescy

Odpoczynku nie było.

Uchodźcy, którzy w chwili powszechnego szaleństwa przedarli się na niebieską linię, teraz cofali się powoli i w milczeniu.

Wypychani z ciemnych głębin przez niewidzialny tłok, wypełniali przestrzeń między posterunkiem granicznym niebieskich a zasypanym przejściem. Czerwoni zbili się w gromadę i, zagubieni, przestępowali z nogi na nogę w brei złożonej z ziemi, martwych ciał i potłuczonego betonu. Dreptali w miejscu, jakby bojąc się przekroczyć próg cudzego domu.

A z ciemności już wyłaniaли się gospodarze. Jednolita żywa ściana, podświetlona rzadkimi ognikami niczym kondukt żałobny.

Kilka świec i lampek olejowych, lampa naftowa i parę latarek oświetlały ponure twarze żukojadów i lufy skierowane w nieproszonych gości. Niebiescy nie mieli zbyt wielu automatów. Byli przeważnie uzbrojeni w strzelby, ubrani w liche stroje i wyglądali raczej marnie. Brudni, obdarci, wycieńczeni, zarośnięci... Światło płomyków odbijało się w oczach żukojadów. I spojrzenia te nie wróżyły niczego dobrego.

Teraz, kiedy przejście na czerwoną linię było zasypane i panika, która na jakiś czas zjednoczyła ludzi w jedno oszalałe stado, minęła, znów wracał antagonizm swój–obcy.

Ilja rozejrzał się. Swoich nie było znowu tak wielu. Wydawali się liczni w ciasnym korytarzu między liniami, a teraz zostało ich tyle co nic.

Większość czerwonych uchodźców nadziała się na kule żukojadów i poległa przed posterunkiem granicznym. Ci zaś, którzy zostali, byli w zasadzie nieuzbrojeni.

Za to obcych był cały tłum... I byli nastawieni jawnie wrogo.

– Kto was tu prosił, czerwone brzuchy?! – zawołał ktoś z tłumu niebieskich. – Czego tu chcecie?!

– Mrówańcza... Naszą linię opanowała mrówańcza – odezwał się któryś z czerwonych. Cichy, niepewny głos mówcy łamał się i drżał. – Nie mamy gdzie iść. Prosimy o azyl.

– Ach, o azyl?! A skąd pomysł, że ktoś tu na was czeka? Wcześniej nie bardzo nas do siebie wpuszczaliście. Chroniliście swoje barłogi przed niebieską hołotą, tak? To dlaczego uznaliście, że pozwolimy wam zostać na naszej linii?

Negocjator czerwonych nie znalazł odpowiedzi. Na sekundę zawisła ciężka cisza.

– Dobra, starczy tegho mielenia ozorami – wystąpił naprzód Kozak. – Od starych waśni nic nie zyskamy. Mamy teraz wspólnego wrogha, dla którego nie ma różnicy, kto jest z niebieskiej linii, a kto z czerwonej.

– Ale to wy, czerwoni, wpuściliście mrówańczę do metra! – zakrzyknął jakiś żukojad.

Historia się powtarzała. Ilja słyszał już podobne rozmowy przy kracie na Selmaszu, przez którą próbowali się przebić uchodźcy z Ordżonikidze. Czyżby ludzie wszędzie byli tacy sami?

– Czerwoni! Czerwoni ją wpuścili! – huczał groźnie niebieski tłum.

Było słychać szcęk odciąganych zamków. I co dalej? Rozstrzelanie na miejscu?

Ilja podszedł do Kozaka. Też zaczął mówić:

– Tak w ogóle, to Gapcio to zrobił. Drogę mrówańczy otworzył

Cudaczny.

– Łżesz!

– A my, nawiasem mówiąc, dopiero co zagrozdiliśmy jej drogę na waszą linię – ignorując okrzyk, podchwycił Kozak.

– Przecież sami byśmy sobie z tym poradzili, gdybyście nie urządzili tej rzezi w korytarzu!

Ilja uśmiechnął się. Gdybyście dali się замуrować razem z mrówańcą – tak chyba należało rozumieć tę uwagę?

I znów Kozak udał, że nie słyszy oponenta.

– Nie wiem, na jak długo ten zawał zatrzyma stwory – ruchem głowy wskazał rozwalone przejście. – Ale dobrze wiem co innego: od tego, że zaczniemy się zabijać, mutanty się z metra nie wyniosą.

– Chrzanić to! – znów zawołał jakiś krzykacz. – Dla czerwonych nie ma miejsca na niebieskiej linii!

– Nie ma! Nie ma! Nie ma! – podchwycił tłum niebieskich.

– Nie ma tu dla was miejsca, słyszycie, czerwone brzuchy!

– Bij czerwonych!

– Do piachu z nimi!

– Śmierć czerwonym!

– Śmierć! Śmierć!

Sytuacja zaogniła się. Niebiescy już podnosili broń i przyciskali policzki do kolb.

Palce spoczywały na językach spustowych. Winni zostali znaleźieni. Wydano wyrok. Znienawidzeni sąsiedzi – niegdyś silni i bogaci – teraz znaleźli się w roli żalonych i bezradnych żebraków. Ale ta nienawiść nigdzie się nie ulotniła. A to znaczy, że trzeba dokonać samosądu.

– Nie zajmiemy miejsca na waszej linii! – odezwał się znowu Kozak. – Pójdziemy do podmetra! I utorujemy wam tam drogę!

Niebiescy przycichli, zaczęli spoglądać po sobie, szeptać.

– Potrzeba wam przecież ludzi do oczyszczenia podziemi? – ciągnął Kozak. – Możecie przyjąć, że teraz ich macie.

Pauza...

– Niech zostaną – zaproponował w końcu któryś z niebieskich.

– Dobra – zgodził się tłum.

– Niech idą do podmetra.

Czerwoni usztywnili się, ale zmilczeli.

– Jesteś pewny, że ludzie będą chcieli zejść niżej? – zapytał szeptem Ilja.

– Nie mają wyboru – równie cicho odpowiedział Kozak. – Jeśli nie zechcą, położą nas wszystkich trupem na miejscu. Dodatkowe głęby do wykarmienia nie są tu nikomu potrzebne. A zbędnego miejsca żukojady też nie mają.

\* \* \*

Niebiescy na jakiś czas zostawili ich w spokoju. Wątpliwe, by w ogóle ich nie pilnowali, ale uchodźcy otrzymali jednak pewną swobodę ruchów. Ilja nie omieszkał z niej skorzystać i, odłączywszy się od koczujących przy zawalonym przejściu czerwonych, zaczął zwiedzać okolicę.

Zaraz za posterunkiem zaczynała się stacja Puszczińska, którą zdążyli nazwać jeszcze przed wojną, ale nie dali rady jej skończyć. Zresztą jaka tam stacja! Zwykła nora. Niezagospodarowana i niezdatna do życia.

Żadnego wykończenia. Goły beton i ziemia. Prowadzący w ciemność tunel. Peronów brak. Torów też. Ani śladu schodów ruchomych, tylko kręta, wyłożona gnijącymi deskami ścieżka na górę. Do desek przybito stopnie. Niepotrzebne schody prowadzą do zamurowanego wyjścia. W dolnym rogu grubej, ceglano-betonowej ściany można dostrzec właz, przez który z trudem przecisnąłby się człowiek. Właz jest zamknięty stalową klapą. Możliwe, że



niejedną.

Takie tu mają hermetyczne wrota...

Światła było niewiele. Właściwie, nie dochodziło tu prawie wcale. Na środku stacji płonęło małe, ogrodzone cegłami ognisko. Gdzieś tam migotały lampki, ledwie rozpraszające mrok.

Namiatów nigdzie nie było widać. Namioty zajmują za dużo miejsca. Zamiast nich Ilja odkrył nagromadzenie jakichś skrzynek i pudeł bardziej przypominających psie budy niż ludzkie siedziby. A jednak mieszkali w nich ludzie.

Na Puszkińskiej były także zbite z desek klitki, baraki i dwu, czasem trzypiętrowe stelaże, do których strach było nawet podchodzić. Brudne zasłony dzieliły wnętrza chybotliwych konstrukcji na oddzielne „mieszkanka”.

W ścianach stacji – tam, gdzie nie było betonu, albo betonowy szkielet zupełnie się już wykruszył, ciemniały nory w ziemi. Wąskie i ciasne. W takiej ziemnej kapsule da się tylko leżeć. A jeśli nagle się osypie? Wtedy, jak można sądzić, ziemianka zamienia się w grób.

Mieszkania przeplatały się z imponującymi wielopiętrowymi konstrukcjami z postawionych jedna na drugiej, brzydko pachnących skrzyń. Co to, pojemniki na odpadki? Albo nie, raczej fermy żukojadów. Coś jak plantacje grzybów, tylko służące do hodowli jadalnych owadów.

Slumsy – to było to. Najprawdziwsze podziemne slumsy! Gęstość zaludnienia na niebieskiej linii okazała się wyższa nawet niż na zatłoczonych bazarach Diaspory. Zresztą w ogóle, w porównaniu z miejscem zamieszkania niebieskich, czerwona linia prezentowała się teraz jak luksusowy hotel, a odcięta od reszty metra bezludna stacja Port Lotniczy zdawała się Ilji prezydenckim apartamentem. A to dopiero, jakie to słowa zachowały mu się jeszcze w pamięci...

W sumie prawdziwe poznanie jest możliwe tylko przez porównanie.

Jak oni tu w ogóle żyją?! – pomyślał Ilja.

Przeszedł przez całą stację, zajrzał do tunelu.

Tam było jeszcze gorzej. Pojedyncze ogniki lampek i płonące w zardzewiałej żelaznej beczce ognisko dawały nieco światła. Tunel za Puszczińską najbardziej przypominał korytarz mrowiska. Gdyby nie światła i zgiełk ludzkich głosów, można by było pomyśleć, że niebieską linię też opanowała mrówiancza.

Poszczególnych ludzi nie było widać: oczy wychwytywały w półmroku tylko ciągłą krzątanicę i ruch wypełniające niemal całą przestrzeń tunelu. Jedynie środkiem biegło wąskie przejście, którym, gdyby położono tu szyny, nie przejechałaby nawet lekka drezyna.

Nad przejściem przerzucono kładki z desek i szerokie stropy, na których mieściły się poskładane z rupieci i dostępnych materiałów „gniazda”. Nazwanie tych konstrukcji ludzkimi siedzibami nie chciało przejść przez gardło. Tymczasem tam, na górnej kondygnacji, też żyli ludzie. Tak jakby żyli... w na wpół wiszącym stanie.

– Ej, czerwony, spieprzaj z tunelu, ale już! – głośno i ordynarnie zawołali na Ilję z tyłu.

Aha, więc jednak ich obserwowano. No tak, oczywiście. Ochotnikom, którzy zgłosili się, żeby zejść do podmetra, nie pozwolą teraz rozleźć się po całej linii.

Ilja wrócił na stację. Przystanął przy wielopiętrowej fermie. Palila się tu niewielka lampka. Czy to mieszkańcy fermy potrzebowali światła i ciepła, czy to po prostu miejscowy farmer zostawił światełko, żeby obserwować swoją hodowlę.

Ilja zajrzał do skrzynek na dolnej kondygnacji, przykrytych porysowanym, brudnym, lecz wciąż zachowującym względną

przeźroczyść pleksiglasem. Pod szybką poruszała się tłusta ziemia. Gruba warstwa próchnicy szczerze przyprawionej jakimiś śmieciami, paprochami, odpadkami i gnijącym drewnem, żyła swoim życiem. W skrzynkach kłębiły się wielkie karaluchy, tłuste larwy, kłęby robaków, mrówki i pasikoniki.

Czyżby naprawdę to tutaj jedli?! – przeraził się Ilja.

– Podoba się panu? – zapytał ktoś.

Tym razem głos zwracającego się do niego człowieka był cichy i uprzejmy.

Ilja odwrócił się. Stał przed nim niewysoki siwy staruszek z profesorską bródką. Przyjazna twarz poorana siecią zmarszczek. Na nosie miał popękane okulary. W dłoniach ogarek świecy. Jeszcze jeden szpicel przydzielony do śledzenia uchodźców?

\* \* \*

– Przepraszam, że niepokoję – uśmiechnął się do niego szpicel. – Jest pan z czerwonej linii, prawda?

– No – odparł ponuro Ilja. – A o co chodzi?

– Niech pan pozwoli, że na początek się przedstawię. – Staruszek zabawnie potrząsnął głową, co miało być skinieniem. – Jestem Aleksiej Kiryłowicz. W przeszłości byłem entomologiem. Teraz... hmm... – Niebieski zamyślił się na chwilę. – Cóż, chyba czymś w rodzaju głównego specjalisty do spraw zasobów żywnościowych.

– Więc to pańskie gospodarstwo? – Ilja wskazał głową na skrzynki z owadami. – I to są niby zasoby żywnościowe?

– A co pana w tym właściwie kłopotczy? – uśmiechnął się Aleksiej Kiryłowicz. Uśmiech miał łagodny i sympatyczny. – Robaki i owady hoduje się łatwiej i szybciej niż uprawia grzyby. A białka mają więcej niż wołowina.

Wołowina – pomyślał ze smutkiem Ilja. – Jeszcze jedno stare,

zapomniane słowo! Prawie tak samo stare i zapomniane jak „entomolog” i „apartament prezydencki”.

– Poza tym owady są prawdziwą skarbnicą witamin i mikroelementów. Bez żadnej szkodliwej chemii. Produkt, że tak powiem, naturalny. Nawiasem mówiąc, przed wojną potrawy z nich w wielu zakątkach kuli ziemskiej uważano za przysmak. A w warunkach przeludnienia planety i rosnącego deficytu jedzenia wielu widziało w owadach rozwiązanie problemu żywności dla żarłocznej ludzkości. Idea okazała się słuszna. W każdym razie, doświadczenie naszej linii w pełni tego dowodzi.

– A ja słyszałem, że wasza linia ma też przykre doświadczenia.

– O czym pan mówi? – zdziwił się entomolog. I to chyba szczerze.

– Na przykład o meszkach, które nie dają człowiekowi przejść – wyjaśnił Ilja. – I jeszcze o latających piraniach.

– Że niby o czym?! – Oczy jego rozmówcy za pękniętymi szklami okularów stały się wyraźnie większe.

– No... – Ilja zająknął się. Rola roznosiciela plotek i głupich opowieści nigdy nie była dla niego przyjemna. – O muchach, które ogryzają ludzi do kości...

Aleksiej Kiryłowicz zmarszczył brwi z wyrazem niezrozumienia. Potem chyba coś sobie przypomniał. Albo zrozumiał. Uśmiechnął się.

– Ach, więc o to chodzi! Widocznie dotarły do pana nieco, hmmm... wyolbrzymione pogłoski o parze nieudanych wylęgów, które uległy mutacji. Tak, rzeczywiście, przy stacji Rostwiertoł rozmnożyły się muszki i trudno się tamtędy przechodziło. Trudno, ale wcale nie było to niemożliwe. A w rejonie Orbitalnej na pewien czas pojawiły się gryzące muchy. Żądliły, oczywiście, boleśnie, ale nie słyszałem, żeby zagryzły kogokolwiek na śmierć.

Oto co robią z ludźmi strach i niedostatek informacji – pomyślał Ilja. Ludzie z Selmasza opowiadali mu przecież o ogryzionych szkieletach

w tunelach niebieskich.

– Do tego obie te populacje pozdychały w ciągu kilku dni – ciągnął entomolog. – Mutacja niezdolna do życia... Leżała potem pod nogami kupa biomasy. Tylko brać.

Brać? Brrr...

– I co, też je jedli? – skrzywił się Ilja.

– A dlaczego nie? Przecież tłumaczę: owady to takie samo mięso, tylko bardzo drobno pocięte.

Aleksiej Kiryłłowicz otworzył jedną ze skrzynek, włożył do środka rękę i wyciągnął bladożółtą larwę o grubości palca. Otrząsnął z grudek ziemi.

– Nie ma pan ochoty spróbować?

– Nie, dziękuję. – Ilja się skrzywił. Co za ohydztwo!

– Brzydzi się pan? Niepotrzebnie. To uniwersalny wysokokaloryczny artykuł spożywczy. – Starszy żukojad intelektualista zachwalał wijącą się larwę, jak handlarz z Diaspory swój towar. – Smak ma, oczywiście, specyficzny, ale szybko można się do niego przyzwyczaić. Za to owady konsumujemy w dowolnej postaci – smażone, gotowane albo duszone. A można też jeść ot tak.

Tu Aleksiej Kiryłłowicz włożył sobie larwę do ust. W zębach mu zachręściło, coś trysnęło na przystrzyżoną bródkę. Żukojad wytarł się i starannie przeżuł owada. Przełknął bez widocznego wysiłku, jak jakiegoś marynowanego grzybka. Uśmiechnął się, spoglądając na kwaśną minę Ilji:

– Konwenanse, tylko bezsensowne konwenanse przeszkadzają nam korzystać z pożywienia, które najłatwiej zdobyć. U was, na czerwonej linii, prawdopodobnie był jeszcze wybór pożywienia i mogliście wybrzydzać. My tego wyboru od dawna nie mamy. Jest nas zbyt wielu, a jedzenia zbyt mało. Ostatecznie, zgodzi się pan, entomofagia jest lepsza od kanibalizmu.

Lepsza. Zapewne...

Ilja zerknął z ukosa na kotłującą się w skrzynce masę.

Ale jaka obrzydliwa!

– Napuścić by waszą linię na mrówkańczę – prychnął Ilja. – Może całą byście zeżarli.

– Bardzo dowcipne. – Staruszek uśmiechnął się uprzejmie. – A wie pan, tak na marginesie, że mrówki i szarańcza były kiedyś całkiem rozpowszechnionym i lubianym pożywieniem człowieka?

– Za to teraz wszystko się pozmieniało i jest dokładnie odwrotnie – westchnął Ilja. – Łańcuch pokarmowy zmienił kierunek.

– Tak, teraz dużo się zmienia – zgodził się Aleksiej Kiriłłowicz. Nie śmiał się już i nie uśmiechał. – Przyroda wariuje. Ale właśnie o mrówkańczy chciałem z panem porozmawiać.

Ilja uniósł brwi ze zdziwieniem.

– A co pana interesuje?

– Wszystko. Wypytyję o nią każdego, kto cokolwiek widział albo słyszał.

– Pracuje pan nad nowym przepisem kulinarnym?

– Nie. – Aleksiej Kiriłłowicz był wciąż poważny. – Chcę zrozumieć, z czym mamy do czynienia. I czy mamy choć jakąkolwiek szansę ocaleć w tej konfrontacji.

Z głębi pamięci wypłynęła rozmowa na Selmaszu i wysunięte przez brodatego wujka Miszę przypuszczenie, że żukojady mogą podpowiedzieć, jak wytępić mrówkańczę.

– Szuka pan sposobu na pokonanie stworów? – spytał wprost Ilja.

Aleksiej Kiriłłowicz rozłożył ręce:

– Jestem tylko starym entomologiem. Ale przecież mrówkańcza to owad, choćby i wyrosnięty do nieprzyzwoitych rozmiarów. A ja studiowałem życie owadów niejeden rok i napisałem na ten temat niejedną pracę naukową. Więc może moja wiedza przyda się nie tylko do rozwiązywania problemów

zaopatrzenia?

W sumie brzmi sensownie.

Ilja wspomniał ogromne żuwaczki jak obcęgi wczepione w pręty kraty na Selmaszu. Od tego właśnie postanowił zacząć.

– No cóż, niech pan słucha...

\* \* \*

Aleksiej Kiryłłowicz wysłuchał go uważnie, zadał kilka uściślających pytań i kiwnął głową z zadowoleniem.

– Wszystko się zgadza – wymamrotał entomolog. – Tak właśnie myślałem.

– Co się zgadza? Co pan myślał? – przycisnął uczonego Ilja.

– No... – Aleksiej Kiryłłowicz podrapał się w podbródek w zadumie. – Opisanie przez pana mandibula bardzo przypominają te należące do mrówek.

– Co przypomina? – nie zrozumiał Ilja.

– Mandibula. Żuwaczki stawonogów. I jeszcze feromony... To specjalne pachnące substancje, z których pomocą zwykle mrówki komunikują się ze sobą – wyjaśnił entomolog, nie czekając na kolejne pytanie. – Tak zwana chemiczna mowa.

– To ten smród, który czuć od mrówańczy?

– Tak, to on. Ale z drugiej strony, do szarańczowatych zbliża te stworzenia obecność skrzydeł, pokryw i, prawdopodobnie, tylnych skocznych odnóży, za pomocą których też wymieniają sygnały, tyle że dźwiękowe. Bardzo interesujący gatunek. Umiejętność latania, a dokładniej przefruwania z miejsca na miejsce, znacząco rozszerza potencjalny obszar występowania gatunku i zwiększa szybkość przemieszczania się kolonii. A jednak...

Aleksiej Kiryłłowicz potrząsnął głową, jakby podejmując ważną decyzję.

– To jednak nie zwyczajny rój szarańczy, przenoszący się tępo w poszukiwaniu jedzenia. To wysoce zorganizowana społeczność, która bardziej przypomina kolonię mrówek. To, co opowiadają świadkowie... Zagospodarowywanie ludzkich siedzib... Gromadzenie zapasów...

– Aha, społeczność – mruknął Ilja. – Niech pan jeszcze powie: umysł zbiorowy.

– Całkiem możliwe. – Entomolog patrzył na niego spokojnie i najzupełniej poważnie. – Nawet pan sobie nie wyobraża, jak uporządkowane i racjonalne może być życie mrowiska!

– Tyle że, o ile dobrze rozumiem, mrówańcza nie tworzy sobie mrowisk.

– Tu ma pan rację – łatwo zgodził się Aleksiej Kiryłłowicz. – Nie tworzy. Jak się zdaje, mrówańcza nie jest nawet zdolna samodzielnie zakopywać się w ziemi. Być może jest to związane z jej rozmiarami. Trudno zbudować mrowisko dla takiej liczby tak dużych osobników. A może rzecz w tym, że mrówańczy, w odróżnieniu od zwykłych mrówek, po prostu nie jest to potrzebne. Po co cokolwiek budować, jeśli w roli mrowisk można wykorzystać wielkie miasta z gęstą zabudową. Ocalałe po atakach rakietowych, położone blisko siebie, połączone ze sobą kolektorami kanalizacyjnymi i wodociągami, wielomieszkaniowe domy, centra handlowe i zakłady przemysłowe stanowią gotową siedzibę dla kolonii. A miejska flora i fauna na jakiś czas staną się podstawą jej wyżywienia. Zabawne, nie uważa pan? Zbudowaliśmy im mrowiska i sami staliśmy się ich pożywieniem.

– Nie ma w tym nic zabawnego... – odciął się posępnie Ilja.

– No jak to? Proszę się zastanowić! Być może nasze przeznaczenie, nasza rola w ewolucji polega na tym, żeby stworzyć punkt wyjścia dla nowego dominującego gatunku!

Ilja umilkł. A i Aleksieja Kiryłłowicza taka myśl widocznie niezbyt radowała. Zapanowała niezręczna cisza.



– Myśli pan, że mrówka zostanie w Rostowie na długo? – zapytał w końcu Ilja.

Entomolog wzruszył ramionami:

– Na zewnątrz jest jesień. Niedługo zaczną się chłody. Sądzę, że mrówka przygotowuje się do zimowania.

– Czyli do wiosny?

Aleksiej Kiryłowicz poruszył ustami.

– Co najmniej. I wie pan, co panu powiem? Wątpię, żeby z takim sąsiadem udało nam się przeżyć zimę. Nie jestem nawet przekonany, czy dożyjemy końca jesieni.

## Rozdział 12 | Korytarz

Ich rozmowę przerwał gwar zaniepokojonych głosów. Nieopodal zasypanego przejścia doszło do jakiegoś zamieszania. Ściągali tam już mieszkańcy stacji. Ilja i Aleksiej Kiryłowicz też pospieszyli w stronę źródła hałasu.

W mieszanym tłumie czerwonych i niebieskich Ilja zobaczył Kozaka i przepchnął się do niego:

- Co się stało? Znow idzie mrówka?
- Na razie nie – jakoś mgliście odpowiedział Kozak.
- Co to znaczy „na razie”? Przecież przejście jest zasypane?
- Z przejściem akurat wszystko w porządku – westchnął Kozak.
- Więc w czym rzecz?
- Ocalał korytarz techniczny.
- Jaki znowu korytarz?
- Obok przejścia. Ciągnie się od Puszczyńskiej do Woroszyłowskiej.

Prowadzi na czerwoną linię, rozumiesz?

- I co? – Ilja struchlał. – Jest otwarty?
- Zamknięty. Był. I z tej strony, i od Woroszyłowskiej też.
- A teraz?
- Nasz wąż wysadziła eksplozja. Woroszyłowski też jest uszkodzony.

Już sprawdzałem. Tam jest taka szczelina, że widać mrówkę.

- I ty... – Ilja skulił się. – Widziałeś ją?
- No tak, coś tam widziałem: na stacji jeszcze się pali światło.

– A mrówańcza ciebie?

– Mam nadzieję, że mnie nie zauważyła. Ale jeśli jednak zerwie wąż z tamtej strony... Oghólnie rzecz biorąc, lepiej by nam było ten korytarzyk zawalić i to jak najszybciej. Myślę, że to nie będzie trudne. I tak wszystko jest tam popękane po wybuchu. Jeden ghranat i ghotowe. Ciekawe, czy niebiescy mają jeszcze ghranaty?

– Mogę załatwić – niespodziewanie wmieszał się w ich rozmowę Aleksiej Kiryłłowicz.

Ilja popatrzył na entomologa ze zdziwieniem:

– A co, ukrył pan w skrzynkach z żukami skład amunicji?

– Nie. Ale jestem na tej stacji dość szanowanym człowiekiem.

No tak, oczywiście... Główny specjalista do spraw zasobów żywnościowych.

– Znajdę wam granat. Ale pod jednym warunkiem.

– Słucham – Kozak zamienił się w słuch.

– Muszę zobaczyć mrówańczę na własne oczy.

– Co? – Kozak zmarszczył brwi.

– Powiedział pan przecież, że mrówańczę widać z korytarza technicznego. Nie mogę przepuścić takiej okazji.

Kozak i Ilja spojrzeli po sobie.

– Niech popatrzy – Ilja poparł entomologa. – Nie zaszkodzi.

A czy pomoże... Kto wie, może naukowiec wpadnie na jakiś sensowny pomysł.

– Kto to w oghóle jest? – zapytał cicho Kozak.

– Lokalny spec od owadów – odparł Ilja.

Kozak zamyślił się na chwilę.

– No dobra, czort z nim, niech patrzy. Szczerze mówiąc, nie chce mi się drugi raz pchać do Woroszyłowskiej, ale jak trzeba, to poprowadzę. Idziesz

z nami, Magh?

– A muszę?

– W sumie, jeśli coś się nagle stanie, albo twój spec – Kozak skinął głową na Aleksieja Kiriłłowicza – spanikuje, to sam mogę go nie wyciągnąć.

\* \* \*

Wywalony przez wybuch właz leżał pod ścianą. Z boku ziejący otwór korytarza technicznego wydawał się być jedną z mieszkalnych wnęk czy ziemianek, którą ktoś wykuł wprost w betonie. Tyle że światło latarki nie docierało do końca tej wnęki. Tunel nikał w ścianie na podobieństwo niekończącej się dziurki wykopanej przez robaka.

Ilja zajrzał do środka. Ciemno i ciasno... Mrok – głęboki, gęsty, prawie namacalny.

Znów całkiem nie w porę przypomniały mu się opowieści z Selmasza.

– Podobno u was, na niebieskiej linii, ciemność potrafi zabić człowieka – Ilja obrócił się w stronę entomologa.

– Bzdura – pokręcił głową Aleksiej Kiriłłowicz. – Zdarza się, co prawda, że przesączają się szkodliwe gazy. Ktoś się chyba nawet zatruł.

Cóż, być może to właśnie było wyjaśnieniem zjawiska, o którym opowiadali ludzie na Selmaszu. Prawdą jest, że lżej mu się od tego nie zrobiło. W końcu jaka to różnica: dusząca ciemność czy gazy?

– To co, idziemy? – wymamrotał bez entuzjizmu Kozak. I włączył latarkę.

We trzech – więcej chętnych się nie znalazło – wcisnęli się w korytarz.

Trzeba było iść na czworakach, przez zardzewiałe rury i wiszące kable z pogryzioną na strzępy izolacją. (Szczury? No tak, kiedyś pewnie żyły tu szczury. Ale teraz i one uciekły z miasta). W środku był brud i kurz.

Wybuch rzeczywiście mocno uszkodził korytarz. Latarka Kozaka oświetlała głębokie pęknięcia w suficie i ścianach. Zdawało się, że jeden nieostrożny ruch i wszystko się zawali, grzebiąc całą trójkę żywcem. Dlatego starali się unikać nieostrożnych ruchów i nawet ze sobą nie rozmawiali.

Wkrótce ich wyostrzony zmysł powonienia wychwycił ostry zapach mrówańczy. Ilja rozpoznał znajome: czyrik-chi, czyrik-chi. I szelest sztywnych skrzydeł. I chrobot silnych odnóży. I zgrzyt żuwaczek. Jednak tym razem usłyszał też jakiś nowy dźwięk. Dziwny i przeciągły. Jakby ciężkie westchnienia olbrzyma, przechodzące w syczący jęk:

Uff-szuch, uff-szuch. Uff-szuch, uff-szuch...

Ciekawe, co to było?

Znieruchomieli, nie decydując się czołgać dalej. Od razu odechciało im się zbliżyć do mrówańczy. Światło latarki prześlizgnęło się po twarzy Aleksieja Kiriłłowicza. W promieniach Ilja dostrzegł pytający wyraz twarzy Kozaka.

– No i co? Czołghamy się dalej? – wyszeptał stalker samymi ustami.

Entomolog chwilę odczekał, potem kiwnął głową. Z nieskrywanym, źle maskowanym i dobrze widocznym wysiłkiem. Kozak westchnął. Jak się zdawało – z żalem.

– W takim razie wyłączam latarkę – znów dał się słyszeć jego szept. – Mrówańcza może zobaczyć światło. Dalej pójdziemy w ciemności. Ruchy regularne. Nie hałasować.

Jeszcze jedno skinienie Aleksieja Kiriłłowicza. Latarka zgasła.

Ostatni odcinek drogi okazał się szczególnie... nie, nie to żeby trudny. Straszny.

Musieli przeciskać się w nieprzeniknionych ciemnościach, zachowując ciszę. Wrażenie było takie, jakby człowiek cudem przeżył rozstrzelanie, odzyskał przytomność i pełził przez niekończący się masowy grób, z którego

nie ma wyjścia. Coś stale sypało im się za kołnierz. Ziemia pod kolanami i dłońmi ruszała się jak żywa.

I coraz bliżej, coraz wyraźniej słychać było cykanie i czyjeś ciężkie jęki czy westchnienia. I nie wiadomo już było, kto zbliża się do kogo: oni do źródła dźwięków czy na odwrót. Wyraźnie czuli ostry zapach. Zapach stworów, zapach strachu.

Zapach śmierci.

Natomiast dodająca otuchy obecność ludzi w pobliżu była już niewyczuwalna. Współtowarzyszy nie było ani widać, ani słychać. Zarówno Kozak, jak i Aleksiej Kiriłłowicz nagle jakby zginęli bez śladu. Może zostali w tyle? Może zawrócili? Może zgubili się w jakiejś odnodze? A może już nie żyją? Obaj? Może coś ich zabiło – błyskawicznie i bezszelestnie? Dusząca ciemność, trujący gaz, mrówańcza...

Ilja poczuł się nieswojo. Co, jeśli czołga się już sam, a przekłete mutanty są tuż obok?

Na moment prawie przekonał sam siebie, że mrówańcza też dostała się do korytarza technicznego i wychodzi mu naprzeciw. Że egipskie ciemności przed nim zaraz zmaterializują się w ogromną głowę z bezdusznymi lśniącymi jak szklane kulki oczami i potężnymi zuwaczkami, zdolnymi odgryźć człowiekowi głowę. Że te zuwaczki wczepią mu się w gardło.

Wyobraźnia spletała mu figła. A może to wcale nie wyobraźnia? A może to wszystko dzieje się naprawdę? Lęki zaczęły ucieleśniać się w formie fizycznych doznań. Ilja czuł przez skórę ruchy powietrza. Ktoś albo coś zbliżało się do niego, pchając przed sobą słabą falę powietrza.

Serce załomotało mu tak, że mogłoby pewnie zawalić chwiejny sufit.

– Tak się tylko wydaje, Iljuszka – szepnęła mu do ucha Oleńka. – To wszystko tylko się wydaje. Przecież wiesz.

Od razu zrobiło mu się lżej. Spokojniej. Tak, oczywiście, wiedział o tym.

– Tato, tu niczego nie ma – powiedział cichutko Sieriożka. – Na razie.

– Ciii! – szepnął Ilja.

Czuł się już dobrze, ale głosy Oleńki i Sieriożki mogły przyciągnąć uwagę mrówańczy.

Ktoś dotknął go w ciemności. Ludzka ręka – nie łapa mrówańczy.

– Cicho, Magh! – zabrzmiał na granicy słyszalności szept Kozaka. – Syczysz na całe metro!

Z tyłu dał się słyszeć oddech Aleksieja Kiryłłowicza. Nie, żaden z jego towarzyszy nigdzie nie zniknął.

Po omacku dotarli do masywnego wjazdu zamykającego korytarz od strony czerwonej linii. Kozak miał rację: luk niedokładnie przylegał do ścianek. Beton pod jego dolną krawędzią popękał i osypał się. Przez powstałą szczelinę czuli przeciąg. Ilja uśmiechnął się: to ten wiaterek go przestraszył, to jego wziął za czyjś ruch. Ale to nawet dobrze, że przeciąg idzie od mrówańczy, a nie na odwrót. W ten sposób stworom jest trudniej zwęszyć ludzi.

Cykanie było tu głośniejsze, dźwięczniejsze i jakby bardziej histeryczne. Rozgłośnie i jednostajnie brzmiały dziwne westchnienia: Uff-szuch, uff-szuch.

Właz, obok którego się kryli, mieścił się pod samym sufitem stacji i przez szeroką szczelinę można było zajrzeć na Woroszyłowską.

\* \* \*

Światło na stacji zgasło. Tylko w niewielkiej niszy na jednej z kolumn paliła się jeszcze lampka olejowa. Jednak w słabo oświetlonej przestrzeni niewiele dało się dojrzeć. Więcej trzeba było sobie wyobrazić.

Po kolumnie z lampką cienkimi strużkami ciekła woda i wyglądało to tak, jakby płaskorzeźby oplatały małe migotliwe węże. Z góry kapalo. Na peronie

i torach połyskiwały kałuże. Widocznie wybuch w przejściu uszkodził hydroizolację i teraz przesączały się tu wody gruntowe. Jednak stacji nie zalewało: woda ciekła po torach i znajdowała sobie ujście gdzieś pod tłuczniem między szynami.

Cała Woroszyłowska była oblepiona kotłującą się masą. Stacja wyglądała, jakby składała się z żywej mrówańczy. W słabej, rozmazanej plamie światła ocierały się o siebie chitynowe pancerze, poruszały się skrzydła i łapy gigantycznych owadów.

Nie było widać trupów. Przynajmniej w tym miejscu, które oświetlał płomyk lampki olejowej. Natomiast kolumnę, na której znajdowało się źródło światła, zdobiły ciemne zacieki, których raczej nie mogła pozostawić woda. Za to krew – jak najbardziej.

Czyżby pożarły wszystkich? – pomyślał z przerażeniem Ilja. Nie, taka liczba ludzi nie mogła zniknąć bez śladu. Zostałyby chociaż ogryzione szkielety, strzępy ubrań. Najprawdopodobniej mrówańcza oczyściła stację z trupów, żeby zrobić miejsce. Ale na co? Albo dla kogo?

Pod sklepieniem Woroszyłowskiej fruwały tam i z powrotem dziesiątki stworów. Jęczało powietrze przecinane długimi sztywnymi skrzydłami.

Szu-szu-szu-szu. Szu-szu-szu-szu...

Słysząc też było dźwięczne, wyprowadzające z równowagi: czyrik-chi, czyrik-chi, czyrik-chi, czyrik-chi...

I niskie, przerażające: uff-szuch, uff-szuch, uff-szuch, uff-szuch...

Jakiś stwór przelatujący obok kolumny z lampką zaczepił o nią. Ta zakołysała się. Samotny płomyczek zadrżał. Potworne sploty cieni zaczęły tańczyć po ścianach. Słaby odblask dosięgnął przeciwległego końca sali. Mignął na skraju peronu.

I Ilja w końcu dostrzegł, skąd pochodzi głośny i nieznajomy dźwięk. Odgłos dobiegał z na wpół zatopionych torów, na których...



Niewiarygodne!

Wśród powszechnego ruchu i kotłowania mrówianczy, odróżniało się tam coś żywego, ale niepodobnego do reszty mutantów. Coś ogromnego, o kształcie gąsienicy, co wznosiło się powoli i równie nieśpiesznie opadało.

Stop, stop, stop! Ilja przypomniał sobie, że obserwatorzy z Selmasza widzieli, jak rój mrówianczy przynosił w powietrzu jakąś ogromną gąsienicę. Czyżby to była właśnie ona? Cóż, teoretycznie mrówiancza mogła dotaszczyć tego potwora do metra. I ta przerośnięta gąsienica mogła wpełznąć pod ziemię przez otwarte po sabotażu Gapcia hermetyczne grodzie na Ordżonikidze. Tak, przez takie wielkie drzwi chyba by się przecisnęła. Gigantyczna gąsienica mogłaby też przedostać się do Woroszyłowskiej tunelami metra, w ślad za idącymi przodem oddziałami mrówianczy albo z ich pomocą.

Ale po co?

I dlaczego mrówiancza do tej pory nie pożarła takiego tłustego, apetycznego zwierzęcia?

Płomień lampki zakołysał się jeszcze raz. Wzrok znów rozróżnił coś obłego, lśniącego czy to od kropel wody, czy to własnych wydzielin, coś, co wznosiło się nad skrajem peronu... Trudno było określić kształt i rozmiary tego stworzenia. Nie można się było nawet zorientować, czy zmieściło się na stacji w całości, czy też tylko częściowo wysunęło się z tunelu.

– Widzieliście to? – rozległ się stłumiony głos Aleksieja Kiryłowicza. – Przecież to jest...

– Cicho – syknął na niego Kozak.

Ale entomolog nie potrafił już opanować emocji.

– Przecież to ich matka! Królowa mrówianczy!

Matka? Królowa? No tak, oczywiście! To by wszystko wyjaśniało. I to, że mrówiancza taszczy tego potwora ze sobą, i to, że go nie pożera, i to, że

wciska go na czas zimowania do zacisznych tuneli rostowskiego metra. Gigantyczna gąsienica, co prawda, mało przypominała zwykłą mrówczą matkę. Ale przecież i mutanty, które ją tu przyniosły, też nie są zwykłymi mrówkami. Zresztą Ilji nie udało się już porządnie nad tym zastanowić.

Chyba ich usłyszały.

Od górnej części oświetlonej kolumny – gdzieś z ginącego w mroku rozłożystego rzeźbionego kapitelu – oderwała się mrówańcza. Zbliżająca się błyskawicznie ciemna plama na moment zasłoniła im widok. Zamigotały skrzydła. Rozczapierzone owadzie łapki...

Potem było uderzenie w luk. Silne, aż ludzie odskoczyli. Głośne brzęknięcie zabrzmiało w całej stacji.

Zahaczona skrzydłem mrówańczy lampka spadła, rozbiła się i zgasła.

Woroszyłowska pogrążyła się w mroku.

– Do tyłu – wycedził Ilja. – Zauważyły nas.

I słusznie. We właz znów coś grzmotnęło. I jeszcze... Szum skrzydeł wypełnił stację. Mrówańcza raz za razem rzucała się na nadwątloną zaporę.

Zdaje się, że nie na żarty wzburzyli mrowisko.

Kozak włączył latarkę. Nie myśląc już o zachowaniu tajemnicy i ostrożności i skupiając się tylko na tym, by zrobić to jak najszybciej, uciekali z korytarza technicznego.

Za nimi wściekle tłukła się o właz mrówańcza. Z popękanego sufitu na głowy znów sypała im się ziemia. Pył zapychał oczy, nos i usta. Snop światła latarki pokazywał przerażające sploty kabli i rur.

\* \* \*

Wypadli na Puszkińską brudni i do szaleństwa przerażeni. Echo niosło z ciemności dźwięki uderzeń i zgrzytanie żuwaczek o metal. Mrówańcza ruszyła w pościg.

Przy wejściu tłoczyli się już niespokojni ludzie. Czerwoni, niebiescy – wszyscy razem.

– Co tam jest? – rozległy się pytania. – Co się stało? Mrówka?

– Trzeba zawalić korytarz! – wypalił Kozak. – Natychmiast wysadzić w jasną cholerę!

– Chwileczkę! – zamachał rękami Aleksiej Kiryłowicz. Oczy entomologa były rozpalone. – Przecież tam jest matka! Dlatego mrówka tak się wzburzyła. Po prostu chroni swoją królową.

– „Po prostu”?! – wybuchnął Kozak. – Więc tym bardziej trzeba zatkać przejście! Póki wszystkich nas tu „po prostu” nie zeżarła!

– Nie, nie, pan nie rozumie! – zawzięcie kręcił głową Aleksiej Kiryłowicz. – Jeśli ostatecznie się teraz odgradzimy od czerwonej linii, to nie rozwiążemy, ale tylko pogorszymy problem. Królowa mrówki pojawiła się na Woroszyłowskiej nieprzypadkowo. Widocznie ciemna, wilgotna i ciepła stacja nadaje się idealnie do składania jaj.

– Chce pan powiedzieć, że mrówka będzie się tam rozmnażać? – wmieszał się w dyskusję Ilja.

– Do zimy ma jeszcze mnóstwo czasu. Stworów będzie dużo więcej.

Kozak zaklął przez zaciśnięte zęby.

– Ma pan jakieś propozycje, Aleksieju Kiryłowiczu? – zapytał Ilja.

– Mam – kiwnął głową entomolog. – Trzeba wrócić na czerwoną linię.

– Co?! – Kozak wytrzeszczył oczy ze zdziwieniem.

– Wrócić i zniszczyć matkę.

Zapanowała cisza. Ludzie patrzyli w milczeniu na Aleksieja Kiryłowicza.

– W zwykłym mrowisku królowa jest sensem istnienia kolonii – powiedział pospiesznie tamten. – Ginie matka – ginie całe mrowisko. I są wszelkie podstawy, żeby sądzić, że bez królowej społeczność mrówki też albo się rozpadnie i wymrze, albo wyruszy na poszukiwania nowej matki.

Zarówno w jednym, jak i w drugim przypadku, kolonia opuści metro.

Ilja i Kozak spojrzeli po sobie. Może entomolog miał rację. Może to była ich szansa.

Prawdopodobnie jedyna.

Kozak opamiętał się jako pierwszy.

– Trzeba będzie wrócić na Woroszyłowską. Kto idzie ze mną?! – Smuga światła latarki w jego ręce przesunęła się po twarzach obecnych.

Otoczający ich tłum odsunął się od światła jak od wylotu lufy załadowanego karabinu maszynowego. Chętnych, aby iść do legowiska stworów, nie było ani wśród czerwonych, ani wśród niebieskich.

– No szybciej! – popędzał ich Kozak. – Decydujcie się!

Smuga światła omiatała przestrzeń dookoła. Ludzie zasłaniali twarze i uciekali wzrokiem. Z korytarza technicznego dobiegały odgłosy głuchych uderzeń. Skrzydlaci ochroniarze matki mrówańczy wciąż jeszcze dobijali się do zamkniętego wjazdu. I ten długo ich raczej nie zatrzyma.

– Musimy dobrać się do mrówańczy pierwsi! – apelował Kozak. – Póki ona nie dobrała się do nas!

Ilja podszedł w milczeniu do dziury, z której tak pośpiesznie uciekał. Teraz było tu pusto i ciemno: ludzie odsunęli się od groźnego korytarza. Latarki, świece i lampki paliły się za jego plecami – w tłumie.

Znów zajrzał w mrok wypełniony odgłosami skrobania i głośnym stukaniem. Bał się. Bardzo. Bał się tam nawet patrzeć, nie mówiąc już o tym, żeby znów wczołgać się do tego grobu.

– Nie, Iljuszka! – zabrzmiał z ciemności głos Oleńki. – Starczy. Nie trzeba. Nie powinieneś tam już wchodzić. Teraz to pewna śmierć.

– Tato, nie trzeba, nie idź tam – chlipnął Sieriożka.

– Spróbuję – wymamrotał Ilja. – Muszę. – Może w ten sposób zdoła ocalić siebie i zarazem ich. – Muszę...

– Z kim pan rozmawia? – Za Ilją stał Aleksiej Kiryłłowicz. Jeszcze jeden ochotnik...

Ilja nic mu nie odpowiedział.

– Za mało! – brzmiał za plecami dźwięczny głos Kozaka. – Za mało nas. Potrzebujemy ludzi, którzy potrafią strzelać. Potrzebujemy dobrej broni. Ghrenatów! Nie ociągajcie się! Ktoś będzie musiał pójść, inaczej zdechniemy wszyscy.

– Ja pójdę – powiedział ktoś niepewnie.

I po krótkiej przerwie...

– Ja też – kolejny głos.

– I ja...

– Kto jeszcze?! Widzieliśmy matkę, a to znaczy, że możemy zastrzelić tego stwora bez schodzenia na Woroszyłowską. No?! Kto?! Więcej!

W zatrzaśnięty właz po drugiej stronie korytarza waliło coś jak w gong.

Jak długo wytrzyma pokrywa włazu? – zastanawiał się Ilja, zaglądając do środka. – To jednak nie blokada w tunelu przy Selmaszu. No i wybuch porządnie ją naruszył.

– Nie trzeba, Iljuszka, nie idź tam! – wciąż jeszcze próbowała dotrzeć do niego Oleńka.

– Tato, tato, proszę... – błagał Sieriożka.

Serce go bolało.

Ilja odsunął się od czarnego otworu w betonowym murze. Bliżej ludzi i światła. Tak żeby nie słyszeć już głosów żony i syna. Umilkli.

– Kto jeszcze?! – wrzeszczał Kozak. – Ty?! Ty?! Ty?! Może ty?!

\* \* \*

Przy przejściu służbowym dreptali w miejscu czterej ludzie. Zaledwie. Broń miało tylko dwóch. Kozak kontynuował poszukiwania ochotników. Pierwsze

szeregi rozstąpiły się przed nim w milczeniu i stalker przepychał się teraz między ostatnimi.

– Kto jeszcze?!

Światło latarki atakowało zbitą masę ludzi. Ale nikt więcej nie odpowiadał na wezwanie. Ludzie tulili się do siebie i kryli za plecami innych.

– Kto?! Kto?!

Snop światła wyłapał czyjąś głowę z naciągniętym na sam nos kapturem. Kaptur stalkerskiego płaszcza był duży, z grubego nagumowanego materiału. Ilja nie dojrzał twarzy w cieniu ciężkiego baszłyka. Zobaczył za to coś innego.

Człowiek w kapturze pośpiesznie, może nawet zbyt pośpiesznie, zasłonił się ręką przed światłem. W świetle latarki mignęła okaleczona prawa dłoń, której brakowało dwóch palców.

Ilja zastygł. Wydawało mu się? Czy jednak nie?

Gapcio Cudaczny opowiadał o człowieku z trzema palcami. Co prawda Gapcio mówił też, że ów człowiek nie żyje. Brednia? A co, jeśli nie? Co, jeśli przed światłem latarki zasłania się teraz cudownie zmartwychwstały Saper?

A choćby trzy razy zmartwychwstał! Choćby dziesięć! Ilja zacisnął pięści. Jeśli to rzeczywiście Saper, to on mu nie odpuści. Pójdzie za nim i do grobu, i do piekła. I rozliczy się z nim choćby tam.

Ilja zapomniał o całej reszcie. Natychmiast. Nagle. Zupełnie.

– Stój! – wbił się w tłum.

Wyrwał do przodu, roztrącając stojących mu na drodze czerwonych i niebieskich.

Ilja widział, jak człowiek w kapturze odwrócił się i wycofał w ciemność.

Latarka Kozaka świeciła już w drugą stronę.

– Stóóój! – krzyknął na cały głos Mag, płosząc tłoczących się dookoła ludzi.

Od Ilji odskoczyli jak od wściekłego. Teraz trzymali się od niego z daleka, tak jak od Kozaka. I dobrze. Bardzo dobrze, że tłum rozstępował się sam, że nie trzeba było przebijać się przez niego z pięściami.

Ilja rzucił się w pogoń za ledwie widocznym w półmroku kapturem. Ten oddalał się. I nie było jasne: czy jego właściciel przeciska się siłą, czy też przechodzi przez tłum jak na ducha przystało.

Dookoła szumiało i huczało ludzkie morze.

– Magh, dokąd?!

Czyjaś ręka wczepiła mu się w ramię. Kozak? Sądząc po głosie – tak.

Ilja nie odwracał się, bojąc, że straci z oczu niejasne zarysy szpiczastego kaptura. Po prostu strząsnął powstrzymującą go rękę.

– Beze mnie! – rzucił Ilja w biegu. – Mówię pas!

I ma gdzieś, co o nim pomyślą. Ma teraz ważniejszą sprawę, niż wyprawa do legowiska mrówańczy. Musi teraz dogonić Saperę, przez którego nie żyją Oleńka i Sieriożka. Koniecznie.

Dogonić!

Łajdaka!

Właśnie teraz!

I zabić, jeśli były naczelnik Portu Lotniczego jakimś cudem został przy życiu. A jeśli nie, jeśli jest martwy – i tak go zabije. Jeszcze raz. Albo chociaż wyjaśni na pewno, że ten trójpalczasty człowiek w stalkerskim płaszczu to nie Saper.

A cała reszta – potem.

Potem. Potem...

Ludzie, których potrącał i popychał Ilja, niby coś do niego krzyczeli, ale sens dolatujących do niego słów gdzieś się ulatniał. Zrozumienie się wymykało.

Jeszcze chwila i przeklęty kaptur rozplynie się w mroku. I żeby go

dosięgnąć, trzeba było włożyć w to wszystkie siły i skupić całą uwagę tylko na nim.

Ilja odciął swoją świadomość od pozostałych bodźców. Słyszał teraz tylko walenie własnego serca, a zwężone pole widzenia niedostrzegalną nicią połączyło go ze stalkerskim kapturem, to ginącym, to znów pojawiającym się przed nim. Ale nić ta była zbyt słaba. Mogła się zerwać w dowolnym momencie.



## Rozdział 13 | Widmo

Przedarli się przez gęsty tłum i wydostali ze stacji. Nikt nie próbował zatrzymać Ilji przy wejściu do tunelu i pościg trwał dalej wśród ciasnych slumsów. Na szczęście było tu dość ustronnych miejsc, żeby się ukryć.

Zrobiło się odrobinę więcej miejsca. Widocznie większość ludzi z tunelu umknęła na Puszkińską, a ci, którzy zostali, odskakiwali na bok przerażeni.

„Kaptur” zaczął biec. Ilja też przyśpieszył kroku.

Pod stopami chlupotało mu coś śmierdzącego i mdlącego, z góry zwisały jakieś szmaty. Trzeba było uchylać się przed sterczącymi zewsząd deskami i prętami, przeskakiwać przez rozmaite pudła, koszyki, wygasłe ogniska i cuchnące sterty odpadków.

Ilja już nie krzyczał, nie żądał, by tamten się zatrzymał – oszczędzał oddech.

W tunelu było bardzo mało światła. Ilja to zagłębiał się w gęstą ciemność, to wynurzał z niej jak z wody. Jego wzrok odruchowo czepiał się rzadkich oświetlonych oaz na pustyni mroku, ale mózg nie kłopotał się przetwarzaniem nieistotnych informacji. Mózg był zajęty czym innym.

Na jego drodze pojawiło się małe ognisko w metalowej beczce. Purpurowe odbłyski oświetlały tylko wnętrze beczki i podwieszoną u góry żelazną płytkę o zagiętych brzegach. Na zaimprovizowanej kwadratowej patelni smażyły się żuki i larwy.

Gdzieś z przodu rozbłysła i natychmiast zgasła samotna latarka, której

właściciel pośpiesznie zszedł Ilji z drogi.

W jakiejś nędznej budzie błysnęła lampka, osłonięta przezroczystym kloszem ze szklanego słoika o wybitym denku. Słabiutki żółty płomyk oświetlił czyjąś wycieńczoną twarz.

Ilja nie zatrzymywał się i nie rozglądał dookoła. Biegł dalej.

Kogoś zwał z nóg. Ktoś obrzucił go wyzwiskami.

Z początku gonitwa w ciemności ze skąpyimi przebłyskami światła była jak sen, kiedy wiesz, że nie zdążysz, nie dogonisz, ale i tak biegniesz, biegniesz...

Potem... Potem pojawiła się jednak szansa, że go dogoni.

Ilji udawało się nie tracić z oczu mającego przed nim kaptura. Udawało mu się nawet zmniejszyć dystans. Jedyne, czego nie mógł, to zrozumieć: ściga żywego człowieka, czy jego widmo.

Widział tylko kaptur i rozwiewające się poły płaszcza. W ciemności nie mógł dostrzec nóg. Tworzyło to wrażenie, jakby uciekinier latał, szybował, odpływał mu, unosząc się w powietrzu.

Nieważne! Nawet jeśli to widmo, on dorwie i widmo.

Ilja zebrał wszystkie siły i rzucił się naprzód. Gwałtownie zmniejszył dystans.

W którymś momencie wydawało mu się, że jeszcze chwila i złapie gnidę.

Skok. Wyciągnięta ręka... Palce powinny były zacisnąć się na tkaninie kaptura i ściągnąć przekłety baszłyk!

Ilja nie zauważył ostatecznie, co wpadło mu pod nogi. Jakaś balia z wodą czy pomyjami.

Zamiast kaptura palce chwyciły powietrze. Ilja upadł. Poturlał się w błocie.

– Coś ty narobił, bydlaku?!

Starucha, która wyskoczyła gdzieś z ciemności, obrzuciła go

przekleństwami i uderzeniami kostura. Niezbyt, zresztą, bolesnymi. A może po prostu zapomniał, co to jest ból?

Zerwał się na nogi. Nie zatrzymując się, Ilja znów rzucił się w pościg. Ale za kim?

Stracił kontakt wzrokowy. Niewidzialna nić, wiążąca go z uciekającym, zerwała się. Stalkerskiego kaptura nigdzie nie było widać. Przed nim była tylko ciemność. Żadnych więcej świateł. A i ludzi, jak się zdaje, też. Przeludniony tunel okazał się nagle kompletnie pusty.

Wszystko jedno! Dogonić go! Ilja uparcie biegł dalej. Naprzód. Gnał na ślepo, nie widząc celu. Człowiek z trzema palcami nie mógł uciec daleko.

Tunel nagle się skończył. Ilja znów znalazł się w szerokiej podziemnej hali. Jak się zdawało, była to jeszcze jedna niedokończona stacja niebieskiej linii. Prawdopodobnie CSM. Centralny Szpital Miejski – w założeniu tak nazywała się stacja położona za Puszczyńską.

Światła było tu więcej. Ludzi też. Przy wylocie tunelu paliło się ognisko. Wzrok Ilji miotał się na wszystkie strony, ale nie znajdował przekłętego kaptura.

Zgubił go! Czyżby naprawdę go zgubił?!

Zataczając się jak pijany i na próżno próbując złapać oddech, Ilja siłą inercji posuwał się naprzód, wpadając na ludzi.

– Ej, ostrożniej! – warknął mu ktoś do ucha z rozdrażnieniem. – Otwórz oczy!

– Ledwo się, kurczę, trzymam na nogach! – mignęła w polu widzenia czyjaś nieprzyjazna fizjonomia.

Ktoś inny szturchnął go bez słowa, ktoś odepchnął...

Musiał go zgubić! Albo... Albo może go przed nim ukryli?

\* \* \*

Jego wzrok napotkał boczny tunel – odnogę prowadzącą gdzieś w prawo i ostro, bardzo ostro w dół. W głębi tunelu paliło się ognisko, słabo oświetlając dziwną maszynę niewiadomego przeznaczenia. W słabym świetle nie można się było zorientować, co to jest.

Ciekawe, po co niebiescy przywlekli tu ten sprzęt. A może nikt go tu nie włókł? Może stoi tu po prostu od początku Wojny?

Obok ogniska zebrali się uzbrojeni ludzie. Co oni tam ochraniają?

Maszynę? Tunel?

Czy Sopera?

Co będzie, jeśli tam poszuka?

Ilja ruszył zdecydowanie w stronę tunelu.

– Stać!

Z półmroku wychynął człowiek z automatem i zastąpił mu drogę.

Mężczyzna był wysoki, chudy jak śmierć, kościsty i w ogóle jakiś cherlawy. Nawet automat nie mógł sprawić, żeby ten CSM-owski żukojad wyglądał groźnie. Ale Ilja od razu zauważył, że boczny tunel był ochraniający również od strony stacji.

Ani myślał się zatrzymać. Poszedł przebojem, odsuwając wątego kościstego faceta z automatem.

– Gdzie się pchasz?! – pisnął tamten.

Kolba kałacha boleśnie wyrznęła go w ramię.

I jakby ktoś nacisnął spust.

Ilja złapał karabin lewą ręką. Prawą – zrzucił słabe cienkie ręce niebieskiego z łoża i kolby. Odrzucił broń na bok. Złapał wartownika za klapy.

– Gdzie?! – ryknął w przerażoną i wysmarowaną czymś twarz z zapadłymi oczami i policzkami.

– Co u diabła! – wzburzył się żukojad. – Puszczaj!

- Pytam, gdzie on jest? – Ilja porządnie potrząsnął niebieskim.
- Kto gdzie jest?
- Gdzie jest Saper?
- Jaki znowu saper, do cholery?!
- Szukam faceta o trzech palcach w stalkerskim płaszczu! Gdzie on jest?!
- Ilja znów potrząsnął swoją ofiarą.
  - Odwal się, słyszysz? Zabierz te łapska! Nie znam żadnego faceta z trzema palcami!
  - Gdzie?! Gdzie?! Gdzie?! – nadal wściekle potrząsał mało pojętym żukojadem.
- Głowa na cienkiej szyi latała raz w jedną, raz w drugą stronę. Niebieski kłął, bryzgając śliną.
  - Ej, zostaw go! – Zaczęli się do nich zbliżać pozostali mieszkańcy.
- Ilja nie odpuszczał.
  - Gdzie?! – żądał odpowiedzi. Od nich wszystkich.
- Bez ceregieli rzuciła się na niego cała gromada. Parę razy zdzielili go po głbie. Złapali za ręce. Rozwarli palce. Odczepili od chudego wartownika. Związali...
- Ktoś ty? – skierowali mu w twarz światło latarki.
- Ilja nie słuchał kierowanych do niego słów.
  - Gdzie?! – krzyknął znowu. Spróbował się wyrwać. I dostał w szczękę.
- I to tak, że przed oczami zobaczył gwiazdy.
- Zgromadzeni wokół ludzie już nad nim dyskutowali:
  - Coś wcześniej tego typu nie widziałem.
  - Skąd on się wziął?
  - Wskoczył chyba z tunelu prowadzącego na Puszczyńską.
  - Znam wszystkich w tunelu. I na Puszczyńskiej też. On nie jest jednym z miejscowych.

– To kim?

– Cholera go wie. Świr jakiś przyjezdny.

– Może to czerwony. No wiesz, z tych, co przebili się z Woroszyłowskiej?

– Właśnie! Z czerwonej linii, pokraka!

– Słuchaj, czerwony brzuchu, po co tu przylazłeś?

– Gdzieeee?! – wychrypiał Ilja.

Znów się szarpnął. Ubódł kogoś głową. Prawie się wyrwał.

I...

– Ach ty, czerwone ścierwo! – po raz kolejny nadział się na czyjąś twardą pięść.

Kolejna pięść znalazła go już sama. I jeszcze jedna. Znów oberwał. I jeszcze raz. Niebiescy zwalili Ilję z nóg. Zaczęli kopać. Beładne ciosy posypały się ze wszystkich stron. Ktoś użył kolby automatu.

– Dość! – Nad grupką linczujących zabrzmiał czyjś władczy głos, ale, niestety, bez rezultatu. – Dość, powiedziałem!

Rozległ się wystrzał z pistoletu.

Dopiero wtedy bicie ustało. Niebiescy niechętnie się rozstąpili. Zaległa cisza.

\* \* \*

Ilja powoli się podniósł. Zebrane cięgi nie poszły na marne: przynajmniej rozjaśniło mu się w głowie. Teraz potrafił myśleć nie tylko o tym, jak rozplynął się w powietrzu Saper, ale też rozumieć otaczającą go rzeczywistość.

Ze szczelnego pierścienia żukojadów wyszedł niewysoki żylasty facet. Na oko niespełna pięćdziesięcioletni, choć włosy miał już zupełnie siwe. Spod krzaczastych brwi patrzyły przymrużone mądre i przenikliwe oczy. Na

biodrze miał rozpiętą kaburę z widoczną rękojeścią makarowa.

Oto, kto strzelał. I z czego...

Zabitych czy rannych nie było widać. Widocznie strzelano w górę, żeby przyciągnąć uwagę ludzi. Kula pewnie gdzieś ugrzęzła i obeszło się bez rykoszetu.

– Co się stało? – Siwy zachowywał się jak dowódca całej tej bandy. – Kto tu urządza samosąd?

Przesunął zimnym wzrokiem po tłumie. Niebiescy milczeli ponuro i odwracali wzrok.

– No? – w głosie siwego wyraźnie czuć było chłód.

– Bo tu jest taka sprawa, Metrostroju – odezwał się kościsty człowiek z automatem, z którego Ilja omal nie wytrząsnął duszy. – Ten typek – kościsty wskazał głową na Ilję – wepchał się do naszego tunelu i zrobił awanturę.

Metrostroj? Budowniczy metra? – zdziwił się Ilja. – Jakaś dziwna ksywka.

Siwy utkwiał w nim wzrok:

– Kim jesteś?

Nie dali Ilji odpowiedzieć. Znów wtrącił się wartownik:

– On jest tego... chyba od czerwonych, Metrostroju.

Ludzie dookoła zaryczeli wzburzeni.

– Cicho wszyscy! – nakazał Metrostroj. Spojrzenie jego zmrużonych oczu znów utkwilo w Ilji. – Mów. Jesteś czerwony?

– Tak – nie wypierał się Ilja.

– Jak się nazywasz?

– Ilja... Mag.

– No i co ty tu robisz, Iljo Magu?

– Ścigałem... – burknął Ilja.

– Kogo?

– Człowieka w stalkerskim kapturze...

Metrostroj wzruszył ramionami.

– U nas wiele osób chodzi w kapturach. Wiesz, to nie czerwona linia – nie ma wykończenia, raz ziemia się sypie z góry, raz woda kapie.

– Ma trzy palce u prawej ręki... – uściślił Ilja. – Gdzie on jest?

Metrostroj obrzucił swoich żukojadów pytającym spojrzeniem.

– Nikogo tu nie było, opamiętaj się! – znów odezwał się chudy człowiek z automatem, zwracając się już do Ilji. – Sam wyskoczyłeś z tunelu jak oparzony. Widziałem. Nikt inny nie wchodził na stację.

– Nikt? Nie wychodził? – Ilja z zakłopotaniem rozejrzał się na boki.

– Jesteś pewien, Gnat? – Siwy rzucił spojrzenie podwładnemu.

Gnat... Ilja pomyślał z roztargnieniem, że lepszego przezwiska dla tego chodzącego szkieletu by nie wymyślił.

– Na pewno nikt oprócz niego – krótkie skinienie w stronę Ilji – nie wychodził z tunelu?

– Na stówę! Dam sobie rękę uciąć! Przy tunelu prowadzącym na Puszkińską płonie ognisko. Wszystko widać.

Ilja spuścił głowę. Czyli co z tego wynika?

– Eeej, jak nic masz zwidy! – przeciągle i ze współczuciem powiedział Metrostroj, przyglądając się uważnie Ilji.

Ten nie odpowiedział. Zwidy... Może i tak. Prawdopodobnie tak. Przecież prawdziwi ludzie nie znikają bez śladu. Więc kogo on w takim razie ścigał?

A nikogo!

Mało to rzeczy mogło mu się przywidzieć w kapryśnej grze światła i cienia? Mało figli mogła spletać świadomość odzwyczajonego od ludzkiego towarzystwa i nagle wrzuconego w gwałtowny wir wydarzeń samotnika?



Tak, zdaje się, że to, co widział, było nawet nie bezcielesnym widmem przeszłości, lecz zwyczajną ha-lu-cy-na-cją!

Trzeba będzie się do tego przyznać. Trzeba będzie się z tym pogodzić. I będzie musiał z tym żyć. Saper nie żyje, a bieganie za nieboszczykami to niewdzięczna sprawa. Wybacz Oleńko, wybacz Sieriożko. Zemsta odwołana. Bo nie ma się na kim mścić.

Odwrócił się. Zaczął odchodzić.

Natychmiast zastąpił mu drogę czujny Gnat.

– Dokąd to? – zapytał zza pleców Ilji Metrostroj.

– Na Puszkińską – odpowiedział Ilja. – Mam tam sprawę.

– Jaką sprawę?

– Ważną – odgryzł się Ilja.

Od której uciekłem.

– A dokładniej?

– Muszę pomóc pewnemu człowiekowi załatwić kwestię mrówańczy.

– Mrówańczy? Aż tak? – siwy chrząknął. – I jakiemuż to człowiekowi chcesz w tym pomagać?

Ale dociekliwy ten Metrostroj! Czy zwyczajnie nieufny?

– Jednemu stalkerowi – burknął Ilja. – Kozakowi.

– Znasz Kozaka? – Metrostroj nagle się ożywił.

– Znam.

– I co, on też jest teraz na Puszkińskiej?

– Tak.

– W takim razie powiedz mu, że na niego czekam. Powiedz, że nasza umowa dotycząca badania podmetra pozostaje w mocy. Niech przyjdzie i przyprowadzi ludzi, wszystkich, których zdoła zebrać. I ty też przyjdź... Jeśli chcesz. W razie czego pytaj o Siergieja Waleriewicza. Albo Metrostroja. Wszyscy mnie tu znają. – Metrostroj machnął ręką. – Przepuść go, Gnat.

Niech idzie.

\* \* \*

Ilja włókł się z powrotem, nie patrząc na boki. Metro ma tę jedną dobrą właściwość: człowiek nie zabłądzi nawet na obcej linii. Po prostu idziesz prosto i tyle. Nawet jeśli bardzo będziesz chciał skrócić – nic takiego ci się nie uda.

Myśli, które błąkały mu się po głowie, były niewesołe. Nie ma się z czego cieszyć, kiedy nagle zdajesz sobie sprawę, że ci odbija. Powolutku odbija ci palma... Chociaż nie tak znowu powolutku, skoro przywidział mu się martwy Saper jak na jawie.

Ilja westchnął.

Oleńki i Sieriożki nie widział ani razu. Słyszał tylko ich głosy w ciemności. Jeśli to też są halucynacje, to chociaż przyjemne. Nie ma nic przeciwko takim zwidom. Może z nimi żyć. Ale jeśli teraz będzie go nawiedzał Saper...

Kurczę, lepiej już było pójść z Kozakiem na czerwoną linię!

Przytłumione wystrzały rozlegające się gdzieś przed nim, na Puszkińskiej, i dobiegające stamtąd głośne krzyki odwróciły jego uwagę od mrocznych rozmyślań.

Zagrzmiał wybuch... Też jakiś oddalony, głuchy. I znów wystrzały. Już wyraźniejsze, rozchodzące się niespokojnym echem po tunelu.

I znów krzyki przerażenia i bólu.

Z Puszkińskiej na spotkanie Ilji pędził przerażony tłum.

– Mrówańcza! – gruchnęło pod sklepieniem. – Mró-wań-cza!!!

Tłum szybko wypełnił wąski prześwit tunelu i popłynął dalej, zahaczając i rozwalając słabe, rozklekotane konstrukcje. Z nędznych chałupek, ziemianek i bud wyskakiwali ludzie, którzy natychmiast dołączali do

uciekających.

– Mrówkaaaaa!

Czyżby już się przedarła? Znowu! Tutaj! Na niebieską linię!

Ale dlaczego nie słycać cykania owadów? Dlaczego w powietrzu nie czuć charakterystycznego zapachu? Dlaczego w świetle latarek, które przecinają ciemność, nie widać mutantów?

Nie, to nie wyglądało na prawdziwy szturm. Za to na ślełą panikę – nawet bardzo.

Ilja odszedł na bok i wcisnął się w wąską szczelinę między dwiema budami mieszkalnymi. Jego noga nastąpiła na coś miękkiego. Brudny śmierdzący materac i zmięty koc. Widocznie wszedł na czyjeś legowisko. Zresztą gospodarza nie było, a nie miał ochoty znów znaleźć się w tłoku, a tym bardziej przebijać się pod prąd ludzkiej rzeki.

Ilja postanowił tu przeczekać.

Tłum odpłynął dość szybko. Ale nie cały. W tunelu zostało kilka postaci, niezdecydowanie drepzących w miejscu i świecących latarkami przed siebie. Mrówka nadal nie było. Czyżby rzeczywiście był to fałszywy alarm?

Najodważniejsi zaczęli wracać. Ilja poszedł w ich ślady.

Na opustoszałej Puszkińskiej też świeciły już latarki i krzatali się ludzie. Ktoś z bronią w ręku badał stację. Ktoś jęczał. Ktoś kłął.

Mrówka na Puszkińskiej nie znalazł.

I było na razie niejasne, co spowodowało tak nagły wybuch paniki.

\* \* \*

– Aleksieju Kiriłłowiczu! – W słabym żółtawym świetle Ilja zobaczył znajomą twarz.

Entomolog był blady jak śmierć. Na ustach zastygł mu uśmiech szaleńca.

W dłoni trzymał ledwo tłącą się lampkę olejową.

– Aaa, to pan. – Aleksiej Kiriłłowicz powitał Ilję apatycznym skinieniem głowy. Biedak był wyraźnie wytrącony z równowagi.

Szok – bez wielkiego trudu ocenił Ilja. Ale co go spowodowało?

– Co się stało, Aleksieju Kiriłłowiczu? Gdzie jest Kozak?

Nerwowy śmieszek. Krótka odpowiedź:

– Tam.

Lampka zakołysała się w stronę przejścia technicznego prowadzącego do czerwonej linii.

Przejście było zasypane. Z zaczopowanej dziury osypywała się ziemia.

– Wszyscy oni są tam – odczekawszy chwilę, znów odezwał się entomolog.

I znów zamilkł.

– Jacy wszyscy? – każde słowo trzeba było z niego wyciągać.

– Kozak zwerbował tylko pięciu ludzi – powiedział nieobecny głosem Aleksiej Kiriłłowicz. – Mnie zostawił... Powiedział, że do operacji będą mu potrzebni twardzi żołnierze, a nie uczony okularnik... Wzięli broń, wzięli granat... Znalazłem dla nich granat... Wiedziałem, kogo zapytać... Poszli...

Znów umilkł i z bólem pokręcił głową.

– I co? – popędził go Ilja.

– Nie wiem. Zapewne mrówańcza wyrwała właz na Woroszyłowskiej. Zapewne napotkali ją... Tam...

Ilję wstrząsnął dreszcz. Zbyt żywo wyobraził sobie, jak to było: oko w oko zetknąć się w ciemnym wąskim korytarzu ze zmutowanymi owadami.

– Zaczęli strzelać, krzyżeć – ciągnął Aleksiej Kiriłłowicz. – Potem huknął granat. Przejście się zawałiło.

– Nikt nie wrócił? Nawet nie próbował wyleźć?

– No cóż – skrzywił się Aleksiej Kiriłłowicz. – Wylazła. Mrówańcza.

– To znaczy, że jednak się przedarła?

– Tak. Ludzie się rozbiegli. I wasi, czerwoni, i nasi...

– No i gdzie te stwory? – Ilja rozejrzał się dookoła z niepokojem. – Dlaczego ich nie widzę? I dlaczego wy wszyscy jeszcze tu jesteście?

– Jeden – objaśnił z westchnięciem Aleksiej Kiryłowicz. – Zanim wybuchł granat, zdążył wyjść tylko jeden osobnik. Mieliśmy dużo szczęścia, że ten tunel był tak wąski.

A więc to wystraszyło stację! Przedarł się tylko jeden mutant, ale strach ma, jak wiadomo, wielkie oczy.

– O, tam leży. Zastrzelili ją. Żywotna bestia!

Aleksiej Kiryłowicz podszedł do ściany i poświecił na obaloną wielopiętrową konstrukcję z ogromnymi podziurawionymi przez kule skrzyniami przeznaczonymi do hodowli jadalnych robaków, larw i chrząszczy. Farmerskie skrzynki, wypchane po brzegi próchnicą i gnijącymi odpadkami, były bardzo ciężkie.

Spod zwału widać było podobne do suchej gałęzi odnoże mrówańczy. Jak się wydawało – tylne, skoczne. Miało grubość ludzkiej nogi, ale było znacznie dłuższe. Całe było pokryte twardymi naroślami, płytkami i kolcami. Z drugiej strony spod sterty skrzynek sterczało rozpostarte na ziemi, połamane i przebite kulą półprzezroczyste, połyskujące jak mika skrzydło gęsto pokryte twardymi żyłkami.

Ilja dostrzegł też przerażająco wyglądające żuwaczki przysypane ziemią.

Zmiażdżona mrówańcza leżała pod zburzoną konstrukcją ze skrzynek jak karaluch pod obcasem. Dookoła połyskiwał obrzydliwy ciemny śluz. Już kotłowały się w nim robaki i larwy, które wpełzły z przestrzelonych i popękanych skrzyń. W powietrzu dało się wyczuć ostry zapach mrówańczy.

– Stwór okazał się bardzo żywotny – skomentował z roztargnieniem Aleksiej Kiryłowicz. – Wpełzł tutaj i tu właśnie go dobili.

Znowu westchnął.

– Tylko jedna mrówańcza, a ile nieszczęść! Trzech ludzi zabiła na miejscu. Kolejnych czterech w popłochu postrzeliło się nawzajem. A dwoje leży tam. Ranni. Też nie przeżyją...

– Trafiły ich kule? – zapytał współczująco Ilja.

Aleksiej Kiriłłowicz pokręcił głową:

– Mrówańcza ich trafiła, biedactwa. To gorzej. Znacznie gorzej.

Zaprowadził Ilję na bok. Poświecił...

Nieopodał zwalonych skrzynek w ciemnej klitce na brudnych kocach leżało dwoje ludzi. Krucha maleńka kobieta i chłopaczek w wieku około dziesięciu lat. Oboje nieprzytomni.

– Matka i syn – ścisząc głos, żeby nie niepokoić rannych, wyjaśnił Aleksiej Kiriłłowicz. – Mrówańcza ich użądliła.

– Użądliła? – skulił się Ilja.

A więc mrówańcza jeszcze żądli. Tego nie wiedział. Do tej pory Ilja myślał, że swoje ofiary jedynie pożera.

– Najpierw chłopca, potem, kiedy matka rzuciła mu się na pomoc, jej też się dostało.

W półmroku można było dojrzeć długie blond włosy matki i jaśniutką czuprynkę dziecka. U kobiety ślady ukłuc – głęboką czarną ranę z wywalonym na zewnątrz, brzydko pachnącym mięsem i sączącym się brunatnym osoczem – widać było na ramieniu. Chłopca mrówańcza użądliła w udo. Zresztą to, którądy dokładnie mutant wstrzyknął swój jad, nie miało już znaczenia. Ciała rannych pociemniały i nabrzmiały od stóp do głów, jakby napompowane brudną zgniłą wodą. Zarówno matka, jak i syn byli w beznadziejnym stanie.

Nagle poczuł ukłucie w sercu. Ilja źle się poczuł. Znajomy widok. I zbyt bolesne wspomnienia wywołuje. Kiedyś tak samo stał nad okaleczonymi

ciałami Oleńki i Sieriożki.

– Jakiś jad albo coś w rodzaju kwasu mrówkowego... – Aleksiej Kiryłłowicz ciągnął wciąż tym samym ledwie słyszalnym szeptem. – Mówiłem przecież, że mrówańczy bliżej do mrówek niż do szarańczy.

– Robi to takie wrażenie, jakby rozkładali się za życia – wymamrotał oszołomiony Ilja, nie będąc w stanie oderwać wzroku od umierających.

– Prędzej rozpływali. Organy wewnętrzne ulegają rozpuszczeniu. Straszna śmierć. Szkoda ich... – Aleksiej Kiryłłowicz westchnął. – Olga pomagała mi w pracy. Zawsze była taka wesoła i...

– Kto?! – Ilja bardzo powoli obrócił się w jego stronę. – Jak ma na imię ta kobieta?

Oleńka?

– Olga. – W nieobecnym wzroku za popękanyimi szklami okularów mignęło coś na kształt zdziwienia. – A co?

– A chłopczyk... – Ilja poczuł nagle niezwykłą suchość w ustach. – Jak ma na imię chłopiec?

Przecież nie Sieriożka!

– Siergiej.

Nie! Tak nie może być! Przecież nie może! To oczywiście popularne imiona, ale czy podobna zbieżność może być przypadkowa?

Chłopiec obrócił się niespokojnie. Opuszczone powieki kobiety drgnęły i uniosły się. W pociemniałych źrenicach i białkach, które też utraciły swoją naturalną biel, odbijał się płomień lampki. Na Ilję patrzyły wilgotne, pełne nieznośnego, nieludzkiego cierpienia oczy.

Zdawało się, że te oczy zaglądają wprost do duszy, a nawet jeszcze głębiej.

– Ja... – Ilja oblizwał zaschnięte usta. – Chcę z nimi porozmawiać... Sam...

– Proszę próbować – wzruszył ramionami Aleksiej Kiryłłowicz. – Ale nie sądzę, żeby się panu udało. Oni już prawie nic nie mówią. Nie mogą.

Entomolog odszedł na bok, zabierając ze sobą lampkę. Ciemność okryła Ilję i dwoje umierających szczelnym całunem. Jednym dla trojga.



## Rozdział 14 | Podmetro

– Uuu... Uraaa... uuuraaatuuuj – z trudem wydusiła z siebie kobieta.

O czyj ratunek błagała? Swój? Dziecka?

– Uratuuuj... Yhhh...

Biedaczka rżąc, zachłysnęła się.

– Uratuj ich – szepnęła Ilji Oleńka.

Trudno było zrozumieć, kogo teraz słyszy, którą Olgę. Tę, która leży przed nim, czy tę, której ciało zakopał pod krzyżem w Porcie Lotniczym. Ale – to było ciało, tylko ciało...

Rżenie i szept w zadziwiający sposób się przeplatały. Czy to umierająca kobieta rozmawiała z nim głosem Oleńki, czy też Oleńka zwracała się do niego jej ustami.

– Af-af-af-af... – gorączkowo chwycił powietrze ustami chłopiec. W ciemności było słycać, jak dziecko trzęsie się w przedśmiertnej agonii. – Af-af-af...

– Tato, tato – błagał Sieriożka.

– Ik-ch – cicho czknęło umierające dziecko.

– Ich – cicho i smutno powiedział Sieriożka.

Potem Ilja słyszał tylko żonę i syna. W ciemności wydawało się... Nie, nie wydawało mu się, wiedział na pewno, że nie leżą przed nim nieznajomi niebiescy, ale jego bliscy...

– Uratuj ich... – Oleńka.

- Tato, tato! – Sieriożka.
- Uraaatuj – znów Oleńka.
- Ich, ich – jeszcze raz Sieriożka.

Potem zrobiło się cicho. Nagle. Całkowicie. Jakby coś gdzieś się urwało. Jakby zatkało mu uszy.

Coś się zmieniło. I to nie tylko wokół niego, ale też w nim samym. Coś pękło mu w głowie. Tak jak wtedy, w Porcie Lotniczym, kiedy stracił Oleńkę i Sieriożkę. Kiedy stracił ich po raz pierwszy. A teraz...

Teraz leżący przed nim kobieta i chłopiec nie wydawali już żadnego dźwięku. Żona i syn też milczeli. Olga i Siergiej przestali z nim rozmawiać. Ani tamta Olga, ani ta, ani tamten Siergiej, ani ten.

Wstrząs wywołany tym, co się stało, okazał się zbyt wielki. Był tak silny, że...

Umarli – wyraźnie, z poczuciem beznadziei zrozumiał Ilja. – Oni wszyscy umarli.

Znów stracił rodzinę. I coś mu mówiło, że teraz to już na zawsze, do końca świata, całkowicie. Nie chciał w to wierzyć, nie chciał się z tym pogodzić, ale gdzieś w głębi duszy Ilja wiedział: więcej Oleńki i Sieriożki nie usłyszy. Odeszli od niego ostatecznie i bezpowrotnie, odeszli razem z kobietą i dzieckiem, którzy nosili ich imiona i których śmierci właśnie stał się świadkiem.

Dlaczego tak się stało? Tego nie wiedział. Był może jakiś tego powód. Wytłumaczalny lub nie. Albo był jakiś w ogóle niewymagający wyjaśnień mistyczny związek między umarłymi imiennikami?

Ale najprawdopodobniej związek ten pojawił się w jego, Ilji, umyśle i duszy. A stres, którego doznał, odmienił tak jedno, jak i drugie.

A może tak będzie lepiej? Może tak trzeba było? Od samego początku?

Bojąc się zobaczyć i zrozumieć, kto naprawdę teraz przed nim leży, Ilja

wycofał się z ciemnej komórki. Odszedł tam, gdzie migotały rozbłyśki światła i słychać było gwar ludzkich głosów. Zostawił umarłych, ponieważ umarli właśnie tego od niego chcieli.

Chcieli też odejść. Jak należy. I odeszli – Sieriożka i Oleńka. Porzucili go. Ale wcześniej zwrócili się do niego z ostatnią prośbą. Uratować... Uratować ich... Nie siebie – ich... Ich... Jakich ich?

Ilja rozejrzał się dookoła. I zrozumiał. Zrozumiał wszystko. Na Puszkińskiej kręcili się ludzie i świeciły latarki. Słychać było ciche stłumione rozmowy. Życie trwało dalej. I właśnie tych żywych ludzi miał uratować. To o to prosili go przed rozstaniem Oleńka i Sieriożka.

– Kopia! – rozległ się nagle czyjś krzyk strachu. – One kopia! przejście!

Na stacji zrobiło się cicho, jak w wielkim grobowcu. Od razu kilka laterek oświetliło płytki zawał technicznego korytarza.

\* \* \*

W niszy leżał skulony człowiek. Któryś z żukojadów. Przycisnął ucho do osypiska i przysłuchiwał się dźwiękom dochodzącym z drugiej strony.

Potem mężczyzna podniósł głowę i, mrużąc oczy przed skierowanym na niego światłem, powiedział tylko jedno słowo:

– Mrówańcza.

– Tutaj też! – dał się słyszeć nieopodal znajomy głos.

Światła laterek utkwily w zawałonym przejściu między liniami. Ilja zobaczył Aleksieja Kiriłłowicza. Przyciśnięty całym ciałem do warstwy ziemi entomolog też słuchał.

– Tak – kiwnął głową. – Rzeczywiście, kopia...

To były bardzo złe wieści. Jeśli wąski korytarz techniczny można jeszcze spróbować obronić, to jak utrzymać przejście, jeśli mrówańcza zaatakuje stamtąd?

Ilja podszedł do Aleksieja Kiriłłowicza.

– Jest pan pewny? – zapytał cicho.

– Tego, że mrówka się do nas przebija? Tak, to pewne – westchnął entomolog. I nie wiedzieć czemu dodał: – Przepraszam...

Aleksiej Kiriłłowicz z zakłopotaniem i poczuciem winy rozłożył ręce. Tak jakby to właśnie z jego powodu śmierć rozkopywała zawaliska z drugiej strony.

– Właściwie nie ma w tym nic dziwnego – odezwał się znów entomolog.

– Dla każdego mrowiska bezpieczeństwo matki jest najważniejsze, a my próbowaliśmy dostać się do królowej. No i wtargnęliśmy do ich legowiska... Teraz mrówka wie, że tu jesteśmy i że jesteśmy niebezpieczni. Zatem ona też niedługo tu będzie. Pytanie tylko, jak szybko tego dokona.

– I jak szybko?

Aleksiej Kiriłłowicz wzruszył ramionami.

– Nie umiem ocenić. Mam wrażenie, że mrówka jest lepiej przystosowana do poruszania się na powierzchni niż do robót ziemnych. Inaczej nie zaczęłyby opanowywać i przerabiać na swoje potrzeby metra, tylko sama wykopałaby i zagospodarowała pomieszczenie do składania jaj i norę dla matki w najbardziej pasującym jej do tego miejscu. Ale...

Aleksiej Kiriłłowicz westchnął i odwrócił wzrok.

– Ale? – poprosił o ciąg dalszy Ilja.

– Kiedy zbierze się wielu kopaczy – choćby nawet niezbyt wprawnych, ale dobrze zorganizowanych... Ogólnie rzecz biorąc, sądzę, że zostało nam niewiele czasu.

Ilja skinął głową, dając do zrozumienia, że wszystko pojął. Jeśli mieli mało czasu, to znaczy, że trzeba się śpieszyć. Ratować. Ich... Wszystkich. Tak jak prosili. A drogę do ocalenia widział tylko jedną. Tę właśnie drogę wskazali Oleńka i Sieriożka na samym początku inwazji mrówaczy.

Podmetro. Tylko tam będzie można się ukryć, kiedy mrówka wdrze się na niebieską linię. Chyba...

Entomolog spojrzął z ukosa w stronę, gdzie leżała martwa matka z dzieckiem, przykryci gęstym całunem mroku. Aleksiej Kiryłłowicz zauważalnie zadrżał.

– Wie pan, nie mam ochoty skończyć tak jak oni. Lepiej już od razu.

Cóż, od razu byłoby oczywiście lepiej, łatwiej i lżej. Ale nie zawsze słuszniej.

– Pomęczymy się jeszcze – powiedział Ilja.

Ruszył w stronę tunelu wychodzącego ze stacji.

– Dokąd pan idzie? – spytał zmęczonym głosem Aleksiej Kiryłłowicz. – Ma pan jeszcze nadzieję się uratować?

– Mam nadzieję – burknął Ilja. – Uratować.

Coś mu się przypomniało i zatrzymał się w pół kroku.

– Aha, Aleksieju Kiryłłowiczu. Jedno pytanie. Nie spotkał pan przypadkiem człowieka z trzema palcami u prawej ręki?

– Nie znam nikogo takiego – entomolog wzruszył ramionami z roztargnieniem. – Skąd jest?

– Zdaje się, że mieszka gdzieś tutaj, na niebieskiej linii.

A jeszcze bardziej, że gnieździ się w mojej wyobraźni – dodał w myślach Ilja.

Aleksiej Kiryłłowicz zamyślił się. Pokręcił głową:

– Nie przypominam sobie. Ale w końcu więcej czasu spędzam z owadami niż z ludźmi.

– Cóż, nie przypomina pan sobie. – no i pięknie. I dobrze.

Pozostawiając skonsternowanego entomologa samego, Ilja ruszył dalej. Nic więcej nim nie kierowało ani go nie więziło. Ani nienawiść, ani miłość. Saper jest martwy. Oleńka i Sieriożka odeszli. A on sam żyje. Ilja doznawał

dziwnego uczucia smutku i radosnej ulgi jednocześnie.

Jakby obudził się ze zbyt długiego snu i w końcu powrócił do rzeczywistości. Rzeczywistość była straszna, była przerażająca, ale nie beznadziejna. I mógł jeszcze coś z tą rzeczywistością zrobić. W każdym razie chciał wierzyć, że jest do tego zdolny.

Uratować. Ich.

Pomóc tym, którym można jeszcze było pomóc.

Pamiętał, że zapraszał go Metrostroj. Ilja zamierzał skorzystać z tego zaproszenia.

\* \* \*

I znów CSM. I znowu Gnat.

– Metrostroj jest teraz zajęty.

Kościsty facet z automatem tym razem patrzył na Ilję bez wrogości. Nawet szczerzył się w przyjaznym uśmiechu. Protekcja dowódców czyni czasem cuda z podwładnymi.

– Tak w ogóle, to mi się śpieszy – spróbował objaśnić Ilja.

– Nie mogę ci pomóc – rozłożył ręce Gnat. – Metrostroj wyszedł. Ale nie rzucaj się, jak ci tam... Mag, tak? Niedługo powinien wrócić. Chodźmy, poczekasz w kanciapie.

Kanciapą okazała się pełna jakichś rupieci niewielka nora przy wejściu do znanego już Ilji bocznego tunelu, który prowadził stromo w dół. Na wolnym kawałku podłogi mieściła się tylko para koślawych taboretów i wąska wysoka skrzynka, pełniąca funkcję stołu. Pośrodku zaimprovizowanego stolika z zastygłej kałuży parafiny wystawał ogarek świecy. Obok leżało pudełko zapalek i stała okopconca, popękana kolba lampy naftowej.

Gnat zapalił świeczkę, zgasił zapalnik, przykrył słaby płomyk kolbą.

– Bezpieczeństwo przeciwpożarowe – chrząknął. – Metrostroj surowo

tego u nas pilnuje. No, siadaj, siadaj, Magu. Opowiadaj, po co przyszedłeś i czemu ten pośpiech?

Ilja ostrożnie usiadł na chybotliwym stołku. Gnat zajął drugi.

– Mrówka kopie w osypisku na Puszczyńskiej – powiedział. – Niedługo będzie na naszej linii.

Gnat zmienił się na twarzy:

– A niech to! A ja się zastanawiałem, co to za tabun ludzi się tu zważyło z Puszczyńskiej? Najpierw narobili szumu: mówią, że mrówka się przedarła, potem że nie, nie przedarła. A teraz proszę, co się okazuje. Pewnie dlatego Metrostroj uwija się teraz przy swoim kombajnie, jakby go licho goniło.

– Przy jakim kombajnie? – nie od razu pojął Ilja.

– Do drążenia tuneli. Widziałeś tę maszynę w tunelu?

– No.

– Stoi tu od Wojny. Kiedy budowali naszą drugą, niebieską linię, od razu chcieli przeprowadzić odcinek z CSM na Teatralną, dla trzeciej linii. Planowali przeciągnąć ją od Wydziału Obrony do Aleksandrowki. Ale podczas robót kombajn zapadł się w pustą przestrzeń pod ziemią. Nie zdążyli go wyciągnąć, zaczęła się Wojna. Krótko mówiąc, Metrostroj odkopał maszynę. Potem długo ją naprawiał, doprowadzał do stanu używalności, zbierał paliwo.

– Po co?

– Chciał, tak jak było zaplanowane, przebić się do czerwonej linii. Na Teatralkę albo, przy dużym szczęściu, na Karola Marksa, prosto na wasze bazy. Solidnie rozszerzyłoby nam to przestrzeń życiową. No i dodatkowe przejście do czerwonych na pewno by nie zaszkodziło. Bo Woroszyłowska i Puszczyńska zagarnęły cały handel między liniami.

– Dlatego przezwano waszego naczelnika Metrostroj?

– Nieee – pokręcił głową Gnat. – To w zasadzie prawdziwy budowniczy

metra. I dlatego tak dobrze wyznaje się na tych kombajnach i wie, jak kopać tunele.

– No i co, uruchomił swój kombajn?

– A myślisz, że niby jak wykopaliśmy ten chodnik z CSM-u? – Gnat wskazał głową na wyjście z kanciapy, tam, gdzie zaczynała się odnoga odchodząca od stacji. – Kombajn zadziałał. Wywiercił kawałek tunelu i natknął się na podziemia.

– Podmetro?

– Aha! Teraz Metrostroj ma *idée fixe*: zbadać i oczyścić wszystkie korytarze, i przekopać się za miasto. Tyle że... – Gnat zniżył głos – tyle że mało kto zaryzykuje zejście do podmetra.

– Dlatego że ludzie tam giną?

Gnat kiwnął głową i w ogóle zaczął mówić szeptem:

– Kiedy kombajn Metrostroja przebił się do podziemi, wysłano tam grupę zwiadowców.

– I co?

– I nic. Jak kamień w wodę. Posłano drugą grupę, też ani widu, ani słychu. A przecież mieli broń, granaty, doświadczeni stalkerzy, najlepsi żołnierze. Każdy, kto schodził do podziemi, już nie wracał.

– Jak to, zupełnie nikt nie wrócił?

– Zupełnie. Chociaż nie, był jeden taki, co wrócił. – Gnat chrząknął, coś sobie przypominając. – Gapcio.

– Cudaczny?

– Ten sam. Niedawno głupek do nas przyszedł, niby prawić kazania. Cóż, nie wygnaliśmy go. Po co krzywdzić biedaczynę? No, i zawsze to jakaś rozrywka. Trochę się z niego pośmialiśmy, a on się obraził i myk w podziemia. Od czasu, kiedy zniknęli zwiadowcy, zaczęliśmy zamykać podmetro, ale Gapcio szybko odsunął zasuwę i tyleśmy go widzieli. To



w końcu nie hermetyczna gródź. No, i kto by pomyślał, że znajdą się chętni, żeby włączyć tam z metra? Poszedł, w każdym razie sam, tylko ze świeczką. Oczywiście nikt za nim nie pobiegł. Wszyscy myśleli, że to koniec, nasz Gapcio już jest kaput. A ten, wyobraź sobie, stuka potem od drugiej strony. Wpuściliśmy go.

Po wizycie w podmetrze Cudacznemu jakby już zupełnie odbiło. Za to wrócił calutki. Czy to głupi ma szczęście, czy to Gapcio po prostu głęboko nie schodził, tylko tak sobie odszedł kawałek od wejścia, posiedział w ciemnościach i wrócił.

– I co opowiedział Cudaczny?

– Nic nowego – wzruszył ramionami Gnat. – Tylko głosił te swoje idiotyczne kazania, że niby za chwilę nastąpi koniec świata. Chociaż nikt go też szczególnie nie wypytywał. Czego się człowiek dowie od Gapcia? Więcej zmyśla, niż mówi prawdy. Potem Cudaczny sobie poszedł. Zdaje się, że poszedł do was, na czerwoną linię. A my zamknęliśmy wejścia do podmetra solidnymi deskami. Żeby nie kusić losu.

\* \* \*

Ilja zamyślił się.

– Czyli nic o podziemiach nie wiecie? – zapytał.

– A kto powiedział, że nic. – Gnat się skulił. – Coś tam wiemy. Podobno w podmetrze słyszeli czyjś śmiech i krzyki.

– Brzmi złowieszczo – przyznał Ilja.

– Zaraz zabrzmi jeszcze bardziej złowieszczo – obiecał Gnat. Jego ciasno obciągnięta skórą czaszka z głęboko zapadniętymi oczami wyglądała przerażająco w przyćmionym świetle świecy. – Wiesz, co u nas mówią o podziemiach?

– Co?

– Że martwi napadają tam na żywych.

– Że co?

Ilja przypomniał sobie strachy z Selmasza o zombie w podmetrze.

– A to! Jak się teraz grzebie zmarłych? Albo wcale, jeśli na przykład ginie stalker, albo po prostu wynoszą ich na powierzchnię jak śmieci.

Ilja skrzywił się. Tak, takie to teraz pogrzeby. Ale swoich, Oleńkę i Sieriożkę, pochował jednak inaczej.

Po ludzku.

– Rozumiesz, Magu? Zmarłych wynoszą spod ziemi, a nie zakopują w niej, jak było kiedyś – objaśniał dalej Gnat. – Ale człowieka, który przeżył tyle czasu pod ziemią, po śmierci też tam ciągnie. Tyle że nie ma grobu, a metro, do którego przywykł, jest już zajęte przez żywych. Dlatego umarli schodzą jeszcze niżej.

– Ciekawe w jaki sposób? – Ilja nie zrozumiał.

– Nie wiem. – Gnat machnął na niego. – Przecież jeszcze żyję.

Rzeczywiście – zbeształ się w duchu Ilja. – Nie zadawaj głupich pytań. Jak umarli schodzą na dół?... A jak Oleńka i Sieriożka przeszli z nim pół rostowskiego metra?

– Mówiąc krótko, umarli wykopali swoje metro pod naszym. I nie darują temu, kto ich niepokoi.

A to już przesada! Ilja tylko pokiwał głową:

– I co, tak ich dużo, że musieli sobie zbudować całe metro?

– Sam się zastanów, ilu ludzi już umarło po Wojnie. Ilu zabiły mutanty na powierzchni. Ilu zginęło z głodu, chorób, ran i zmarło ze starości.

Pewnie niemało. Ale mimo to Ilji takie wyjaśnienie nie wystarczało. Takie wyjaśnienie bardziej przypominało te nieprawdopodobne historyjki, które opowiadali mu ludzie z Selmasza. No tak, wszystko się zgadza: na czerwonej linii straszą się opowieściami o niebieskiej, a tutaj mają swoje

bajki. Niebiescy opowiadają sobie straszne historie o podmetrze.

Chociaż...

Ilja drgnął od nagłego przerażającego przypuszczenia. Chociaż czy to takie tylko historyjki? Saper był martwy. A on go widział. I widział właśnie tutaj, nieopodal CSM-u i wejścia do podziemi.

Poczuł się nieswojo. Potem nagle wpadła mu do głowy jeszcze jedna niespodziewana myśl. Jeśli widział Saperę, którego od dawna nie ma wśród żywych, to może uda mu się też zobaczyć Oleńkę i Sieriożkę? Choćby po to warto było zajrzeć do podziemi!

A zresztą nie, ich raczej nie zobaczy. Nawet jeśli te bzdury, które plecie Gnat, okażą się prawdą. Oleńka i Sieriożka są pochowani w metrze – tam, gdzie żyli. I w Porcie Lotniczym nikt ich nie będzie niepokoił. A więc nie mają powodu schodzić niżej.

– Podsumowując, Metrostroj cały czas nie może zwerbować nowego oddziału zwiadowców – zakończył Gnat. – Słyszałem, że podobno szukał ochotników nawet u was, na czerwonej linii.

– Szukał. – Ilja skinął głową, wspominając opowieść Kozaka.

Milczeli przez chwilę.

– Takie to się rzeczy dzieją. – Gnat użalił się z westchnieniem. Wzrok mu przygasł. Głos stał się głuchy i nieobecny. – Umarłych wynosi się na górę, a oni sami znajdują drogę na dół. Niebieska linia szuka zwiadowców na czerwonej, a czerwoni biegną po ratunek na niebieską. Owady przestają być pożywieniem i same zaczynają pożerać ludzi. Świat kompletnie sfiksował. Wszystkie światy oszalały...

Jakie wszystkie? Ilja nie zrozumiał. Ale nie zdążył zapytać.

– Górny, środkowy i dolny świat zsunęły się z osi, którą rozwaliała Wojna. Świat środkowy, w którym kiedyś żyli ludzie, stał się górnym i wypełnił się koszmarami. Dolny zszedł jeszcze niżej i oczywiście nie zrobił się przez to

przyjemniejszym miejscem. A środkowy... Naszym światem i naszym życiem jest teraz metro. Ze wszystkim, co z tego wynika...

Jakaś bzdura – pomyślał Ilja. – Górny, środkowy, dolny świat... Co to za szamańskie brednie?!

– A ty, Gnat, jesteś gotów iść do podmetra? – Ilja skierował rozmowę na wcześniejsze tory.

Gnat wzruszył ramionami.

– W sumie, to bym nie chciał. Bardzo bym nie chciał. Ale jeśli naprawdę nas przyciśnie, to trzeba będzie. I tak powiedziałem Metrostrojowi.

– Ale już przyciska. Naprawdę przyciska.

– I właśnie w tym rzecz – powiedział ze smutkiem żukojad.

I odwrócił się, słysząc szelest:

– A oto i Metrostroj.

\* \* \*

– Mag? – W drzwiach kanciapy rzeczywiście pojawiła się siwa głowa Metrostroja. – Ty tutaj?

– Ja tak – westchnął Ilja. – Za to Kozakowi nie udało się przyjść. I już się nie uda.

Metrostroj skinął głową ze zrozumieniem:

– Dobra, zaraz z tobą pogadam. A ty, Gnat – odwrócił się do chudego żołnierza – zbierz wszystkich, którzy zgłosili się na zwiad.

– Ale ich jest tylko... – zaczął tamten.

– Ilu jest, tyłu zbierz – przerwał mu Metrostroj. – I sam się zbieraj, jeśli się nie rozmyśliłeś. Niedługo ruszamy.

– A więc to już – niemal jęknął Gnat.

– Dłużej czekać nie możemy – uciął Metrostroj.

Wezwał gestem Ilję i wyszedł z kanciapy.

Metrostroj skierował się w głąb schodzącego w dół tunelu – tam, gdzie widniała sylwetka podziemnego kombajnu. Ilja szedł obok.

Tunel okazał się cały zastawiony podporami. Na górze też była obudowa z desek i belek. Widocznie w tym odchodzącym od metra powojennym wyrostku robaczkowym nie było zbyt bezpiecznie.

– I co, Gnat już ci opowiedział nasze bajeczki? – odezwał się Metrostroj.

– Opowiedział.

– Wierzysz w nie?

– Nie wiem.

– Nie wierz. W straszne opowieści nie należy wierzyć, bo wtedy one uwierzą w ciebie. A to będzie prawdziwe nieszczęście.

Metrostroj mówił z poważną miną, ale co chciał przez to powiedzieć, Ilja nie zrozumiał.

– Straszne opowieści opanowały już całą niebieską linię – wyjaśnił Metrostroj. – Ludzie boją się schodzić w dół. A my nie mamy wyboru. I czas ucieka.

– Tak – spostrzegł się Ilja. – Mrówka...

– Wszystko wiem – powstrzymał go machnięciem ręki Metrostroj. – Już mi opowiedzieli. I o Kozaku, jego grupie, i o mrówkach.

– Kto opowiedział?

– Ludzie uciekają z Puszki. I wszyscy przechodzą przez naszą stację. Chociaż dokąd mają iść? Po co...? Tak czy inaczej, nie mają już dokąd, oprócz podmetra... – Metrostroj zamilkł na chwilę. Potem znów zaczął mówić: – W tunelu prowadzącym na Puszczyńską wznoszą teraz wielkie ognisko. Mówią, że ma zatrzymać mrówkę.

– Może – potwierdził Ilja. – Na jakiś czas.

Metrostroj uśmiechnął się niewesoło:

– Ci kretyni są gotowi spalić całą linię i sami spłonąć, byle tylko nie

schodzić do podmetra.

Splunął ze złością na mocno udeptane klepisko.

– I co teraz będzie? – zapytał Ilja.

– Nie wiem... Ludzie boją się tych podziemi nie mniej niż mrówańczy. Ale i mrówańcza budzi przerażenie. Tak więc strach ciśnie z dwóch stron. I teraz, żeby pokonać jeden z nich, trzeba opanować drugi. Problem polega na tym, że na walkę z lękami prawie nie ma już czasu.

– Czyżby nawet teraz nie było chętnych, żeby iść do podziemi?

– Są. – Metrostroj wzruszył ramionami. – Ale za mało nawet do zwiadu.

– Ale dlaczego? – Ilja kompletnie nie potrafił tego rozgryźć. – Dlaczego tak niewielu? Przecież mrówańcza lada moment przedrze się na waszą linię!

– A dlaczego Kozak nie zdołał zebrać porządnego oddziału, żeby przebić się do matki mrówańczy? – Metrostroj westchnął. – Widzisz, życie pod ziemią nie wychodzi nam na dobre. Ludzie zaczynają zamieniać się w szczury i starają się trzymać jak najdalej od wszelakich niebezpieczeństw. Nawet jeśli to iluzoryczne. Prawdę mówiąc, sam taki byłem. Do tej pory nie uczestniczyłem osobiście w zwiadzie. Za każdym razem wyszukiwałem sobie jakieś usprawiedliwienie. Ale teraz ten numer nie przejdzie. Mrówańcza nawet ze szczurów potrafi zrobić bohaterów. – Niespodziewanie zatrzymał się i uważnie spojrzał w twarz Ilji: – A ty, Magu? Pozostaniesz szczurem, czy jednak zejdziesz z nami w podziemia?

– Gdybym nie zamierzał schodzić, nie byłoby mnie tu – odpowiedział Ilja.

– Tak właśnie myślałem. – Metrostroj uśmiechnął się. – Ale musiałem się upewnić.

\* \* \*

Doszli do samego końca tunelu. W tym miejscu przejście było szczelnie

zamknięte przez zapory z desek, w których nagromadzeniu ledwie dało się zauważyć maleńką furtkę, też zresztą zabita deskami.

Przed solidną drewnianą ścianą stał futurystyczny pojazd blokujący większość tunelu. Nieopodal paliło się ognisko strażników i Ilja mógł przyrzeć się chodnikowemu kombajnowi jak należy.

Był to gąsienicowy pojazd z potężną jednostką napędową, ukrytą za zardzewiałymi stalowymi płytami. Z jego przedniej zaostrojonej części wystawał świder, gęsto opatrzony ostrzami i wiertłami. Przypominająca pancerną kopułę mała kabina z wąskimi okienkami o wielowarstwowym, odpornym na uderzenia szybach, ginęła gdzieś na szczycie sterty metalu.

Na prawo od kabiny w świetle ogniska połyskiwała osłonięta gęstą kratką ruchoma lampa – duża i mocna, raczej silny reflektor. Jakiś żukojad wymieniał drugą, równie ogromną, ale rozbitą w drobny mak żarówkę za pogiętą ochronną kratką po lewej stronie kabiny.

Z tyłu krzątali się jeszcze dwaj ludzie, umieszczając na amatorsko zmontowanej metalowej półce rufowej z dodatkowymi mocowaniami pojemne kanistry – czy to zamiast, czy raczej jako dodatkowe zbiorniki z paliwem.

Od kombajnu mocno czuć było olej napędowy i smary.

Z tego, co Ilja wiedział, stojąca przed nim maszyna należała do kategorii ruchomych minikompleksów wiertniczych, ale teraz, gdy oglądał metalowe monstrum z bliska, uściślający przedrostek „mini” wydawał się zupełnie nie na miejscu.

– Ktoś tak bardzo boi się podziemi, że próbował zepsuć kombajn – odezwał się znowu Metrostroj.

– Jak to zepsuć? – zdziwił się Ilja.

– A tak. Dziś przyczepili do świdra bombę i wysadzili ją.

– Nieźle! – pokręcił głową Ilja.

– Dobrze, że wszystkie ważne podzespoły mają stalową ochronę. Trzeba się namęczyć, żeby się do nich dostać. Zbiorniki z paliwem też były zdjęte. Przerdzewiały na wylot. Zamiast nich użyję kanistrów. A świder, proszę, sterczy na widoku. Jeśli go uszkodzisz, z kombajnu nie będzie żadnego pożytku.

– A gdzie była ochrona?

– Ochrona? – Metrostroj prychnął. – Kiedy poszły słuchy, że mrówańcza się przedarła, przez CSM przewaliła się istna horda ludzi! W zamieszaniu nie da się wszystkich przypilnować. No i połowa moich wartowników też dała dyla ze strachu. I ktoś się tu zakręcił. Cichaczem podłożył minę.

– Udało się naprawić?

– Udało, udało – machnął ręką Metrostroj. – Nasz sabotażysta ni cholery się nie zna na sprzęcie do drążenia tuneli. Świder jest obliczony na wiercenie skał, więc wytrzymał eksplozję. A i bombka miała niewielką siłę. Widocznie własnej roboty, amatorska. Uszkodziła tylko dwa czy trzy ostrza, no i rozbiła reflektor. Dzięki Bogu, są części zamienne z innych maszyn. Ale zanim po nie poszedłem, zanim wróciłem...

A więc to tam chodził Metrostroj. Po części zamienne do podziemnego kombajnu. Ilja jeszcze raz przyjrzał się potężnej maszynie.

– Słuchaj, Metrostroju. Jeśli taka rzecz może wiercić tunele, to pewnie może je też zasypywać? – zapytał Ilja.

– Zmierzasz do tego, żeby zasypać tunel na Puszkińską? – domyślił się Metrostroj. – Proponowano mi już coś takiego. Ale wiesz... Tunel tunelowi nierówny. Na przykład zablokować ten chodnik – Metrostroj powiódł wzrokiem po tunelu, w którym się znajdowali – można z łatwością. Między metrem a podmetrem grunt jest miękki, jak widzisz, trzyma się na podporach. Zrobić po kolei kilka małych zawałów i odgrodenie się od mrówańczy nie będzie problemem. Ale niszczenie metra to zupełnie inna sprawa. Tam jest



taka warstwa betonu, że ho, ho! A kombajn jest stary i może nie wytrzymać, jeśli z góry zaczną się sypać odłamki betonowego sklepienia tunelu. To będzie groźniejsze od bombki na świdrze i nie mogę już wtedy niczego zagwarantować.

\* \* \*

– Metrostroju – zza kombajnu dał się słyszeć głos Gnata. – Jesteśmy gotowi.

Za maszyną do drążenia tuneli stało z pół tuzina uzbrojonych niebieskich. W rękach mieli – na razie jeszcze wyłączone – latarki.

I to ma być cały zwiad? Rzeczywiście, trochę mało ich, żeby zbadać i tym bardziej oczyścić niebezpieczne podziemne labirynty. Nawet jeśli wziąć pod uwagę, że trzech żukojadów krzątających się przy kombajnie też dołączy do grupy.

Dołączył tylko jeden z tej trójki. Skończył wymieniać lewy reflektor, wytarł ręce w wyświechtaną szmatkę, wziął stareńki karabin berdana i stanął obok Gnata. Dwaj pozostali niebiescy, którzy mocowali kanistry z paliwem, po zakończeniu pracy w milczeniu wyszli z tunelu. Ilja nagle stwierdził, że gdzieś zniknęli również strażnicy trzymający wartę przy ognisku. Nie było już nikogo poza zwiadowcami. A z ich twarzy dało się wyczytać wątpliwości i źle maskowaną chęć, żeby uciec stąd, gdzie pieprz rośnie. Było jasne, że strach przed podziemiami utkwiał niebieskim głęboko w trzewiach.

Metrostroj nie kusił losu i nie zwlekał. Ograniczył się do krótkiej przemowy motywacyjnej:

– Weźmiemy kombajn ze sobą. Być może trzeba będzie przebijać się przez osuwiska. No i w ogóle... na wszelki wypadek... w roli czołgu.

Mowa zresztą nikogo nie zmotywowała i Metrostroj wydał prostą, krótką i dla wszystkich zrozumiałą komendę:

– Broń w gotowości.

– Nie mam broni – przypomniał Ilja. I obrzucił wzrokiem zwiadowców: – Latarki, zresztą, też nie. Może ktoś się podzieli?

Nikt się do dzielenia nie śpieszył. Nie ta okazja i nie ten moment. A Metrostroj nie zdecydował się nakazać tego swoim i bez tego niepewnym żołnierzom. Wyplątał się jednak z tej sytuacji.

– Włącz do kabiny, Magu – polecił. – Na razie przyjrzyj się, jak sobie radzić z maszyną.

Ilja bez specjalnego trudu rozgryzł ukryty sens słów „na razie”, które padły z ust Metrostroja. Będą straty – będzie i broń, oto, co znaczyły.

Ilja wgramolił się w ślad za Metrostrojem pod ciasną kopułkę drążącego tunele potwora i z opóźnieniem zorientował się:

– Trzeba by rozebrać deski blokujące tunel.

– Nie ma czasu, żeby się z tym grzebać.

Metrostroj włączył zapłon, pociągnął jedną dźwignię, drugą...

Zapaliły się światła i silne reflektory. Głośno zaryczał silnik. Kabiną wstrząsnęło. Świder uniósł się jak armata czołgu naprowadzana na cel.

Potężna głowica z obracającymi się wiertłami i ostrzami wibrowała. Reflektory oświetlały ścianę z desek, blokującą wjazd do podziemi. Uruchomiony świder skierowany był na plamę światła.

Z głębin pamięci Ilji wypłynęła opowieść Bulby o Grzechocie. Ilja uśmiechnął się: może to właśnie ten kombajn chodnikowy jest źródłem pogłosek o dreźnie, która nie potrzebuje szyn i potrafi przejeżdżać przez ściany. Wychodzi na to, że to w takim razie Metrostroj jest owym Grzechotem...

Kombajn zazgrzytał szerokimi gąsienicami i z szarpnięciem ruszył z miejsca.

Świder wbił się w przeszkodę. Na wszystkie strony poleciały drzazgi

i pył.

Ostrza, niczym zęby piranii, w mgnieniu oka przegryzły się przez drewno. W ścianie z desek pojawił się wyłom wielkości studzienki kanalizacyjnej.

Metrostroj zatoczył świdrem koło. Wyrwa powiększyła się. Sekundę później kombajn najechał na przegrodę i rozwalił resztki drewnianej ściany. Droga do podmetra stała otworem.

## Rozdział 15 | Bobaki

Kombajn cofnął się, odsłaniając przejście. Metrostroj zgasił silnik, ale pozostawił włączone światła reflektorów, które wchodziły w ciemność podziemia, oświetlając je do najbliższego zakrętu. Dalej chodnik rozszerzał się i gwałtownie schodził w dół, dokąd światło już nie sięgało.

Panował w nim gęsty i lepki niczym smoła mrok. Nikt nie miał ochoty tam iść.

A co, jeśli to właśnie ta ciemność, która dusi ludzi? – pomyślał Ilja.

W grobowej ciszy powolutku osiadał pył, wzbity przy upadku ściany z desek. Uzbrojeni zwiadowcy ostrożnie próbowali przejrzeć rozpraszającą się chmurę. Lufy automatów i światła latarek przesuwaly się z jednej strony na drugą.

W którymś momencie na granicy światła i ciemności Ilja dostrzegł niewyraźny ruch. I jak się okazało, nie tylko on. Trzej żołnierze, którzy weszli już do tunelu, jednocześnie otworzyli ogień.

Dźwięki mieszały się w potworną kakofonię.

Krótką serią z automatów.

Salwa z karabinu.

I – praktycznie w tym samym momencie – cichy trzask, łoskot, huk...

Z góry posypały się bryły ziemi i gliny. Sklepienie osunęło się w dół. Tunel się zawalił. Gardziel podziemia, wypełniona gęstą śliną mroku, zatrasnęła się, pochłaniając tych, którzy zaryzykowali, by w nią wejść.

Pozostali zwiadowcy przerażeni rzucili się do tyłu.

Ale to nie wszystko. Poprzez hałas spadających kamieni i osypującego się gruntu wyraźnie przebił się dźwięk, którego Ilja zupełnie się nie spodziewał usłyszeć.

Gdzieś z ciemności podziemia dały się słyszeć wojownicze okrzyki, dzikie wrzaski i nieludzki chichot. Straszny wielogłos, od którego ścinała się krew w żyłach, a włosy stawały dęba. Czy żywi ludzie są zdolni do wydawania takich dźwięków? Ilja wątpił. Za to martwi...

Zwiadowcy wycofali się za osłonę kombajnu i, wydawało się, zamierzali dać drapaka.

Metrostroj zaklął.

Ilja nie usłyszał w jego głosie strachu. Tylko rozpacz.

A w kolejnym ułamku sekundy ryczący silnik podziemnej maszyny zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Kombajn ruszył do szturm na zawał. Obracający się świder wgrzył się w osuwisko i zabrał do roboty, do której był przeznaczony.

Unosiła się ściana pyłu, wokół panował rozgardiasz. Na boki, na kabinę i za rufę leciała ziemia i rozdrobnione skały. Sypki zawał poddawał się łatwo. Na miejsce starego przejścia do podziemi kombajn wyrąbywał nowe, pograżając się coraz dalej, coraz głębiej...

Metrostroj był, zdaje się, gotowy nabić na świder każdego ducha czy innego zombie, który stanie mu na drodze.

Zresztą przebywanie za pracującą maszyną też było teraz dość niebezpieczne: strumień kruszywa, wypływany przez kombajn, zwałiłby z nóg każdego.

Ciekawe – pomyślał Ilja. – Jeśli podmetro faktycznie należy do umarłych, to czy zdołają porwać ze sobą cały chodnikowy kombajn? Miało się już wkrótce wyjaśnić. Zarówno to, czy podziemia do nich należą, jak i to, czy im

się uda...

Masa ziemi pod świdrem w końcu rozsypała się na boki. Gąsienice wypchnęły warstwę gruntu w pustkę.

Jest! Przebili przejście! Znowu!

Metrostroj wyłączył silnik.

Ilja na próżno próbował dojrzeć cokolwiek w pyle oświetlonym reflektorami. Chwała Bogu, że filtry w kabinie nie przepuszczały go do środka. I że stopniowo się rozwiewał.

Rozwiewał. Tak jakby...

Światło reflektorów padało na ścianę pokrytą jakimiś ciemnymi plamami.

Znajdowali się na terenie podmetra. Z metrem łączył ich teraz tylko niepewny, świeżo wydrążony i ubity przez kombajn tunel bez wzmacniających stempli. Tunel, który mógł się w każdej chwili zawalić.

Metrostroj wyciągnął pistolet i wyszedł z pojazdu. Ilja także opuścił kabinę. Pył jeszcze do końca nie osiadł. Oczy łzawiły, drapało w gardle. Gdzieś z góry sypała się ziemia.

Okropnie kaszłąc, Metrostroj podszedł do oświetlonej przez reflektory ściany. Oprócz dziwnych ciemnych plam, widać na niej było otwory po kulach. Prawdopodobnie to właśnie tutaj trafiła seria z automatu zabitego pod osuwiskiem strzelca.

Ilja dotknął palcem jednej z plam. Było to coś lepkiego w dotyku, pokrytego pyłem. Jakby czerwone.

– Krew? – mruknął Metrostroj, badając inne plamy. – Przecież to krew! I to jeszcze nie zaschnięta. Zdaje się, że postrzeliliśmy widmo.

Metrostroj uśmiechnął się.

To dużo zmieniało. Opowieści o umarlakach okazały się kolejnymi bajdami. Wyglądało na to, że podmetra nie zamieszkiwały bezcielesne duchy i zombie z martwymi zakrzepami w żyłach i tętnicach, lecz inny wróg –

z krwi i kości. A to oznaczało, że nie było to wszystko takie straszne.

No, chyba nie tak straszne... – poprawił się w myślach Ilja. Na razie wciąż jeszcze nie wiadomo, kto właściwie zawalił tunel.

– Ranny odczołgał się sam albo ktoś go odciągnął – mówił dalej Metrostroj. – O, tutaj...

Metrostroj wskazał na krwawą ścieżkę prowadzącą z oświetlonego miejsca do najbliższego chodnika.

– Wygląda na to, że krew chlustała z niego jak z zarzynanej świni. Ten postrzelony, kimkolwiek jest, raczej nie zdoła daleko uciec. Trzeba go dogonić i wszystko wyjaśnić. Mag – Metrostroj odwrócił się do Ilji. – Wołaj ludzi. Wyjaśnij im, że nie ma tu umarłych. Tylko żywi. Żywi i... – Metrostroj wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu – ...i ranni.

\* \* \*

Przekonanie zwiadowców, żeby weszli do podmetra, kosztowało go niemało trudu. Ale kiedy na własne oczy zobaczyli krew na ścianie, wszystko stało się łatwiejsze. Gnat pobiegł z powrotem na CSM i udało mu się przyprowadzić zebrane doraźnie posiłki. Wyjaśniło się jednocześnie, że zaporowe ognisko w tunelu na Puszkińską jest już prawie gotowe i niebiescy zdołają powstrzymać mrówańczę, nawet jeśli ta przedrze się z czerwonej linii. Było trochę czasu, by zbadać podmetro.

Wzmocniony oddział zwiadowców ruszył po wyraźnym krwawym śladzie. Tropiciele i strzelcy szli z przodu. Drogę oświetlał kombajn jadący za ich plecami. Podziemia wypełnił zgrzyt gąsienic i warkot silnika. Uzbrojona grupa gotowa była w każdej chwili nawiązać walkę.

Żeby nie zgubić się w poplątanym labiryncie, na zakrętach i rozwidleniach rysowali oznaczenia zawczasu przygotowanymi węgielkami.

Oddział podziemnych stalkerów wchodził coraz głębiej.

Ilja obserwował tunele z kabiny kombajnu. Podziemia nie były podobne do metra. I w ogóle mało przypominały dzieło ludzkich rąk. Kręte chodniki o gładkich ściankach to rozszerzały się, to znów zwężały... Podmetro składało się z mnóstwa jaskiń przecinających się nawzajem i prowadzących coraz głębiej. Chociaż gdzieniegdzie napotykali nory i odnogi. Coś takiego mógłby zapewne wykopać suseł wielkości człowieka.

– No co to za bobaki tu żyją? – wymamrotał skonfundowany Metrostroj, kiedy przejeżdżali obok kolejnej dziury ziejącej w ścianie szerokiego chodnika. – Też jakieś mutanty?

O tym, że w podziemiu rzekomo panują umarli, nikt już nie wspominał.

Rannego odkryli w jednej z „króliczych nor”. Właśnie tam prowadził ślad z widocznych na ziemi kropel krwi.

Metrostroj nie wprowadzał pojazdu do ciasnego pomieszczenia, żeby je rozszerzyć. Zatrzymał kombajn i zgasił silnik.

Podczas gdy Metrostroj i Ilja wychodzili z maszyny, jakieś pół tuzina uzbrojonych zwiadowców, oświetlając sobie drogę latarkami, weszło do nory i wkrótce wyciągnęło z niej...

Oczywiście, można było nazwać to człowiekiem. Ale jakoś nie przechodziło im to przez gardła.

Wygięte plecy, zgarbione ramiona. Jakieś śmierdzące zapleśniałe łąchmany zamiast ubrania. Bose, czarne od brudu nogi, równie czarne od wżerającej się ziemi długie żyłaste ręce z obgryzionymi paznokciami. Skudłone włosy. Zarośnięta aż po brwi i pokryta stwardniałymi strupami twarz. Gnijące zęby...

Przestrzelone ramię mocno obwiązane szmatą – nasiąkniętą krwią i też tak brudną, że nieznajomy miał zakażenie zapewnione niemal ze stuprocentową gwarancją. Zresztą nie była mu raczej sądzona śmierć w wyniku zakażenia. Osłabione utratą krwi stworzenie ledwie się poruszało.



Wszystko wskazywało na to, że łoskot wydawany przez kombajn spłoszył jego pobratymców, dlatego nikt nie spróbował ani ratować, ani dobić rannego.

Mieszkaniec podziemi siedział oparty kościstymi – prawie jak u Gnata – plecami o zimną ścianę podziemnego tunelu i rozglądał się wzrokiem zaszczutego zwierzęcia. Skulony, przytrzymując postrzeloną rękę drugą, zdrową, cicho skomlał z bólu i strachu. Żałosny, człekopodobny stwór faktycznie przypominał teraz susła. Chorego i umierającego.

– Jak bobak, to bobak – krzywiąc się, wymamrotał Metrostroj. I niezwłocznie zaczął przesłuchanie: – Ej, bobak, słyszysz mnie?

Nieznajomy dalej skomlał, nie odpowiadając. Metrostroj kopnął lekko nogą w wystające spod łachmanów żebra.

Bobak zaskomlał, przyłgął do ściany.

– Py-tam, czy mnie sły-szysz? – sylaba po sylabie powtórzył pytanie Metrostroj.

Skomlenie nie ustało, ale jeniec szybko pokiwał głową.

– Aha, więc nie tylko słyszysz, ale i rozumiesz. – Metrostroj kiwnął głową z zadowoleniem. I podniósł głos: – He? Rozumiesz? Odpowiadaj!

– Tak, tak, tak – w takt gorączkowych kiwnięć głowy przytaknął jeniec. – Rozumiem, rozumiem, rozumiem. Tylko nie bijcie, nie bijcie, nie bijcie. Nie trzeba, nie trzeba, nie trzeba.

– Gadający bobak! – zachichotał stojący nieopodal Gnat. – Supermutant!

– Będę ci teraz zadawał pytania. Ty będziesz odpowiadał – znów zwrócił się do jeńca Metrostroj. – Wszystko jasne?

– Jasne, jasne, jasne...

– W takim razie zaczynamy. I to od samego początku. Więc...

Zaczęli. Zwiadowcy przycichli. Metrostroj pytał. Bobak odpowiadał na pytania.

Ilja słuchał uważnie...

\* \* \*

Wojna zapędziła pod ziemię nie tylko przyzwoitych obywateli. I schronieniem stało się nie tylko metro. Linie ciepłownicze, kanalizacja, stare piwnice i zapomniane przez wszystkich, nieoznaczone na żadnym planie miasta na wpół zawalone rostowskie katakumby dawno już były zasiedlone przez bezdomnych włóczęgów. Te miejsca kipiały własnym życiem, niedostrzegalnym z powierzchni. I zdarzały się tu czasem ciekawe odkrycia.

To właśnie bezdomni odszukali podziemne zapadliny prowadzące do niezbadanych labiryntów. I właśnie oni wykorzystali je w roli schronów, wchodząc coraz głębiej pod ziemię. I to oni ukryli się w odkrytych przez siebie podziemiach, kiedy zaczęła się Wojna.

Wyjścia na powierzchnię zostały zasypane przez wybuchy. Dziesiątki, setki bezdomnych zostało zamurowanych żywcem po pierwszym ataku rakietowym. Wielu z nich było w tamtej chwili pijanych i ich kac musiał być naprawdę ciężki następnego dnia.

Ale wszyscy chcą żyć. Rostowscy bezdomni też. I mało wymagające wyrzutki społeczeństwa zdołały przystosować się do nowego życia.

Do podziemi dostawało się powietrze. Śmierć z pragnienia też włóczęgom nie groziła: na dolnych poziomach podziemi były źródła, z góry przesączały się wody gruntowe, z grubsza oczyszczone poprzez naturalną filtrację. Nawet kwestia głodu okazała się do rozwiązania: szczury, mech, pleśń, owady, których tu jednak, inaczej niż na niebieskiej linii, nie hodowali, a po prostu zbierali.

Było też coś jeszcze.

– Gadzina... tam... na dole... – ranny bobak wskazał brudnym

haczykowanym palcem gdzieś pod nogi. – W wodzie... w studniach...

Nie umiał, czy też nie chciał tego lepiej wyjaśnić. Wydawało się, że Jeniec nazywał gadziną mieszkańców podziemnych zbiorników wodnych, których bezdomni łowili przez jakieś specjalnie przebite studnie.

Wyciąganie z niego zrozumiałych odpowiedzi stawało się z każdą minutą trudniejsze. Bobak mówił coraz ciszej i coraz mniej wyraźnie. Opowieść stawała się urywana i pogmatwana. Jeniec omdlewał. Co, zresztą, nie mogło dziwić: stracił wprost niewyobrażalnie dużo krwi.

Metrostroj spieszył się, by dowiedzieć się jak najwięcej, co i rusz doprowadzając jeńca do przytomności przy pomocy bolesnych szturchańców. I dowiedział się...

Bezdomni nie grzebali swoich zmarłych. Wysyłali ich w ostatnią drogę przez żołądki żywych. Co prawda zabójstwa w celach ludożerczych raczej nie były praktykowane, jeśli wierzyć bobakowi... A co się działo naprawdę? – kto tam wie. Udało się też wyjaśnić, że grupy, rodziny i klany bezdomnych stworzyły w odizolowanych podziemiach jednolitą zamkniętą społeczność, której członkowie w ogóle nie musieli wychodzić na powierzchnię. Dlatego właśnie mieszkańcy podmetra ani razu nie rzucili się w oczy pozostałym ocalałym rostowianom. Ani na ziemi, ani pod.

Tak to trwało do tej pory, aż metro połączyło się z podmetrem.

Opowieść jeńca urwała się.

Bobak umarł.

Upewniwszy się ostatecznie, że włóczęga nie daje oznak życia, Metrostroj odwrócił się do swojego oddziału.

– Idziemy dalej – zarządził. – Oznaczamy trasę. Trzymamy się razem. Oczy dookoła głowy. Bobaki mogą zaatakować z każdej strony.

Przezwisko od razu przyłgnęło do mieszkańców podziemia.

\* \* \*

Bezdomne bobaki rzeczywiście urządziły nieproszonym gościom gorące przyjęcie, rozpętując w podmetrze prawdziwą wojnę partyzancką. Ilja zaczął rozumieć, jak i dlaczego ginęły poprzednie grupy zwiadowców.

W jednym z tuneli niespodziewanie ziemia rozstała im się pod nogami i pochłonęła od razu dwóch żołnierzy. W innym w podobną pułapkę omal nie wpadł kombajn. Jednak maszyna okazała się zbyt wielka dla rozpościerającej się pod gąsienicami jamy.

W następnym tunelu kilka jednoczesnych i ewidentnie spowodowanych przez człowieka zawałów rozbiło grupę. Gdyby nie kombajn chodnikowy, rozproszony po poplątanych chodnikach i jaskiniach oddział zostałby wybity. Ale Metrostroj szybko przekopał drogę przez osuwiska i znów zebrał zwiadowców w jeden oddział.

Bobaki kilka razy z bocznych odnóg obrzucały ludzi oraz kombajn kamieniami i ostrzeliwały z broni, zdobytej widocznie na zaginionych oddziałach zwiadowczych.

Oczywiście, straty były, jednak niezbyt duże. Za to ogień, otwierany w odpowiedzi przez zwiadowców, za każdym razem zmuszał bobaki do ucieczki. Przeciwnik wycofywał się, zostawiając na polu walki zabitych i rannych.

Ogólnie rzecz biorąc, operacja oczyszczania podmetra przebiegała skutecznie. Po pierwsze oddział Metrostroja był liczniejszy od poprzednich grup zwiadowców. Po drugie kombajn do drążenia tuneli pozwalał szybko przebić się przez każdą przeszkodę wzniesioną przez przeciwnika. Po trzecie, ludźmi Metrostroja kierował strach przed mrówańczą. No i najważniejsze: zwiadowcy wiedzieli już, że w podziemiach mają do czynienia nie z duchami i nie z żywymi trupami, ale z wrogiem, którego można zabić.

Tropiąc bobaki, a może po prostu pędząc je przed sobą, zwyciężając w krótkich potyczkach i wymianach ognia, zmiatając kruche osłony

i przedzierając się przez zasadzki, zwiadowcy schodzili coraz głębiej do wnętrza Ziemi.

Parę razy trafiali do tuneli, których ścianami gdzieś z góry – prawdopodobnie z na wpół zatopionej czerwonej linii – ciekła woda. Raz – już gdzieś na niższych poziomach podziemnych labiryntów – natknęli się na niewielki otwór w ziemi, nieuszczelnie zakryty ciężką kamienną płytą. Pod płytę też ściekała woda i spływa w dół. Nie była to kolejna pułapka: w tak wąską dziurę nie wpadłoby nawet dziecko. Najprawdopodobniej prymitywna konstrukcja była częścią systemu drenażowego albo jedną ze studni, przeznaczonych do podziemnego połowu ryb, o których wspominał wzięty do niewoli bobak. A może jednym i drugim jednocześnie.

Wkrótce oddział dotarł do szerokiego wejścia do wielkiej jaskini. I to właśnie tutaj odbyła się ostatnia i najbardziej zaciekle bitwa.

Reflektory oświetliły kamienną barykadę, za którą ukrywali się mieszkańcy podmetra. Większość była nieuzbrojona. Niemniej tym razem nie ograniczyli się do zwykłych ataków z ciemnych bocznych tuneli, lecz walczyli otwarcie. Wyglądało na to, że bezdomni zamierzali zatrzymać obcych przed wejściem do pieczary.

Po co takie nierozsądne poświęcenie? – zastanawiał się Ilja. Co tam schowali? Skarby gnomów, czy co?

Z wiszących nad wejściem do jaskini półek na zwiadowców spadł grad kamieni. Zza barykady huknęły wystrzały. Kule i kamienie zadzwoniły o burty, gąsienice i przód kombajnu. Prawy reflektor zgasł.

W odpornej na uderzenia, ale niestety nie kulo odpornej szybie kabiny pojawił się otwór z pajęczynką pęknięć.

Jednak Metrostroj nie cofnął pojazdu, by go ukryć. Jasne światło ocalałego reflektora oślepiło przeciwnika. A przy tym broniący tunelu bezdomni byli widoczni jak na dłoni.

Zwiadowcy też otworzyli ogień...

Wynik tej bitwy był właściwie znany od samego początku. Większość bobaków wystrzelali jak na strzelnicy. Pozostali uciekli ze swoich pozycji.

Kombajn utorował przejście przez zaścieloną trupami barykadę.

Zwiadowcy weszli do jaskini...

\* \* \*

Metrostroj zgasił silnik, ale nie światło.

Podziemna hala, której bobaki tak zaciekle broniły, okazała się nie tyle wielka, co naprawdę ogromna. Mogłyby tu się pewnie zmieścić trzy albo i cztery stacje rostowskiego metra naraz.

Sklepienie i nierówne podłoże pieczary były usiane stalaktytami, stalagmitami i zrosniętymi kolumnami stalagnatów. W świetle silnego reflektora i latarek połyskiwały krople wody i kryształki soli mineralnych. Ściany z wysuniętymi półkami i gzymsami zdawały się przyprószone szronem. Solny śnieg błyszczał na dziwacznych naroślach.

Piękno jaskini jednocześnie przyciągało i odstraszało.

Na samym końcu rozległej, podłużnej hali można było dostrzec czy to zasypane, czy też zamurowane przejście.

Zwiadowcy rozeszli się po jaskini. Ludzie rozmawiali – cicho, ale z podnieceniem. Światło latarek przecinały ciemność. Na twarzach pojawiały się uśmiechy.

Nikt więcej nie atakował z ciemności, nie zawałał tuneli, nie osuwał ziemi pod nogami, nie strzelał i nie obrzucał kamieniami. Podmetro należało do nowych właścicieli. I nowi właściciele mieli prawo z nim robić wszystko, co uznają za słuszne.

Entuzjazm dosłownie rósł w oczach. Rozmowy były coraz głośniejsze i bardziej pewne siebie, uśmiechy – szersze, twarze – szczęśliwsze.

– Niewiarygodne! – mruknął Ilja. – Do takich jaskiń można przesiedlić całe rostowskie metro!

– Tak – zgodził się Metrostroj. – Przestrzeni życiowej jest tu aż nadto.

Ustalili najważniejsze: podmetro całkowicie nadawało się do tego, żeby ukryć się w nim przed mrówańczą i przeczekać inwazję groźnych stworów.

Ilja wspomniał Oleńkę i Sieriożkę. Nie na darmo ich głosy wskazywały mu drogę tutaj.

– Cóż, nowy dom już mamy – pokiwał głową Metrostroj. – Można uznać, że program minimum został wypełniony.

Minimum? Ilja spojrzał na niego pytająco.

– A jaki jest program maksimum?

Metrostroj uśmiechnął się.

– Te podziemne labirynty muszą przecież dokądś prowadzić?

– Pewnie tak.

– A więc może wyprowadzą nas z Rostowa!

Byłoby nieźle. Życie bez możliwości wychodzenia na zewnątrz, pod kolonią mrówańczy, która zdomowiła się na górze na czas nieokreślony, nie było najlepszym wariantem, ale...

– Ale co, jeśli podziemia nie wychodzą poza granice miasta?

– Wtedy sami utorujemy sobie drogę. – Metrostroj wieloznacznie poklepał dłońią po dźwigniach kombajnu. Tak klepie się po plecach wiernego przyjaciela.

No tak, rzeczywiście... Z maszyną do drążenia tuneli – dlaczego by nie spróbować? Dobrze, że jest jeszcze paliwo.

– A na początek popatrzymy, co kryje się za tamtą ścianą. – Metrostroj skierował jasny snop światła na zamknięte przejście na końcu hali.

Wyglądało na to, że nie było jednak zasypane, lecz zamurowane.

– Może czeka tam na nas otwarta droga za miasto, co, Magu?

Wątpię – pomyślał Ilja. – Po co bobaki miałyby tę drogę zagradzać? Chociaż z drugiej strony... Jeśli przystosowały się do życia pod ziemią, to po co miałyby w ogóle wychodzić na skażoną powierzchnię? Tym bardziej, że bezdomni nie mieli ani masek przeciwgazowych, ani ekwipunku ochronnego.

Lecz nagle ukłuło go w sercu nieprzyjemne przecucie. Przecież na takiej głębokości nie stawia się ścian ot tak, po prostu. Jednak chęć odkrycia, co jest za jaskinią, okazała się silniejsza od niejasnego niepokoju.

Metrostroj znów uruchomił silnik i ruszył naprzód.

Zwiadowcy rozstąpili się i wydali radosny okrzyk, wymachując rękami.

Kombajn sunął naprzód jak czołg, miażdżąc szerokimi gąsienicami grube, lecz kruche narośle stalagmitów, odłamując podobnym do kopuły dachem ostre końcówki soplopodobnych stalaktytów, rozbijając nieregularne kolumny stalagnatów.

Potężna maszyna z łatwością torowała drogę do zamurowanego przejścia. Wzniesiony do góry świder obracał się już z szaloną prędkością. Nakreślona przez reflektor plama światła na nierównej ścianie, jak cel, w który miały się wbić wirujące wiertła i ostrza, była coraz bardziej wyraźna. Można już było na niej dostrzec każde pęknięcie, każdą wypustkę.

Świder dotknął ściany. Dzwoniący o metal tłuczeń, spowijająca kabinę chmura pyłu, pisk w uszach...

Kombajn do drążenia tuneli wykonywał swoją pracę.



## Rozdział 16 | Gadzina

Wbrew oczekiwaniom Ilji, blokujące przejście kamienie nie puściły od razu. Ściana okazała się gruba i solidna. Jak chodzi o wytrzymałości, wydawało się, że nie ustępowała litej skale.

Masywne głazy jeden po drugim rozpadały się pod naciskiem świdra i wypadały z muru, ale za nimi kryła się nowa warstwa.

Metrostroj wodził świdrem w dół i w górę, od jednej strony do drugiej, poszerzając wyłom. Gąsienice ubijały kamienne kruszywo, maszyna wgrzyzała się w ścianę, ale ta wciąż nie chciała runąć.

Ilja się zaniepokoił. Po co ktoś uznał za stosowne, żeby z tak maniakalnym uporem blokować podziemny chodnik? A może tu wcale nie ma muru i mają przed sobą dziwaczne rozwarstwienie otoczonych przez wodę minerałów, które tylko tworzą iluzję zamurowanego przejścia? I tak naprawdę kombajn próbuje przebić się przez litą skałę?

Ale nie.

To nie iluzja, to nie pomyłka...

Uparcie trzymająca ściana wreszcie się poddała. Od razu cała.

Świder zwałił okazały kawałek muru i wszedł w pustkę, a sekundę później kombajn przebił się przez resztę przeszkody.

Ściana runęła.

Zniknęła.

Zupełnie.

Co więcej, zniknęło wszystko dookoła. Przenikająca przez chmurę pyłu smuga światła reflektora gorączkowo szperała dookoła, ale nie mogła niczego uchwycić. W pustce, w którą wyjechali, nie było ani sklepienia, ani ścian, ani podłoża.

Była tylko bezgraniczna przestrzeń, której rozmiary trudno było sobie nawet wyobrazić.

Osypujący się grunt pociągnął kombajn gdzieś do przodu i w dół. Ilja nagle zrozumiał z przerażeniem: oni spa-da-ją!

W nicość! W pustkę!

– Co za cholera?! – Metrostroj wrzucił wsteczny na pełną moc.

W samą porę! Zdążył! Byli o włos...

Szerokie czepliwe gąsienice, choć z trudem, wyciągnęły ich jednak z powrotem do wyłomu.

Metrostroj wyłączył silnik. Otarł pot z czoła.

Wypuścił powietrze.

Zaklął. Długo i kwieście.

Z tyłu, z ziejącej w skale wyrwy ostrożnie podchodzili zwiadowcy. Nikt już nie rozmawiał, nie krzyczał i nie cieszył się. W ogóle nikt nie wydawał dźwięków. W ciszy, która zapanowała, słychać było tylko szmer zsuwających się w dół kamieni i...

Ilja wsłuchał się. Plusk? Rzeczywiście, plusk wody, do której te kamienie wpadały...

Metrostroj opuścił ruchomy szperacz tak nisko, jak to było możliwe. I faktycznie, snop światła odbił się od tafli wody. Czarnej jak dziegieć. Nieruchomej, niezmaconej, nigdy nie poruszanej przez wiatr. Do plamy światła ledwie docierały kręgi od spadających kamieni.

W ciemności powierzchnia wody wydawała się bezkresna. Co to jest? Podziemne jezioro? Czy może cały ocean? Na takiej głębokości pod ziemią

mogło być cokolwiek.

Wszystko, poza wyjściem na powierzchnię.

Na pewno nie uda się teraz wytyczyć drogi za miasto. Przynajmniej nie w tym kierunku.

– Dobra, nie ma co rozładowywać akumulatora. – Spochmurniały Metrostroj zgasił światło. – Pójdę, zerknę, co tam jest. – Wydostał się z pojazdu.

Ilja poszedł za jego przykładem. Bez wsparcia potężnego reflektora w jaskini od razu zrobiło się strasznie. Latarki zwiadowców świeciły słabo i otaczająca ich ciemność w ich wątłym świetle zdawała się jeszcze bardziej gęsta i złowieszcza.

Metrostroj też zapalił latarkę i zbliżył się do wyrwy. Ilja został przy pojeździe. Przysiadł na osłaniającej gąsienicę stalowej płycie. Widział już dość, żeby zdać sobie sprawę: nie ma tam czego łowić. Kombajnem do drażenia tuneli nie przepłyniesz przez podziemne jezioro.

Do wyrwy zbliżyło się jeszcze kilku ludzi. Zwiadowcy nad czymś dyskutowali, ale mówili cicho, rozglądając się lękliwie dookoła. Jakby bali się, że przez głośne dźwięki cała jaskinia może runąć do wody.

Metrostroj stanął tuż przy urwisku. Poturlał nogą kamień.

W dole rozległ się stukot i wyraźny plusk. Metrostroja coś zainteresowało. Poświęcił więc latarką gdzieś w wodę, próbując coś tam dojrzeć. Zdaje się, że coś zauważył. Pochylił się...

I nagle krzyknął, odskakując od krawędzi urwiska. I...

I nie udało mu się już tego zrobić.

W kołyszącym się z boku na bok świetle latarki Metrostroja Ilja zdążył dostrzec, jak coś szerokiego, płaskiego jak rozplaszczona ręka i lśniącego przemknęło nad skrajem urwiska. Owinęło nogę Metrostroja.

Co to było? Macka? Łapa? Ogon? Lepki język pułapka jak

u żabiogłowych? Czy ciało ogromnego robaka? Albo węża?

Ilja nie zdołał już tego dojrzeć.

Wszystko odbyło się w ułamku sekundy. Metrostroj szarpnął się, próbując się wyrwać. Jeszcze raz krótko i rozpaczliwie krzyknął. Ale żywe lasso, które zacisnęło się na jego nodze, już wlokło zdobycz w dół. Zapalona latarka, koziołkując, stoczyła się do wody. Nad krawędzią skarpy mignęła siwa głowa. Jeszcze jeden plusk. I koniec. Jak gdyby nigdy nie było człowieka nad urwiskiem.

\* \* \*

Śmierć Metrostroja jakby przebudziła jakieś ukryte siły. Tafla wody w dole zakotłowała się. Ciemność ożyła. I nie było już ciszy.

Jaskinię wypełnił chlupot, szum strug wody i kropel ściekających z niewidocznych stworów, które wpełzały z głębin i wdrapywały się na górę, wydając nieznane im, syczące, kłapiące i mlaskające dźwięki...

A razem z tymi odgłosami wzmagало się widmowe trupie światło. Coś słabo fosforyzowało w ciemności, wiło się, sunęło, zbliżało... Ale co dokładnie, nie można się było zorientować. Ilja widział tylko świecące punkty, plamki i smugi.

Potem w świetle latarek zwiadowców zabłysła wilgotna, pozbawiona pigmentu skóra i białawe płyty pancerza.

Gadzina! – przemknęło Ilji przez głowę. A więc to o tym mówił wzięty do niewoli bobak!

Ilja w istocie czuł: TO było nie mniej groźne niż stwory królujące na powierzchni.

Nie minęło kilka sekund, a skarpa i wyrwa nad nią ruszały się jak żywe. Jakby ręka olbrzyma o wielu palcach sięgała przez wyłom do jaskini z ludźmi. Jak gdyby nieznany świder z wirującymi ostrzami przewiercał

ciemność od drugiej strony.

Z nieprzeniknionego mroku pełzli na nich mieszkańcy podziemnych wód. Nieznane stworzenia nadciągały nieprzerwaną falą. Lazły po ziemi, ścianach i sklepieniu, przewalając się przez siebie nawzajem.

Czym były te wodne potwory? Ofiarami minionej Wojny, stworzonymi przez przyspieszone mutacje? Stworami, które zmutowały na długo przed nią z powodu sączących się przez dziesięciolecia w dół ścieków kanalizacyjnych? Czy po prostu nieznaną nauce prehistoryczną fauną reliktowych podziemnych jezior i mórz?

Ilja tego nie widział. Zresztą co za różnica, czym tak naprawdę były? Wystarczyło, że są zabójczym czymś, co zmaterializowało się wprost z ciemności. Zagrożeniem śmiertelnym i, jak się zdawało, nieuchronnym.

Światła latarek miały się po ścianach i sklepieniu. Wystraszeni zwiadowcy, straciwszy dowódcę i zmysły, krzyczeli, klęli i wprost wyli z przerażenia. Ludzie, gubiąc latarki, chwyтали za broń. I, podnosząc latarki, wypuszczali broń.

Ktoś na złamanie karku rzucił się do ucieczki z jaskini. Ktoś inny otworzył ogień. Kilka kul zadzwoniło o stalowe poszycie kombajnu. Pod sklepieniem i przy ścianach gwizdnęły rykoszety. Kolumna najbliższego stalagmitu trysnęła odłamkami i rozsypała się. Kilka stalaktytów odpadło i z hukiem runęło w dół.

W rozbłyskach wystrzałów na ścianach majaczyły straszne cienie stworzeń, które, mogły istnieć tylko w rozpalonej wyobraźni szaleńca. Jednak znajdowały się tu. I teraz. Przed nimi. Nie, już wokół nich.

Blisko, tuż obok!

Kanonada nasiliła się, ale nie mogła powstrzymać wypuszczonych z zamknięcia stworów. W błyskach ognia automatów i nerwowym świetle latarek wzrok wyłapywał oddzielne segmenty wijących się ciał, macek,

bezbarnych chitynowych pancerzy. Jednak, podobnie jak wcześniej, nie dało się obejrzeć w całości choćby jednego stwora. To pewnie nawet lepiej. Przynajmniej Ilja nie był przekonany, czy chce wiedzieć, jakie twory mroku ich teraz atakują.

Dziki krzyki przerażenia zastąpiły lamenty i pełne bólu wołania. Stwory, które wtargnęły do jaskini, zaczynały już pożerać ludzi. Ci rozbiegli się. Nikt już nie próbował się bronić.

Pierwszym odruchem Ilji też było – UCIEKAĆ. Razem ze wszystkimi, albo samemu. Zeskoczyć z kombajnu i wiać co sił w nogach. Dokądkolwiek, byleby jak najszybciej wynieść się stąd, z tego koszmaru.

Wysiłkiem woli jednak się powstrzymał – nie zamienił się w wystraszone zwierzątko, pozostał człowiekiem.

Czy daleko by uciekł w nieznanym mu podziemiach, bez latarki i broni?

Nim też zainteresował się jakiś potwór. Do kombajnu błyskawicznie zbliżyło się trupie światło żywej lampki. Coś poruszyło się pod gąsienicą maszyny.

I ciało samo podjęło trafną decyzję. Ilja rzucił się do kabiny. To była teraz chyba jedyna w miarę solidna kryjówka.

Wpadł do środka i zatrzasnął za sobą drzwi. A ułamek sekundy później w stalowe poszycie wyrznął rzucający się w ślad za nim stwór.

Tępe wilgotne uderzenie z zewnątrz. I jeszcze jedno, i jeszcze... I znów.

Stwór okazał się uparty. Rozmazując plamy gęstego śluzu po wzmocnionej szybie, łomotał do drzwi przez minutę, dwie... Od uderzeń masywnego ciała, którego Ilja nawet nie widział, trzęsła się cała kabina.

Kiedy stwór wreszcie zostawił kombajn w spokoju, nikt już nie krzyczał i nie strzelał.

Fosforyzujące światło bladło. Gadzina rozpełzała się po jaskini i gasiła swoje lampki.

Teraz zewsząd dobiegało smkowite mlaskanie, dźwięki wysysania i nieprzyjemne chrapnięcia. Mieszkańcy podziemi pożerali zdobycz i, jak się zdawało, również swoich rannych pobratymców postrzelonych przez ludzi.

Przez jakiś czas światła porzuconych przez zwiadowców latarek padały w ciemności na fragmenty obrzydliwych ciał. Ich tułowia były wielkie, bezbarwne, obślizgłe. Na podstawie oświetlonych części trudno było nawet przypuścić, do jakich stworzeń mogą należeć. Jasne było jedno – światło nie odstraszało, lecz przyciągało stwory.

Zresztą ich ruchy w świetle nie trwały długo. Latarki pękały z chrzęstem w szczękach potworów, pod ich brzuchami i łapami, i gasły jedna za drugą. Aż zgasły wszystkie.

Po tym, co zobaczył, Ilja zachował ostrożność i nie włączył reflektora. Nawet jego podziemny czołg nie wytrzymałby zmasowanego ataku całej podziemnej sfory.

Po czasie spędzonym w kabinie z Metrostrojem i obserwowaniu jego pracy Ilja przekonał się, że kierowanie kombajnem do drażenia tuneli nie jest wcale takie trudne. Ale czy uda mu się daleko ujechać w tych egipskich ciemnościach? Wydostać się z jaskini? I dokąd pojedzie potem?

Samemu w skomplikowanym labiryncie podmetra trudno byłoby znaleźć drogę nawet ze światłem. I tak trzeba by wychodzić z pojazdu, żeby oglądać zrobione węglem na ścianach znaki. A opuszczać kabinę, kiedy na zewnątrz dzieją się takie rzeczy, byłoby czystej wody samobójstwem.

\* \* \*

Ilja patrzył zgaszonym wzrokiem przez wąskie czarne okna. Sytuacja była parszywa jak nigdy. Jego serce przepełniały strach, samotność, poczucie osaczenia i rozpacz.

Panowała nieprzenikniona ciemność. W ciemności – kotłująca się śmierć.

W głowie – mroczne myśli.

I całkowita, absolutna beznadzieja. I brak sensu w dalszym miotaniu się.

Kiedyś sens życia sprowadzał się dla niego do Oleńki i Sieriożki. Ale oni zginęli. Wtedy sensem jego egzystencji stało się życie pustelnicze i zemsta na mutantach. Okazało się jednak, że człowiek nie przeżyje w tym świecie samotnie i nie wybije wszystkich mutantów.

Potem chęć życia umacniała w nim nadzieja na wejście do podziemi niebieskich, na wejście, którym będzie można uciec z metra, na ocalenie tych, którzy jeszcze pozostali. A co teraz? Tylko pustka. I nic więcej. Żadnej nadziei. Zupełnie.

Ludzie – ostatni ludzie w tym mieście i, być może, na całym świecie, kryjąca się pod ziemią społeczność mieszkańców metra, której ostatnią bezradną cząstką stał się teraz i sam Ilja – są skazani na śmierć. Ani oni, ani on nie mają już dokąd iść. Znikąd ratunku. Ani nadziei.

Ludzie zostali wzięci w dwa ognie. Za nimi i na powierzchni była mrówańcza i skażone, nienadające się do życia miasto. Przed nimi i w dole – ohydne, straszne podziemne stwory i wodna przeszkoda, której nie da się pokonać. Mrówańcza przebija się przez zawał do metra, a może i już się przebiła. Gadzina rozpełza się po podziemiach. Kleszcze się zaciskają. I wkrótce ich zmiażdżą. Wszystkich.

Więc po co w takim razie w ogóle przedłużać bezsensowną agonię?

Ilja westchnął. Nie prościej będzie wyjść z kombajnu i dać się pożreć jakiemuś stworowi, którego nie uda mu się nawet dojrzeć?

Bardzo powoli wyciągnął rękę w stronę drzwi. Dotknął klamki.

I cofnął palce.

Nie, taka śmierć jest zbyt straszna. Gdyby miał pistolet, zastrzeliłby się bez wahania. To jeszcze nic takiego, to można zrobić. Sam odbierasz sobie życie, i to szybko: raz i już! Ale w kabinie nie było żadnej broni. A wyjść



z pojazdu... To mimo wszystko nie na jego siły. Na razie jeszcze nie był na to gotowy. Może potem. Może troszeczkę później.

– Oleńko, Sieriożko! – zawołał samym ruchem ust.

Brak odpowiedzi. A tak jej pragnął. Tak bardzo potrzebował ich odpowiedzi. Teraz tak, jak jeszcze nigdy.

– Oleńka? Sieriożka?

Milczenie. Szelest w mroku...

Ale dźwięku ukochanych głosów nie słyszeć.

W przeszłości żona i syn z łatwością zaczynali do niego mówić w ciemności. I on też bez trudu nawiązywał z nimi rozmowę. Jak niegdyś było dobrze i prosto. Kiedy czuł się źle, zadawał pytanie, a oni odpowiadali. Albo po prostu go uspokajali.

Dawniej. Tak było dawniej...

– Oleńko! Sieriożko! – wykrzyczał niemal bezgłośnie. Okazuje się, że i tak można krzyczeć...

Załomotało stalowe poszycie. Coś wpełzło na kopułę kabiny. Ciężkie cielsko niewidocznego stwora owinęło świder. A może na kombajn wlało od razu kilka podziemnych monstrów?

Pojazd zachwiał się pod ciężarem zwalającego się na niego ciężaru, zadarł tył i wbił przód w ziemię. Jakież giganty musiały go oblepić!

– Oleńko... – błagał Ilja. – Sieriożko...

No, co się dzieje?!

Dlaczego? No, dlaczego milczą, kiedy koniecznie musi ich usłyszeć?!

Dlaczego nie chcą już z nim rozmawiać?

I najważniejsze „dlaczego”...

Dlaczego Oleńka i Sieriożka dali mu fałszywą nadzieję? Po co go zwodzili?

Po co wysłali go na niebieską linię i w te przeklęte podziemia?

– Dlaczego, Oleńko? Po co, Sieriożko?

Zmarli zachowywali milczenie.

– Ale to przecież wy... – w poczuciu krzywdy zajęczał w myślach Ilja.

I natychmiast zawstydził się swoich słów. Jakim prawem próbuje robić teraz wyrzuty żonie i synowi? Jakie i za co? Za to, że go tu zaprowadzili? Ale czy naprawdę tak było? Przecież szedł na własnych nogach, a to, co działo się przy tym w jego głowie...

Nie w głowie, nie! Głosy było słychać z zewnątrz, z ciemności.

Ale czy nie dlatego, że mrok spowijał też jego umysł?

Ilja poczuł, że zaczyna się gubić we własnych myślach. Zdał sobie sprawę, że nadszedł czas, żeby to załatwić. Raz na zawsze.

Chwila, chwila. Nie mogąc już rozmawiać z rodziną, Ilja zwrócił się do siebie samego. – Przecież wiesz: oni nie żyją. Zbyt długo nie chciałeś się z tym pogodzić... Zbyt długo się przed tym opierałeś. Ale jednak teraz zrozumiałeś. Tam, na Puszkińskiej, kiedy byłeś świadkiem śmierci matki i dziecka. Innej Olgi i innego Siergieja. Kiedy imiona jednych zmarłych pomogły wreszcie zyskać spokój duszy innym.

Nie, Oleńka i Sieriożka nie są niczemu winni. I nigdy nie byli. To wcale nie oni cię tu prowadzili. To ty sam. Przez cały ten czas wkładałeś w ich usta własne myśli, wątpliwości, przeżycia i lęki. Tak ci było lżej, tak łatwiej było się pocieszać, uspokajać... Oszukiwać. A teraz nadszedł czas, kiedy okłamywanie samego siebie już nie przynosi skutku. Nastąpił moment, kiedy trzeba twardo sobie powiedzieć: martwi są martwi, a żywi powinni sami myśleć o sobie. Martwym – wieczny odpoczynek. Żywi mają wolność wyboru. Tak trzeba. Tylko tak. I nijak inaczej.

\* \* \*

W wypełnionej ruchem ciemności Ilja wspominał.

Rodzinę... Smutny uśmiech i pełne żalu oczy jego najdroższej Oleńki. Wesoły beztroski śmiech Sieriożki.

Ilja wspominał też innych ludzi, z którymi związał go los. Wspominał, kto z nich co w tym życiu wybrał.

Z ciemności za wąskim okienkiem pojazdu wyłaniały się twarze. Twarze wpatrywały się w niego, zaglądały mu w duszę, w jego istotę.

Przypomnił mu się Saper, który chcąc ocalić własną skórę, skazał na śmierć całą stację i zginął haniebną śmiercią na powierzchni. Ilja drgnął. To nie był człowiek. Na rozmyślania o tym śmieciu szkoda było tracić ostatnie minuty życia.

Z głębin pamięci wypłynęła twarz Gapcia Cudaczego – bezrozumnego szaleńca, który wpuścił do metra mrówańczę. A przecież ten płaczliwy kaznodzieja, zbawiający upadłe dusze, a jednocześnie maniakalny zabójca, szczerze chciał pomóc nierozumnym i skazanym na potępienie owieczkom. Ech, Gapciu, Gapciu... Takiego pomocnika chciałoby się udusić gołymi rękami.

Ilja wspomnił Inżyniera, który, chroniąc przed niebezpieczeństwem swoich ludzi, zamknął Selmasz dla uchodźców z Ordżonikidze.

Przypomnił mu się też nieznajomy podpalacz, który spłonął razem z barykadą w tunelu między Karola Marksa i Teatralną, ale na pewien czas zatrzymał mrówańczę. I dowódca żołnierzy z Teatralnej, który nawet wśród powszechnej paniki zdołał zachować panowanie nad sobą i starał się zaprowadzić porządek.

I Kozak, próbujący zabić matkę mrówańczy, a który jednak zginął ze swoim maleńkim oddziałem w ciasnym korytarzu technicznym.

I entomolog Aleksiej Kiryłowicz, który nie bał się podejść do samego legowiska mrówańczy, żeby zorientować się, czym ona jest i jak z nią walczyć.

I Metrostroj, który miał nadzieję znaleźć w podziemiach pod niebieską linią kryjówkę dla jeszcze żyjących mieszkańców metra.

I Bulba, i wujek Misza, i kudłaty chłopak z Selmasza – ich też pamiętał. I żołnierz z Diaspory, Aszot, który zginął w ścisku po drodze do Woroszyłowskiej. I użądlna przez mrówańczę Olga z Puszkińskiej, ratująca swojego Sieriożkę. I Gnat, który zdołał pokonać strach i wyruszyć za Metrostrojem do podziemnego królestwa umarłych, gdzie w końcu, rzeczywiście, wszystkich zwiadowców spotkała śmierć.

Ilja wspominał i myślał. Przychodziły mu do głowy niespodziewane, nietypowe myśli o tym, że ludzie, którzy kiedyś budzili w nim tylko rozdrażnienie i zdawali mu się kompletnie niewarci uwagi w oszalałym ludzkim stadzie, w większości byli wcale nie tacy źli. W każdym razie każdy z osobna.

W kalejdoskopie wspomnień migało mnóstwo twarzy, które zdążył zobaczyć. Większość tych ludzi już zginęła. Ale zapewne ktoś jeszcze żył. No właśnie – zapewne. No właśnie – jeszcze.

I znów z głębin pamięci wypłynął uśmiech Oleńki i śmiech Sieriożki. Jego zmarła rodzina...

I znów – twarze, twarze, twarze. Rozpoznane i nie, wyraźne i jak za mgłą. I po prostu pozbawione twarzy postaci, które zaglądały z nadzieją do kabiny kombajnu z kotłującej się na zewnątrz ciemności. Ludzie, których Ilja nie znał, ale którzy otaczali go w metrze. I na czerwonej linii, i na niebieskiej.

Najdroższy uśmiech. Kochany śmiech.

Obcy ludzie.

Rodzina. Martwa.

Znajome, na poły znajome i całkiem nieznanne twarze. Żywe. Jak dotąd żywe...

Rodzina. Twarze...

Dlaczego mieszają się ze sobą? Dlaczego tak uważnie patrzą na niego z ciemności oczy Oleńki i Sieriożki? I dlaczego oczy te spoglądają z obcych twarzy? Dlaczego patrzą, jakby go zachęcały: no, domyśl się, no, zrozum, no, pojmij wreszcie!

\* \* \*

Tak się stało. Niespodziewane i wyraźne zrozumienie rozświetliło mu świadomość jak błyskawica. Wszystko stało się jasne.

Ci nieliczni pozostali przy życiu ludzie to właśnie jest jego nowa rodzina. A przynajmniej powinni się nią stać. Zamiast tamtej rodziny, którą stracił.

I to było słuszne. To było naturalne. Choćby dlatego, że innych ludzi na tym świecie może nie być. A kiedy ludzi zostaje tak mało, kiedy nie ma ich prawie wcale, rodziną stają się wszyscy.

Oto co chcieli mu powiedzieć bez słów Oleńka i Sieriożka, zaglądający poprzez jego pamięć w ciemne okna kabiny. Oto co on sam chciał sobie wyjaśnić, ale przez cały ten czas w żaden sposób nie mógł naprawdę zostać sam ze sobą i usłyszeć własne wołanie. Oto dlaczego, nie uświadamiając sobie tego w pełni, wyrwał się do podmetra i starał się uratować wszystkich, nad którymi wcześniej się nie zastanawiał, których wcześniej nie znał i których raczej już nie pozna.

Tak, właśnie tak! Wszystko było od razu na swoim miejscu. Kilkudziesięciu, może kilkuset ludzi, którzy być może jeszcze żyli, w tej właśnie chwili stało się jego rodziną. I wszyscy, którzy zginęli w metrze i na powierzchni, w niepojęty sposób stapiając się z Oleńką i Sieriożką, też stali się częścią tej wielkiej (choć nie, teraz już nie tak wielkiej) rodziny.

Chociaż, czy wszyscy?

Ilja zamyślił się. Przecież jeśli wszyscy, to Saper i Gapcio też.

I ci z Woroszyłowskiej, którzy rozstrzeliwali uchodźców. I ci niebiescy,

którzy strzelali do czerwonych. I czerwoni, którzy strzelali do niebieskich. A nawet bobaki też, niestety, są częścią rodzaju ludzkiego.

Cóż, pewnie nie na darmo mówi się, że w każdej rodzinie trafia się czarna owca. Zresztą te najczarniejsze już nie żyją. A ocaleli członkowie jego dopiero co odzyskanej rodziny... bardzo chciał wierzyć, że nie szczęli do końca.

Tak, Ilja wierzył w to całym sercem. Tyle że... Tyle że jego nowa i ostatnia rodzina niedługo też może zniknąć bez śladu. Zupełnie. Na zawsze.

Ale czyżby nie dało się nic zrobić? Czyżby nikogo już nie można było ocalić? Czyżby był zupełnie bezsilny? Ale przecież w kabinie kombajnu jest jeszcze miejsce! I któryś z tych zwiadowców, którzy rozbiegli się po jaskini, mógł gdzieś się ukryć i uratować. To oczywiście mało prawdopodobne, ale przecież mógł...

Więc na co on jeszcze czeka?!

Mógł! Mógł! Mógł! – przekonywał sam siebie Ilja. Wyciągnął jedną rękę w stronę pulpitu sterowniczego, drugą położył na dźwigni. – Ktoś mógł przeżyć!

Ręce słuchały go niechętnie. Strach wciąż paraliżował ruchy, a jakaś część jego rozumu broniła się przed tym, co postanowił i nazywała to postanowienie nierozwagą.

Ale jeśli nawet nie spróbuje wyciągnąć kogokolwiek z kotłującego się mroku do względnie bezpiecznej kabiny kombajnu, to czy sam będzie godny zajmować miejsce w tym schronieniu na gąsienicach?

I jeszcze jedno „jeśli”.

Jeśli gdzieś w pieczarze ukrywaliby się teraz Oleńka i Sieriożka, gdyby była choć maleńka szansa, że wciąż żyją, to czy by się wahał?

Ten argument okazał się decydujący. Rodzina to rodzina...

Ilja zrobił to, co wcześniej robił Metrostroj. Uruchomił maszynę, w której

się ukrywał.

Kombajn do drażenia tuneli ożył.

Zaryczał silnik.

Jak ognistym mieczem smagnął po gęstych ciemnościach smugą światła rozbłyskającego reflektora. Oświetlił bezbarwne wilgotne ciała.

Ciał świdrem po owiniętych wokół niego stworach, rozrzucając na boki strzępy mięsa, odłamki chityny, sploty wnętrzości, zimną krew i lepki śluz.

Gadzina była wszędzie, w całej jaskini. Kłębiła się na ziemi, pełzła po ścianach, zwisała ze sklepienia i stalaktytów.

Ale już po chwili stwory w jednomyślnym odruchu skierowały się w stronę kombajnu. Zwały się ze wszystkich stron jedną wielką falą. Sunęły po ziemi, ściekały ze ścian, posypały się ze sklepienia.

Splecione ze sobą podziemne potwory, podobnie jak wcześniej, trudno było rozpoznać i jakkolwiek zidentyfikować. Ale Ilja nawet nie próbował tego robić. Nie patrzył na stwory. W świetle reflektora wypatrywał ludzi. Żywych.

Ale znajdował tylko szczątki martwych.

Zakrwawiony szkielet. Jeszcze jeden. Strzępy ubrania. Automat we krwi. Strzelba z wygiętą lufą i roztrzaskaną kolbą. Zgnieciona latarka...

Ilja ruszył z miejsca. Sterowanie maszyną faktycznie okazało się niezbyt trudne. Trzeba było tylko dopasować się do jej gabarytów i prawidłowo oświetlać drogę jedynym reflektorem.

Pędził kombajnem po podziemnej hali, rozbijając stalagmity, miażdżąc gąsienicami pancerze i wijące się cielska, oświetlając ściany i ich zagłębienia.

Gadzina rwała się, żeby złapać i zdusić kombajn, otoczyć maszynę kłębem ciał. Na razie jej się to nie udawało, ale poruszanie stawało się coraz trudniejsze. Gąsienice zaplątywały się w żywą przeszkodę. Silnik ryczał z wysiłkiem.

Ilja z rosnącym przerażeniem uświadamiał sobie, że podziemne potwory są zdolne zatrzymać kombajn, który przebija się nawet przez litą skałę. Zaczynał już żałować swojego szalonego i całkowicie bezsensownego wybryku, gdy nagle...

O! Tam, po prawej!

Ilja znów przesunął światłem reflektora po wystającym ze ściany gzymsie, położonym mniej więcej na wysokości dwukrotnie przewyższającej wzrost człowieka.

Nie, nie wydawało mu się. Przesunęła się kamienna płyta zamykająca wejście do ciemnej niszy. W świetle reflektora pojawiła się ludzka postać.

On to wiedział! Ktoś jednak przeżył!

Ilja podjechał pod półkę skalną. Maszyna wyrznęła bokiem w coś miękkiego i sprężystego. Bryznęła fontanna krwi zmiażdżonego stwora.

Niczym skrzydła nietoperza rozpostarły się poły stalkerskiego płaszcza. Człowiek zeskoczył z gzymsu na kombajn i ledwie utrzymał równowagę na huczącej maszynie.

Ilja otworzył włącz do kabiny:

– Tutaj! Szybciej!

Człowiek wpadł plecami do wnętrza pojazdu, odbijając się od czegoś rękami i nogami.

Coś ciemnego, długiego, grubości pięści chciało już wepchnąć się za nim. Ilja wykopał nogą wijącego się robaka.

Ocalony zatrzasnął z łoskotem drzwi pojazdu. Światło deski rozdzielczej i odbłaski reflektora na oślizgłych wilgotnych cielskach wystarczyły Ilji, żeby...

Żeby zobaczyć i rozpoznać.

Jego wzrok padł na prawą dłoń nieznanego na kłamce drzwiczek. Tę znajomą dłoń, przy której brakowało dwóch palców. Małego i serdecznego.





## Rozdział 17 | Saper

Kombajn, warcząc, stał w miejscu, a jego reflektor wysłał snop światła w ciemność. Ilja na jakiś czas zapomniał o podziemnej gadzinie i o mrówańcy, i w ogóle o całym świecie. Patrzył w otępieniu na dłoń o trzech palcach, która zaciskała się na kłamce drzwi.

Saper?! Ale jak?! Dlaczego?! Skąd?! On przecież... Przecież go...

Duch!

Takie było pierwsze i chyba najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Czyżby podmetro rzeczywiście zamieszkiwali umarli? Czy...

Czy ma jednak przed sobą żywego człowieka, z krwi i kości?

W kabinie kombajnu nie było zbyt wiele wolnego miejsca i gość o trzech palcach, odwracając się niezgrabnie, mocno szturchnął Ilję łokciem. Nie, on nie jest bezcielesny. Sprytny mieszkaniec podziemi nie przypominał też zombie, który wstał z grobu.

Zresztą Saper nie mógłby być żywym trupem. Bo nie było ciała, które mogłoby ożyć. Przecież Saperą rozszarpały i pożarły mutanty. Jeśli... Jeśli rzeczywiście go rozszarpały i pożarły...

W końcu nie było świadków...

I jeśli to rzeczywiście był Saper, a nie ktoś inny.

– Dziękuję, braciszku, za pomoc – na granicy słyszalności zabrzmiał cichy znajomy głos z przeszłości. – A już myślałem, że to koniec i po mnie.

Saper!

To był Saper! Żywy...

Ocalony ani razu nie spojrzął w jego stronę. Ilja widział tylko tył jego głowy i odrzucony na plecy stalkerski kaptur. Jego twarz był zwrócona w stronę okienka w drzwiach, w które, niczym coś na kształt ogromnej kiełbasy, waliła czy to macka, czy to ogon nieznanego stwora. Cielska innych podziemnych potworów oplatały unieruchomiony pojazd.

– Wyłącz światło i zgaś silnik – rzucił człowiek o trzech palcach przez ramię, nadal nie odwracając się do Ilji. – Przyciąga je światło i dźwięk.

Dopiero teraz Ilja zdołał wydusić od dawna wrywający mu się z ust i tkwiący wciąż w gardle krzyk nienawiści.

– Saper! Saper!!!

Choć krzyk ten okazał się ledwie słyszalny, ochrypły, ściśnięty i podobny do jęku, człowiek o trzech palcach odwrócił się gwałtownie w jego stronę.

To on! Na pewno on! Brudna, zarośnięta, ale rozpoznawalna twarz. Cienkie usta, wąskie czoło, nos jak kartofel, wyłupiaste oczy. Bezczelne i pewne siebie.

W słabym rozproszonym świetle deski rozdzielczej twarz Sopera zdawała się trupiozielonkawa. Ale Ilja już wiedział, że ma przed sobą nie umarłego, lecz żywego człowieka. Wciąż jeszcze żywego. To była ta czarna owca w rodzinie, która nie zasługuje, by żyć. Która koniecznie musi zdechnąć.

– To ty?! – Saper też go poznał. – Mag?!

Kombajn zatrząsł się od ciosów z zewnątrz. Żywy kłęb podziemnych potworów owijających pojazd kołysał i obracał go z boku na bok. Silnik pracował na jałowych obrotach, światło reflektora przesuwano się po przeciwległej ścianie. W plamie światła migotały grzbiety, boki, kończyny, głowy i pyski stworów. Ale dwaj ludzie w kabinie nie patrzyli na podziemne monstra. Patrzyli na siebie.

Po co ja go tu wpuściłem? – pytał sam siebie Ilja. – Po co?! Po co?! Po

co?!

– Posłuchaj, Magu – pierwszy odezwał się Saper.

Ilja nie miał ochoty słuchać.

– Saperrr! – wydał z siebie stłumiony ryk, próbując sięgnąć draniowi do gardła.

– Cicho, cicho, cicho! – Pod płaszczem Sapera pojawił się pistolet.

Zgrzyt zamka, szczęk bezpiecznika – i zimna lufa makarowa dotknęła czoła Ilji.

– Nie rób głupstw! Gaś maszynę, póki nas nie zeżarły razem z nią. Rozmawiać i wyrównywać rachunki będziemy później.

Kombajnem szarpnęło wyjątkowo mocno. Ciężka maszyna omal nie przewróciła się na bok.

Ilja spojrzał ukradkiem i w świetle reflektorów dojrzał coś, co przypominało gigantyczną stonogę. Szerokie, owalne i wypukłe od góry posegmentowane ciało. Bezbarwny chitynowy pancerz, którego wydłużone płyty zachodziły jedna na drugą. Sześć par nóg. Z przodu długie czułki. Z tyłu dwie ogonowe wypustki.

Jeszcze jedno szarpnięcie...

Przygniatając pozostałe stwory, stonoga zwała się na kombajn, ruszyła go z miejsca, przycisnęła do ściany. Chwilę później zgrzytające chitynowymi płytami brzuszysko przykryło kabinę i zasłoniło widok. Dach wygiął się pod ciężarem. Po grubej przedniej szybie, przebitej już przez kulę, rozeszły się pęknięcia. Odłamki stalaktytów i kamienie załomotały o blachę. Wyglądało na to, że poczwara wlaźła na kombajn i zwała gzyms, z którego zeskoczył Saper.

– Gaś silnik, Mag! Słyszysz?! – lufa pistoletu boleśnie nacisnęła mu czoło. W głosie Sapera pojawiły się histeryczne tony. – Liczę do trzech! Raz...

Stwór przewalał się nad nimi, gniotąc dach kabiny, z góry sypały się kamienie i ziemia, grzebiąc pod sobą stonogę i kombajn.

– Dwa!

Saper trzymał pistolet obiema rękami, a mimo to lufa lekko drgała.

Jego twarz była wykrzywiona. Oczy – pełne przerażenia. Mówiły: „zaraz strzelę!”.

No dobra... Ilja uśmiechnął się do wystraszonej twarzy Sopera. Mało prawdopodobne, żeby udało im się ująć stąd z życiem, ale jednak przykro byłoby zginąć pierwszemu i nie zobaczyć śmierci tej kanalii. A on musi się upewnić, musi wiedzieć na pewno, że tym razem Saper zdechnie. Z tego powodu można odłożyć zemstę.

Nie zrezygnować, a tylko opóźnić. Na razie... Nie na długo...

Ilja wyłączył zapłon.

I wszystko inne.

Światło zgasło. Silnik umilkł. Świder się zatrzymał.

\* \* \*

I znów egipskie ciemności dookoła.

I wijące się cielsko na górze, pod którym żałośnie jęczy metal. I słaby, ledwie słyszalny zza zwału ziemi chrobot pozostałych stworów. I śmiertelny wróg na wyciągnięcie ręki. Sopera nie było teraz widać. Ale było słychać, jak oddycha.

Saper odsunął lufę od czoła Ilji, jednak raczej nie zabrał broni daleko.

– Słuchaj, Saper – zaczął Ilja.

– Ciii – psyknął na niego głos z ciemności. – Mów ciszej. Te stwory reagują na dźwięk.

Rzeczywiście, gigantyczna stonoga znów poruszyła się nad nimi niespokojnie.

Ilja zniżył głos:

– Na co jeszcze reagują?

– Na ruch, wibrację, światło i zapach.

Cóż, Ilja i Saper niemal się nie ruszali. Silnik nie wibrował. Światła też już nie było. Zapach? Zapewne ostry swąd spalin, paliwa i oleju silnikowego, którym przesycony był kombajn, zagłuszał zapach żywych ludzi. Ale nie całkowicie: stonoga, która przykryła maszynę swoim cielskiem, na razie nie miała zamiaru odpełznąć.

– Ten mur w przejściu za jaskinią – odezwał się półgłosem Ilja. – Chronił przed tą... gadziną?

– Chronił – odparł Saper. – I, jak widzisz, były powody, żeby was tam nie wpuszczać.

Cóż, teraz było jasne, dlaczego bobaki tak zaciekle broniły tej pieczary. A dlatego, że kryła się za nią śmierć. Dla wszystkich.

– Jakim trzeba być idiotą, żeby zburzyć ten mur – wysyczał Saper. Wciąż rozmawiali szeptem. – Teraz trzeba będzie czekać, aż stwory odpełzną.

– Chyba że się nie doczekamy – splunął Ilja.

– Odejda... Kiedy pożą wszystko, co się da – ledwie słyszalnie odparł Saper.

– Moim zdaniem gadzina pożarła już tu wszystkich... Oprócz nas.

– Siebie nawzajem zjadają z równą ochotą – mruknął Saper. – A tu jest pełno rannych i rozjechanych stworów. Dopóki jest łatwa zdobycz, gadzina się stąd nie wyniesie.

– A potem? Dokąd stwory pójda potem?

Zanim nadejdzie odpowiednia chwila i uda się wykończyć Sopera, Ilja chciał wyciągnąć z niego maksimum informacji.

– Jeśli nie znajdą pożywienia w górnych chodnikach, wrócą do wody.

– A jeśli znajdą?

Ilja pomyślał o mieszkańcach niebieskiej linii, dla których podmetro było teraz jedynym ratunkiem przed mrówianczą.

– To znaczy, że zostaną na górze. Dopóki jedzenie się nie skończy... Potem, tak czy owak, zejdą do siebie, na dół.

– A tam, co żrą?

– Nie orientuję się. Może siebie nawzajem. Może coś, co jest jeszcze głębiej... Nie pchałem się tam.

– A wiesz, co to w ogóle jest ta gadzina? Skąd się tutaj wzięła?

– Nie, nie wiem – szepnął z rozdrażnieniem Saper. – Była tu pewnie zawsze, bracie...

Bracie?... Bracie?! Ilja poczuł ból w piersi, zahuczało mu w skroniach. O niczym innym nie mógł już myśleć.

– No więc... – wycedził Ilja przez zęby. – W takim razie opowiedz mi no o tym, co wiesz na pewno...

Nadeszła pora, żeby porozmawiać o ważniejszych sprawach...

Cichuteńki, ledwie słyszalny śmiech zdradził nastrój Sopera:

– Jak udało mi się ocaleć i co tutaj robię?

Ilja skinął głową, zaciskając pięści i wstrzymując oddech. Niech powie, jak się wykaraskał. A potem niech zdycha.

– Kiedy ci z Ordżonikidze wyrzucili mnie z metra w masce przeciwigazowej ze starym filtrem i z jednym nabojem w broni, mógł mnie ocalić tylko cud... – zaczął Saper swoją opowieść.

Pomilczał przez chwilę i zaczął mówić dalej:

– A ocalił przypadek...

\* \* \*

Szczyśliwym zrządzeniem losu okazało się dla Sopera spotkanie z niebieskim stalkerem, który czy to świadomie zabrnął na terytorium czerwonych, czy to

uciekł tu przed mutantami.

Saper zauważył go jako pierwszy. Dalej wszystko poszło już łatwo. Dopuszczać żukojada jak najbliżej i...

Samotna postać na ulicy. Samotny wystrzał z zasadzki. Celny.

Właśnie tak Saper zużył swój jedyny nabój, zdobywając w zamian sprawną maskę przeciwgazową z oznaczeniem niebieskiej linii, obrzyn myśliwskiej dwururki, naboje ze śrutem i umazany krwią, ale solidny stalkerski płaszcz, przestrzelony w okolicy serca. Na dodatek podarty plecaczek wypchany lichymi łupami niebieskiego, wśród których było kilka męskich pisemek z gołymi piersiastymi ślicznotkami, dziecięca książeczka z obrazkami, notes i kolorowe kredki, kilka opakowań pozlepianych landrynek, tabliczka czekolady, damskie tampony, apteczka z jakimiś tabletkami, bandażami i plastrami...

Przeglądając zdobycz, Saper myślał o tym, że nabój do makarowa, łaskawie pozostawiony mu przez ludzi z Ordżonikidze, aby popełnił samobójstwo, został wymieniony po bardzo korzystnym kursie. I, co najważniejsze, pojawiła się szansa na przeżycie.

Po przetrząśnięciu kieszeni trupa i przeniesieniu łupów do niewielkiej piwniczki, gdzie, na jego szczęście, nie było mutantów, Saper przebrał się w ochronny skafander niebieskiego. Krew z jego płaszcza wytarł tamponami, otwór po kuli zalepił od środka plasterem, a od zewnątrz pomazał ziemią, tak że praktycznie nie było go teraz widać. Swój płaszcz i maskę przeciwgazową założył nieboszczykowi, położył obok trupa pistolet i odszedł.

W samą porę.

Ukrył się w najbliższym bloku i widział, jak do świeżej krwi zbiegły się mutanty. Martwy stalker został rozszarpany w kilka sekund, a maska i płaszcz Sopera porwane na strzępy razem z żukojadem. Inscenizacja własnej śmierci udała mu się w stu procentach. To na wypadek, gdyby starzy



przyjaciele chcieli upewnić się, że Saper pomyślnie odszedł na tamten świat.

Powrót na czerwoną linię byłby niebezpieczny: wiele osób znało eks-naczelnika Portu Lotniczego osobiście, zresztą okaleczona prawa dłoń za bardzo rzucała się w oczy. A pogłoski o tym, co stało się z jego stacją i jaką rolę odegrał w tych wydarzeniach, z pewnością rozeszły się po całej linii. Mówiąc najogólniej, raczej nie będą mu przychylni.

Ale długi pobyt na powierzchni też równał się samobójstwu. Było tylko jedno wyjście.

Saper poszedł na niebieską linię. Wystrzelał po drodze prawie wszystkie naboje i omal nie padł ofiarą panujących w mieście potworów, ale jednak dotarł do Placu Lenina. Nie było wyboru i Saper zapukał do hermetycznych drzwi niebieskiej stacji.

Rozpoznali go. A raczej nie jego. Poznali rzeczy, które miał na i przy sobie. Być może tylko dlatego mu otworzyli.

Jak się wyjaśniło, zabity stalker wybrał się na swoją ostatnią wyprawę właśnie stąd, ze stacji metra Plac Lenina.

– Czołem, Komar! – przywitali Sopera wartownicy. – Wchodź, co tak stoisz?

Saper w odpowiedzi pomachał ręką. W pięciopalczastej stalkerskiej rękawicy jego dłoń o trzech palcach zdawała się całkiem normalna. Znak szczególny odróżniający byłego naczelnika Portu Lotniczego od martwego stalkera o ksywie Komar nie rzucał się w oczy. Jak dotąd...

Przy wejściu niebiescy polali Sopera jakąś mętną pianistą cieczą z zardzewiałych wiader. Ot i cała procedura dezaktywacji. Na szczęście w białych strugach piany nikt nie zauważył dziurki w przestrzelonym płaszczu.

– No i gdzie się szlajałeś tyle czasu, Komar? – dopytywali się natrętnie niebiescy. – Znalazłeś coś ciekawego?

Saper postanowił udawać martwego Komara tak długo, jak się da. Nie zdejmując maski przeciwgazowej z mokrego skafandra ochronnego, w milczeniu rzucił żukojadom plecak.

Strażnicy hermetycznych drzwi wpadli w zachwyt na widok nieprzyzwoitych pisemek i od razu zapomnieli o stalkerze. Nikt nawet nie zwrócił uwagi na to, że Saper zszedł na dół bez zdejmowania stroju. U niebieskich zasady nie były tak surowe, jak na czerwonych stacjach.

Chociaż na dole ktoś jednak do niego zawołał:

– Ej, Komar, co tak w gumie pod ziemią chodzisz?

Saper tylko machnął ręką: spieszę się, później porozmawiamy.

Dzięki Bogu, nikt się go mocno nie czepiał. Stroniąc od oświetlonych miejsc, tak jak stał – w stalkerskim rynsztunku – pomyślnie opuścił Plac Lenina.

Musiał odejść jak najdalej i jak najszybciej. I najchętniej tam, gdzie Komara nie znają tak dobrze i gdzie można niepostrzeżenie pozbyć się cudzej maski przeciwgazowej.

Saper zrobił to w ciemnym tunelu między Placem Lenina i CSM. Wcisnął maskę pod skrzynki wielopiętrowej fermy chrząszczy i naciągnął na głowę kaptur. Pod wielkim stalkerskim kapturem też można ukryć twarz. W każdym razie nie było to w metrze tak podejrzane i nie na miejscu, jak maska przeciwgazowa na gębie.

\* \* \*

Stonoga na górze znów się poruszyła. Żałośnie skrzypnęła chroniąca kabinę metalowa kopuła.

Saper umilkł, czekając. I dopiero kiedy znów nastała cisza, ciągnął:

– Miałem szczęście jeszcze raz – wyszeptał ledwie słyszalnie. – Żukojady dopiero co odkopały przejście do podmetra i werbowali oddział

zwiadowców.

– A więc się zapisałeś?...

– Nie miałem wyboru – odparł Saper. – W każdej chwili mogli sobie przypomnieć o Komarze. Zaczęłyby się poszukiwania na całej linii. Poza tym dolne podziemia wtedy jeszcze nie wydawały się takie straszne i łatwo można się w nich było zagubić. W skrócie, powiedziałem, że jestem stalkerem z Orbitalnej i dołączyłem do zwiadowców.

– A potem odłączyłeś się od grupy i zakumplowałeś z bobakami?

– Z kim?

– No, z tymi bezdomnymi, dziećmi podziemia.

– W sumie tak. Chociaż nie stało się to od razu. Na początku wynikły pewne hmmm... nazwijmy to, komplikacje, które trzeba było rozwiązywać na bieżąco. Zeszliśmy dość głęboko pod ziemię, rozdzieliliśmy się na trójki, rozeszliśmy po chodnikach, a potem...

W ciemności rozległ się stłumiony śmiech, tak jakby Saperowi przypomniało się coś zabawnego.

\* \* \*

Podejrzane szepty jego towarzyszy od samego początku mu się nie podobały, dlatego Saper przez całą drogę nie spuszczał palca z kurka i trzymał dwulufowego obrzyna w gotowości. W każdej lufie było po jednym pocisku z grubym śrutem. Ale były to jego ostatnie naboje. Tak więc, gdyby okazało się to konieczne, trzeba było walić do żukojadów raz a pewnie.

Ale Saper wcale nie miał ochoty wplątywać się w strzelaninę. Jeden z idących razem z nim zwiadowców był uzbrojony w stareńki, mocno zdezelowany, ale w pełni zdalny do walki karabinek AKS-74U. Drugi ścisnął w dłoni pistolet Makarowa. Solidniejszy arsenał niż obrzyn dwururki. Przy czym i automat, i pistolet co jakiś czas kierowały się w stronę Sopera.

Wyraźnie go pilnowali, raczej nie weźmie swoich towarzyszy z zaskoczenia. Saper postanowił strzelać tylko w ostateczności.

Sumiennie omiatał ciemności światłem wydanej na CSM latarki, ale nie tyle badał podziemia, co obserwował towarzyszy. A ci wciąż szeptali między sobą. Zdawało się, że jeden przekonuje do czegoś drugiego.

– Słuchaj, stalkerze... – zawołali go w końcu. W twarz uderzyło go oślepiające światło dwóch latarek.

– Co? – Saper odwrócił się, robiąc zdziwioną minę.

Trzymał obrzyna lufami w dół, żeby niepotrzebnie nie niepokoić żukojadów. Drugą ręką osłaniał oczy przed światłem. Po prostu istny pocziwina, zaskoczony, niemający pojęcia, o co go podejrzewają.

– Jest sprawa – poinformowali go. – Chcemy coś wyjaśnić.

– A o co chodzi? – Saper uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Długo już ci się przyglądam. – Rozmawiał z nim tylko jeden z dwóch zwiadowców. Drugi na razie milczał. – Tobie i twoim rzeczom. Masz przecież obrzyna Komara. I płaszcz też jest jego.

Saper nabrał już do płuc więcej powietrza, żeby przejechać się żukojadowi po rodzinie, ale tamten przerwał mu:

– Tylko tego... Nie wypieraj się stalkerze. Wiele razy chodziłem na powierzchnię w parze z Komarem. Dobrze znam jego samego, jego broń i manele.

– No i? – Saper po namyśle nie wypierał się.

Drugi niebieski wciąż nie się nie odzywał. Widocznie w krojącej się sprzeczce nie stanął jeszcze po niczyjej stronie. Ale to nie przeszkadzałoby mu trzymać Saperą na muszce.

Ciekawe, trzyma czy nie? Przez bijące po oczach światło trudno to było stwierdzić.

Pewnie jednak trzyma.

– Skąd masz swoją broń i płaszcz? – głos tonem prokuratora zapytał Saper.

– Wymieniłem się – uśmiechnął się ten z miną prostaczka. – Z Komarem.

– Tak? – Światło jednej z latarek przesunęło się z twarzy Saper na jego pierś. – A dlaczego płaszcz jest dziurawy?

A to gad jeden! – przemknęło Saperowi przez myśl. – Jednak dojrzał!

– I dlaczego ta dziura przypomina otwór po kuli? I dlaczego jest akurat w okolicy serca?

Coraz gorzej.

Te pytania były już naprawdę groźne.

– A ja jeszcze słyszałem coś takiego... – niespodziewanie odezwał się drugi żukojad. – Na bazarze w korytarzu między liniami rozpowiadają, jakoby czerwoni wypędzili z metra naczelnika Portu Lotniczego...

Aha, czyli już gadają – pomyślał Saper. – Pogłoski rozniosły się nawet szybciej, niż przypuszczałem.

Saper zastanawiał się gorączkowo, co teraz robić i jak postąpić. Wszystko wskazywało na to, że nie uniknie starcia. Ale nie miał szans na zwycięstwo: wyglądało, że drugi zwiadowca podjął już decyzję, po czyjej stronie się opowiedzieć.

– Do Portu Lotniczego mieli się wdrzeć żabiogłowi – ciągnął niebieski. – A naczelnik stacji porzucił swoich ludzi, sam uciekł i wysadził tunel, tak że żaby wszystkich w Porcie Lotniczym pożarły. I niby właśnie za to wyrzucili go, by zdychał na powierzchni.

– No tak, a jak to się ma do mnie? – starając się, żeby w jego głosie zabrzmiało jeszcze więcej zdziwienia, oburzył się Saper. Ale jego głos zdradziecko zadrżał.

– I temu naczelnikowi miało brakować dwóch palców u prawej dłoni.

– I co z tego? – Saper poczuł, jak po plecach suną mu zimne wężyki.

– Dlaczego nigdy nie zdejmujesz rękawiczek? – dopytywał się wścibski żukojad. – Chowasz tam coś? Ile masz palców u dłoni? Może to ty jesteś tym czerwonym komendancikiem, he, stalkerze? Może nie przyszedłeś do nas z Orbitalnej, tylko z Portu Lotniczego? I może stuknąłeś po drodze Komara i przywłaszczyłeś sobie jego manele?

– Co to za brednie?! – oburzył się Saper. Tak szczerze, jak tylko mógł.

– Połóż obrzyna na ziemi i zdejmij rękawiczkę, stalkerze – nakazał pierwszy zwiadowca.

Cisza. Sekunda, dwie... I w tej ciszy...

Z ciemnej bocznej odnogi dał się nagle słyszeć szelest. Obie latarki w rękach zwiadowców machinalnie poruszyły się w stronę hałasu.

To była szansa! Niewiele myśląc, Saper wypalił w światło latarki ładunkiem śrutu z prawej lufy. Sam rzucił się w ciemność.

Latarka zgasła, jeden z żukojadów zarzęził i upadł.

Drugi zdążył wystrzelić z pistoletu.

Kula z makarowa drasnęła stalkerską rękawicę i rozłupała kolbę strzelby. Gdyby w rękawiczce były palce, Saper by je teraz stracił. Ale kula przeszła tamtędy, gdzie palców już nie było, i wyrwała tylko kawałek gumy.

Saper wystrzelił z drugiej lufy. Na ziemię zwałił się drugi niebieski, naszpikowany śrutem.

W bocznym tunelu znów dał się słyszeć szmer...

Saper chwycił automat zabitego i poświecił w ciemność.

\* \* \*

– To były bobaki? – zapytał Ilja. – Bezdomni?

– Tak w ogóle, to sami siebie nazywają Dolnym Ludem. – uśmiechnął się Saper. – A raczej nazywali. Dla nas, zresztą, też mieli nazwę. Ludzie z Góry... Zabawne, prawda? Ludzie z Góry mieszkający w tunelach i na

podziemnych stacjach.

– Wszystko jest względne – wzruszył ramionami Ilja. – Jeśli pod metrem jest podmetro, to i dół staje się dla kogoś górą.

Wspomniał rozważania Gnata o przesunięciu górnego, środkowego i dolnego świata. Chyba teraz zaczynał pojmować to, czego nie zrozumiał wtedy.

– Krótko mówiąc, udało mi się nawiązać kontakt z miejscowymi aborygenami, którzy nie pałali chęcią wpuszczenia na swoje terytorium obcych – ciągnął Saper.

– Ciebie jednak wpuścili.

– Po pierwsze, widzieli, jak zabiłem innych Ludzi z Góry, i całkiem rozsądnie uznali, że jestem tym wrogiem ich wroga, który może stać się ich przyjacielem. A po drugie przekonująco dowiodłem, że im się przydam.

– I uwierzyli ci? – zapytał z powątpiewaniem Ilja.

– Nie wszyscy. Wódz nie uwierzył.

– I co się stało z wodzem?

– Nagle mu się zmarło – chrząknął Saper. – Ja miałem broń palną. On nie miał. Wszystko stało się szybko. Nikt nawet nie pisnął.

– A potem?

– Potem nie było już więcej chętnych do dyskusji. A kiedy pod moim dowództwem zlikwidowano kilka grup zwiadowczych żukojadów...

– Pod twoim? – zdziwił się Ilja.

– A myślałeś, że kto przez cały ten czas urządzał wszystko tak, żeby ludzie znikali tu bez śladu i widocznych przyczyn? Tak, pułapki, zasadzki i zawały to moja robota. Wszystko odbyło się tak, jak zostało zamierzone. Nieznane niebezpieczeństwo zawsze przeraża bardziej niż jawne zagrożenie. W końcu dopiąłem swego: niebiescy zaczęli bać się schodzić do podziemi. A ja zostałem miejscowym autorytetem. Miałem swoją małą armię, z którą

w zasadzie można było zdobyć każdą stację czy to na niebieskiej, czy to na czerwonej linii. Czym właśnie zamierzałem się zająć.

– I jaką stację...

– Ordżonikidze – odparł od razu Saper. – Na początek potrzebowałem wyrównać rachunki z łajdakami, którzy wysłali mnie, żebym zdechł na powierzchni.

„Wyrównać rachunki” – takie piękne słowa – pomyślał Ilja. Bardzo dobrze rozumiał Saper. On też miał z kimś rachunki do wyrównania. Już niedługo. Kiedy tylko jego rozmówca zdejmie palec ze spustu. Albo popełni inny błąd.

– I jak planowałeś dotrzeć do Ordżonikidze? – zapytał Ilja. – Zamierzałeś przedrzeć się w walce przez całą czerwoną linię? Czy przejść na powierzchnię przez niebieską, potem pokonać ze swoimi kloszardami pół miasta, odganiając mutanty, a następnie wyważyć od zewnątrz hermetyczną zaporę stacji?

Oba plany byłyby w oczywisty sposób skazane na niepowodzenie...

– Wszystko było znacznie prostsze. – Sądząc z brzmienia głosu, Saper wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nawet sobie nie wyobrażasz, Magu, jak rozgałęzione są te podziemia, jak daleko się ciągną i jak blisko podchodzą do metra. W niektórych miejscach znajdują się praktycznie na tej samej głębokości, co ono. Z górnych poziomów można nawet usłyszeć, co się dzieje na stacjach i w tunelach.

Dolny Lud specjalnie przekopał chodniki nasłuchowe i zawsze był zorientowany w tym, co się dzieje na górze. Być może dlatego bezdomnym się tam nie spieszyło i nie chcieli nas wpuszczać do siebie.

Ilja znów przypomniał sobie opowieść Bulby o Grzechocie, którego dreżynę rzekomo słyszano za ścianami metra. Może to właśnie bobaki przebywające w chodnikach nasłuchowych były źródłem tej legendy?



– Nawiasem mówiąc, kiedy kombajn niebieskich po raz pierwszy przebijał przejście do podmetra – ciągnął Saper – w tunelu przy CSM zawałiła się ścianka jednego z takich chodników. Na szczęście było to takie miejsce, że nie zwróciło uwagi – między magazynami stalkerów. Żukojady trzymają tam przydatne, ale niebezpieczne graty. Takie, które mocno promieniują, ale żal je wyrzucić. Tak więc nikt tam nie zachodzi bez szczególnej potrzeby. Dolny Lud szybciotko zastawił wyłom. Ale przejście zostało... Jeśli odsunąć kamienie, można było z niego korzystać.

Ilja przypomniał sobie, jak gonił Sopera, jak stracił go z oczu nieopodal CSM. Jak uznał, że widział ducha, który rozpląnął się w ciemności. Teraz wszystko stało się jasne. Saper po prostu czmychnął przez tajne przejście i skrył się w podmetrze!

– Do czego zmierzam... – ciągnął Saper. – Rzecz w tym, że jeśli się chce, z podmetra można się przebić do dowolnego tunelu i na dowolną stację. Poznanie chodników Dolnego Ludu zajęło mi trochę czasu. Za to teraz wiem, jak najkrótszą drogą dostać się czy to do Ordżonikidze, Orbitalnej, Woroszyłowskiej, czy to do zachodnich stacji. Przy dobrej organizacji ataków i szczęśliwym zbiegu okoliczności można było opanować nie tylko meliny na Ordżonikidze, ale i całe metro.

– Tak ci było potrzebne całe metro? – cichutko gwizdnął Ilja.

– A co cię w tym dziwi? – prychnął Saper. – Pomyśl: masz do swojej dyspozycji wyjścia na powierzchnię w dowolnym punkcie Rostowa, całkowity brak konkurentów, mnóstwo przestrzeni życiowej w metrze i pod nim. – W szepcie Sopera zabrzmiały rozmarzone nuty. – I jesteś praktycznie jedynym panem miasta. Nie fajnie?

– Aha. Tyle że w tym celu trzeba by było uśmiercić masę ludzi – tłumiąc gotującą się w nim nienawiść, z trudem wydusił Ilja.

– Mniej luda, luźniejsza buda – sucho odparł Saper. – Ocaleni mieliby też

więcej wszystkiego, nie tylko miejsca. Naturalna selekcja w warunkach deficytu zasobów i przestrzeni życiowej... No a baby z czasem i tak urodzą nowych ludków – tylu, ilu trzeba. Tylu, ilu mnie byłoby trzeba.

– Normalnie Napoleon z ciebie, sukinsynu – wycedził Ilja. – Z takimi planami...

– Mrówka mi w nich przeszkodziła – zazgrzytał zębami Saper. – Po kiego mi metro, z którego nie można wychodzić na powierzchnię? Były, w zasadzie, dwa warianty. Albo czekać, aż te stwory wyniosą się z miasta... albo...

– Albo?...

– Albo skierować mrówkę do metra – szorstko uciął Saper. – Żeby, że tak powiem, oczyściła okolicę. Tak byłoby szybciej. Prościej. Wiele by to rozwiązało.

– Wychodzi na to, że Gapcio, sam o tym nie wiedząc, bardzo ci pomógł? – powiedział zdruzgotany Ilja.

– Nie, Magu – cichutko, ledwie słyszalnie zaśmiał się Saper. – To ja mu pomogłem. A raczej pomogliśmy sobie nawzajem.

Ilja pokręcił głową, już mgliście domyślając się tego, co powie mu teraz Saper, i nie chcąc słuchać tej zadowolonej z siebie kanalii, poświęcającej życie innych ludzi jak figury szachowe w partii z samym sobą... Ale Saper już mówił:

– To stało się, kiedy w mieście dopiero pojawiła się mrówka...

\* \* \*

„Gość” z góry nie przypominał zwiadowców niebieskich, którzy schodzili tu wcześniej. Szedł sam.

Całkiem sam.

Odważny – pomyślał Saper. – Albo, co bardziej prawdopodobne, głupi.

Saper i kilku bezdomnych siedzących z nim w zasadzce obserwowali dziwnego nieznajomego.

Człowiek z Góry oświetlał sobie drogę nie latarką, lecz uniesionym nad głowę ogarkiem, którego drżący płomyczek troskliwie osłaniał dłonią. Nie miał bronii, ale coś cicho pobrzękiwało mu pod ubraniem. Oczywiście jeśli można było nazwać ubraniem podarte grube płótno workowe, które nie tyle ogrzewało ciało i zasłaniało nagość, co drażniło skórę. Mężczyzna był chudy, bosy i brudny. Gapcio! – poznał Saper. – Przecież to Gapcio Cudaczny!

Spędzał niemało czasu w chodnikach nasłuchowych i niejednokrotnie wychodził na niebieską linię, więc dobrze wiedział, czym żyją i o czym mówią żukojady. Wiedział też o Gapciu. Co więcej, Saper trafił nawet kiedyś na kazanie bożego szaleńca. I oto teraz znów go widział.

Czyli jednak głupek – uśmiechnął się Saper.

A chwilę później nakładające się na siebie obraz Gapcia i wspomnienia o znenawidzonej stacji Ordżonikidze zrodziły nową, nieoczekiwaną myśl. Gapcio mógł się przydać. Trzeba tylko do prostaczka trafić.

Saper nakazał swoim towarzyszom siedzieć cicho i się nie mieszać. Sam wyszedł Cudacznemu na spotkanie.

Widocznie to, jak pojawił się z ciemnego bocznego tunelu, okazało się dla bożego szaleńca zaskakujące.

– A cio, wujaszku! – zawołał ten i odskoczył, omal nie gasząc płomyka świecy. – Przestraszyłeś Gapcia!

– Witaj, Gapciu – starając się mówić jak najłagodniej, powitał Cudaczno Saper. – Nie bój się, nie jestem twoim wrogiem. Jestem twoim przyjacielem. Dokąd zmierzasz?

– Gapcio poszedł szukać umarłych – zaczął zrzędzić prostaczek. – Gapciowi powiedzieli, że pod ziemią umarli chodzą. A ty...

Popatrzył na Saperę z ciekawością i strachem.

– Ty nie jesteś przypadkiem martwy, wujaszku?

Saper zadrżał, słysząc takie pytanko, jednak nie przestał się uśmiechać i zamiast odpowiedzieć, ostrożnie zadał własne:

– A po co ci umarli, Gapciu?

– Dlatego, że żywi żyją marnie. Nie mam już siły z nimi być. Żywi pograżyli się w nienawiści, rozpuście i grzechu. Ludzie pod ziemią stali się bydłętami. Gryzą się ze sobą jako wilki. Jako bestie okrutne postępują.

– Słusznie mówisz, Gapciu – Saper kiwnął głową zachęcająco. – Mądrze myślisz.

Gapcio podniósł na niego wzrok pełny radosnego zdumienia. Wyraźnie nie spodziewał się, że tak szybko znajdzie tu współwyznawcę.

– Słusznie? Mądrze? Gapcio słusznie mówi? Naprawdę tak sądzisz, wujaszku?

– Oczywiście, Gapciu. Być może inni są głusi, ale ja słyszę w twoich ustach słowa Prawdy.

Brudna, zasmarkana twarz Gapcia rozplynęła się w szerokim dziecięcym uśmiechu.

– Prawda! Tak, tak, mówię wszystkim prawdę! Wiem. Ale... – Uśmiech zniknął. Gapcio znów się naburmuszył. – Ale inni tego nie wiedzą. Inni Gapcia nie słuchają. Nie wierzą Gapciowi. Gapcio wyjaśnia, że nadeszła kara boska, że wielka szarańcza została na nas zesłana za nasze grzechy, że trzeba się kajać, póki nie jest za późno, a Gapcia przepędzają, wyklinają, biją. – Szaleniec boży zapłakał: – Za co oni krzywdzą Gapcia? Gapcio chce, żeby wszyscy zostali zbawieni. Choćby po śmierci. A głupi ludzie nie chcą się ratować. Gapcio pomyślał, że jeśli znajdzie umarłych, to będzie mógł zapytać ich o radę, co robić. Może Gapcio coś źle mówi, może sam czegoś nie rozumie? Niech umarli wyjaśnią Gapciowi, jak zyskać zbawienie – oni wiedzą lepiej. I jak to wytłumaczyć żywym. Nie widziałeś tu martwych, co,

wujaszku? – Gapcio rozejrzał się z zakłopotaniem dookoła: – Mówią, że gdzieś tutaj powinni być. Ale Gapcio długo już szedł. O, świeczka wypaliła się do połowy. I nikogo nie ma. Gapcio nie może nikogo znaleźć.

– Możesz uznać, że znalazłeś to, czego szukałeś – uśmiechnął się łagodnie Saper.

Gapcio popatrzył na niego uważnie.

– To ty jednak jesteś martwy, wujaszku?

Saper skinął głową:

– Tak, Gapciu, martwy.

Cudaczny chlipnął i potrząsnął ramionami, przez co pod ubraniem zabrzęczały mu blaszane puszki i drut, które nosił jako pokutne łańcuchy. Gapcio wytarł nos. Cofnął się.

– Naprawdę jesteś martwy, wujaszku? – Gapcio sapnął z niedowierzaniem.

– Naprawdę – zapewnił go Saper.

– A zupełnie jak żywy!

Gapcio bezceremonialnie podniósł świeczkę do twarzy Saper. Ten zasłonił się ręką.

Cudaczny zbladł. Odsunął się:

– Trzy palce! Masz trzy palce u dłoni! Jesteś Saper z Portu Lotniczego, tak? To przecież ciebie wypędzili z Ordżonikidze. I umarłeś potem na powierzchni. Gapcio słyszał. Gapcio wie. Ty naprawdę jesteś martwy, wujaszku...

– Co prawda, to prawda – westchnął teatralnie Saper.

No, dobra, koniec z tymi głupotami. Czas zająć się poważnymi sprawami.

– Słuchaj mnie uważnie, Gapciu – odezwał się twardo i władczo.

– Sssłucham... – wymamrotał szalenie boży.

– Nie na darmo cierpiałeś i głosiłeś swoje kazania. I zostałeś wybrany,

żeby wykonać wolę niebios. A ja zostałem posłany, aby ci o tym powiedzieć.

– Aaa! – tylko tyle zdołał z siebie wyrzucić Gapcio. Jego oczy lśniły.

– Muszę ci też wyjaśnić twój główny błąd.

– Ja... ja... jaki? – wymamrotał Gapcio, jękając się.

– Dużo mówisz i dużo płaczesz, ale mało robisz.

– A co Gapcio powinien robić?

– Nie należy przemawiać do rozumu nierozumnym. Trzeba pomóc ich pokarać.

– Pomóc? – zamrugął Cudaczny. – Pokarać?

– Trzeba otworzyć drogę pomście niebieskiej i wpuścić ją do metra.

– Otworzyć drogę? – powtórzył urzeczony Gapcio. – Wpuścić? – I odsunął się z przestachem. – Ale przecież wtedy wszyscy umrą – wymamrotał zmieszany. – I dobrzy, i źli. I... – Gapcio zrobił obrażoną minę. – I Gapcio też umrze.

– Nie rozumiesz – znów dołał miodu do swojego głosu Saper. – Kto jest bogobojny, tego kara ominie. Tego mrówkańcza...

– Szarańcza – machinalnie poprawił go Gapcio.

– No tak, tego szarańcza nie ruszy.

– Aaa, więc to tak. – Gapcio uśmiechnął się. – Więc to tak będzie? No tak, no tak. Oczywiście, oczywiście. Teraz Gapcio wszystko rozumie. Trzeba wpuścić szarańczę i kto jest godzien ocalenia, ten zostanie ocalony.

– Właśnie tak.

– I gdzie konkretnie trzeba ją wpuścić?

– A gdzie jest w metrze główne siedlisko rozpusty i grzechu, które trzeba oczyścić jako pierwsze?

– Ordżonikidze! – zajaśniał Gapcio. – Tam trzeba wpuścić wielką szarańczę, tak, martwy wujaszku?

– Tam – skinął głową Saper.

– Pójdę! Wpuszczę! – Gapcio aż zatrzęsł się cały z niecierpliwości. Pod workowatym chałatem znów zadzwoniły łańcuchy. – Będę szedł i po drodze głosił kazania, tak jak jeszcze nigdy tego nie robiłem. Postaram się, żeby bogobojnych było choć trochę więcej i żeby nie wszystkich dosięgła pomsta.

– I pamiętaj o najważniejszym: nikt nie może wiedzieć, że widziałeś mnie w tych podziemiach. Inaczej... – Saper zamyślił się przez chwilę. I znalazł właściwe słowo: – Inaczej sam przestaniesz być bogobojny.

\* \* \*

– Z granatów i materiałów wybuchowych przechwyconych od zwiadowców niebieskich zbudowałem bombę, która mogłaby wysadzić zamek zapory hermetycznej – kontynuował swoją opowieść Saper. – Ukryłem ją w puszkach, które Gapcio nosił na sobie. Wyjaśniłem, co i jak należy robić. I wysłałem Cudaczego na Ordżonikidze.

Cóż, teraz było jasne, jak Gapcio wysadził zaporę na Ordżonikidze. I to, jak zdołał przenieść materiał wybuchowy na czerwoną linię, też w zasadzie było jasne. I jak minął posterunki graniczne na stacjach.

Kto będzie sprawdzał nieszkodliwego głupola, którego i tak dobrze zna całe metro? Kto będzie zaglądał pod brudne, śmierdzące łachmany bożego szaleńca? Kogo zainteresują jego zardzewiałe „łańcuchy pokutne”?

– A nie bałeś się, że Gapcio jednak nie utrzyma języka za zębami i komuś o tobie opowie? – zapytał Ilja.

Przecież właśnie tak się stało. Prawie... Na Selmaszu Gapcio wspomniał Ilji, że widział człowieka o trzech palcach. Chociaż główny warunek byłego naczelnika Portu Lotniczego mimo wszystko spełnił – nie przyznał się, że spotkał właśnie Saperę. I nie powiedział, że do owego spotkania doszło w podmetrze.

Saper prychnął w ciemności:

– Czego tu się bać? Nawet gdyby ktoś uwierzył szaleńcowi, który rzekomo widział umarłego w podziemiach, to tylko odebrałoby ciekawskim kretynom ochotę, żeby kolejny raz się tutaj pchać. Miałem przemyślane wszystkie możliwości.

– Pomysłowy z ciebie łajdak, Saper!

Ilja ostrożnie, starając się nie hałasować, nieco się uniósł.

Saper wyczuł niebezpieczeństwo.

– Nie wierć się, brachu ... – wysapał groźnie. – Uspokój się.

Uspokoić się? Przed oczami Ilji pojawiły się czerwone plamy. Wszystko, czego teraz chciał, to utopić tego potwora w jego własnej krwi. „Brachu”... Znalazł sobie, taka jego mać, brata, padalec!

Ryknął i uderzył w ciemność, na oślep, w stronę głosu. Pięść rąbnęła w metal, rękę przeszył piekielny ból.

Stonoga nad nimi poruszyła się.

– Ciszej! – O jego głowę znów oparła się zimna lufa. – Nie zmuszaj mnie... I nie drażnij stwora. Nie wiem jak ty, ale ja chciałbym jeszcze pożyc.

Pożyć? Ilja wyszczerzył kły:

– A figa! Zdechniemy razem!...

Spróbował zanurkować po pistolet, ale Saper jakby tylko na to czekał. Na ciemię Maga spadło silne uderzenie. Ilja zwałił się na podłogę jak worek i dyszał ochryple, szeroko otwierając usta.

Saper trafił go rękojęścią pistoletu.

– Odpocznij sobie – wysyczał ze złością Saper. – Jeśli nie powstrzymałem tego cholernego kombajnu, to jeszcze nie znaczy, że nie dam rady uspokoić ciebie.

– Nie powstrzymałeś? Kombajnu?... – Ilja szamotał się na podłodze ciasnej kabiny, próbując się podnieść. A więc w tym rzecz. No cóż, niech sobie ten maniak mówi, niech się chwali... Żeby tylko się rozluźnił, żeby



tylko dał mu jeszcze jedną szansę. Ostatnią. A tymczasem Saper kontynuował:

– A kto, według ciebie, zniszczył świder w maszynie? Żal było psuć kombajn – mógł się jeszcze przydać, ale zupełnie nie było mi potrzebne, żebyście się tu przedarli. A jak myślisz, kto zawalił chodnik przy wejściu do podmetra?

– Ty?

– Aha. Nawiasem mówiąc, przejście obok stalkerskich magazynów też ja zawałam. Póki mrówańcza nie przedarła się z czerwonej linii na niebieską, podmetro trzeba było porządnie odizolować od metra.

– Tak jak odizolowałeś Port Lotniczy, kiedy uciekłeś ze stacji? – wycedził Ilja.

– Każdy ratuje swoją skórę, jak może.

– Widzę, śmieciu, że bardzo sobie cenisz swoją skórę. I tylko ją! – Głos Ilji wzmagął się, dźwięczał od nienawiści.

Przygniatająca kombajn stonoga znów się poruszyła, sprawiając, że ciężki pojazd zaczął zgrzytać i skrzypieć.

– Zamknij się! – sapnął wściekle Saper. – Kiedy mutanty pożerały niebieskich, też przecież siedziałeś sobie w kabinie!

– Ja nie... Ja...

– Tak to było, brachu.

– AAAA!!!

Ilja na oślep rzucił się na Saperę.

Rozległ się wystrzał.

Kula gwizdnęła mu obok ucha, odbiła się i trafiła w szybę.

Potwór nad nimi porządnie się rozjuszył. Ostre pchnięcie wstrząsnęło i omal nie przewróciło pojazdu. Żałośnie zaskrzypiał metal. Pękła boczna szyba w drzwiczkach.

I jeszcze jedno uderzenie. I znów. Gigantyczna stonoga bawiła się pojazdem jak kociak piłeczką. Ilja wyraźnie usłyszał głucho łupnięcie i jęk Saper. Wydawało się, że łajdak solidnie wyrznął głową o metal. Ilji udało się przechwycić rękę przeciwnika, gwałtownie wykręcić nadgarstek i wyrwać mu pistolet. Dłoń o trzech palcach nie zdołała utrzymać broni. Saper wydał stłumiony okrzyk. Ciosy z zewnątrz wzmogły się. Ale Ilja trzymał już makarowa w prawej dłoni. Lewą złapał Saper za gardło.

I przyłożył do skroni łajdaka lufę.

– A więc teraz możemy zakończyć rozmowę.

## Rozdział 18 | Królowa

Pojazd chwiał się od uderzeń. Kabina trzęsła się jak szalona, ale nic nie mogło zmusić Ilji, by zwolnił uścisk.

– Nie rób głupot, Mag! – wychrypiął histerycznie Saper. – Nie strzelaj!

Szkoda, że to się stanie w ciemności. Na koniec Ilja bardzo chciałby popatrzeć na tę przerażoną mordę. A tak – raz i już. I już?

– Nie strze-laj Ma-gu...

– Nie strzelać? Jest choć jeden powód?

Lufa pistoletu opierała się o czaszkę drania. Język spustowy pod palcem wskazującym aż prosił: Naciśnij mnie, no, naciśnij! Ale palec z jakiegoś powodu nie ciągnął za cyngiel. I nie chodziło wcale o upojenie zemstą czy chęć, aby przedłużyć przyjemność i nieco odwlec ten długo wyczekiwany moment. Ilja nie czuł teraz ani upojenia, ani zadowolenia. Czuł tylko zmęczenie i pustkę.

Więc o co chodziło? W czym tkwił szkopuł?

– Dlaczego nie mam strzelić do drania, przez którego straciłem rodzinę? Po co miałbym wybaczać zwyrodnialcowi, który uśmiercił całą stację? W jakim celu mam pozostawić przy życiu tego, kto wpuścił mrówańczę do metra?

I kto skazał na śmierć moją nową – ostatnią już – rodzinę!

– Ja wpuściłem jedno stwory, ty wpuściłeś drugie – wysyczał Saper.

– Łajdak!

I znów Ilja nie wystrzelił. Wyrznął tylko Saperę z rozmachem rękojeścią pistoletu w głowę. Cios w ciemności był nieprecyzyjny, ześlizgnął się. Saper krzyknął z bólu.

Ilja znów przystawił mu lufę do skroni. Albo do ucha. Albo do policzka. Nie wiadomo...

Kabiną trzęsło. Ilją też. Coś przeszkadzało mu po prostu nacisnąć spust. Nie litość i nie tak szumnie zwana szlachetność – do takich typów jak Saper nie dało się zastosować ani jednego, ani drugiego. Jakaś niewyraźna, nie do końca ukształtowana myśl. Z jakiegoś powodu Saper był mu potrzebny. Żywy. Ale po co? Po co? Jaką korzyść może mu dać ta miernota?

– Zaczekaj! Posłuchaj... – mamrotał Saper. – Przecież sam mogłem cię zastrzelić u żukojadów, kiedy ścigałeś mnie przez tunel.

– Skoro nie zastrzeliłeś, to znaczy, że nie mogłeś. Zarówno tam, jak i tu, po prostu nie chciałeś ściągać na siebie uwagi.

– Mag, przecież nie wydostaniesz się stąd beze mnie! – Saper użył swojego ostatniego argumentu. – Za wami szli bezdomni. Wszystkie oznaczenia, które zostawiał wasz oddział, są zatarte. Nawet jeśli stwory nie pożrą cię od razu, zabłądzisz w podziemiach. I pożrą cię i tak. Później.

Nie, nie w tym rzecz! Ilja potrząsnął głową. Nie dlatego wciąż jeszcze nie strzelił do Saperę.

– A skąd ci przyszło do głowy, że muszę się gdziekolwiek wydostawać? – wychrypiął Ilja. – Jaki sens ma ucieczka stąd, jeśli na górze i tak czeka mrówańcza?

– Jeszcze nie wszystko stracone – przekonywał go Saper. – W podmetrze są ustronne miejsca, w których można przesiedzieć, póki mrówańcza i ta gadzina z dołu będą gryźć się między sobą. Dobrze znam podziemia. Mogę pokazać.

Póki będą gryźć się między sobą... Znam podziemia... Mogę pokazać...

To było to! Ilja wreszcie zrozumiał. Oto, co nie pozwoliło mu sprzątnąć Sopera od razu. Oto, co gdzieś pod spodem cały czas siedziało w nim i dojrzewało. Saper może go zabrać w dowolny punkt podmetra.

A z podmetra można się przedostać na dowolną stację metra. Przecież Saper mówił i o tym.

A mrówańczę i potwory z podziemnych głębin można na siebie napuścić. I Ilja już wiedział jak.

Zaświtała mu słaba nadzieja. Nie, nawet nie. Cień nadziei.

Ilja nie myślał teraz o tym, jak ocalić siebie. Ale pojawiła się możliwość ocalenia innych. Rodziny. Nie umiał już postrzegać ich inaczej. Tamci, inni, pozostawieni na górze i może jeszcze żywi kojarzyli mu się teraz na trwałe z Oleńką i Sieriożką. A Oleńka i Sieriożka – z nimi. Ratując ich, ratował żonę i dziecko, którym w swoim czasie nie zdołał pomóc.

Teraz dostał drugą szansę. Ilja po prostu nie mógł z niej nie skorzystać. Nawet jeśli w tym celu będzie musiał odłożyć na jakiś czas zemstę.

I nawet jeśli trzeba będzie z tej zemsty całkowicie zrezygnować.

To było ważniejsze od osobistych porachunków. A jeżeli nie, to o ich wyrównaniu można pomyśleć później. Jeśli później będzie jeszcze z kim je wyrównywać.

– Saper – odezwał się Ilja głuchym, beznamiętnym głosem. – Odkup swoją winę.

Odsunął pistolet.

Uruchomił kombajn. I włączył reflektor...

\* \* \*

Stonoga, przykrywająca ogromną żywą kołdrą pojazd od świdra do rufy, zdenerwowała się ponad wszelką miarę. Liczne łapy i bezbarwne pancerne płyty skrobały i stukały o metal. Długie czułki usiane włoskami czuciowymi

ślizgały się po powyginanej blasze, obmacując i sprawdzając każdą szczelinę i każdy otwór.

Zgrzytały o karoserię zęby, szczęki, żuwaczki, czy co tam miał zamiast nich ten diabelski pomiot...

Szerokie, płaskie, podzielone na segmenty cielsko stwora kurczyło się i zaciskało niczym ogromne imadło, gniotąc kabinę i trzęsąc pojazdem. Silny rozdwojony ogon walił w gąsienice z taką siłą, że zdawało się, iż za chwilę posypią się koła nośne i ogniwa.

Maszyna mogła się przewrócić w każdej chwili.

Osuwisko z brył kamienia i ziemi, które pogrzebało kombajn i potwora, osypało się, znów ukazując jaskinię. W świetle potężnego reflektora było widać, jak z jej głębin w stronę dźwięku i światła ze wszystkich stron ściągają nieznanne stwory. Ruszała się ziemia, sufit i ściany. Coś padało z góry, coś ześlizgiwało się z ułamanych stalaktytów i rozbitych stalagnatów.

– Co ty wyrabiasz?! – Saper patrzył w przerażeniu to na Ilję, to na pękniętą szybę. – Przestań natychmiast, słyszysz, Magu?! Gaś silnik! W ten sposób nie ukryjemy się przed stworami!

– Ale ja nie chcę się przed nimi kryć – odpowiedział Ilja, nie wypuszczając pistoletu.

– Więc co zamierzasz? – Saper w panice kręcił głową na wszystkie strony.

Stonoga waliła w okna, powiększając pajęczynę pęknięć na grubej szybie.

Od okropnego zgrzytu chitynowych płyt, przebijającego się przez głuchy warkot silnika, bolały zęby.

– Mówisz, że możesz dotrzeć z tych podziemi do dowolnej stacji metra – powiedział Ilja.

– Po co?! – Saper popatrzył na niego oszalałym wzrokiem, w którym nie było już nic poza zwierzęcym przerażeniem. – Po co chcesz jechać do

metra?! Mrówka i tak niedługo przedrze się na niebieską linię. Jeśli już się nie przedarła...

– Nie zrozumiałeś mnie, Saper – uśmiechnął się Ilja. – Ja chcę na czerwoną...

– Co?! Zwariowałeś?!

– Woroszyłowska – oto, gdzie chcę pojechać.

Twarz Sopera trzęsa się czy to ze strachu, czy to od wibracji kabiny.

– Ale przecież tam jest...

– Gniazdo matki mrówkaczy – skończył za niego Ilja. – Chcę złożyć wizytę królowej. I przyjdę do niej w gości nie sam.

Ruchem głowy wskazał na gadzinę.

– Mag, przecież my tam zdechniemy! – jęknął Saper. – Obaj!

Tak, tak właśnie będzie. Najprawdopodobniej. Znaleźć się w samym środku nawalanki między mrówką i podziemnymi potworami, i przeżyć – na to nie można było mieć nadziei.

– Zdechniemy – ze znużeniem zgodził się Ilja. – Ale nie na próżno.

Bardzo chciał w to wierzyć.

– I-dio-ta! – wrzasnął mu nagle w twarz Saper. – Z ciebie jest ostatni i-dio-ta, Mag! Jesteś gorszy od Gapcia!

Ilja w odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

Kto tu jest od kogo gorszy – oto jest pytanie. Ale to pytanie jest teraz bez znaczenia. Znacznie ważniejsze jest teraz co innego.

– Więc pokażesz mi drogę do Woroszyłowskiej, Saper? – zapytał Ilja.

– A idź ty! – splunął Saper. – Lepiej już zastrzel mnie od razu.

Jego rozszerzone, szkliste oczy nie spoglądały już na Ilję. Saper patrzył na trzęsące się chitynowe brzuszysko stonogi oraz oplatający kombajn kłęb jaskiniowej gadziny.

– Dobra – wzruszył ramionami Ilja. – Jak chcesz.

Spojrzał z zadumą na pistolet.

Saper znów odwrócił się w jego stronę.

– Nie strzelisz, Magu – po wąskich wargach Sopera przemknął uśmiech.

– Skoro nie strzełeś od razu, to i teraz tego nie zrobisz. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. W końcu mnie potrzebujesz.

– Strzelać nie będę – zgodził się Ilja. I jednocześnie zaproponował: – Ale nie jesteś mi potrzebny. Po prostu wyrzucę cię z kabiny.

Saper wydał z siebie zdławiony chichot.

– Nie blefuj. Teraz na pewno tego nie zrobisz.

Zdawało się, że szalejąca stonoga za moment zerwie dach kabiny. Pozostałe poczwary już oplatały gąsienice.

– Tak myślisz? – Trzymając Sopera na muszce, Ilja sięgnął do klamki od drzwi.

– Wyciągną cię stąd razem ze mną. – Głos Sopera zdradziecko drgnął.

I co? – pomyślał Ilja. – Co stracę, jeśli już i tak wszystko stracone?

– I co, Saper? Co z tego?

Ilja nacisnął na klamkę. Szczęknęła blokada. Drzwi się uchylily. Troszkę – dosłownie odrobinę. Przez powstałą szczelinę do kabiny natychmiast wślizgnął się czulek stonogi. Włochaty białawy wąż dotknął nogi Sopera.

Jak się okazało, to wystarczyło.

– Neeee!!! – Saper, w mgnieniu oka tracąc hart ducha i spokojną minę, wczepił się w klamkę. Obiema rękami. Wszystkimi ośmioma palcami. Nie myśląc już o groźbie otrzymania kuli w głowę, zatrzęsł drzwi.

Odcięty czulek wił się pod dźwigniami i pedałami.

Stonoga, do tej pory milcząca, dała głos. Jaskinię wypełnił dziwny urywany dźwięk podobny do skrzeczenia ptaka ze zmiążdżonym gardłem. Łapy stworza gorączkowo zaskrobały w drzwi, jakby starając się je zaczepić i wyrwać.



– Dobra, Magu, niech cię szlag – westchnął Saper. – Choćby na Woroszyłowską, choćby do samego piekła, tylko spadajmy stąd!!

Jego twarz była niczym pobielona ściana, po której spływa woda z przeciekającego dachu.

– Jak mam jechać?

– Najpierw wyjeżdżasz z jaskini. Potem w prawo i w górę. Potem...

– Na razie wystarczy – przerwał mu Ilja.

Wysunąć się spod stonogi i wyjechać z rojącej się od stworów pieczary wydawało mu się niełatwym zadaniem. Nie miał pewności, że to się w ogóle uda, więc dalsze wytyczne przymusowego nawigatora mogły zaczekać.

\* \* \*

Ilja uruchomił świder w chwili, kiedy miotająca się po kombajnie stonoga wpakowała się na niego brzuchem.

Czyli wtedy, kiedy należało.

Utkana obracającymi się ostrzami głowica zazgrzytała po chitynie, wyrwała parę tylnych płytek pancerza, rozpruła cielsko stwora, nawinęła i wyrwała z korzeniami jeden z jej dwóch ogonów. Stonoga znów zaskrzeczała z bólu.

Bezbarwna krew, śluz i poszatkowane mięso bryznęły spod świdra na wszystkie strony. Do rozchlapywanych tkanek natychmiast pospieszyły mniejsze stwory.

Nadziana na świder stonoga najpierw wygięła się w pałąk, potem odwrotnie, zwinęła się w kłębek i ześlizgnęła z kombajnu.

Ilja, nie wyłączając świdra, dodał gazu.

Silnik zawył z wysiłkiem. Maszyna jednym szarpnięciem wyskoczyła z formującego się wokół niej zwartego pierścienia cielsk. Zmiażdżyła je gąsienicami.

Wirującym świdrem niczym taranem kombajn torował sobie drogę poprzez żywą ścianę. Gąsienice grzęzły i buksowały. Na pękniętą szybę leciały jakieś strzępy, odłamki chityny, oderwane kończyny, macki i lepka ciecz. Pojazd pozostawiał za sobą warstwę stratowanego i rozszarpanego mięsa, chciwie pożeraną przez splezające zewsząd stwory.

Jednak udało im się dotrzeć do wyjścia z pieczary. Ilja wyłączył i opuścił zasłaniający widok świder. Z umazanych śluzem ostrzy kapało coś lepkiego i ciągliwego. Po szybach ściekały tłuste kleksy.

Gdzie według Sopera trzeba skręcić?

W prawo i w górę...

Ilja skręcił. I prawie od razu natknął się na kolejne rozwidlenie.

– Dokąd teraz?! – zapytał Sopera.

Ten siedział nieruchomo z wykręconą szyją i przez tylną szybę obserwował to, co dzieje się za rufą.

– Soper?! – Ilja szturchnął go lufą pistoletu. – Dokąd?

– Hę?! Co?! – Soper zamrugał zmieszany. – Teraz w lewo. Potem prosto i na kolejnym rozwidleniu jeszcze raz w prawo. Mag, zdajesz sobie sprawę, że one – Soper wskazał głową do tyłu – będą nas ścigać aż do końca?...

– Tego właśnie potrzebuję. Najważniejsze, żeby nie zostawały daleko w tyle.

\* \* \*

Ryk silnika. Gdzieś na zewnątrz brzęczał metal. Jęczała nadwerężona przez stonogę kabina. Ilja nie bez trudu wykonał kolejny manewr. Ciężka i, prawdopodobnie, uszkodzona maszyna nie była zbyt posłuszna. Nie miał wiele doświadczenia w prowadzeniu takich podziemnych „czołgów”. Kombajn ocierał się gąsienicami o ściany, wpadał na występy skalne, niszczył narośle na podłożu i sklepieniu, zmiatał przeszkody i wpadające mu

pod gąsienice głązy. Stalowa maszyna mogła w każdej chwili zawalić sklepienie. A Metrostroj, jak pamiętał, mówił, że to ryzykowne.

Ale jak na razie, dzięki Bogu, sklepienie się trzymało.

Ilja wyciskał z pojazdu, ile się dało. Kombajn poruszał się z największą możliwą prędkością.

Pokonując kolejny prosty i dość szeroki odcinek, Ilja zaryzykował spojrzenie w tył. W krwistoczerwonym świetle mocnych tylnych lamp i chmurze pyłu udało mu się nawet co nieco dojrzeć.

Trwał pościg za nimi. I to jaki! Na przedzie, dosłownie kilka metrów od kombajnu, przebierając krótkimi grubymi łapami i wlokąc po ziemi rozpruty brzuch, posuwała się wciąż ta sama przerośnięta stonoga.

Żywotna zaraza! – przemknęło mu przez głowę.

Po smudze śluzu pozostawionej przez rannego potwora nieprzerwanym strumieniem waliły inne słabo widoczne w ciemności stwory. Pełzały po ziemi, po ścianach, po suficie, po grzbietach i łbach sąsiadów.

Zastęp demonów, które wyrwały się z samego dna piekła.

Jakby gdzieś puściła tama i w podziemia chlusnęła woda.

Przyciągnięte przez hałas i wibracje silnika, światło i śluz sączący się z cielska rannej stonogi, splecione ze sobą nawzajem stwory przepychały się przez ciasne chodniki.

Czyżby już pożarły wszystkie te, które porozgniatałem w jaskini? – zdumiewał się Ilja. – Czy w pogoń rzuciły się tylko te, którym nie trafiła się zdobycz?

– W lewo i w górę... W prawo... prosto... teraz, o, w to dalsze rozwidlenie... Znowu w prawo... Znowu w górę... Prosto... prosto... – Saper przybitym, pełnym przeczucia klęski głosem wskazywał drogę. Wyglądało na to, że nie wierzył, iż w ogóle uda im się dostać do czerwonej linii.

Czasem z bocznego tunelu albo gdzieś ze sklepienia rzucały się na nich

jakieś stworzenia: gadzina, która czy to wypełzła z jaskini wcześniej od pozostałych i dlatego była z przodu, czy może wyprzedziła pojazd nieznanymi okrężnymi drogami. Ale pojedyncze stwory były kombajnowi niestraszne. Gąsienice miażdżyły ciała, których Ilja nie zdążył spostrzec. Rozgniecione na ziemi zwłoki na chwilę zatrzymywały prześladowców.

Ale był to czas bardzo krótki: mnóstwo paszcz w mgnieniu oka pożerało dygocące cielska.

Potem pogoń była wznawiana.

Stonodze brakowało miejsca, żeby wyprzedzić kluczący po wąskich chodnikach kombajn. Stwory, które szły za nią, też w żaden sposób nie mogły wyrwać się naprzód.

– W prawo i w górę... – mamrotał Saper. – Teraz prosto... W lewo... W lewo! Ej!

Za oknem lewych drzwiczek rzeczywiście przemknął występ skalny zasłaniający niewidoczną odnogę. Zatrzymać się? Spróbować zawrócić? Wrzucić wsteczny bieg? Nie, za późno. Przeskoczyli już ten zakręt. A natrętny pościg pozbawia ich swobody manewru.

– Dobra, jedziemy objazdem... – machnął ręką Saper. – Tutaj można... Prosto... teraz w lewo. Nie przegap, Mag... Tak, teraz jeszcze raz w lewo i w górę...

Gigantyczna stonoga przypominała psa, który ściga uciekającego człowieka i od czasu do czasu podgryza go w pięty. Czasem udawało jej się sięgnąć kombajnu, o czym świadczyło głośne dudnienie o rufę, ale jak dotąd nie zatrzymała jadącego pojazdu, ani na niego wlaźła.

Któryś spośród robali spróbował zaatakować samą stonogę, jednak ranny potwór nie stracił jeszcze sił i smagał bezczelne stwory swoim jedynym ocalałym ogonem. Pechowców odrzucało z powrotem do ścigającej hordy, gdzie znikali bez śladu.

\* \* \*

– W prawo... W górę... Prosto... Znów w górę... W lewo... Jeszcze raz w górę... – poprzez wycie silnika dobiegał głos Saper. Ilja posłusznie wypełniał wszystkie polecenia „pilota”. – Teraz prosto... Prosto... Prosto...

Prosto przed nimi był ślepy zaułek.

– Prosto... – powtarzał jak nakręcony Saper.

Ślepa uliczka.

Światło reflektora nie znajdowało żadnej niszy, czy śladu otworu.

– Prosto...

– Jak to prosto?! – wybuchnął Ilja. – Przed nami jest ściana! Nie widzisz, czy co?!

– Widzę, Magu, widzę. Za ścianą jest czerwona linia. Woroszyłowska.

– No, uważaj, jeśli mnie oszukałeś – wylecisz z kabiny! Nie mam nic do stracenia.

Saper znów się obejrzał za siebie.

– Ja też – wydusił ze smutkiem.

Ilja podjechał kombajnem do samej ściany i włączył świder.

Przymusowy postój... Teraz wszystko zależy od grubości muru, mocy świdra i uczciwości Saper. Od niego, Ilji, nie zależy już nic.

Wyjące, wirujące z szaloną prędkością ostrza i wiertła wgrzyły się w przegrodę. Na boki, na dach i za kombajn bryznięła fontanna grud ziemi i fragmentów rozdrobnionej skały.

Stworów za ich rufą to jednak nie powstrzymało. Pogoń dościgła maszynę. Poprzez gęste spaliny i zasłonę pyłu na wibrujący korpus zaczęły włązić mutanty.

Jako pierwsza – gigantyczna stonoga. Pozostałe – za nią, po niej, pod nią, obok...

Świder zagłębiał się w murze. Na ścianie pokazały się pęknięcia. Ale

żywe kłębowisko już pokryło pojazd. Kłębowisko obrastało we wciąż nowe stwory wypełzające z ciemności. Masa stworzeń pogrzebała pod sobą kombajn i znajdujących się w nim ludzi.

Zza gęstej masy strasznych kotłujących się ciał Ilja nie widział już ani świdra, ani nawet światła reflektora. Teraz wiercił na ślepo.

Znów jęczał metal. Znów pękało wielowarstwowe, odporne na uderzenia szkło. Na zewnątrz coś zgrzytało, drapało, uderzało, syczało, skrzeczało, świszczało...

Pojazdem trzęsło i huśtało, jakby ręce niewidzialnego olbrzyma kołysały kombajnem z boku na bok, próbując wyrwać go ze ściany jak zgniły ząb z dziąsła. Ale ściana już się roz-sy-py-wa-ła...

\* \* \*

Że ściana runęła pod ich naporem, Ilja wywnioskował po ostrym szarpnięciu do przodu. Kombajn razem z oblepiającymi go stworami wpadł nagle w pustkę. W tym samym momencie z otwierającego się przed nimi wyłomu chlusnęła woda.

A już chwilę potem świder natknął się na jakąś nową przeszkodę – dużą, miękką i ustępliwą. Wiertła i ostrza weszły w nią z wilgotnym młaśnięciem.

Ale kiedy tylko to się stało, nieznana siła chwyciła żywy kłęb, w którego centrum znajdowała się pracująca maszyna. Wywaliła go z przebitego wyłomu, podniosła, obróciła, przerzuciła...

Świder pisnął, szorując po czymś twardym i solidnym. Ilję rzuciło na Sopera. Chwilowo kabina znalazła się na dole, a gąsienice w górze. Potem kombajn ocieżale, jak ciężka żelazna kula, przekreślił się na bok. Upadek i silne uderzenie strząsnęły z niego większą część gadziny.

Ale pojazd mocno oberwał.

Silnik zgasł. Świder się wyłączył. Do kabiny posypały się popękane

i rozbite szyby. Dzwoniące, naklejone na folię strzępy wypadły z obramowań. Cudem ocalał i nadal palił się reflektor. W jego jasnym świetle Ilja zobaczył, co dzieje się na zewnątrz.

Saper nie oszukał – byli na Woroszyłowskiej.

W samym środku legowiska mrówańczy.

Powietrze na stacji było wilgotne, przesycone ostrym zapachem owadów. Z góry ciekła i kapła woda. Na dole lśniły kałuże i płynęły strumyki.

Przewrócony kombajn leżał na skraju peronu. Obok, na torach, obracało się, drgało i poruszało krótkimi grubymi łapami przypominającymi krzywe pieńki i kłody rozdęte cielsko – czarne, pokryte szczecina i lśniące od wilgoci, z głęboką szarpaną raną na boku.

Uff-szuch, uff-szuch. Uff-szuch, uff-szuch. Uff-szuch, uff-szuch... – wydawało podobne do jęków dźwięki.

Góra kołyszącego się, ociekającego gęstym ni to śluzem, ni to krwią, mięsa należała do stworzenia tak ogromnego, że w porównaniu z nim nawet gigantyczna podziemna stonoga wydawała się karzełkiem.

Matka mrówańczy... Teraz Ilja widział ją z bliska.

Jak się zdaje, kiedy kombajn przebił się na stację, świder dotkliwie zranił królową i ta w paroksyzmie bólu wypchnęła pojazd razem z przeczepionymi do niego stworami ze swojego legowiska.

W oświetlonym fragmencie otaczającej ich przestrzeni znalazł się także szeroki wyłom, przez który na stację waliła teraz nieprzerwanym potokiem podziemna gadzina.

Ilja dojrzał też coś jeszcze. Na ścianach, suficie na kolumnach i peronie, wśród kałuż i strużek wilgoci bieleły przyklejone do siebie opuchnięte woreczki owalnego kształtu. Nietrudno było się domyślić, co to takiego. Poczwaraki. Potomstwo mrówańczy...

Kilka poczwarek zostało rozgniecionych przez kombajn. Potwory

z podmetra chciwie rzuciły się na jaja mrówańczy. Z jednakowym apetytem pożerały zarówno te uszkodzone, jak i całe. I nie tylko je. Ilja zobaczył, jak ranna stonoga, odczepiwszy się od kombajnu, wgryzła się w drżące cielsko królowej mrówańczy.

Stonoga robiło to, co nie udało się Kozakowi. Zabijała matkę.

Uff-szuch, uff-szuch. Uff-szuch, uff-szuch. Uff-szuch, uff-szuch... – głośno i głucho jęczała królowa.

Oczywiście mrówańcza wściekle atakowała obcych, którzy wtargnęli na jej terytorium. A mrówańczy było tu pełno. Była jej tu wprost niewyobrażalna liczba.

Czyrik-chi, czyrik-chi... Czyrik-chi, czyrik-chi... – Niespokojne i przerażające cykanie niosło się ze wszystkich stron. Szeleściły skrzydła, chrobotwały odnóża, migotały cienie.

Szu-szu-szu-szu. Szu-szu-szu-szu... – Jedne mutanty sypały się z góry na drugie.

Z metra przybywały posiłki. Mrówańcza broniła swojego terytorium, swojej matki i swojego potomstwa. A przybysze z głębin wyłazili i wyłazili przez zburzoną ścianę, czując ostry zapach mrówańczy, słysząc hałas rozgrzebanego mrowiska i widząc jasne światło reflektora.

Pod sufitem Woroszyłowskiej rozgrywała się niezwykła bitwa.

Mrówańcza wczepiała się w szkaradne łby, grzbiety, boki, kończyny i macki gadziny. Kąsała, żądliła. Z kolei głodne podziemne stwory rozgniatały, łamały, rozrywały na kawałki i pożerały atakujące owady.

Lecz mrówańcza miała przewagę liczebną. W mrowisku gadzina nie miała szans. Ale widocznie kompletnie pozbawiona była też instynktu samozachowawczego. Wciąż nowe monstra przeciskały się przez wyrwę i z miejsca przyłączały się do bitwy, przeradzając się w pożeranie poległych i kończącej się ich własną śmiercią.



Wokół chlupotała woda, krew i śluz, w brudnych kałużach pluskały się i miotały wijące się ciała, łapy, ogony, macki, chrzęściła chityna, łamane odnóża i skrzydła mrówańczy. Stwory włąziły, wskakiwały i wlatywały na siebie nawzajem. Syk, świst, skrzek i cykanie wypełniały stację potworną kakofonią i rozchodziły się echem po przylegających do niej tunelach.

A z nich fala za falą waliły świeże hordy owadzich mutantów. Nie licząc się ze stratami, mrówańcza rzucała się na każdego stwora, który wpełzał spod ziemi.

Ilja widział, jak owady oblepiły już ze wszystkich stron stonogę, która żywcem pożerała królową. Stonoga skrzeczała. Jej jedyny ogon szarpał się konwulsyjnie i niczym gruby knut tłukł ciała mrówańczy, ścinał głowy, miażdżył skrzydła i odnóża. Ale mrówańcza pokryła wroga gęstym ruchomym kokonem i rozszarpywała jego rany, wgryzała się w płyty pancerza, wstrzykiwała pod chitynę jad.

Czegoś takiego stonoga nie mogła przeżyć. Ogon poruszył się po raz ostatni. Stonoga zwinęła się w kłębek i, zdaje się, zdechła. Ale w rozdęte, tłuste ciało matki wgryzała się już inna podziemna gadzina, oszalała od obfitości pożywienia.

Uff-szuch, uff-szuch. Uff-szuch, uff-szuch – wzdychała i jęczała królowa. Mrówańcza rzucała się na intruzów. Podziemne stwory się broniły. Zaciekła walka trwała...

\* \* \*

Bitwa stworów toczyła się na ziemi, ścianach, suficie. Wszędzie kotłowała się żywa masa. Trupy zabitych i rannych zwierząt pokrywały Woroszyłowską gęstym dywanem. A nawet chyba dywanami, ułożonymi już w niejedną warstwę.

W którymś momencie Ilji zdało się, że w powszechnej nawalance obie

zmagające się strony zapomniały o kombajnie i znajdujących się w nim ludziach. Ale przeklęta mrówka jakby czytała mu w myślach. Dźwięk drapania suchych, silnych łap po metalu oznajmił, że dwaj drobni ludzie, którzy wpakowali się pomiędzy gryzące się między sobą potwory, też nie wyjdą z tego cało.

Rozbite w drobny mak szyby nie mogły już ochronić kabiny, jednak okna okazały się dla mrówaczki zbyt małe. Nie mogła od razu skończyć z ludźmi w pociągim metalowym pudle. Wielkie – większe od ludzkiej głowy – uzbrojone w żuwaczki łby z wypukłymi oczami biły w wąskie, puste otwory okienne. Potężne szczęki zgrzytały o metal. Wciskające się do kabiny łapy wypychały resztki klejonego szkła z framug i kołysały się przed ich oczami, starając się sięgnąć, zahaczyć, wyciągnąć...

Czyrik-chi, czyrik-chi... Czyrik-chi, czyrik-chi... – huczało im nad głowami.

– Pistolet, Magu! – wydał z siebie stłumiony jęk Saper. – Gdzie jest pistolet?!

Gdzie? Dobre pytanie...

Ilja gorączkowo szperał w półmroku kabiny, ale tylko kaleczył sobie palce odłamkami szkła.

Podczas niedawnej przewrotki, kiedy kombajn wywrócił się do góry gąsienicami i grzmotnął o peron, broń wypadła mu z rąk i gdzieś się zgubiła. Czy to w kabinie, czy to w ogóle wyleciała na zewnątrz...

– Mag! Pistolet! – wył z przerażenia Saper.

On też próbował namacać broń, ale we dwóch, w ciasnocie przewróconego na bok pojazdu tylko sobie przeszkadzali.

Wszystko to na nic – pomyślał Ilja. – Nawet jeśli uda nam się znaleźć makarowa, kilka nabojów nie uratuje nas przed śmiercią.

Jednak pocięte do krwi ręce mimo wszystko uparcie grzebały w rozbitym

szkle. I... – Oto jest! – ...wygrzebały.

Ilja namacał karbowaną rękojeść. Chwycił broń.

– Aaa! – dziki wrzask Sopera nagle zagłuszył „czyrik-chi” mrówańczy.

Pokryte kolcami i rzadkimi ostrymi włoskami odnóże złapało mocny kaptur jego stalkerskiego płaszcza i jednym szarpnięciem podciągnęło Sopera do rozbitego okna w drzwiach. Potem drugie odnóże złapało ofiarę w poprzek klatki piersiowej. I znowu pierwsze. I jeszcze raz drugie. Odnóza mrówańczy zagarniały Sopera jak łopaty pługa śnieżnego.

Soper rzucał się jak ryba na haczyku, ale nie mógł się wyrwać.

Odnóza przycisnęły go do okna zamkniętych drzwi. Zapewne tak mrówańcza mogła już dosięgnąć swojej ofiary żuwaczkami. Coś mlasnęło. Chrupnęło...

Soper zatrząsł się cały, wytrzeszczył oczy i wrzasnął – strasznie, na całą stację. Czy go użądliły, czy też zaczęły pożerać – nie wiadomo.

Coś ciepłego i lepkiego bryznęło na rękę z pistoletem.

– Strzelaj, Mag! – wychrypiał błagalnie Soper. – Strze-laj!

Nie uściślił, gdzie i w co. Zresztą nie było to już potrzebne.

– Strzelaaa...

Ilja wycelował makarowa w głowę Sopera. Nacisnął na spust. Huknął wystrzał.

Trafił chyba wprost w rozdziawione usta byłego naczelnika Portu Lotniczego.

Krzyk się urwał. Głowa szarpnęła się, zachlapując całą kabinę krwią i mózgiem. Widocznie kula drasnęła też stwora, który trzymał sopera. Odnóza mrówańczy rozwarły się. Martwe ciało spadło na Ilję.

Wzdrygając się z obrzydzeniem, Ilja zepchnął z siebie trupa. Potylicą Sopera zniknęła, szyja i ramiona były mocno pogryzione. Tryskała z niego fontanna krwi.

Ilja wsłuchał się w swoje odczucia. Zemsta się dokonała. Tak łatwo i szybko. Przez jedno naciśnięcie języka spustowego. Zresztą czy to w ogóle była zemsta? Bardziej przypominała miłosierne wybawienie Saperą od cierpienia i nie przyniosła Ilji żadnego zadowolenia.

A jednak zrobił to, co powinien był zrobić.

To, o czym tak długo marzył.

Saper zginął z jego ręki.

Dobrze, Oleńko? Słusznie, Sieriożko?

Milczą...

Tymczasem mrówańcza znów gryzła metal, starając się poszerzyć otwory okienne, i sięgała do kabiny haczykowatymi odnóżami. Kończyny stworów znów chwyciły martwego Saperą i podciągnęły go do okna. Mutanty wygryzały z trupa wciąż nowe kawałki, a Ilja, od stóp do głów umazany cudzą krwią, wciąż żył.

Wcisnął się z makarowem w najbezpieczniejszy kąt kabiny i starał się nie trafić w chwytne łapy owadów.

Bach! Bach! – szarpał mu się w dłoni pistolet.

Łapa mrówańczy właśnie chwytła powietrze przed samą jego twarzą.

Bach! Odstrzelić łapę!

Teraz jeszcze jedna sięga z drugiego okna.

Bach! Wsadzić przez okno kulę w jej właściciela!

A oto już nie łapa, ale poruszający żuwaczkami łeb próbuje przecisnąć się przez wąski otwór okienny o poszarpanych brzegach.

Bach! Kolejna kula weszła dokładnie między żuwaczki. Łeb mutanta rozpadł się na kawałki...

Okazało się, że magazynek nie był załadowany do pełna. Naboje skończyły się zbyt szybko. Ilja pomyślał ze smutkiem, że należało być bardziej przewidującym i zostawić jeden dla siebie.

Niestety było już za późno! Saperowi udało się umrzeć lżejszą śmiercią niż ta, która czekała teraz jego samego.

Oleńko! Idę do ciebie. I do ciebie, synku.

Przepraszam, że tak późno...

\* \* \*

Tak, był gotów na śmierć. Ale mrówka nagle straciła jakiegokolwiek nim zainteresowanie. Szperające w kabinie łapy wysunęły się przez rozbite okna. Żuwaczki nie gryzły już metalu.

Co się dzieje?

Ilja popatrzył tam, gdzie świecił reflektor.

Zaciekle starcie na zewnątrz przycichło. Podziemna gadzina nie przełaziła już przez wyrwę w ścianie. Nie wycofała się – nie, po prostu wyczerpały się jej zasoby. Wyglądało na to, że stwory, które wyszły z podmetra, zostały wybite do nogi. Jednak matka mrówaczy też praktycznie się nie ruszała. Pokryta licznymi ranami, przegryziona prawie na wylot królowa zdychała.

Uff-szuch, uff-szuch. Uff-szuch, uff-szuch. – Jej jęki były teraz ledwie słyszalne.

Widocznie mieszkańcy mrowiska czuli, co się dzieje z królową. Mrówka schodziła się do matki z całej stacji. Ustawiała się w nierównych szeregach na peronie, zawisała na ścianach, suficie i filarach.

Mrówka czekała...

Agonia królowej nie była długa. Fale skurczów przetaczające się po rozszarpanym, broczącym śluzem cielsku, ustały. Poranione ciało nie dawało już żadnych oznak życia.

Na jakiś czas mrówka przestała przemieszczać się po stacji. Każdy osobnik znieruchomiał w miejscu, w którym zastała go śmierć matki. Tylko

gruzłowate tylne odnóża zaciekle ocierały się o pokrywy skrzydeł, wydobywając z nich potężny, wszechogarniający dźwięk.

Czyrik-chi, czyrik-chi... Czyrik-chi, czyrik-chi...

Ilji wydało się, że zaczyna słyszeć w cykaniu mrówańczy nowe nuty. Co to? Pieśń żałobna nad ciałem zabitej królowej?

Trwało to dwie–trzy minuty.

Potem cykanie ucichło...

\* \* \*

Rozpoczął się Exodus.

Widowisko, które rozegrało się przed oczami Ilji, było imponujące i straszne. Przez rozbite okno kombajnu widział, jak mrówańcza opuszcza metro.

Odchodziła w milczeniu, nie wydając już żadnego dźwięku. Szła od strony Budionowskiej przez całą Woroszyłowską, obok martwej matki i osieroconych poczwarek, jakby oddawała swojej królowej ostatnie honory i żegnała się z nienarodzonymi dziećmi.

Ilja wiedział, dokąd podążały owadzie mutanty. Musiały przejść czerwoną linią przez wszystkie zdobyte stacje. Teatralna, Karola Marksa, Szołochowska, Selmasz... liczył w duchu. Na Ordżonikidze, tam, gdzie mrówańcza przedostała się do metra, teraz znów wyjdzie na powierzchnię. I...

I opuści miasto?

W każdym razie opuszczała metro. Po co jej metro bez matki? Po co spustoszone gniazdo?

Ilja patrzył...

Mrówańcza posuwała się nieregularnymi kolumnami. Jeden osobnik za drugim. Jak mrówki. Jak mrówańcza...

Insekty przypominały teraz wycofujących się żołnierzy rozbitej armii.

Na stacji piętrzyły się góry martwych ciał. I żywych, jeszcze się poruszających. Gdzieś pod warstwą trupów dygotały w przedśmiertnych konwulsjach umierające podziemne poczwary. Ale mrówka nie zatrzymywała się nawet po to, by dobić wroga. Do kombajnu nie zajrzał też już ani jeden zaopatrzonej w żuwaczki łeb. Zgrzytały tylko o metal niezliczone łapy i fantasmagoryczny sznur mutantów przecinał smugę światła reflektora.

Cienie odchodzącej armii pląsały po ścianach.

Potem mrówka odeszła.

I cienie zniknęły.

\* \* \*

Ilja wyostał się z pogniecionej kabiny.

Reflektor przewróconego na bok kombajnu jeszcze świecił, chociaż już nie tak jasno. Widocznie siadał akumulator. Ciekawe, na jak długo jeszcze wystarczy prądu?

Wprost przed nim, na szynach, piętrzyło się cielsko martwej matki. Długie niczym zatrzymany pociąg ginęło gdzieś w głębi na wpół zatopionego tunelu prowadzącego na Teatralną.

Zadziwiające, jak podczas swoich migracji mrówka potrafiła przenosić takiego potwora?! Zresztą zwykle mrówki też przecież zadziwiają swoją pracowitością i troską o matkę. A mrówka wyraźnie ma mrówcze geny. Chociaż mocno zmutowane.

Wyobraźnia już malowała przed nim obraz, którego Ilja ani razu nie widział na własne oczy. Dziesiątki, może setki owadów, niczym miniaturowe śmigłowce, oblepiają matkę ze wszystkich stron i jednym zsynchronizowanym ruchem odrywają ją od ziemi. Przenoszą, potem

starannie opuszczają. Znów podnoszą. I tak zryw za zrywem pokonują wielokilometrowe trasy. Nowe osobniki zmieniają te zmęczone, a ponieważ latających stworów jest w roju co niemiara, to kolonia mrówańczy może być w ruchu tak długo, jak tylko zechce.

Tak, pewnie tak to się wszystko odbywa. Dopóki królowa żyje, oddają jej królewskie honory, przenoszą, szukają schronienia na zimę, karmią, czyszczą, pielęgnują. A kiedy umiera – mrówańcza nie ma już kogo nosić na rękach, a raczej odnóżach, i osierocony rój opuszcza miejsce śmierci swojej matki jako terytorium przeklęte.

Co z nim będzie dalej? Jest skazany na śmierć, czy na służbę nowej królowej? Ilja tego nie wiedział. Zresztą nie chciał wiedzieć.

Pod peronem, przed głową królowej (sądząc po ogromnej paszczy i wypukłych fasetkowych kulach przypominających oczy szeregowych osobników, była to właśnie głowa), w brudnej, zmieszanej z krwią i śluzem wodzie unosiło się kłębowisko rozszarpanych szczątków potworów. W gęstej cieczy coś bulgotało, na powierzchni pływały trzewia, fragmenty ciał, porozrywana chityna, strzępy poczwarek i odłamki skrzydeł mrówańczy.

Z tyłu, w półmroku, można było rozpoznać zasypane przejście między linią czerwoną a niebieską i wydobyte z niego zwały ziemi. Sądząc z rozmiarów, wykonano tu gigantyczną pracę. Jednak mrówańcza nie zdążyła jej dokończyć.

Na końcu stacji wznosiły się stopnie nieczynnych schodów ruchomych prowadzących w górę, do zapory hermetycznej. Ilja poszedł w tamtym kierunku.

Musiał iść po trupach stworów. Dlatego że nie było po prostu gdzie postawić stopy. Pod nogami chrzęściła mu martwa podziemna gadzina oblepiona martwą mrówańczą. Ale nie wszystko umarło tu do reszty. Coś jeszcze szeleściło, chrobotowało i ruszało się. To tu, to tam, wśród



nieruchomych trupów dało się dojrzeć słaby ruch. Takie miejsca Ilja omijał szerokim łukiem.

Wdrapał się do hermetycznych drzwi. Zapora Woroszyłowskiej była wyposażona w wąskie okienka obserwacyjne przesłonięte prawdziwym szkłem pancernym. Można było stąd zobaczyć, co dzieje się na powierzchni.

I Ilja zobaczył...

Mrówańcza była wszędzie. Główna ulica Rostowa – Wielka Sadowa – ruszała się jak żywa. Zarówno sama ulica, jak i na wpół zburzone domy i rdzawe wraki samochodów.

Budynek władz obwodu i położone naprzeciw niego przedstawicielstwo prezydenta roiły się od stworów wypełzających na zewnętrzne ściany z urzędniczych gabinetów. Bujnie rozrośnięty po wojnie skwer na placu Sowietów był zniszczony do cna. Mrówańcza pożarła wszystkie rośliny, nawet mięsożerne i trujące. Teraz przed budynkiem obwodowej administracji wznosił się tylko pomnik Armii Czerwonej, oblepiony ogromnymi owadami.

Trzy postacie na cokole – żołnierz robotniczo-chłopskiej armii z karabinem, budionowiec z szablą i marynarz z granatem – były niemal całkowicie skryte przed jego wzrokiem. Z kłębowiska mrówańczy wystawał fragment szabli i lufa karabinu.

A nad miastem, jak gęsta czarna chmura, wisiał rój. Rozróżnienie oddzielnych osobników było prawie niemożliwe. Zdawało się, że mrówańcza materializuje się wprost z powietrza. Coraz to nowe grupki opuszczały na wpół zburzone domy mrowiska i wlatywały z rostowskich ulic w górę.

Opustoszała i Sadowa. Mrówańcza porzuciła siedzibę władz i przedstawicielstwa prezydenta federacji. Jakby wiatr ją zdmuchnął z placu Sowietów i starego sypiącego się pomnika poświęconego niemal zapomnianym wydarzeniom.

A potem...

Potem rój zaczął odlatywać. Gdzieś na południe. Za Don.  
Kolonia opuszczała miasto.

\* \* \*

Entomolog Aleksiej Kiryłłowicz okazał się mieć rację: bez matki stworzone przez mutanty miejskie mrowisko nie miało sensu. Królowa była centrum jednoczącym całą owadzią rodzinę, ale nawet po jej śmierci mrówka nie rozpadła się na oddzielne grupy.

W nieszczęściu mrówka też trzyma się razem – pomyślał Ilja.

Cóż, musi się tego od niej nauczyć. I on sam, i reszta ocalałych. Cała jego nowa rodzina zwana ludzkością. Oczywiście jeśli ludzie chcą przetrwać jako gatunek.

Poczuł niezwykle spokojny w sercu. Takiego spokoju, ukojenia i przeświadczenia, że to, co się dzieje, jest właściwe, Ilja nie czuł już dawno.

Pomyślał o żonie i synu i wspomnienia te wywołały nie ból, lecz uśmiech. Ukochane, drogie twarze widniały mu przed oczami jak na jawie...

A przecież Oleńka i Sieriożka jednak mu pomogli. I to bardzo. I nieważne już, kto tak naprawdę mu doradzał i wskazywał drogę: prawdziwe czy urojone głosy. I nieważne, kto go tą drogą prowadził: moce z zaświatów, czy on sam wabił się fortelem tam, dokąd powinien był iść, ale pewnie nigdy nie zrobiłby tego z własnej woli.

Jak się okazało, droga do ocalenia rzeczywiście prowadziła przez odkryte przez niebieskich podziemia. I droga ta niespodziewanie splotła się z drogą zemsty. Od której, z kolei, odgałęziała się ścieżka zrozumienia.

Skręcił w odpowiednim kierunku i we właściwym momencie. No, a teraz... Teraz czekało go wiele ważnych spraw. Żywi powinni byli zatroszczyć się o dalszy byt.

Trzeba jeszcze sprawdzić zachodnią część czerwonej linii: może tam, za

Dworcową, udało się komuś przeżyć.

I oczyścić Woroszyłowską z trupów.

I zniszczyć poczwarki mrówańczy – wszystkie, co do jednej.

I zrobić porządek na pozostałych stacjach, po których przeszły mutanty.

I osuszyć podtopione tunele.

I jeszcze raz sprawdzić podmetro.

I osiedlić ocalałych na zwolnionej przestrzeni.

I jeszcze...

Ilja pomyślał, że nieźle by było znów połączyć stację Port Lotniczy z metrem. A właściwie dlaczego by nie? Jest kombajn do drążenia tuneli. Spowodowane przez Sopera osuwisko można teraz uprzętnąć.

No, a kiedy Port Lotniczy znów stanie się częścią czerwonej linii, Ilja nie tylko wróci do domu sam, jak obiecał Oleńce i Sieriożce. Przeprowadzi ze sobą ludzi, którzy będą potrafili tchnąć życie w martwą stację.

Spoglądając na pępek ulice zburzonego miasta, z którego odlatywała mrówańcza, Ilja widział przyszłość w jasnych barwach. Jego nowa rodzina przeżyła. I okoliczności nie zapędziły człowieka jeszcze głębiej pod ziemię, ani nie zamieniły go w jakiegoś zastraszonego bobaka, który nigdy nie widział światła słonecznego i nawet go sobie nie wyobrażał.

A to znaczy, że kiedyś ludzie zdołają wrócić na powierzchnię z własnym rojem, nie mniej zespolonym od mrówańczy. Kiedyś potomkowie jego nowej rodziny znów staną się panami tego świata.

Bardzo chciał wierzyć, że będą rozumniejsi i ostrożniejsi od swoich przodków. Obłądnie chciał wierzyć, że będą potrafili uczyć się na cudzych błędach, nie popełniając własnych.

Ilja uśmiechał się. Ilja marzył...

Przez mgnienie oka wydało mu się, że z tyłu, ze schodów ruchomych, patrzą na niego Oleńka i Sieriożka. I przytuleni uśmiechają się do jego

pleców.

Ilja się nie odwracał.

Niech patrzą.

Niech się uśmiechają...

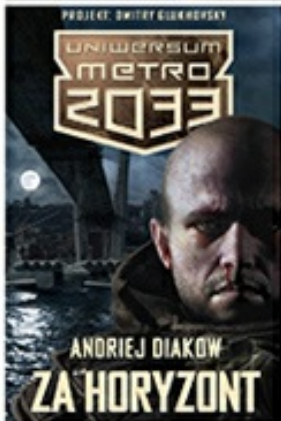
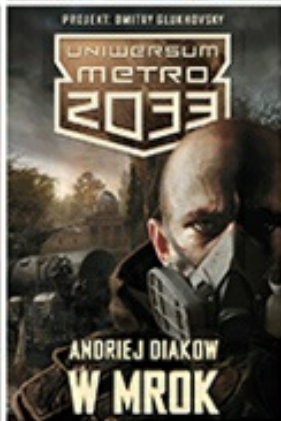
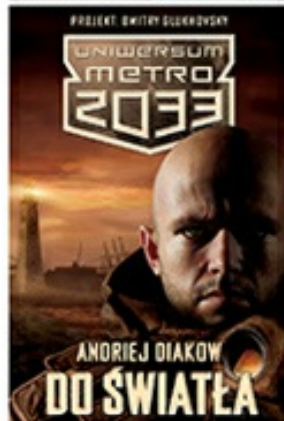
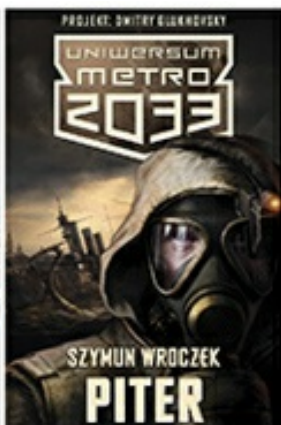




UNIwersum METRO 2033  
Portal miłośników książek z serii Metro 2033

Dołącz do społeczności portalu,  
publikuj swoje teksty i grafiki,  
oceniaj i komentuj twórczość innych  
i bądź na bieżąco z wydarzeniami  
związanymi z postapokaliptycznym światem  
Dmitrija Glukhovskiy'ego.

[www.metro2033.pl](http://www.metro2033.pl)  
[facebook.com/metro2033pl](https://facebook.com/metro2033pl)  
[twitter.com/metro2033pl](https://twitter.com/metro2033pl)



**WKRÓTCE  
KOLEJNE  
KSIĄŻKI  
SERII!**

# Spis treści

[Od Autora](#)

[Rozdział 1 | Oleńka i Sieriozka](#)

[Rozdział 2 | Mutanty](#)

[Rozdział 3 | Kozak](#)

[Rozdział 4 | Inżynier](#)

[Rozdział 5 | Selmasz](#)

[Rozdział 6 | Gapcio](#)

[Rozdział 7 | Ucieczka](#)

[Rozdział 8 | Diaspora](#)

[Rozdział 9 | Teatralna](#)

[Rozdział 10 | Woroszyłowska](#)

[Rozdział 11 | Niebiescy](#)

[Rozdział 12 | Korytarz](#)

[Rozdział 13 | Widmo](#)

[Rozdział 14 | Podmetro](#)

[Rozdział 15 | Bobaki](#)

[Rozdział 16 | Gadzina](#)

[Rozdział 17 | Saper](#)

[Rozdział 18 | Królowa](#)